

SKANDALICZNI KSIĄŻĘTA

LENORA BELL

Jak
zatrzymać
przy sobie
księcia



LENORA BELL



Jak
zatrzymać
przy sobie
księcia

TEUMACZENIE ROBERT SUDÓŁ


OTWARTE
KRAKÓW 2022

*Dla wszystkich dziewcząt, które w sobie wątpią.
Obyście zajaśniały pełnym blaskiem.*

CHOMIKO_WARNIA

Prolog

Hrabstwo Cork, Irlandia, 1818

Drogi Księżę Osborne,

piszę bez odpowiedniej prezentacji swojej osoby, lecz mam nadzieję, że wybaczysz mi śmiałość, jako że jestem tymczasowo Twą sąsiadką. Z Ballybrack Cottage należącego do mojej ciotki widać park Twego Balfry House. Wczoraj ochmistrzyni zechciała oprowadzić mnie po majątku.

Mości księżę, jakże wspaniałe zbiory starych mistrzów są w Twym posiadaniu! Mogą się z nimi równać jedynie kolekcje, które widziałam podczas objazdu po muzeach Italii. Jako miłośniczka sztuki pięknej rozpoznałam dzieła pędzla Caravaggia, Rafaela i Tycjana.

Twa ochmistrzyni mówi mi, że od ponad dekady nie zawitałeś w Irlandii. Zastanawiam się, mości księżę, czy jesteś świadom wartości zbiorów zgromadzonych przez Twych przodków.

Szczerze zaintrygowana,

lady Dorothea Beaumont

Londyn

Droga Lady Dorotheo Beaumont,

czy podobna, że są dwie damy noszące miano Dorothea Beaumont? Z trudem przychodzi mi bowiem uwierzyć, że dama, którą mam na myśli, zdobyłaby się na napisanie do mnie, zważywszy na jej udział zeszłej jesieni w osobliwych, skandalicznych wręcz okolicznościach dotyczących ślubu mojego przyjaciela księcia Harland.

Szczerze zaskoczony,

księżę Osborne

Hrabstwo Cork, Irlandia

Drogi Księżę Osborne,

obawiam się, że jest tylko jedna lady Dorothea Beaumont, czyli ja. Wydarzenia, do których nawiązujesz, są właśnie powodem, dla którego znalazłam się na irlandzkiej wsi, ukryta przed światem podobnie jak Twe zabytkowe arcydzieła.

Przyznam się, że dokonując obchodu po Balfry, odkryłam poddasze wypełnione od podłogi do sufitu tajemniczymi pakunkami w kształcie obrazów. Jakże zapragnęłam je rozpakować! Być może, mości księżę, uznałbyś, że skorzystasz na spisaniu swej kolekcji? Z największą ochotą wyświadczyłabym taką przysługę.

Lady Dorothea Beaumont

Londyn

Droga Lady Dorotheo Beaumont,

Jego Księżęca Mość przekazał nam Pani prośbę dotyczącą zbiorów dzieł sztuki przechowywanych w Balfry House. Proszę przyjąć do wiadomości, że sprawie tej został przypisany numer i odtąd będzie znana jako MCCCXXXVIII.

Jego Księżęca Mość podejmuje starania, aby rychło odpowiadać na podobne zapytania, niemniej opóźnień i zwłok częstokroć nie sposób uniknąć.

Pani pokorni służy,

Stallwell i Bafflemore, adwokaci

Hrabstwo Cork, Irlandia

Wielce Szanowni Panowie Stallwell i Bafflemore,

proszę powiadomić Jego Księżęcą Mość, że niełatwo się zniechęcam.

Odwinęłam fragment jednego z obrazów i stwierdziłam, że to zaginione cenne dzieło Artemisii Gentileschi, włoskiej artystki renesansowej, której twórczość wielce mnie zajmuje.

Jej Śpiąca Wenus spoczywa na turkusowym aksamicie, a Kupidyn wachluje ją pawimi piórami. Choć być może ma nazbyt wiele lat (blisko dwieście) jak na gust Jego Księżęcej Mości, jest diamentem pierwszej wody i zasługuje na podziw zachwyconej publiczności.

Upraszam Jego Księżęcą Mość, aby zezwolił na jej pełne odsłonięcie.

Lady Dorothea Beaumont

Londyn

Droga Szeherezado,

nie będzie odsłonięcia. Mój zmarły ojciec był kolekcjonerem sztuki; ja nim nie jestem.

Zakurzone stare obrazy pozostawiają mnie obojętnym. Jestem natomiast koneserem ciepłych i żywych Wenus w pełnej ich różnorodności.

Pozwolę sobie nadmienić, że Balfry House wraz z zawartością jest zamknięty nie bez przyczyny – i tak pozostanie.

Z całą stanowczością,

książę Osborne

Hrabstwo Cork, Irlandia

Drogi Księżę,

nie możesz być aż tak zatwardziały, aby zabronić odsłonięcia prawdopodobnie najwspanialszego zbioru dzieł artystki renesansowej na świecie (owszem, w kolekcji Twego świętej pamięci ojca jest więcej obrazów Artemisii!).

Tym sposobem odmówiłbyś opinii publicznej i miłośniczce sztuki budujących przeżyć i przyjemności.

Gdybyś przybył i zobaczył obrazy na własne oczy, serce Twe zmiękłoby natychmiast.

Niezrażona,

lady Dorothea

Londyn, jesień 1818

Drogi Uparciuchu w spódnicy,

odnoszę wrażenie, że spędzasz sporo czasu w moim domu. Może winienem pobierać od Ciebie czynsz? Ufam, że masz jeszcze inne zajęcia. Są łąki, po których można hasać... miejscowi szlachcice, których można oczarować.

A teraz wybacz, wzywają mnie ważne i pilne sprawy.

Niewzruszony,

książę Osborne

Hrabstwo Cork, Irlandia, jesień 1818

Drogi Księżę,

jeśli przez ważne i pilne sprawy rozumiesz wyskakiwanie z balkonu pani Renwick tylko po to, aby jeszcze tego samego wieczoru zostać przyłapanym na wspinaniu się po treliażu do okna pani Beckham-Cross (przeczytałam ekscytującą relację o tym w „Kurierze”), to nie pozostaje mi nic innego, jak zastanawiać się, czy takie wyczyny nie narażają zdrowia dżentelmena na szwank.

Pozwól zalecić sobie wypoczynek na irlandzkiej wsi i spokojną kontemplację siedemnastowiecznych dzieł sztuki.

Z zaścianka,

lady Dorothea

Londyn

Droga Pani z Zaścianka,

proszę się nie kłopotać. Jestem w sile wieku, pełen wigoru, męskości i zdrowia. Wystarczy zapytać panią Renwick.

Bestia z miasta,

książę Osborne

I jak miała na to odpowiedzieć?

Thea zanurzyła pióro w atramencie. „Drogi Książę”, zaczęła. Ale tak naprawdę nie był drogi jej sercu. Był aroganckim rozpustnikiem, który pozostawał nieczuły na szczere apele kobiety.

Zmięta arkusz papieru w dłoni i położyła kolejny na pochyłym blacie biurka. „Rozpustny Książę”.

Byłby to satysfakcjonujący początek, ale prawdopodobnie nie doprowadziłby do niczego dobrego.

„Dżentelmeni uwielbiają pochlebstwa”, usłyszała znów głos matki. Nawet po roku wygnania w Irlandii Thea nie potrafiła zagłuszyć tego władczego wewnętrznego głosu. Tych nieustannych pouczeń i poleceń.

„Należy go za coś pochwalić. Za cokolwiek. Skomplementować glans jego butów. Zachwycić się rodowodem jego koni. A potem zadać osobiste pytanie. Dżentelmenów nigdy nie nuży ten temat”.

A więc dobrze. Pochlebstwa. Pytania.

„Drogi Arcymęski Książę, jak udaje Ci się zadowolić tak wiele wdów, skoro doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny?”

Kolejny zmięty arkusz papieru wylądował w koszu obok nóg Thei.

Oparła łokcie na biurku i zapatrzyła się w okno. Zobaczyła ciocię Emmę, pulchną postać w białym czepku pochyloną nad jednym z jej ukochanych uli z plecionki.

W tle lśniące zielone wody zatoki pieściły skaliste urwisko i plaże usłane skamieniałymi

różowymi algami zwanymi *maërl*, które miejscowi chłopci zgniatali i rozsypywali na swoich polach.

Za sto lat archeolodzy odnajdą szczątki Thei zagrzebane pod stosem arkuszy papieru.

Powolna śmierć z braku elokwencji.

Pod tym względem nie ma sobie równych. Wystarczy spytać jej matkę, hrabinę Desmond.

Biedna hrabina. Miała tak wspaniałe plany względem córki. Przeznaczeniem Thei zawsze były wielkie osiągnięcia.

Triumfalne wejście do socjety, kilkanaście propozycji małżeńskich do wyboru, upolowanie najwspanialszego księcia, a potem długie niekwestionowane panowanie jako najdoskonalsza księżna w Anglii, przedmiot zazdrości wszystkich arystokratek.

Plan ten miał nawet swoje motto: Układność. Elegancja. Wyrafinowanie.

Oraz znajomość kodeksu właściwego postępowania. Słowem kobieta ideał. Żadnych kompromisów.

Już w wieku jedenastu lat Thea mówiła po włosku i francusku. Rok później czytała już Owidiusza po łacinie. W wieku lat trzynastu potrafiła zagrać na pianinie wszystkie koncerty Mozarta.

W tańcu była lekkostopa, nosiła się bez zarzutu, malowała zachwycające akwarele.

Pan Debrett mógłby zasięgać jej rad przy pisaniu przewodnika po arystokratycznej etykiecie. O pozycji każdego angielskiego para wiedziała więcej niż oni sami.

Podczas gdy inne dzieci bawiły się hałaśliwie na placu przed miejską rezydencją rodu przy St. James's, Thea uczyła się nalewać prawdziwą herbatę z fajansowego imbryczka Wedgwood dla wyimaginowanego księcia.

Przeznaczeniem Thei były wielkie sukcesy, zatem uwalanie ubrania trawą podczas zabawy nie wchodziło w grę.

Jedynie przygody przeżywała wtedy, gdy wyobraźnią wślizgiwała się w przedstawiające sceny mitologiczne obrazy, które wisiały w jej pokoju do nauki. Wędrowała po tych zasnutych mgłą soczyście zielonych borach upstrzonych srebrnymi oczkami wodnymi – rozradowana nimfa leśna dokazująca z podobnymi do niej istotami, podbijająca serce Apollina, który nigdy by jej nie zrugął, gdyby kropla herbaty spadła na obrus.

Oczywiście odpowiednio wychowane, wykształcone, eleganckie damy nigdy nie włączyły się po lasach i nie miały schadzek z przystojnymi półbogami.

W istocie z domu wychodziły wyłącznie w towarzystwie służącej, dwóch lokajów i bystrookiej matki.

Gdy Thea skończyła siedemnaście lat, matka uznała, że córka jest należycie przygotowana do tego, aby podbić londyńską socjetę.

Hrabina popełniła jednak mały błąd w swych rachubach.

Dotąd jej córka żyła pod kloszem, całkowicie odgradzona od świata. Do tego stopnia, że nigdy wcześniej nie rozmawiała z żadnym prawdziwym młodym arystokratą, a cóż dopiero z autentycznym księciem.

Jej relacje z płcią przeciwną ograniczały się do przelotnych kontaktów z dwoma braćmi, którzy byli od niej znacznie starsi i przez całe jej dzieciństwo przebywali w szkole z internatem. Niekiedy w domu pojawiał się ojciec, gdy akurat nie umiłał sobie życia towarzystwem kolejnej kochanki, lecz jego wypowiedzi składały się wyłącznie z pomruków i cytatów z kolumn finansowych codziennych gazet.

Rolę księcia na podwieczorkach wydawanych przez dorastającą Theę odgrywała stara szmaciana lalka z domalowanymi oczami.

Książę Trocina. W jego towarzystwie czuła się swobodnie.

Bo nigdy nie powiedział słowa, które by ją speszyło, nie wygłosił uwagi, w której efekcie całe jej wykształcenie i przygotowanie do życia wydawało się okrutnym żartem.

Podczas swojego debiutu, w obliczu podobnej martwoty posuniętego w latach autentycznego księcia o policzkach uchwyconych w siatkę sinych żyłek i podwójnym podbródku, Thea otworzyła usta, aby wypowiedzieć kilka okrągłych, eleganckich słów, lecz nagle straciła mowę.

Ogarnął ją paniczny strach, że być może palnie coś niewłaściwego.

A wtedy nie byłaby ideałem kobiety.

A gdyby okazało się, że nie jest ideałem, jej dotychczasowe życie straciłoby sens.

Wreszcie, podczas tego niekończącego się wieczoru, Thea zdołała kilkakrotnie zareagować jednosylabowymi słowami. I piskliwym chichotem.

Chichot był najgorszy. Wyrwał się z ust jak lawa z wulkanu autodestrukcyjnego zwątpienia, który wybuchał w jej piersi.

Aby powstrzymać ten niepokonany chichot, zrozpaczona Thea wypła kilka kubków słodkiego ponczu z ratafią, który niestety również trysnął z jej ust... wprost na suknię pewnej przerażonej baronowej w toalecie dla dam.

Oczywiście po takim debiucie wszystkie misterne plany legły w gruzach.

Po dwóch katastrofalnych sezonach naznaczonych podobnie fatalnymi występami Thea została wysłana za granicę w towarzystwie babci, która znana była jako budząca grozę hrabina wdowa Desmond.

Lato spędzone pośród dostojnego brytyjskiego towarzystwa w Rzymie i we Florencji miało nadać dziewczynie kontynentalny szlif i wyleczyć ją z nerwowego chichotu.

Osobliwe, ale wszystkie starannie obmyślane przez matkę plany zawsze kończyły się fiaskiem.

Jedyny szlif nabyty w Italii brał się z wizyt w licznych muzeach i galeriach o wypastowanych posadzkach – o ile dziewczyna zdołała nakłonić babkę do takiej wycieczki.

Dla Thei sztuka widziana w Italii okazała się objawieniem.

Drogą ucieczki w nowe światy, nieskrępowane surowymi zasadami narzuconymi przez matkę.

Thea odkryła twórczość malarek renesansowych i doceniła ich odwagę. Stała przez całą godzinę przed obrazem *Judyta odcinająca głowę Holofernesowi* we florenckiej galerii, zahipnotyzowana brutalną sceną namalowaną z niewzruszoną szczerością i zachwycającym kunsztem.

Było to dzieło kobiety.

Obraz okazał się głęboko poruszający, choć Thea nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego tak jest. Przewertowała książki o historii sztuki w poszukiwaniu wzmianki o Artemisii, ale znalazła tylko kilka słów na temat jej barwnego życia osobistego, natomiast jej umiejętnościom i dorobkowi poświęcono niewiele uwagi.

Z tego Thea wnosiła, że ta wybitna malarka została pominięta, zepchnięta na margines po prostu dlatego, że była kobietą. Jej dzieła popadły w zapomnienie. Jej twórczość przyćmił skandal obyczajowy.

Z nieznanego powodu odkrycie to zrodziło w głowie Thei buntownicze myśli.

A może wcale nie pragnęła poślubić księcia i urodzić mu potomstwa z podwójnym podbródkiem, i dać się sprowadzić do roli ozdóbki i klaczy hodowlanej?

Być może całe zdobyte wykształcenie mogłaby spożytkować na coś więcej niż tylko złowienie arystokraty – mężczyzny, który bez wątplenia oczekiwałby od niej potulnego milczenia, gdy zdradzałby ją z każdą kurtyzaną w Londynie, jak czynił to jej własny ojciec, bo

najwyraźniej taka była kolej rzeczy.

Zaczęła snuć plany, które nie obejmowały układności, elegancji i wyrafinowania. Lecz gdy wróciła do Londynu, okazało się, że to inni podjęli decyzje dotyczące jej życia. Należało niezwłocznie wydać Theę za mąż.

Miała wyjść za księcia, którego nigdy dotąd nie spotkała.

Co gorsza, za księcia, którego serce zdobyła jej przyrodnia siostra Charlene, jedno z wielu dzieci spółzonych i nieuznawanych przez hrabiego Desmond. Charlene i Thea wyglądały jak bliźniaczki. Pod pewnym względem ten podstęp miał sens, bo Thea zdawała sobie sprawę, że sama nigdy nie złowiłaby księcia, więc matka wzięła sprawy w swoje ręce.

Wiedziała, że nie powinna była iść do kościoła tamtego feralnego dnia. Nie powinna była się zgodzić na poślubienie nieznanego.

Jednak posłuszeństwo wobec woli rodziców okazało się nazbyt silne. Ten głęboko zakorzeniony nawyk kazał jej iść przed ołtarz i stanąć obok wysokiego, przystojnego i bardzo onieśmielającego księcia Harland.

Na szczęście w połowie uroczystości Thea zdobyła się na odwagę, aby wyznać prawdę.

Odrzuciła księcia, żeby odnalazł swoją prawdziwą ukochaną, Charlene, kobietę, która skradła mu serce.

Karą za tę uczciwość było wygnanie do Irlandii. Tam, na południu kraju, Thea zamieszkała u ekscentrycznej ciotki Emmy, aby w ciszy i spokoju zastanowić się nad swoim postępowaniem, pożałować buntowniczych odruchów i odzyskać zdrowy rozsądek.

O dziwo, to, co miało być bolesną karą, okazało się przedsmakiem prawdziwej swobody, niezaznanej dotąd osobistej wolności.

Thea rozkwitła otoczona serdeczną opieką ciotki. Czowała się użyteczna i naprawę szczęśliwa, bo pomagała opracowywać i wdrażać nowe, bardziej humanitarne metody pszczelarstwa – zrezygnowały z odymiania, a miód pozyskiwały w taki sposób, że większość roju pozostawała w stanie nienaruszonym.

Gdy zaś na poddaszu rezydencji księcia Osborne znalazła zaginiony obraz Artemisii, zrozumiała, że jej przeznaczeniem jest przywrócić tę malarzkę światu, aby doceniono jej talent i twórczość.

Cóż z tego, skoro księżę uparcie odmawiał zgody na wydobywanie obrazów na światło dzienne.

Do obłędu doprowadzała ją myśl, że na poddaszu gnije być może nawet autoportret Artemisii, owinięty w płótno i zapomniany. Jaką szkodę mogłoby wyrządzić odsłonięcie tych dzieł?

Thea ponownie zanurzyła pióro w kałamarzu, postanowiwszy znaleźć właściwe słowa.

Mości Księżę,

zostałam wezwana do Londynu, co zapewne skończy się kolejną nieudaną próbą wydania mnie za mąż. Skoro spełnienie oczekiwań moich rodziców jest najwyraźniej ponad moje siły, postanowiłam odnieść zwycięstwo przynajmniej w swojej kampanii uwolnienia dzieł Artemisii ze strychu.

Byłaby to zaprawdę szkoda niepowetowana, gdyby świat, a w szczególności Brytyjski Instytut Krzewienia Sztuk Pięknych, pozostał nieświadom istnienia tak wybitnej twórczości.

Z wyrazami poważania,

lady Dorothea

Posypała arkusz piaskiem z puszczonej stojącej na biurku, aby atrament szybko wysechł, po czym złożyła list.

Wiedziała, że latem ostatecznie pójdzie w odstawkę.

Musiała tylko przetrwać jeszcze jeden katastrofalny sezon i uzyskać zgodę księcia na obejrzenie jego zbiorów. Następnie wróci do ukochanego starego Ballybrack Cottage i ukochanej starej ciotki Emmy oraz jej pszczół. Wiedziała, że tam jest jej miejsce. Z dala od błyszczących parkietów sal balowych. Z dala od aroganckich książąt.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 1

Londyn, wiosna 1819

Thea popełniła gigantyczny błąd.

Błąd rozmiarów dobrze zbudowanego księcia.

Znad pióra i arkusza papieru jej odwaga wydawała się niezłomna.

Zamierzała zbliżyć się do księcia Osborne na pierwszym balu tego sezonu, jednym twardym spojrzeniem przepłoszyć otaczające go podekscytowane kobiety i powiedzieć coś genialnego, aby go przekonać do swoich planów.

Coś na wzór: „Wasza Książęca Mość, przetrzymywanie zaginionych obrazów Artemisii na strychu nie różni się niczym od wydania przez generała Hutchinsona Kamienia z Rosetty siłom Napoleona w Egipcie”.

Cóż, może to było trochę melodramatyczne, ale trafiłoby w sedno.

Wystarczy przewrócić pierwszą kostkę domina i cały komplet z kości słoniowej pójdzie w jej ślady. Potem Thea wróci do Irlandii, gdzie wreszcie będzie mogła przestać być ideałem.

Lecz pierwsza kostka...

Oczywiście, że podczas poprzednich sezonów obserwowała księcia Osborne. Wtedy wciąż był markizem Dalton.

Ale tego wieczoru sytuacja wyglądała inaczej.

Tego wieczoru musiała uzyskać coś konkretnego.

Wydawał się taki rośli. Władczy i męski.

Każda dama obecna w przepastnej sali balowej czuła tę jego męskość.

Nie chodził, lecz kroczył. Nie jeździł konno, lecz galopował.

A kiedy czegoś chciał, po prostu po to sięgał. Niełatwo byłoby narzucić mu swoją wolę.

Nawet jego fular tchnął taką beztróską, że inni arystokraci zdawali się udręczeni i zniewoleni własnym strojem. On cieszył się swobodą.

Nad głową syczały świece.

Słodki, migdałowy zapach ratafii wywołał w brzuchu Thei dobrze znany przypływ paniki. Perły nanizane na jej włosy przez służącą ciążyły mocno, grożąc bólem głowy.

– Moja panno, jeśli łaska!

Matka zatrzasnęła wachlarz tuż przed jej nosem. Thea zamrugła powiekami.

– Tak?

– To ciągle bujanie w obłokach na nic się nie zda. Powinnaś przynajmniej udawać, że się zmieniłaś. Czy muszę ci przypominać, że to twoja ostatnia sposobność, aby wyrzeć dobre wrażenie?

Nie było na to najmniejszej szansy. Wyrokiem wytwornego towarzystwa do Thei przylgnął przydomek „Panna Fatalna”. I dobrze, całkiem dogodne dla kobiety, która pragnęła podpieścić ściany na balach, aby uniknąć zamążpójścia.

– Czy ty mnie słuchasz? – spytała lady Desmond, mrużąc jasnoniebieskie oczy.

– Tak, matko.

– Za chwilę zostawię cię samą, aby panowie nie powstrzymywali się przed zaproszeniem cię do tańca... onieśmieleni moją obecnością.

Ech, chyba raczej odstraszeni.

Thea miała złą reputację, matka zaś najgorszą z możliwych, albowiem niejedynemu z towarzystwa podejrzewał, że posunęła się do oszustwa, gdy usiłowała – bez powodzenia –

złowić księcia dla swojej córki. Nigdy jednak tego nie udowodniono.

– Racz zdobyć się na uśmiech, gdy któryś z dżentelmenów pojawia się w pobliżu – syknęła hrabina. – Masz minę, jakbyś była na pogrzebie.

Pod pewnym względem to istotnie był pogrzeb. Bo za chwilę nadzieje jej matki – i szanse Thei na zamążpójście – zostaną ostatecznie pogrzebane.

Aby skłonić matkę do szybkiego oddalenia się, dziewczyna przywołała olśniewający uśmiech na twarz. Gdyby szerzej rozciągnęła wargi, jej głowa rozpadłaby się na dwoje.

– I żadnych chichotów, moja panno, słyszysz, co mówię? Ani jednego.

– Tak jest, matko. – Thea poczuła falę frustracji, ale powstrzymała się od gniewnej riposty. Pragnęła, aby matka odeszła jak najszybciej, bo należało dopaść księcia Osborne. – Oczywiście, że cię słyszę. Stoisz tuż obok.

– Hmm. I przestań gapić się na księcia Osborne. To nad wyraz niestosowne.

Thea zrobiła skruszoną minę.

– Wcale na niego nie patrzę.

– Patrzysz to mało powiedziane. Praktycznie się ślinisz, moja panno. – Lady Desmond trzepnęła ją wachlarzem w dłoń. – Przyznam, że to przystojny mężczyzna, lecz nie on jest naszym celem. Foxford to całkiem dobra partia. – Popatrzyła dokoła. – Najwyraźniej jeszcze się nie zjawił.

Thea pohamowała dygot. Foxford w żadnym razie nie był dobrą partią.

Nie byłyby nawet za milion lat.

Przez całe życie była sumienną i posłuszną córką. Z wyjątkiem tamtego jednego razu. W kościele.

Teraz jednak nie miała najmniejszego zamiaru poślubić mężczyzny wybranego przez matkę.

Księżę Osborne zawładnął całym środkiem sali balowej w rezydencji lady Thistlethwaite, zakotwiczywszy długie nogi w marmurowej podłodze, jakby były filarami mostu.

Wdowy w satynowych sukniach z nieustraszenie głębokimi dekolami napływały fala za falą, a splecione panny na wydaniu, promieniejące świeżością, rzucały mu wymowne spojrzenia, ich matki zaś knuły i spiskowały, jak przełamać niechęć księcia do małżeństwa.

Co ona sobie wyobrażała? Przecież nie mogła zwyczajnie podejść do takiego bawidamka. Spoczywały na nim spojrzenia wszystkich kobiecych oczu.

Trzeba będzie wysłać do niego kolejny list. Tak, tak właśnie robi. Układny list napisany przy biurku, bez narażania się na pośmiewisko.

Zobaczmy...

„Drogi Księżę, dziś wieczorem nie mieliśmy okazji do rozmowy, albowiem...”

– Och, jest lady Gloucester. – Hrabina zerknęła poza czubek swojego długiego, wąskiego nosa. – Za wszelką cenę muszę usłyszeć o ślubie panny Augusty. Zwykły oficer. Biedny jak mysz kościelna. Dasz wiarę? Zawsze wiedziałam, że popełni mezalians.

Matka wreszcie odpłynęła w poszukiwaniu najświeższych plotek.

Stojące nieopodal w kręgu panny patrzyły na Theę, chichocząc i szepcząc za wachlarzami z kości słoniowej. Bez trudu odgadłaby, co mówią.

„Widzisz ją? To Panna Fatalna. Wróciła z wygnania”.

„Naprawdę? Pozwól, że spojrzę. A dlaczego jest fatalna?”

„Jak to? Nie słyszałeś o jej nieudanym zamążpójściu?”

Thea rozprostowała zaciśnięte palce i spojrzała na ścianę, na kopię *Perseusza i Andromedy* Tycjana w połączanej ramie, na skłębione szarości i wstęgę czerwieni.

Gdybyż srogi półbóg wyskoczył z obrazu i ocalił ją przed gorgoną w postaci wytwornej

socjety.

Wytwornej? W żadnym razie. Cienka warstwa ucywilizowania maskowała drwiące szept i kpiące spojrzenia.

Nawet gdyby Thea spędziła w Irlandii dziesięć lat, oni i tak nie puściliby w niepamięć jej porażek.

W ostatniej chwili dostrzegła, że księżę znika w szklanych drzwiach prowadzących na balkon, z panią Renwick uwieszoną u jego ramienia, bez wątpienia w drodze na intymne *tête-à-tête*.

„Teraz! Teraz nadarza się szansa, aby podejść, bo dokoła będzie niewielu ludzi”.

Czy może się wydarzyć coś gorszego od tego, co już się wydarzyło? No cóż, księżę mógł roześmiać się jej w twarz. A ktoś inny zostać świadkiem jej ostatecznego upokorzenia.

„Śmiali się wcześniej. Nazywali mnie, jak chcieli”.

Białe pantofle Thei zastukały po szaro-różowej marmurowej posadzce, zanim zdążyła zmienić zdanie.

Dokoła rozbrzmiewał gwar rozmów. Spuściła głowę, nie odrywając oczu od białej satyny własnej sukni.

Podniosła wzrok dopiero, kiedy było to już nieuniknione. To jest w chwili, gdy dostrzegła obcasy księżęcych czarnych butów.

Stał odwrócony do niej plecami. Pochylił się, aby szepnąć coś do ucha pani Renwick, ukształtowanego idealnie jak muszla.

Wielkie nieba. Z daleka księżę Osborne wydawał się bardziej ustępliwy.

Z bliska był znacznie większy.

Gigantyczny.

Całkowicie nieokiełznany.

Plan okazał się szalony. Ale było za późno, żeby zawrócić.

Górował nad Theą głową i barczystymi ramionami, szerokimi jak szafot.

– Hmm – odchrząknęła w mało kobiecy sposób.

Nie zwrócił na nią uwagi.

Wyciągnęła rękę. Wyżej i wyżej, i wreszcie klepnęła go w ramię.

Równie dobrze mogłaby być natrętną muchą bzyzącą nad łbem byka.

Pani Renwick zachichotała i pacnęła go w klapę czarnego fraka swoim czerwonym jedwabnym wachlarzem.

– Jesteś niepoprawny! – zakrzyknęła.

Thea odchrząknęła głośniej.

– Wasza księżęca mość – odezwała się.

Ku jej przerażeniu zabrzmiało to jak przenikliwy pisk.

Odwrócił się.

Dobry Boże, jakże niebieskie oczy. Nie błękitnoszare jak jej. To był bezlitosny, niewzruszony granat północnego nieba.

Twardym spojrzeniem przykuł ją do balkonowej posadzki.

Targnęła nią fala mdłości.

Czy zawsze miał tak wyraźnie zarysowaną szczękę? I ten dołek pośrodku podbródka?

Ciemne brwi wygięły się w łuk.

Thea miała spocone dłonie, a jej serce biło jak młot.

– Ach, jesteś, Szeherezado – powiedział z lekkim uśmiechem. – Zastanawiałem się, kiedy spełnisz swoją groźbę.

„Żadnych chichotów”, usłyszała Thea słowa matki.

Ukradkiem wytarła dłonie o spódnicę.

– Tak, oto jestem, mości księżę – odparła rażno. – I ty jesteś. Jestem ja i jesteś ty... Oboje jesteśmy.

Bełkotała bez sensu. Oczywiście, że bełkotała. Nie zdarzyło się dotąd, aby rozmawiała z dżentelmenem i nie wyszła na kompletną kretynkę.

Pani Renwick zmrużyła fiołkowe oczy.

– Jaką groźbę? – spytała.

– Lady Dorothea chce poszperać po moim strychu – odparł księżę. Nie wydawał się zadowolony.

Pani Renwick zamknęła wachlarz z dezaprobatą.

– A po cóż to?

– Aby odkryć zaginione obrazy – odparł.

Thea przełknęła ślinę.

„Dalej, śmiało. Dasz radę”.

– Nigdy nie zamierzałam wtrącać się do twojego życia, mości księżę – powiedziała pośpiesznie, aby zdążyć wyjaśnić sprawę, zanim sparaliżują ją nerwy. – Lecz gdy natrafiłam na *Śpiącą Wenus* na twoim strychu, nie mogłam milczeć. Warstwy lapis lazuli, którego Artemisia użyła, aby uzyskać ten szczególny odcień szafiru, musiały kosztować krocie. Dzieło zapewne przeznaczone było dla zamożnego mecenasa i jest naprawdę rzadkim przykładem...

– Boginie – wtrącił Osborne, a jego kształtna górna warga wygięła się w leniwym uśmiechu. – Jestem wielbicielem bogiń.

Pani Renwick wydeła usta, albowiem w tej chwili księżę nie zwracał dostatecznej uwagi na jej niebiańskie wdzięki. Ponownie pacnęła go wachlarzem.

– Zaiste, Osborne, mówisz niesłychane, oburzające wręcz rzeczy.

Pominięcie tytułu książęcego było wyrazem zażyłości i jasnym ostrzeżeniem wysłanym Thei, aby zrezygnowała z kłusownictwa w rewirze innej kobiety.

Nie miała powodów do niepokoju. Thea nie stanowiła najmniejszego zagrożenia.

Księżę wyciągnął dłoń w rękawicze.

– Zatańczmy, a ty w tym czasie opowiesz mi wszystko o tej Wenus – zaproponował.

Co? Nie mówiła nic o tańcach.

Z oczu pani Renwick wyzierał czysty jad.

Ręka Thei zrobiła coś osobliwego, jakby żyła własnym życiem. Palce wsunęły się w książęcą dłoń.

Bo granatowe oczy ją zahipnotyzowały.

Bo ten uwodzicielski uśmiech był potężnym orężem, a ona miała bronić Rzymu przed Wizygotami uzbrojona tylko w drewniany mieczyk.

Bo miłe uczucie bycia trzymaną za rękę przeważało nad zszarganymi nerwami.

A potem, całkiem znienacka, znaleźli się na parkiecie.

Objął ją w tali, rozczapierzywszy palce, drugą dłonią wciąż ściskając jej dłoń.

Jedno szybkie kiwnięcie głową w stronę orkiestry i rozbrzmiały pierwsze tony walca. Zataczali kręgi, aż wreszcie przesunęli się na środek parkietu, a wtedy inne pary rozmyły się na granicy jej pola widzenia jak migotliwe gwiazdy na niebie namalowanym przez Michała Anioła.

Miała wrażenie, że tańczy z wichrem.

Skrzypce przyspieszyły, zmuszając Theę do obrotów, a potem do podskoków, aby nadażyć za księciem, wciąż narzucającym forsowne tempo.

Orkiestra spełniała jego oczekiwania.

Cały świat był na jego skinienie. Jakie to irytujące!

– Niełatwo cię zniechęcić, prawda, panno Dorotheo?

– Nie mogę... nie mogę mówić, bo obracasz mną tak szybko – wysapała.

Była to święta prawda. Ponadto potrzebowała czasu na uporządkowanie myśli.

Nie spodziewała się, że będzie musiała wygłaszać swój apel, tkwiąc w jego silnych ramionach.

Zwolnił kroku, a skrzypkowie odetchnęli z ulgą.

Thea nabrała powietrza w płuca. Jeszcze nie utonęła.

– Chodzi o te obrazy, mości księżę.

– Tak, opowiedz mi więcej. Ta Wenus... Czy ona – powieki opadły na ciemne źrenice – jest naga?

Thea zamrugwała.

– Jest okryta... częściowo... przezroczystą draperią.

– Przezroczystą. – Spojrzeniem spod powiek ogarnął całe jej ciało i skupił się na staniku. – Lubię przezroczystość – skwitował.

Objął ją mocniej w talii, przygarniając do siebie, aż biustem prawie ocierała się o jego klatkę piersiową. W reakcji na ten kontakt poczuła mrowienie w całym ciele.

Doskonale wiedział, jak na nią oddziałuje, o czym wymownie świadczył wilczy uśmiech na jego twarzy. Tańczył wspaniale, prowadził ją władczo. Nie musiała już martwić się, że zrobi coś katastrofalnego. Nie pozwoliłby jej się potknąć o własną spódnicę.

Zadrzała, czując, że jest zdana na jego łaskę i niełaskę.

Oczywiście chciał, aby wiedziała, że to on niepodzielnie panuje nad sytuacją.

Całą sobą chciała się poddać.

Lecz nagle rozpaczliwie zapragnęła ukryć się za listem. Żałowała, że nie ma wielu godzin do dyspozycji na ułożenie idealnej, inteligentnej odpowiedzi na jego skandaliczne aluzje.

A najbardziej pragnęła, żeby nie patrzył na nią w ten sposób. Jakby była jedyną kobietą na tej sali.

Nie wolno pozwolić, żeby ją rozkojarzył.

– Mogę prosić o chwilę powagi, wasza księżęca mość? Wierzę, że na poddaszu twojej rezydencji jest zaginiony obraz wielkiej wartości.

– Och, daj spokój, przecież nie dbasz o sztukę. Mówmy ze sobą szczerze, dobrze?

– Jestem całkowicie szczerą. Po co inaczej miałabym zajmować ci czas?

– Istotnie, po co?

Sarkastyczny ton tego pytania zaniepokoił Theę. Co Osborne miał na myśli?

I nagle do niej dotarło. Oczywiście. Jaka z niej idiotka. Sądził, że to kolejne podchody małżeńskie.

Zniesmaczona wyprostowała się.

– Zapewniam cię, mości księżę, że doprowadzenie cię do ołtarza to ostatnia rzecz, o jakiej myślę.

Wypielęgnowane włosy zalśniły w blasku świec. Pochylił głowę i musnął nosem jej policzek. Przez jedną szaloną ulotną chwilę myślała, że zamierza ją pocałować, lecz zmienił kurs i przyłożył usta do jej ucha.

– Czyżby? – spytał ochrypłym szeptem.

– Jak najbardziej. – Skinęła stanowczo głową. – Naprawdę wierzę, że gdybyś udał się do Balfry House i zobaczył obrazy na własne oczy, uświadomiłbyś sobie wartość swojej kolekcji.

Cień przemknął po jego twarzy, wysysając światło z oczu, a usta ułożyły się w prostą linię.

– Moja noga nigdy więcej tam nie postanie – stwierdził. – Wybij sobie tę myśl ze swojej

ślicznej główki.

Uważał, że ma śliczną głowę? Rumieńce zakwitły na jej policzkach.

– I naprawdę masz obsesję na punkcie dawnych mistrzów? Zauważyłem wcześniej, że patrzyłaś na tego Tycjana. – Podniósł oczy na obraz. – Nigdy nie wydawał mi się wartościowym dziełem. Potwór nie jest dostatecznie przerażający. Gęba jak u gryzonia.

Thea próbowała zachować powagę.

– Istotnie, to nie jest jego najlepszy obraz – przyznała. – Ale ja myślałam o koralu, na którym stoi Andromeda. O jego symbolice. – Widząc jego pytające spojrzenie, ciągnęła: – Odcięta głowa Meduzy wciąż miała moc obracania żywych roślin w koralowce. Biedna Meduza. Zawsze było mi jej trochę żal. Ma taką okropną reputację.

– No cóż, dama, która zamienia mężczyzn w kamień, nie może cieszyć się popularnością – zakpił. – Oczywiście wyznanie, że czytało się Owidiusza, może skończyć się tym samym.

– Ha! W czytaniu Owidiusza nie ma nic złego – odrzekła.

– Nie powiedziałem, że jest coś złego. Niektórzy panowie uznają inteligentne panny za całkiem... pobudzające istoty.

Utkwił w niej płomienne spojrzenie, aż poczuła ogień w brzuchu i miała wrażenie, że stopi się od niego jak świeca.

Kciukiem kreślił kółka u nasady jej pleców.

Na moment zapomniała o swojej misji.

Zapomniała o wszystkich balach, na których dotąd była.

Zapomniała o upokorzeniach. O katastrofach.

Wystarczył jej ten jeden walc.

Jeden idealny walc.

W ramionach najprzystojniejszego mężczyzny na tej sali balowej. I właśnie wtedy Thea popełniła drugi już ogromny błąd tego wieczoru.

Zamknęła oczy... i poddała się tej chwili.

*

Wyglądała niewinnie jak łania.

Tylko że Dalton wiedział, co w trawie piszczy.

Wiedział, że ta młoda kobieta próbowała podstępem skłonić jego najlepszego przyjaciela Jamesa, księcia Harland, do małżeństwa. Wykorzystując do tego jako przynętę swoją przyrodną siostrę Charlene.

To było naprawdę niesamowite, jak bardzo lady Dorothea przypominała Charlene, nieślubną córkę swojego ojca, kobietę, która poślubiła Jamesa i przemieniła go z nieogolonego prostaka w dość szanowanego posła do parlamentu oraz kochającego męża i ojca.

Miały taką samą porcelanową cerę i złociste włosy.

Chociaż z bliska widać było, że obfite loki lady Dorothei mają lekko miedziany odcień. Pomarańczowa marmolada na posmarowanych masłem gorących bułeczkach.

Oczy nieco bardziej niebieskie niż szare, lecz podobnie szeroko osadzone w identycznej owalnej twarzy zakończonej szpiczastym podbródkiem.

Była filigranową kobietką, czubkiem głowy ledwo dosięgała podbródka Daltona. Sprawiała, że czuł się jak gargantuiczny niezgrabiasz, jakby swoimi łapskami mógł zmiażdżyć delikatne kości jej palców.

Pogładził kciukiem jędrne ciało obleczone gładką satyną, a wtedy pąsowy rumieniec rozlał się po jej twarzy aż po szyję, rozkwitając na policzkach dwiema okrągłymi plamami.

Nie pamiętał, jak rumieniła się jej przyrodnia siostra, lecz w tym dziewiczym płonieniu się i burzy loków dostrzegł starannie obmyśloną strategię.

Wszystko wskazywało na to, że ona i jej podstępna matka uznały, że Dalton będzie nagrodą pocieszenia za przegraną w walce o Jamesa.

Te listy o obrazach na poddaszu. Czy ona naprawdę myślała, że on da się na to nabrać?

Knuła, aby usidlić drugiego księcia.

„Nic z tego, moja panno”.

Dalton z zasady nie tańczył z niezamężnymi damami, bo wtedy w ich matki wstępowała nadzieja, a on przecież był nieuleczalnym przypadkiem.

Małżeństwo nie należało do jego życiowych zamierzeń.

I cóż miał począć dzisiejszego wieczoru? Sam też prowadził w tej chwili starannie obmyśloną grę. Aby osiągnąć swój cel.

Nie mógł pozwolić, żeby natrętne panny na wydaniu biegały za nim po całym Londynie, grzebały w przeszłości jego rodu, a jednak w tym jednym szczególnym przypadku postanowił uczynić wyjątek. Uprzedzić atak, przejąć inicjatywę.

Zatańczyć z tą hrabianką.

I w ten sposób zrehabilitować ją w towarzystwie.

A potem wycofać się i nacieszyć oko fajerwerkami, upiekłszy dwie pieczenie na jednym ogniu.

Lady Dorothea nie będzie miała czasu go prześladować, bo sama będzie musiała opędzać się od zalotników.

Socjeta zaś będzie nazbyt zajęta plotkami o pierwszym walcu i jego następstwach, aby zastanawiać się, gdzie tego wieczoru podział się Dalton.

Wtuliła się głębiej w jego objęcia, a wtedy jedwabiste loki połaskotały go w podbródek.

„Otóż to, łanio, kołysz się w moich ramionach”.

Pachniała dziką różą. Kobieco i zmysłowo.

Gdyby polizał ją teraz w szyję, poczułby smak śmietany, wanilii z Madagaskaru.

Z jej ust uszło niegłośnie, ale głębokie westchnienie, aż Dalton poczuł ogień w pachwinach.

„Och, chytra z niej sztuka. Ale ja jestem chytrzejszy”.

– Nasz taniec dobiega końca, jedna jedyna panno Dorotheo – szepnął.

Gęste czarne rzęsy zatrzepotały nad jeziorami jej oczu.

– Tak szybko?

– Niestety, wszystko dobre kiedyś się kończy – odparł.

Na jej słodko rzeźbionych usteczkach zamajaczył uśmiech.

– A musi tak być? – spytała.

– Obawiam się, że tak – mówił niskim głosem i uśmiechał się prowokacyjnie. Pragnął, aby gapie zastanawiali się, jakież to czułe słówka szepcze jej do ucha. – Moja panno, niech będzie mi wolno coś wyjaśnić, zanim walc się skończy.

Wbiła w niego czujne spojrzenie i lekko spięła szczupłe ramiona.

– A cóż to jest, wasza książęca mość?

– Koniec z nieproszonymi wizytami w moim majątku i grzebaniem po strychach – powiedział. – Przejrzałem twoją grę i wiem, że nie szukasz starożytnych bogiń namalowanych na płótnach. Polujesz na całkiem współczesnego księcia.

Jęknęła.

– Jesteś w srogim błę...

– Ja tym księciem nie będę – odparł, przerywając jej w pół słowa. – Nie będę, powtarzam.

Musisz znaleźć sobie innego para, który byłby dla ciebie odpowiedni.

– Jak... jak to?

Wpatrywała się w niego, a z jej oczu wycierała panika.

– Rozejrzyj się – rzekł. – Wszyscy się na nas gapią. Pierwszy walc sezonu, a ja wybrałem ciebie.

Zerknęła szybko dokoła.

– Nie, nie – zaprzeczyła. – To nie było moją intencją.

Pokręciła gwałtownie głową, aż jej jedwabiste loki otarły się o jego podbródek.

Muzyka ucichła. Dalton zrobił krok do tyłu.

Objęła się ramionami, a oczy miała przygaste jak matowe szkło.

Poczuł drgnienie w swoim wnętrzu, coś podobnego do poczucia winy.

Dość tego. Niebawem utalentowana z niej aktorka.

– Zrehabilitowałem cię w towarzystwie – powiedział i się uklonił. – Życzę powodzenia.

Zimna czujność zmroziła jej twarz.

– Nikt ani nic nie może mnie zrehabilitować. Nawet ty, mości książę.

– Gotowa jesteś postawić o to zakład?

Dalton słyszał ze skłonności do zawierania iście skandalicznych zakładów. Odzyskana popularność lady Dorothei byłaby doskonałym zapisem w księgach bukmacherskich. Zapewniłaby chwilową rozrywkę wszystkim znudzonym szlachcicom.

Wykluczyłyby podejrzenia, że Dalton jest kimkolwiek innym niż jednym z ich gatunku – łajdakiem bez obowiązków, za to z zamiłowaniem do skandalu.

Odprowadził dziewczynę do jej matki, hrabiny Desmond, w której towarzystwie miał wątpliwą przyjemność spędzić kilka dni poprzedniego lata, kiedy Harland uganiał się za kandydatką na żonę. Hrabina była tak zimną i wyrachowaną kobietą, jakich mało.

– Ależ, mości książę, nie szukam męża – szepnęła gorączkowo lady Dorothea, próbując skłonić go do spowolnienia kroku. – Pragnęłam tylko, abyś pozwolił mi obejrzeć obrazy Artemisii.

Matrony szeptały w ciasnych kręgach, panowie krążyli dokoła jak rekiny, które zwęszyły świeżą krew, panny na wydaniu rzucały zazdrosne spojrzenia.

– To wszystko zrujnuje moje plany – rzekła, zaciskając palce na jego ramieniu. – Dla mnie to istne piekło. Musisz im pokazać, że tylko się ze mną zabawiłeś. Możesz powiedzieć przyjacielom, że tańczyłeś ze mną, aby wygrać zakład.

Jasnoniebieskie oczy hrabiny Desmond zapłonęły zwycięsko.

– Wasza książęca mość – odezwała się, skinąwszy arystokratycznie głową.

Dalton uklonił się głęboko. Następnie nachylił się do lady Dorothei, opierając się uwodzicielskiemu słodko-gorzkiemu zapachowi róż.

– A zatem witaj w piekle – szepnął.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 2

Brama do piekła była obita zielonym sukniem i zawsze znajdowała się na końcu wąskiego korytarza.

Wewnątrz słychać było przedśmiertne grzechotanie kości, skrobanie drewna grabiącego wełnę, rozpaczliwe okrzyki i ostre śmiechy. W najbardziej ekskluzywnym klubie i najniższym kręgu piekieł rozbrzmiewały te same odgłosy.

W Londynie działały niezliczone instytucje bukmacherskie. Niektóre upadały, inne pojawiały się z dnia na dzień. Dalton znał wszystkie miejsca, wszystkie zakłady, wszystkie stawki.

Jego obowiązkiem było odnotowywać nazwisko każdego klienta – arystokraty, duchownego, sędziego, radnego czy sprzedawcy ryb – który szukał drzwi obitych zielonym sukniem i łaknął tego, co kryło się za nimi.

Jako książę Osborne miał prawo wstępu do ekskluzywnych prywatnych klubów, w których trwonili przeklętą fortunę odziedziczoną po ojcu i potajemnie zbierał informacje.

Lecz tego wieczoru stał się niewidzialny. Włosy poczercił sadzą. Na szyi miał wystrzępiony halsztuk, który służył za maskę, gdy naciągnął go na twarz. Do tego złachany płaszcz.

Nauczył się garbić ramiona. Chodzić krokiem lęklivego psa, którego kopano, gdy był szczeniakiem.

Jeśli w ogóle się odzywał, to mówił z tym samym śpiewnym irlandzkim akcentem co jego służący Conall.

Obaj czaili się teraz jako dwaj obwiesie w ciemnej niszy drzwi, skąd mieli świetny widok na Karmazyn, jaskinię hazardu przy Piccadilly. Dzięki temu mogli zobaczyć wychodzącego lorda Trenta, zanim on zobaczy ich.

Czekali w milczeniu.

Zmarznięty Dalton tupał nogami. Wiosna wciąż ociągała się z nadejściem. Con kopnął we framugę drzwi.

– Dobrze się bawiłeś na balu, książę?

Dalton mruknął coś niezobowiązująco.

– Widziałem, że tańczyłeś z tą wiotką damulką – ciągnął służący. – Raczej nie w twoim typie.

Owszem, nie w jego typie. Wolał obyte w świecie posągowe wdowy i rozczarowane żony o krągłych kształtach stworzonych do przygód w łóżku.

Lady Dorothea była filigranowa, niewinna i zupełnie obca w świecie skłębionej pościeli.

– To ona napisała do mnie te wszystkie listy w sprawie obrazów w Balfry House – wyjaśnił. – I to ona próbowała złapać Harlanda w sidła. Ale nie będzie mi się już naprzykrzać.

– A co się stało?

– Potańczyłem z nią sobie i w ten sposób zrehabilitowałem ją w towarzystwie.

Con prychnął.

– Sprytny ruch – przyznał. – Na pewno nie chciałeś jej zakosztować?

– Ależ skąd. To była tylko sprytna zagrywka z mojej strony. Ona teraz opędza się od absztyfikantów.

O następny taniec poprosił ją książę Foxford. Widok leciwego para dotykającego Dorothei przyprawił Daltona o mdłości.

W swych lepkich palcach Foxford trzymał prawo własności do najbardziej nieprzyzwoitych przybytków w Londynie. Salonów gier. Burdeli. Mordowni.

W Daltonie znów drgnęło poczucie winy, gdy przypomniał sobie oszołomiony wyraz twarzy Dorothei, kiedy Foxford ucałował ją za rękę. Wyglądała na naprawdę przerażoną, bo dokoła zaczęło się tłoczyć stado rozochoconych dżentelmenów.

„Mam z głowy ten kłopot”.

Zapis w księdze zakładów, tylko tym była teraz dla niego lady Dorothea.

„Księżę Osborne stawia pięćset funtów na to, że w ciągu najbliższych dwóch tygodni panna Dorothea Beaumont będzie miała dziesięć propozycji zamążpójścia”.

Con kopnął spróchniałe drewno czubkiem buta.

– Zatem taniec z drobną panienką nie sprawił ci przyjemności? – spytał.

Umysł Daltona zalało wspomnienie zapachu róż i cichych westchnień.

– Żadnej – skłamał. – To była tylko zagrywka taktyczna, nic więcej.

– Hm. – Służący miał zadziwiający talent do wyrażania swego niedowierzania i sarkazmu za pomocą mruknięć. – Dawno temu każdy taniec rezerwowałem dla jednej dziewczyny. No ale nigdy mnie o to nie pytałeś.

Przez te wszystkie lata, gdy żyli razem jako pan i sługa, Dalton ani razu nie słyszał, żeby Con wspomniawszy swoją przeszłość. Sam nigdy nie ciągnął go za język. Uznał, że starszy mężczyzna nie bez powodu nie mówi o Irlandii ani swojej rodzinie.

Con to był... Con. Zawsze obecny, jak deszcz i wiatr. Mężczyzna, którego stary książę najął do opieki nad synem w dzieciństwie, a potem, gdy Dalton nie potrzebował już stróża, jego jedyny służący i jedyny zaufany człowiek.

– Miała oczy koloru świeżo zaoranej darni, ta Bronagh. Sprawiała, że chciało się zostać uczciwym rolnikiem. Tylko jeden szkopał. Przyobiecano ją mojemu starszemu bratu Seamusowi. – Con splunął na ulicę. – Nawet sztorm by go nie usunął z mojej drogi, przekłętego drania.

W półmroku Dalton nie widział wyraźnie twarzy Cona, słyszał jednak nietypowy ochrypły ton w jego głosie.

– Czy to dlatego przyjąłeś propozycję mojego ojca, aby wyjechać z Irlandii?

– Musiałem wyjechać, inaczej ukatrupiłbym własnego brata i trafił na szafot, a Bronagh zostałaby sama.

Con zamilkł na długą chwilę.

Dalton czekał. Umiał czekać. Cisza rozwiązywała ludziom język. Tego właśnie nauczył się od swojego sługi.

– Nie miałem okazji pożegnać brązowookiej Bronagh. – Irlandczyk oparł się o mur, wpatrując się w Karmazyn po drugiej stronie ulicy. – Słyszałem, że Seamusowi zmarło się rok temu – mruknął.

– Powinieneś zatem odwiedzić ojczyznę – powiedział Dalton. Starł się nie okazać emocji, wiedział bowiem, że Con poczułby się nieswojo.

– Ech, nie. – Irlandczyk pociągnął się za długą rudą brodę poprzetykaną siwizną. – Bronagh nie chciałaby mnie widzieć. Po tych wszystkich latach. Myśli, że ją porzuciłem. Tylko na mnie popatrz. Siwe włosy. Brzuch mi rośnie. – Prychnął. – Nie jestem już tym przystojnym nicponiem, który ją zostawił tamtego letniego dnia prawie dwadzieścia lat temu.

Była to chyba najdłuższa wypowiedź, jaką Dalton kiedykolwiek usłyszał z jego ust. Znakiem firmowym tego mężczyzny były raczej soczyste przekleństwa, a nie zwierzenia.

Księżę przechylił głowę w bok.

– Widziałem ładniejszych, fakt.

– Rzecz w tym, że tobie też lat nie ubywa – powiedział Con.

– Przecież wiesz, że nie mogę się ożenić.

Istniała groźba zdemaskowania jego sekretnej tożsamości. Gdyby tak się stało, żona stałaby się celem mścicieli.

Przecesał włosy ręką. Miał daleko większe problemy niż zastanawianie się nad ewentualnym małżeństwem.

Ulicą nadeszło dwóch młokosów, podpitych i niepomnych niebezpieczeństw. Mogli łatwo stracić zawartość swoich kieszeni – na ulicach Piccadilly lub w jaskini hazardu. Lecz tego wieczoru Dalton nie mógł przystawić im noża do gardeł i ostrzec, że jeśli doprowadzą swoje rodziny do nędzy, odpowiadać będą nie tylko przed Bogiem, ale i przed nim.

Dwaj jegomoście zniknęli za rogiem, gdzie czekał powóz Trenta. Stał w odległości zaledwie kilku jardów, ale woźnica nie widział wejścia, tylko otulony paltem spał smacznie na koźle.

Prawie każdej nocy Dalton przychodził incognito do jaskiń hazardu, by ratować mężczyzn przed popełnianiem błędów, które doprowadziłyby ich rodziny do ruiny.

Właściciele tych przybytków i klubów nienawidzili go za to i starali się go zdemaskować, rozpuszczając w gazetach kłamstwa na jego temat.

Autorzy tandetnych powieści i pamfletów obwołali go Piekielnikiem. Pisali fantazyjne historyjki o irlandzkim żołdaku, który przybył do Londynu, by zemścić się na szlachcicach za odebranie mu ziemi w ojczyźnie.

Gazety w jednym się nie myliły. Owszem, Dalton łaknął zemsty i dążył do wymierzenia sprawiedliwości.

Zemsty na człowieku, który zabił jego młodszego brata Aleca.

Wymierzenia sprawiedliwości w imieniu bezsilnych ofiar tych hipokrytów i czortów, którzy rządzą światem hazardu.

A światem hazardu rządzą łajdacy, bezlitośni i zapredani mamonie jak jego ojciec, który posiadał pakiet kontrolny w ekskluzywnym klubie będącym właściwie salonem gier. Ojciec i jego wspólnicy zrujnowali życie niezliczonym ludziom, kradnąc spadki, odbierając majątki. Droga, którą kroczyli opętani nienasyconą żądzą władzy i bogactwa, usłana była bankructwami.

Alec zginął za grzechy swojego ojca. Został zepchnięty ze skalistego urwiska i przepadł na zawsze w morzu, bo Dalton zostawił go bez opieki na pięć minut. Dalton miał wtedy dziesięć lat, Alec tylko pięć.

Matka była zdruzgotana śmiercią ukochanego syna, „małego Irlandczyka” o kasztanowych włosach i oczach zielonych jak liście. Dalton był szatynem, w dodatku miał ciemnoniebieskie oczy jej znienawidzonego męża.

Do osiemnastego roku życia uważał śmierć młodszego brata za tragiczny wypadek. Przecież Alec poślizgnął się i spadł z klifu. Podczas studiów w Cambridge Dalton był tragicznym poetą, nawiedzany przez obraz brata spadającego w morską toń.

„Wracaj do domu, Alec. Nie idź za mną”.

Oddawał się picu kiepskiego wina i układaniu jeszcze bardziej kiepskich kupletów.

Jego ojciec położył temu kres, bo pewnej nocy, zataczając się od wypitych trunków, wyjawiał synowi mroczny sekret: „Twój brat nie spadł do zatoki, więc przestań pisać te sentymentalne androny. Ktoś go zepchnął, aby wziąć na mnie odwet”.

Słowa były niewyraźne z powodu bełkotu, lecz ich sens dobitny jak podzwonne. Następnie stary książę wcisnął synowi do rąk listę. Był to spis nazwisk wszystkich ludzi, którym kiedykolwiek skradł majątek, których oszukał lub zdradził.

Tyle nazwisk.

Lord Douglas Trent. Zakreślone dwukrotnie.

– Nie spieszy się – mruknął Con. – Chętnie położyłbym się już do łóżka, przykrył kołderką.

– Chyba nie mięknieś, co?

Irlandczyk westchnął ciężko.

– Jestem za stary na takie przygody.

Dalton nigdy dotąd nie słyszał takich słów z jego ust.

– Burns to ostatnie nazwisko na liście, Con. Jeśli Trent nie wie, gdzie go znaleźć, utknijemy w miejscu.

W jego sercu zawrzała gniew. Dziesięć lat. Dziesięć sakramenckich lat polowania na zabójcę, skreślenia kolejnych nazwisk z listy. A jednak Dalton był wciąż tak samo daleko od osiągnięcia celu jak pierwszego dnia.

Dotąd Trent z powodzeniem unikał swego prześladowcy, nigdy bowiem nie przebywał w jednym mieście na tyle długo, aby zostawić wyraźny trop. Dalton już dawno wykluczył go z grona podejrzanych o morderstwo. Lecz najprawdopodobniej mężczyzna znał tożsamość człowieka, którego nazwisko figurowało na liście jako ostatnie: Daniel Burns.

Dalton od lat bez powodzenia szukał jakiegokolwiek Burnsa, który byłby powiązany z jego ojcem.

– Może zabójcy nie ma na liście – zasugerował Con. – Trzeba by podejść do tego od innej strony, ot co.

Drzwi do Karmazynu otworzyły się i Irlandczyk błyskawicznie usunął się w cień.

Dalton zareagował z wprawą. Kilkoma skokami dopadł Trenta i chwycił go za kołnierz. Baron próbował przełamać uchwyt na szyi, lecz palcami drugiej ręki książę zacisnął mu nos, odcinając dopływ powietrza, a następnie pociągnął go w kierunku alei na tyłach klubu.

Con miał stać u wylotu, aby Dalton mógł działać spokojnie.

W ciemnym i cichym zaułku książę przycisnął Trenta twarzą do muru, wykręcając mu rękę za plecami i przykładając nóż do szyi.

– Kim jest Daniel Burns? – spytał bez zbędnych ceregieli z wyraźnym irlandzkim akcentem, którego nauczył się od sługi.

Najpierw wydobędzie potrzebne informacje, potem postanowi, co zrobić z baronem. Czasem zabierał takiemu osobnikowi całą wygraną. Po czym odsyłał pieniądze rodzinie nieszczęśnika, który je przepuścił.

– Kto pyta? – odparł Trent.

Próbował się wyrwać z uścisku, lecz Dalton bez trudu go obezwładnił.

– Nie twoja rzecz. Gadaj, kim jest Daniel Burns, albo poderżnę ci gardło, i to powolutku.

– Niejednemu tak na nazwisko.

Dalton docisnął ostrze, aż pocięła strużka krwi.

– Ejże, spokojnie, człowieku! – krzyknął lord. – Znałem jednego Burnsa, był odźwiernym w burdelu w Cheapside. Od pięciu lat gryzie ziemię. Jedna z dziewcząt zastrzeliła go z jego własnego pistoletu. Kędziorka ją zwali. Apetyczna z niej była istotka.

Z biegiem lat Dalton nauczył się rozpoznawać kłamstwo. Słowa Trenta brzmiały prawdziwie. Odźwierny? Nic dziwnego, że nie można było go odnaleźć. Dalton szukał mordercy pośród ludzi wpływowych i majątnych.

Pociemniało mu przed oczami.

Ostatnie nazwisko na liście ojca. A jednak kolejna ślepa uliczka.

Był tak rozkojarzony, że tylko lata ćwiczeń uchroniły go od śmierci, gdy Trent zaatakował.

Długie godziny spędzone na opanowywaniu rozmaitych chwytów i wykonywaniu uników.

Cios łokciem w nadgarstek i wytracony z ręki nóż z brzękiem uderzył o bruk.

Smuga ciepła. Wilgoć na policzku.

Błysk metalu w poświacie księżycy.

Trent też miał nóż.

Ostrze przecięło skórę.

Baron cofnął się o krok.

– To po to, abym cię rozpoznał, kiedy spotkamy się następnym razem, Piekielniku – warknął.

Dalton wsparł się na nodze wysuniętej do tyłu, po czym zaatakował z impetem, wprowadzając potężny cios prawą ręką.

Trent runął bezwładnie, waląc potylicą o bruk.

Księżę zachwiał się i uchwycił muru, oddychając ciężko. Zszokowany i ranny.

Nie docenił przeciwnika. Nigdy nie popełnił takiego błędu, odkąd jako szczeniak zaczął się uczyć zasad walki wręcz.

– Ani chybi zostanie szrama – mruknął Con, gdy już oddalili się na bezpieczną odległość w drodze do domu.

– Wykrwawiłbym się jak świnia, gdybym w ostatniej sekundzie nie zrobił uniku – odparł Dalton. – Celował w tętnicę szyjną.

Irlandczyk zacisnął olbrzymie dłonie w pięści.

– Trzeba mi było iść z tobą – mruknął.

– To moja wojna.

– Ale jestem twoim najemnym aniołem stróżem.

– Mam nadzieję, bo doprawdy lokaj z ciebie marny.

Con prychnął rozbawiony.

– A z ciebie niewdzięczny gamoń – odciął się natychmiast.

Dalton uśmiechnął się i zaraz skrzywił, bo błyskawica bólu przecięła mu żuchwę. Takie rozmowy były ich rytuałem – wisielczy humor pomagał pozostać przy zdrowych zmysłach.

Przepadli wśród cieni, doskonale wiedząc, których zaułków należy unikać. Za każdym razem obierali inną trasę. Prawdowością ich działania była nieprzewidywalność.

Bestie wśród bestii.

Przygarbieni, w komitywie z mrokiem i cieniem.

W drodze powrotnej do głowy Daltona wkradły się myśli o panie Dorothei. Zapewne spała w swoim nieskalanym łóżu. Nazajutrz bulwarówki obwołają ją pierwszą panną sezonu, gąsienicą przedzierzgniętą w motyla.

Wyświadczył jej przysługę.

Niepomiernie zwiększył jej szanse na zamążpójście.

Zasługiwała na kogoś znacznie lepszego niż łotr pokroju Daltona.

Nie dla niego pszeniczny jedwab jej włosów.

Słodka woń róż.

Dla niego chłód, który kąsał wściekle jak wilk zapędzony w kozi róg. Gardziel drzwi prowadzących do mrocznych spelunek, w których cuchnęło nieświeżymi oddechami i rozlanym tanim dżinem, w których było ciemno jak w brzuszysku lewiatana.

Jedna pomyłka w rachubach i nóż ciął do krwi.

„Trzeba się zakraść do domu jak kundel. Tylnym wejściem. I nie broczyć krwią na dywan”.

Los nie pozostawiał wątpliwości co do jednego: miłość trwała krótko – niezależnie od tego, czy konała powoli, czy gasła od jednego potężnego ciosu.

Bracia spadali z urwisk do morza. Matki przykrywał stos wieńców pogrzebowych.

A rozmarzone niebieskoszare oczy nie mogły zagłuszyć jego bólu bardziej niż butelka brandy.

Rozdział 3

„Nikt ani nic nie może mnie zrehabilitować. Nawet ty, mości księżę”.

„Gotowa jesteś postawić o to zakład?”

Thea przegrałaby pieniądze. Nazajutrz po balu dom Desmondów został wypełniony różami.

Ogromnymi bukietami szklarniowych róż. Czerwone, białe, żółte, zajmowały każdą wolną powierzchnię, będąc wymownym świadectwem, że po czterech nieudanych sezonach Thea odniosła nagły sukces.

A wszystko dzięki jednemu walcowi przetańczonemu z aroganckim księciem, który okazał się manipulatorem.

Zabawił się nią jak lew sarną, poprzestawiał jej życie, aby odpowiadało jego celom. A ona, naiwna istota na rozdygotanych nogach, poddała się jego powabowi, zapominając o ostrych jak brzytwa kłach, którymi rozszarpał jej życiowe plany.

Szkoda, że nie urządziła sceny. Nie potknęła się o skraj sukni. Nie nastąpiła mu na stopę. Nie zrobiła czegoś katastrofalnego, jak zwykle.

Po walcu istotnie rozpełtało się piekło.

Ciarki przebiegły jej po plecach na widok rozbłysłych chucią oczu leciwego księcia Foxford, gdy prosił ją do tańca.

Bycie nieudacznicą miało swoje zalety, a jedną z nich było to, że mężczyźni nigdy nie patrzyli na nią w ten sposób. Jakby stała na wystawie sklepowej, a oni rozważali jej nabycie.

„Rękawiczki sobie kupię czy dziewczynę?”

Stary par nie dał jej nawet możliwości odmowy, pociągnął ją bowiem natychmiast za sobą tak szybko, że musiała podbiec, aby nadążyć. Dwadzieścia lat układowego wychowania sprawiło, że nie stawiała oporu.

– Gdzie mam je umieścić, milady?

W sieni zapewne pojawił się lokaj. Thea usłyszała jego głos, nie mogła go jednak dojrzeć w gęstwinie tych cholernych kwiatów.

„Dama nigdy nie przeklina. Nigdy. Nie mówi nawet »psiakość«. Ani »psiamać«. Na pewno nie mówi »niech to szlag«”.

Niech to wszystko szlag trafi! Nie chciała być dłużej damą. I nie chciała oglądać tych kwiatów, będących wyrazem prawdziwych męskich intencji.

– Nigdzie, John – odparła. – Nie życzę ich sobie.

Zza ogromnego bukietu żółtych róż wyjrzała zaskoczona młoda twarz o uniesionych brwiach.

– Za przeproszeniem, milady?

Thea machnęła ręką.

– Zabierz wszystkie – poleciała.

Nie chciała dostawać róż, nie chciała mieć powodzenia u mężczyzn. W istocie te kwiaty powinny trafić do księcia Osborne, bo to jemu zawdzięczała swoją nagłą popularność.

O, świetny pomysł.

– John, życzę sobie, aby te wszystkie aranżacje kwiatowe, wszystkie co do jednej, zostały dostarczone do rezydencji księcia Osborne. Zdaje się, że wciąż mieszka w swoich kawalerskich apartamentach, a nie w Osborne Court.

Ha, to go nauczy rozumu. Rehabilitacja? Proszę bardzo. Ciekawe, czy spodoba mu się, że

z jego domu zrobi się giełda kwiatowa.

– Przepraszam, milady, ale czy dobrze usłyszałem? Do rezydencji księcia Osborne? – spytał John, a w jego głosie zabrzmiał typowy nabożny respekt, z jakim młodzi mężczyźni wymawiają nazwiska swoich bohaterów.

– Zgadza się – odparła Thea. – Te róże były przeznaczone dla niego, nie dla mnie.

– Na pewno, milady?

– Na pewno. I nie ma tutaj zostać ani jeden płatek!

– Jak pani rozkaże.

Lokaj wytaszczył żółte róże.

– Zaczekaj! – zawołała. – Zaczekaj chwilę, dołączę bilecik!

Z jednego z bukietów porwała kremową karteczkę o połączonych brzegach.

W drodze do swoich komnat zatrzymała się nagle w reakcji na odgłosy sprzeczki dobiegające z salonu.

– Foxford!

– Marwood!

– Foxford, powiadam. Ma trzy zamki.

Thea rozpoznała daleki od słowiczego głos swojej babki, hrabiny wdowy, i serce jej zamarło. Ta wymiana zdań nie wróżyła nic dobrego.

Skoro zjawiała się babka, sytuacja była arcyповаważna. Wdowa odwiedzała rodzinę tylko w przypadku wielkich wstrząsów.

Na przykład wtedy, gdy Andrew, starszy brat Thei, przeszedł swoją spuściznę na grach hazardowych, lecz w ostatniej chwili został ocalony dzięki szczęśliwemu spotkaniu z tajemniczym Piekielnikiem, o którym rozpisywały się gazety.

Na przykład wtedy, gdy Thea przekreśliła swoje szanse na ślub z księciem Harland, wyznając mu prawdę przed ołtarzem.

I dziś.

Bo Thea dokonała czegoś niewyobrażalnego. Wreszcie, wreszcie wywarła odpowiednie wrażenie.

A to był dla niej najgorszy koszmar.

Liczyła, że znów się jej nie powiedzie. Jeszcze jeden sezon pełen nijakich występów, a potem powrót cichaczem do Irlandii, gdzie czekała upragniona błoga wolność.

Księżę Osborne wszystko zniweczył. Niech szlag trafi jego uwodzicielski uśmiech.

Thea wsunęła głowę do salonu. Nie zaskoczyło jej to, co zobaczyła. Trwała narada wojenna – hrabina wdowa siedziała naprzeciwko swojej synowej, hrabiny Desmond. Miotły w siebie nawzajem nazwiska potencjalnych mężów, jakby to były pociski w bitwie pod Waterloo.

Żadnej z nich nawet przez myśl nie przeszło, aby zapytać Theę o zdanie.

Zawsze tak było – w tej rodzinie i w całym społeczeństwie. Wszyscy poruszali się z wyćwiczoną precyzją i wypowiadali z góry przygotowane kwestie, tymczasem ona stała za kulisami i niezauważona, zignorowana przyglądała się temu przedstawieniu.

Babka miała na sobie suknię z wybornej wełny merynosa w kolorze czerni nierozjaśnionej choćby najłżejszym odcieniem innej barwy. Ciemne, zaczesane do tyłu włosy okrywał turban przystrojony rozkołysanymi czarnymi strusimi piórami.

Obok niej siedziała jej córka, Henrietta, inaczej Hen, najmłodsza siostra hrabiego i ciotka Thei.

Ojciec, hrabia Desmond, spoczął w fotelu przy oknie, a cały tułów miał zasłonięty gazetą „London Times”.

– Foxford – powtórzyła stanowczo wdowa. – To lepszy połów.

Matka Thei pokręciła głową.
– On ma prawie siedemdziesiąt lat – odparła. – Za to zębów zostało mu ledwie kilkanaście.

– Komu potrzebne zęby, skoro ma trzy zamki?

Ciotka Hen dostrzegła dziewczynę w drzwiach.

– Och, witaj, moja droga – odezwała się.

Zamachała ręką, a zawiązane na kokardę tasiemki jej czepka z białej koronki zakołysały się pod obwisłym podbródkiem.

Thea niechętnie weszła do salonu.

– Którego wolałabyś poślubić? – spytała ciotka, mrużąc szare oczy o życzliwym wejrzeniu. – Księcia Foxford czy markiza Marwood?

– Żadnego – odrzekła Thea.

– Desmond – warknęła hrabina wdowa. – Racz wyjaśnić swojej córce, że poślubi tego, którego dla niej wybierzemy.

Zza gazety dobiegała cisza.

– Desmond!

Gazeta zaszeleściła i osunęła się odrobinę.

– Eee, co mówiłaś, matko?

– Powiedz córce, że jest w błędzie.

– Moja panno – zwrócił się hrabia do Dorothei – twoja babka ma zawsze słuszość.

Gazeta wróciła na swoje miejsce.

Właśnie na to Thea mogła zawsze liczyć – na niedbałe lekceważenie własnego ojca.

– Dziękuję – syknęła wdowa i wydeła cienkie usta. – A teraz wróćmy do omawianej sprawy.

– Jest dość wcześnie – powiedziała Thea. – Wiele panien wciąż przebywa w letnich rezydencjach. Stałam się po prostu chwilową nowinką.

Płonne nadzieje.

– Brednie – skwitowała babka. – Zostałaś wybrana przez księcia Osborne do pierwszego walca sezonu. Opromienił cię sukces. Nic ci nie odbierze tego zwycięstwa. – Zmrużyła oczy. – Pojmujesz, co mówię? Nic!

– Dorothei należy się uznanie – wtrąciła hrabina Desmond nienaturalnie łagodnym tonem. – To ona wymusiła na księciu pierwszy taniec.

– Jedna z niewielu inteligentnych rzeczy, jakie w życiu zrobiła – syknęła wdowa.

– Przepraszam – odezwała się Thea. – Wciąż tu jestem. Potrafię mówić sama za siebie.

– Nie potrafisz – warknęła znowu babka i niezadowolona zmarszczyła czoło. – To właśnie przez to, że mówiłaś sama za siebie, Harland wziął nogi za pas. Zapomniałaś już?

Hrabina Desmond stężała, siedząc na skraju fotela. Nie lubiła, gdy w jej obecności wymawiano to nazwisko. Wciąż nie mogła przeboleć, że Thea była już tak blisko celu, o krok od wyjścia za mąż za księcia, a jednak zaprzepaściła wszystko kilkoma nieostrożnymi słowami.

– Jedną chwileczkę – odezwała się ciotka Hen. – Chcecie powiedzieć, że nasza mała Thea tańczyła z Osborne'em? Z tym Osborne'em? Tym o głęboko niebieskich oczach i z dołeczkiem w podbródku? Tym, co złamał tysiąc niewieścich serc i nosi nienagannie skrojone surduty?

„A bary ma jak wiking.

I niecnie pieszczotliwe dłonie”.

– To nie ma nic do rzeczy – odparła starsza hrabina, napinając nozdrza z irytacji. – Osborne nie jest celem, tylko drogą do celu. Nie śpieszy mu się do ożenku, wielokrotnie dał to do zrozumienia. Jest poza zasięgiem Dorothei z powodu jej nadwerężonej reputacji. Kto wie,

dłaczego tak naprawdę z nią zatańczył. Liczy się, że zatańczył. A my musimy natychmiast to wykorzystać.

– Co za szkoda. – Ciotka Hen cmoknęła, skutkiem czego kokarda pod brodą znów ożyła. – Przystojni książęta to rzadko spotykane stworzenia. Jak lamparty śnieżne, można by rzec. – Popatrzyła rozmarzona przez okno. – Drapieżniki przyczajone na niebotycznych ośnieżonych szczytach, w okamgnieniu niknące w zaroślach.

– Skup się, Henrietto – upomniała ją wdowa.

– Tak, matko.

Ciotka posłusznie złożyła dłonie na kolanach, lecz jednocześnie mrugnęła do Thei zachęcająco.

– Tak jak mówiłam – ciągnęła hrabina wdowa – Osborne nie jest naszym celem. Foxford natomiast wydaje się idealną partią.

– Wiem, babciu, że chcesz, abym się dobrze wydała – wtrąciła Thea, próbując mówić opanowanym tonem. – Wątpię jednak, aby stało się zadość twojej woli.

– A zatem zapewniam cię tutaj oficjalnie, że to doskonała partia. A ty wyjdiesz za męża. W tym celu będziesz odtąd mieszkała ze mną.

– Co?! – jak na komendę zakrzyknęły Thea i jej matka.

– Henrietto, proszę o harmonogram, jeśli łaska.

Ciotka podskoczyła zaskoczona.

– Gdzie tutaj jest – mruknęła. – Zaraz, zaraz, gdzie położyłam... – Zamyślona grzebała w torebce. – O, jest! – Wyciągnęła zmięty arkusz papieru. – Ojej, najwyraźniej miał starcie z makaronikami! – Skruszona popatrzyła na swoją matkę.

– Henrietto, na miłość boską! – syknęła tamta.

– Proszę, moja droga.

Ciotka podała Thei papier.

– Śniadanie o wpół do siódmej – przeczytała Thea na głos. – Nauka manier od siódmej do ósmej. Modystka od...

– Jak więc widzisz, każda sekunda twojego dnia została starannie zaplanowana – powiedziała surowym tonem hrabina wdowa. – Nie będzie czasu na powodowanie katastrof. Kiedy podniesiesz łyżkę, sama poprowadzę ją do twoich ust. Gdy pojawisz się publicznie, będę u twojego boku. A gdy Foxford ci się oświadczy, a to niechybnie się stanie, będę w pobliżu, aby być świadkiem twojego tryumfu i dopilnować, aby doszło do zaślubin.

Zrozpaczona dziewczyna pokręciła gwałtownie głową.

– Nie mam już siedemnastu lat! – krzyknęła. – Potrafię zadbać o własne sprawy. A jeśli pozwolicie mi się wypowiedzieć...

– Podjęłam już decyzję. A jak zauważył twój ojciec, ja zawsze mam rację. Pakuj się, moja panno. Leach odbierze cię jutro w południe.

– Ja naprawdę...

– Dość dyskusji! – powiedziała babka podniesionym głosem, aby powstrzymać sprzeciw wnuczki. Uniosła się groźnie z fotela. – Wszystko postanowione.

Hrabia Desmond skoczył na równe nogi i wreszcie odłożył gazetę.

– Wyjeżdżasz tak szybko, droga matko? – spytał.

– Phi. A co miałoby mnie tu dłużej zatrzymać? W tym domu nie podano mi nawet filiżanki porządnej herbaty.

Hrabina skrzywiła się, ale nie powiedziała słowa. Potulnie ruszyła za teściową i mężem do drzwi, jak zwykle idealnie wyprostowana.

Ciotka Hen zrobiła to samo, ale nagle zatrzymała się w pół kroku i odwróciła.

– Och, byłabym zapomniała, moja droga – rzekła. Chwyciła paczuszkę ze stolika pod ścianą. – Przegapiłam twoje urodziny, gdy przebywałaś w Irlandii. Proszę, to dla ciebie.

Thea przyjęła podarek.

– Jakże to uprzejme z twojej strony – odrzekła bezbarwnym głosem, wciąż wstrząśnięta nieoczekiwanym obrotem spraw.

Za żadne skarby świata nie zamieszka z babcią.

– Mam nadzieję, że ci się spodobają, moja droga. Zamierzałam wysłać je do Irlandii, skoro błocisz się po tamtejszych bagniskach, ale jakoś zapomniałam.

– Jestem pewna, że to bardzo ładny prezent, cokolwiek to jest – odparła Thea.

– Nie miej takiej żalosznej miny. Nie jest aż tak fatalnie, jak ci się zdaje. – Ciotka połaskotała ją po podbródku. – Idę o zakład, że Foxford niezbyt długo będzie chodził po tym świecie. – Nachyliła się, a w jej szarych oczach zabłyśły iskierki. – Mogłybyśmy zaparzyć trochę herbaty arsenikowej – szepnęła. – Przeczytałam o tym w jednej powieści grozy. No, już lepiej. Chciałam zobaczyć ten uśmiech na twojej twarzy, nim wyjdę.

– Henrietto! – dobiegło wołanie z sieni.

Ciotka zamachała rękami.

– Muszę bieć – oznajmiła. – Proszę, nie bądź taka zboląa. Pragniemy tylko tego, co dla ciebie najlepsze.

Thea chwyciła ciotkę za rękę.

– Czy... czy ty jesteś samotna? – wypaliła. – Czy żałujesz, że nie wydałaś się za męża?

– Wielkie nieba, co za dziwne pytanie, moja droga. – Ciotka zamrużyła gwałtownie. – Nigdy się nad tym nie zastanawiam. Nie byłam taką pięknoscią jak ty.

Thea zacisnęła dłonie w pięści.

– Nie wyjdę za Foxforda – powiedziała. – Ani za Marwooda.

– Henrietto! – zawołała głośniejszym głosem hrabina wdowa. „Zawołała”, nie „krzyknęła”, bo hrabiny wdowy nigdy nie krzyczą. – Nie będę czekać ani chwili dłużej!

Ciotka ucałowała bratanicę w czoło i pośpieszyła do wyjścia.

Thea osunęła się na fotel i rozpakowała prezent.

Mignęły rubinowoczerwone cholewki z wyprawionej skóry. Wyciągnęła parę trzewików zawiązywanych czarnymi sznurowadłami.

Miękka, a jednak wytrzymała skóra żarzyła się w porannym słońcu.

Thea podniosła wzrok na pejzaż pędzla Gainsborougha, wiszący na ścianie salonu. Kręta ścieżka zachęcała do peregrynacji po gęstym lesie.

Dostała w prezencie buty do wędrowek. Do przemierzania pól i borów.

Nie do siedzenia w domu, spełniania oczekiwań i czekania na oświadczyzny mężczyzny, który wzbudzał w niej wstręt.

Nie wyjdzie za Foxforda ani Marwooda! Ani za żadnego innego pompatycznego pierdziela, który będzie ją traktował jak dekoracyjną, lecz niemą figurkę na półce.

Miała już serdecznie dość bycia pionkiem w grze innych ludzi.

Skoro dama może odnieść wielki sukces z dnia na dzień, może z dnia na dzień ponieść równie wielką klęskę.

To za sprawą księcia Osborne Thea borykała się teraz z nagłą popularnością w towarzystwie. A więc to on będzie musiał zaradzić tej sytuacji.

Pośpieszyła na piętro, aby napisać liścik, który zamierzała dołączyć do kwiatów.

Najpierw przybędą róże z bilecikami.

Potem Thea we własnej osobie.

*

Sterczące różowe sutki jak poziomki na dwóch dużych bezach.

Złociste loki rozsypane na czerwonym aksamicie.

Owalna twarz o trójkątnym drobnym podbródku.

Pulchny kupidyn dokazujący w górze, wymachujący pawimi piórami.

Nielatwy dzień nastał na Olimpie. Dalton zajmował się... sprawami bogów. Teraz wrócił do domu, gdzie czekała jego Wenus, z ramionami rozłożonymi na powitanie, pachnąca słodko różami.

Pachnąca bardzo mocno, jeśli o to chodzi.

Wonią, która wcale nie miała sennej ulotności.

Rozwarł gwałtownie powieki.

– Co, u licha?

Usiadł sztywno. Nie do wiary. Jego sypialnia tonęła w różach.

W ogromnych bukietach radośnie rozkwitłych kwiatów. Potarł oczy. Co tu się wyprawia, do wszystkich diabłów?

Do sypialni wszedł Con. Wniósł kolejne bukiety, gwizdząc skoczną irlandzką śpiewkę.

– Patrz, jeszcze jeden – powiedział. – Ciągłe przynoszą nowe – zaszczębiotał wesoło.

Dalton zgromił go wzrokiem.

Łeb mu pękał. To pamiątka po brandy.

Bolała żuchwa. To pamiątka po Trencie.

Psiamać, która godzina? Zmrużył oczy w obronie przed beztróską smugą słońca, która nieproszona przedarła się przez szczelinę między kotarami.

– Możesz mi wyjaśnić, co te kwiaty robią w moim domu?

– Naprawdę musisz pytać? – Con wyszczerzył zęby w uśmiechu i postawił bukiet na stoliku. – Najwyraźniej masz wielbicielkę.

Ostatniego wieczoru Dalton musiał wyżłopać za dużo, bo najwyraźniej pozostawał w pijackim otępieniu.

To chyba sen.

Con chwycił się za klatkę piersiową, w miejscu, gdzie biło jego obolałe serce.

– Wreszcie nastał ten dzień – powiedział. – Dzień, w którym wyjątkowa młoda dama postanowiła wyjawic swoje intencje. – Westchnął. – Czekałem całą wieczność.

– Daruj sobie. Nie jestem w nastroju.

Irlandczyk jak zwykle puścił słowa swojego księcia mimo uszu.

– Odważna z niej istota, z tej twojej wielbicielki. Wie, że drogę wiodącą do serca księcia pana należy przysypać tysiącem róż.

Zerwał gruby żółty pęk z łądygi i rzucił nim w Daltona.

Ten złapał kwiat i próbował w rewanżu trafić nim w Cona.

– Niech to szlag – zaklął, zgrzytając zębami, bo zeszywniałe ramię odmówiło posłuszeństwa.

Łupało jak diabli.

– Powiedz mi po prostu, kto to przysłał – warknął. – Żebym mógł ukatrupić tę osobę.

Con wyjął bilecik z koszyka.

– Róże czerwone są, a niebieskie bzy – wyrecytował. – Wargi panny Dorothei zaś są jeszcze czerwiejsze, a jej oczy szaroniebieskie.

„Panny Dorothei?”

Od razu powinien był się domyślić, że to jej sprawa.

– Dawaj to.

Con podał mu bilecik.
– Racz przeczytać na odwrocie – rzekł.
Dalton przekreślił kartonik i ujrzał charakter pisma, który znał aż za dobrze: „Róże czerwone są, a niebieskie bzy, mojej rehabilitacji nie pożałuję ja, tylko ty”.
Jęknął.
Kiepskie rymy.
Ale w końcu nic w tej kobiecie nie składało się w spójną całość.
Dlaczego jest taka wściekła?
Rzucił bilecik na kołdrę i wyskoczył z łóżka.
– To dziewczę powinno mi dziękować – powiedział.
Con wzruszył ramionami.
– Może nie pragnęła odnieść sukcesu na balu – zasugerował.
– Która młoda dama nie pragnie? Pokaż mi taką. – Dalton podszedł do umywalki i spryskał twarz wodą. – Ona jest zbzikowana. Ma nie po kolei w głowie. Jest piękna, ale zbzikowana.
– Najwyraźniej, skoro akurat tobie ze wszystkich ludzi przysłała róże.
– Bardzo zabawne.
Książę przekreślił głowę, aby przyjrzeć się swojej twarzy w lustrze. Ciężka rana ciągnęła się od prawego ucha do podbródka.
Ból ścinał mu ramię i wwiercał się w czaszkę. Dalton znów próbował rozruszać bark, lecz tylko jęknął.
– Stara kontuzja? – spytał Con, poważniejąc.
– Tak, najwyraźniej się odnowiła. – Zaciśnął zęby. – Potrzebuję kolejnego spotkania z Olofsson. Ostatnim razem działała cuda.
– Zatem posłę po nią. – Wskazał brodą róże. – Co z tym wszystkim zrobić?
– Pojęcia nie mam. Jeśli o mnie chodzi, możesz się w nich wykąpać. Ja zamierzam odbyć swoją cotygodniową wizytę w Osborne Court.
– A jeśli ta młoda dama zjawi się tutaj osobiście śladem swoich róż? – spytał lokaj i zachichotał. – Napisała przecież, że pożałujesz.
Dalton sięgnął po flaszkę brandy.
– Jeśli ta diablica omroczy swoją obecnością próg mego domu, wyślij ją wprost do piekła, bo tam jej miejsce.
CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 4

– Dzień dobry, matko – powiedział Dalton i cmoknął lekko księżną wdowę Osborne w policzek, po czym zajął miejsce w salonie urządzonej gustownie w pastelowych barwach.

Abigail skinęła głową na powitanie, ale jej jasnozielone oczy jakby nie widziały syna. Nie zauważyła nawet nierównej czerwonej rany na spuchniętej szczęce, tylko nadal głąskała perską kotkę o puszystej rudawej sierści usadowioną na jej kolanach.

Dalton wolałby pozostać u siebie, lecz gdy przebywał w Londynie, odwiedzał matkę w sobotnie popołudnia w jej rezydencji Osborne Court. Wiedział, że ona wygląda tych wizyt, bo była zła nowin z towarzystwa.

Do londyńskiej rezydencji rodu prowadziła krótka droga przez ciemne zaułki.

– Poszedłem na bal wczoraj wieczorem – oznajmił, czując się mocno nieswojo w przystrojonym koronkami salonie i martwiąc się, że delikatne rzeźbione nogi szezlongu ustąpią pod jego ciężarem.

Nowiny o życiu socjety były bezpiecznym tematem, dzięki czemu na ogół udawało się uniknąć matczynych napadów paniki.

Obecnie zwano ją Wdową Samotnicą. Plotkowano, że zapewne zaraziła się ospą od swego łajdaczącego się męża. Że niechybnie ma szkaradne blizny i nie nadaje się do publicznych występów.

Ludzie byli w błędzie. Owszem, miała szkaradne blizny, ale na duszy, nie ciele.

– Czy dobrze się bawiłeś, księżę?

Czy dobrze się bawił? Nie zanadto.

– Znakomicie – odparł łagodnym, uspokajającym tonem. – Widziałem lady Clyde. Pytała o ciebie.

– I co jej powiedziałaś? – mruknęła Abigail, pochmurniejąc.

„Do kroćset”.

Dalton stęzał na szezlongu obitym aksamitem w biało-jasnozielone paski. Czekał na wybuch. Nie powinien wspominać matce, że świat wciąż o niej pamięta.

Był skołowany, bo bolały go głowa i ramię.

– Nie pamiętam – odparł ostrożnie. – Przyznam, że wypilem zbyt dużo ratafii.

Odpnęła się wyraźnie.

– Cały ty – odparła. – Zawsze za dużo pijesz. Dlaczego się tutaj nie przeniesiesz? Wtedy Cook napełniłby cydrem twoje flaszki po brandy. Nie dostrzegłbyś różnicy.

Dalton roześmiał się, czując ulgę, że burza przeszła bokiem.

– Wydaje mi się, że jednak bym się zorientował – odrzekł.

Po śmierci ojca wbrew powszechnym oczekiwaniom nie przeprowadził się do Osborne Court, bo jego potajemne życie związane było ściśle z kawalerskimi apartamentami. Nie mógłby poruszać się tak swobodnie, jeśliby zamieszkał w rodowej rezydencji.

Wielu wpływowych ludzi, z którymi zadarł, miało posłuch u samego księcia regenta. Gdyby wszystko się wydało, bez trudu mogliby doprowadzić do odebrania mu tytułu i wszystkiego, co się z nim łączyło, pod zarzutem zdrady.

A to ostatecznie wykończyłoby jego matkę.

Pozostało jej już tylko ciche samotne życie w swojskim, wygodnym otoczeniu rodowej rezydencji.

Odebrać jej to wszystko, zmusić ją do opuszczenia tego sanktuarium byłoby niepojętym

okrucieństwem. Dalton nigdy by do tego nie dopuścił. Chyba że odeszłaby z własnej woli.

Tak więc nadal poszukiwał mordercy swojego brata, aby wymierzyć sprawiedliwość. Może wtedy matka odzyskałaby na tyle dużo pewności siebie, aby powrócić do świata?

Naprawiał krzywdy wyrządzone przez ojca, lecz czynił to powoli i dyskretnie.

Bardzo dyskretnie. Nie łącząc tych dwóch światów, w których żył.

Nie okazując wahania.

Ani strachu, ani miłości.

Uczuć, które czynią mężczyznę słabym.

Nauczył się panować nad strachem. Ćwiczył ciało i szlifował umysł w gotowości do dokonania zemsty. Dusił w zarodku każdą kiełkującą w nim potrzebę, aby kochać lub być kochanym.

Będzie gotów, gdy w dniu rozrachunku wreszcie spotka swojego arcywroga.

Będzie bezlitosny i niewzruszony.

Nie poczuje strachu, będzie wolny od wszelkich słabości.

A jednak martwił się o matkę, choć otaczał ją tuzin sług. Dziesięć lat wcześniej zaszyła się w swoich komnatach w Osborne Court i nigdy ich nie opuściła.

Swoją rezydencję nazywała klasztorem, jakby sama była mniszką. Jakby złożyła śluby, że wyrzeknie się świata doczesnego.

Nic nie skłoniło jej do zmiany decyzji. Ani oskarżenia wściekłego męża, ani coraz większy niepokój Daltona o jej stan.

Z czasem dotarło do wszystkich, że to odosobnienie z własnej woli było stopniowym procesem. Matka coraz rzadziej wychodziła z domu, po prostu wysyłała służących, aby załatwiali za nią wszystkie sprawy. W końcu postanowiła jeść posiłki w swoich komnatach, a nie w jadalni.

Dystansowała się coraz bardziej wobec zewnętrznego świata. Odrzucała zaproszenia, wreszcie nie pozwalała nawet własnej matce przyjechać z wizytą.

Konsylium medyków uznało, że Abigail cierpi na bardzo silne stany lękowe. Stwierdziło, że strach przed wyjściem z domu często dochodzi do głosu u kobiet, które mają za sobą traumatyczne przeżycia.

W tamtym tygodniu, gdy Alec został zabity, rodzina zjawiała się z wizytą w Balfry House, majątku ziemskim, który księżę kupił dla swojej żony, Irlandki i zarazem protestantki, jednej z sióstr Kerry.

Siostry Kerry słynęły z urody.

Gdy Dalton zamykał oczy, czasem widział w wyobraźni słońce połyskujące na powierzchni zielonych wód tamtejszej zatoki. I czuł pulchną rączkę w swoich palcach. A potem już jej nie czuł.

Już nigdy.

Powinien był lepiej pilnować Aleca.

Morze wyrzuciło na brzeg namokły kaszkiet z tweedu, ale drobne ciało na zawsze przepadło w głębinach.

Dalton zacisnął mocno powieki.

Piekła go rana na szczęce, bolały prawa dłoń i ramię.

Umysł też cierpiał, bo księżę siedział w towarzystwie matki, lecz nie mógł powiedzieć jej prawdy.

Ostatniej nocy dobrnął do końca listy sporządzonej przez ojca. A jednak nie zbliżył się ani na krok do odnalezienia zabójcy.

Matka wyznała mu, że jej zdaniem zabójca przebywa w Londynie. Że czyha także na nią. Że chce odebrać jej życie, tak jak odebrał życie jej ukochanemu synowi.

Stary książę zagroził, że odeśle ją do domu wariatów, lecz Dalton sprzeciwił się z całej siły i matka pozostała w Osborne Court.

– Cook przyrządził wczoraj przedni pasztet z bażanta – stwierdziła Abigail, głaszcząc kotkę tak czule, że zamruczała z ukontentowania. – Prawda, cudeńko? Aż oblizywałeś pazurki.

Dalton stracił rachubę, ile kotów zamieszkało w Osborne Court ostatnimi laty. Wszystkie spasione, miały okrągłe pomarszczone pyszczki, jakby ich życie było pasmem zmartwień.

Jeden z perskich kocurów właśnie otarł się o jego botforty. Dalton obowiązkowo podrapał go pod bródką. Kocur przekręcił się na grzbiet, wystawiając do góry cztery łapy jak ogromny owad.

„Bezwstydy pieszczoch”.

Książę nie mógł się jednak oprzeć syreniemu powabowi miękkiej sierści. Pogłaskał kota po wydatnym brzuchu, a wtedy rozległ się tak donośny pomruk, że poczuł drgania pod dłonią.

– Tulipanku – upomniała Abigail swojego pupila. – Nie wiesz, że książęta nigdy nie pieszczą kotków?

Stary książę z całą pewnością tego nie robił. Wciąż wrzeszczał o najeździe Persów. Groził, że wyłapie wszystkie koty, wsadzi je do wora i utopi w Tamizie.

Przez wiele lat Dalton odsuwał od siebie myśl o byciu nowym księciem. Sądził nawet, że być może umrze, zanim odziedziczy tytuł, bo igrał z życiem, wdając się w niebezpieczne sytuacje, które dla każdego o mniejszej tężyznie skończyłyby się śmiercią.

W głowie mu nie postało, że ojciec może odejść z tego świata wcześniej niż on.

Stary książę miał bowiem końskie zdrowie. Pił na umór, co noc kładł się do łóżka z inną kobietą i do wczesnych godzin rannych uprawiał hazard ze swoimi szemranymi przyjaciółmi.

Lecz pewnego ranka przy śniadaniu chwycił się za pierś, zsiniał na ustach i runął twarzą wprost w talerz smażonych cynaderek.

Dalton nigdy nie powiedział ojcu, jak bardzo go nienawidzi, a jednak mu to okazywał, przepuszczając jego pieniądze w jaskiniach hazardu, udając hulakę i utracjusza. Stając się Piekielnikiem i wymierzając sprawiedliwość zdeprawowanym dżentelmenom z ojcowskiego środowiska.

Pewnego dnia pół roku po śmierci starego księcia Dalton i jego matka siedzieli nad szklaneczkami sherry. Wtedy zobaczył to w jej oczach.

Makabryczne poczucie ulgi.

– Chyba każę jutro Cookowi upiec placek z agrestem – powiedziała Abigail.

– Byłoby miło – odparł beznamiętnym tonem.

Matka spojrzała na niego rozpromieniona.

– Och, byłabym zapomniała. Dostałam dziś list. Od Ginny. – Machnęła bladą ręką. – Napisała o dawnych czasach, kiedy byliśmy słynnymi pięknościami. Mój Boże, ilu adoratorów krążyło wokół nas, trzech sióstr.

Dalton się uśmiechnął.

– Opowiedz mi, mamó, o którymś z nich – poprosił.

O dziwo, wszyscy ostatnio nabrali ochoty do opowiadania o dawnych miłościach. Nawet stary gburowaty Con.

– Zaraz, pomyślmy... – Zastanowiła się. – No więc był hrabia Kilkenny, rzecz jasna, faworyt, ale nie tak zamożny jak twój ojciec. No i był jeszcze... Pan O’Roarke. Patrick mu było na imię. – Zapatrzyła się na płomienie tańczące w kominku. – Od lat o nim nie myślałam.

– Zwykły pan, żadnego tytułu? – spytał prowokacyjnie. – Zatem nie nadawał się dla żadnej z sióstr Kerry.

– Owszem, biedny był jak mysz kościelna. Niskiej rangi urzędnik spedycyjny. Ale na

miły Bóg, jakże on mnie kochał! Szalał za mną. Później doszły mnie słuchy, że zbił majątek na obczyźnie, w koloniach. Teraz bogatszy jest od króla Midasa. Tylko sobie wyobraź. Był straszliwie zagniewany, gdy nie przyjąłem jego oświadczeń. O mało mnie nie udusił. Okropnie się bałam. Ale jaki miałam wybór? Między księciem a urzędnikiem spedycyjnym.

Dalton nigdy dotąd nie słyszał o tym zalotniku. Coś w tej opowieści go zastanowiło. Hola, jak to? O'Roarke prawie ją udusił? Czy matka nie zmyśla?

– Opowiedz mi więcej – poprosił. – Czy ten cały O'Roarke nienawidził ojca za to, że mu cię odebrał?

– A jakże. Nazywał go czortem i angielskim okupantem. Mówił, że twój ojciec nigdy mnie tak nie uszczęśliwił, jak on by mógł. Mówił, że pożałuję swojej decyzji. I księżę też. Pienił się. Naprawdę napędził mi wtedy stracha. Dlaczego go nie posłuchałam? Dlaczego nie uciekliśmy razem?

Dalton poczuł, że włosy stają mu dęba. Ten O'Roarke miał motyw! Nienawidził księcia za odebranie mu narzeczonej.

Ale czy nienawidził na tyle, aby zabić jego syna?

Miłość skłania niekiedy ludzi do niegodziwych czynów.

Zabójca zostawił list wetknięty pod kamień.

„Skradłeś, co moje, więc odebrałem ci, co twoje”.

Abigail podniosła głowę, a po jej policzkach spłynęły łzy.

– Dlaczego, och, dlaczego wyszłam za twój ojca? – jęknęła.

Przestraszona kotka miauknęła donośnie i zeskoczyła na podłogę, płosząc z kolei kocura łaszącego się do nóg Daltona.

Oba zwierzaki czmychnęły z salonu.

– Był okrutnym człowiekiem – ciągnęła Abigail, szarpiąc za kołnierz swojej sukni. – To jego wina. Biedny Alec. Biedny. Taki słodki był z niego chłopczyk. Zapłacił za winy ojca.

Dalton zerwał się z szeslongu i podał matce swoją chusteczkę, ukradkiem pociągając za sznurek z dzwonkiem, aby przyzwać opiekunkę.

Tak to było. Nic nie mógł na to poradzić. Próbował wcześniej wiele razy, ale im bardziej się starał, tym bardziej pogarszał sytuację.

Gdy matka położyła się do łóżka i w końcu uspokoiła, ruszył na piechotę do swoich apartamentów.

Zadowolony. Bo pojawił się trop najlepszy od lat.

Należy udać się do Irlandii, żeby odszukać Patricka O'Roarke'a. Albo nawet do Ameryki, jeżeli zajdzie konieczność. Wypytać go. Złamać, jeśli trzeba.

Wyglądało na to, że Con zobaczy wkrótce swoją brązowooką Bronagh. Jeśli O'Roarke wciąż był powiązany z hrabstwem Cork, Dalton musiał się tam wybrać.

Wyruszą jutro z samego rana. Tym bardziej że nie można ryzykować, że Trent zobaczy go z raną na twarzy. Albo usłyszy o niej od kogoś innego.

W istocie wypad za miasto był tym, co zalecił medyk.

Co za ironia losu, pomyślał Dalton, idąc po schodach do swoich apartamentów. Panna Dorothea z pewnością byłaby zainteresowana informacją, że księżę Osborne wybiera się do Irlandii.

Lecz podstępna dziewczyna nigdy się o tym nie dowie.

*

– Spóźniłaś się.

Thea zamrugnęła oczami na widok wysokiego, barczystego mężczyzny, który otworzył

drzwi do miejskiej rezydencji księcia, zanim zdążyła podnieść rękę, aby zapukać.

Wydatny nos, szpeciniasta ruda broda z siwymi pasemkami, brak fularu – może to nawet nie lokaj?

– Nie stój tak, ptaszyno. – Zniecierpliwionym ruchem ręki wskazał zacienioną sień. – On czeka.

„Ptaszyno?” Temu pozał się Boże lokajowi wydaje się, że kto przybył z wizytą? Thea zawahała się w progu, a twarde postanowienie, które ją tu przywiodło, walczyło teraz z rezygnacją.

Zakradła się na dół, gdy matka udała się na wieczorny spoczynek. Następnie wymknęła się bocznym wejściem przy King Street, otulona szarym płaszczem z kapturem.

Obeszła ostrożnie plac St. James's i zagłębiła się w zaułki. Jej misja była o tyle łatwiejsza do wypełnienia, że książę wciąż mieszkał w skromniejszych kawalerskich apartamentach, nie zaś w pobliskiej okazałej rezydencji rodowej Osborne Court.

Jedna jedyna myśl krążyła jej po głowie, uwalniając od wahań i wiodąc wprost do jego drzwi.

Książę zniweczył wszystkie jej plany. Dlatego musi to naprawić.

Thea nie zamierza być królową sezonu. I nie zamieszka z babcią.

Cała nadzieja na krótki pobyt w Londynie i cichy powrót do Irlandii, gdzie czekało spokojne życie bez męża, spełzła na niczym.

– No i? – Mężczyzna skrzyżował muskularne ręce na piersi i spojrzał na nią z wysoka, ściągając siwe brwi. – Będziemy tak tu stali do rana? Jesteś panna Inga Olofsson, tak? Od madame Signe? Przyszłaś w tej sprawie co zwykle?

– Eee...

Najwyraźniej wzięto ją błędnie za szwedzką kurtyzanę!

Nadeszła chyba pora, aby powiedzieć prawdę obcesowemu lokajowi.

„Jestem hrabianka Dorothea Beaumont i przyszłam zbesztać twojego pana, na co ze wszech miar zasłużył”.

Ale wtedy nie przekroczy tego progu.

Jeśli ma się dostać do jaskini lwa, będzie tą, za którą bierze ją lokaj.

– Owszem, jestem Inga Olofsson – odparła, kiwając głową. – *Ja* – dodała dla efektu.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Chodź ze mną, Olofsson – polecił.

Ruszył w głąb sieni i dalej na górę po szerokich krętych schodach.

Sień była mroczna i przestronna, pozbawiona sprzętów. Thea zatrzymała się na moment. Na ścianach nie było obrazów. Ani jednego.

Nigdy dotąd nie widziała ścian tak całkowicie огоłoconych z wszelkich ozdób i malowideł.

Musiała podbiec, aby nadażyć. Rozchybotana latarenka w ręku lokaja była jedynym źródłem światła i to dzięki niej Thea nie potknęła się i nie stoczyła po czarno-białych marmurowych schodach, i nie złamała sobie karku. Książę najwyraźniej lubił mroczną pustkę.

Lokaj zatrzymał się przed masywnymi rzeźbionymi drzwiami.

– Jest bez odzienia, gotów – oznajmił.

Thea wybałuszyła oczy.

„Bez odzienia?”

Z pokoju dobiegł niski jęk, złowrogi odgłos, który przypominał lament zwierzęcia w klatce. Zadygotała.

– Chyba się nie lękasz, he? – spytał mężczyzna. Uśmiechnął się szeroko, aż bokobrody

mu się nastroszyły. – On jest nieszkodliwy, zapewniam – szepnął konspiracyjnie. – Pożera tylko dwie, trzy takie damy dziennie.

„Damy?” Przyjrzała się mężczyźnie.

– Nie lękam – odparła, rozpaczliwie próbując uwierzyć we własne słowa.

Znów oblała ją fala świętego oburzenia, które przywiodło ją do tego miejsca.

„Książę umyślnie wszystko zniszczył. Nie miał prawa mieszać się do moich spraw”.

Wyprostowała ramiona.

– Prowadź, panie – rzekła.

– Włóż, ptaszyno. – Otworzył drzwi. – Zdejmij buciska i ładuj się na niego.

„Ładuj się na niego?”

Dobry Boże, czego od niej oczekują?

– Mmm, zaszła pomyłka – szepnęła zdesperowana Thea. – Tak naprawdę nie...

– Radź sobie, Olofsson, ja zmykam – powiedział głośno lokaj i pchnął ją lekko do środka.

Drzwi zamknęły się ze złowrogim trzaskiem. Thea o mało nie dopadła klamki, nie wybiegła i nie pomknęła z powrotem przez plac. Jej pomysł okazał się nazbyt śmiały. Może zamiast takiego wypadu powinna ułożyć arcyzłośliwy list. Wtedy miałyby dość czasu, aby użyć wszystkich możliwych obelg.

„Chyba się boję”.

Wzięła głęboki wdech.

Strach zbyt długo wpływał na jej postępowanie.

Miała prawo tu przyjść po tym, jak zachował się książę. Miała prawo się wypowiedzieć, zażądać naprawienia sytuacji. Zapewnić sobie powrót do Irlandii zgodnie z powziętym planem.

Stała teraz na rozstaju dróg.

Z jednej strony ciągnęła się udeptana ścieżka milczenia i posłuszeństwa, prowadząca z powrotem do domu, do nieznośnego brzemienia oczekiwania jej rodziny, a dalej do nieszczęsnego małżeństwa z niekochanym człowiekiem.

Z drugiej strony biegła ścieżka odwagi i przygód.

Prowadziła wprost do komnaty księcia.

Thea odwróciła się w kierunku olbrzymiego, wysokiego łoża, które królowało na środku pokoju.

To, co zobaczyła, nieomal odebrało jej resztkę otuchy.

Ogromne, ogromne ciało. Książę leżał twarzą do dołu.

Istotnie, był bez odzienia.

Na dolną połowę ciała narzucił kawałek cienkiego płótna, który jednak słabo skrywał okrągłe jędrne pośladki i umięśnione uda.

Pierwszy w życiu widok męskiej nagości niewyrzeźbionej w marmurze ani brązie zaparł jej dech w piersiach. Wszystkie te granie i doliny w bezmiernym krajobrazie jego ciała, ocienione i lśniące w blasku świec.

Jaki męski.

„Jaki zuchwały”, poprawiła siebie Thea w duchu.

Nagle wyjaśniła się istota czekającego jej zadania.

Miała się wdrapać.

Na księcia.

Powinna była przynieść linę i czekan. Stała nie na rozstaju, lecz u podnóża góry.

Rozwiązała sznurowadła. Najprawdopodobniej zostanie bezceremonialnie wyrzucona za drzwi, gdy tylko książę zobaczy jej twarz. Lepiej zatem ciągnąć tę mistyfikację jak długo się da. I w odpowiedniej chwili przedstawić mu stanowczo swoje żądania.

Podeszła na chwiejnych nogach do łóżka.

– Spóźniłaś się, Olofsson – warknął książę, nie racząc podnieść głowy. – Znowu prawe ramię. Skurcz taki, że ledwo mogę nim ruszać. – Napiął wydatne mięśnie i jęknął. – Znowu musisz zdziałać cuda.

„Na czym te cuda polegają?”

Jeśli Olofsson zajmowała się ramieniem, a nie innymi częściami ciała, to może była pielęgniarką?

Należy więc wdrapać się na księcia, a potem co? Co ta kobieta robiła?

Gdy Thea podeszła, w blasku grubych świec ustawionych po obu stronach łóżka zobaczyła, że książę ma zamknięte oczy.

Na jego szczęce dostrzegła czerwoną pręgę, której nie miał poprzedniego wieczoru, gdy tańczyli walca. Czy walczył w pojedynku? Całkiem możliwe. Zapewne niejedna mężatka, z którą zawarł bliską znajomość, miała zazdrosnego męża.

– Ej, Olofsson, nie zamierzam czekać całą noc – ponaglił ją, zniecierpliwiony. – Obiecuję, że nie będę gryzł. Włóż i zacznij chodzić.

„Chodzić?”

No dobrze, na to mogła się zgodzić.

Weszła na drewniany stółek, a z niego na łożo, następnie ostrożnie wdrapała się na kolanach na książęce plecy i wstała.

Z trudem utrzymywała równowagę na splotach wypukłych mięśni.

– Do roboty, Olofsson, do roboty.

Chwyliła się aksamitnych kotar, aby nie upaść, i zaczęła maszerować po ogromnej pościeli jego pleców w kierunku prawego ramienia.

– Och... – jęknął. – O tak, właśnie w tym miejscu. Postój tam chwilę.

Całym ciężarem ciała naparła na jego prawe ramię. Jak to możliwe, że jeden człowiek ma tyle gruzłowatych mięśni?

– O tak, teraz piętami.

To z pewnością sprawiało mu straszliwy ból. Widziane z profilu ciało na tle białej pościeli wydawało się reliefem wyrzeźbionym z granitu. Książę ani razu nie podniósł głowy, ani razu na nią nie spojrzał. Zaciskał mocno powieki, usta miał zasznurowane. Do tego krótki urywany oddech.

Docisnęła stopę w pończosze do jego ramienia.

Stęknął i jeszcze szczelniej zwarł powieki.

– O tak – westchnął – właśnie tak.

Poruszała stopą w tę i w tę, przenosząc ciężar ciała z pięty na palce i z powrotem.

Jego stękanie brzmiało tak, jakby odczuwany ból sprawiał mu rozkosz.

A więc płacił kobietom za takie usługi. Thea spodziewała się czegoś innego. Chociaż kto wie, co działo się potem, gdy deptanie bolesnych miejsc dobiegało końca?

– Jesteś jakby lżejsza. Głodzisz się?

– Proszę o wybaczenie, wasza książęca mość.

Thea przerzuciła ciężar całego ciała na prawą stopę i wraziła ją w miejsce tuż pod prawą łopatką.

– Oooh.

– Za bardzo?

– W żadnym razie – wystękał. – Daj z siebie wszystko, Olofsson, daj z siebie wszystko.

Docisnęła mocniej.

Zarzęził.

Thei zaczynało się to podobać.

„Zatańczyłeś ze mną walca. Zrehabilitowałeś mnie w oczach socjety. Przez ciebie mój dom zapełnił się kwiatami od sprośnych starych arystokratów”.

Z całej siły wciskała piętę w mięśnie na plecach.

– Chryste – zachrypiał. – Pofolguj trochę.

– Boli, wasza książęca mość? – spytała przymilnym tonem i jednocześnie zdwoiła wysiłki.

– Chwilę! – warknął złowrogo. – Znam ten głos...

Błyskawicznie przekręcił się na plecy, strącając ją z siebie. Już miała upaść, lecz chwycił ją za biodra i zmusił, aby usiadła na nim okrakiem.

– Co, do stu tysięcy siarczystych piorunów, robisz w moim domu?! – ryknął. – Con! No nie, ukatrupię cię gołymi rękami!

Rozdział 5

Zza drzwi dobiegł śmiech.

Thea szarpała się, daremnie próbując uwolnić z uścisku, chwytając się aksamitnych kotar, żeby się podciągnąć, ale Osborne trzymał ją dużymi dłońmi za biodra, przygważdzając do siebie.

– Mości księżę – wystękała zdyszana. – Nie otrzymałeś mojego bileciku? Dlaczego tak bardzo dziwi cię mój widok?

Zmrużył groźnie oczy.

– Bo powiedziałem temu bezużytecznemu ciamajdzie, którego mam za służącego, że ma cię wyrzucić na ulicę, gdy tylko spróbujesz przestąpić próg mojego domu.

Siedziała na nim okrakiem, całym ciężarem przyciśnięta do jego ciała.

Dla jej poczytalności było to o wiele gorsze niż tańczenie walca.

– Ach... Najwyraźniej błędnie wziął mnie za niejaką Olofsson i wpuścił do środka.

Księżę prychnął.

– Nie ma mowy, aby wziął cię za nią. Ta baba ma bary prawie tak szerokie jak ja. – Przesunął spojrzenie z jej twarzy na tułów. – A ty jesteś delikatna, zaokrąglona, miękka. – Skupił wzrok na jej biuście. – Wszędzie.

Odnosiła wrażenie, jakby dopiero teraz zobaczył ją po raz pierwszy.

Nagle jego oczy nabrały złowrogiego wyrazu.

– Mam nadzieję, że twoja mamusia nie czeka pod drzwiami, aby nas przydybać – powiedział. – Wiem, że lubi tak robić.

Na wzmiankę o matce usiłującej zmusić księcia Harland do małżeństwa Thea zacisnęła mocno szczęki z wściekłości i uderzyła go pięściami w klatkę piersiową.

– Wcale nie próbuję cię złowić, mości księżę – odparła. – Nie wyszłabym za ciebie, nawet gdybyś był ostatnim mężczyzną na ziemskim padole.

Drgnęły mu wargi.

– Czyżby? – spytał.

– Owszem. A teraz bądź łaskaw mnie puścić.

– Ani mi się śni. Jeszcze nie.

Uniósł dłoń i rozwiązał tasiemki jej płaszcza, następnie zsunął go z niej i rzucił na podłogę.

W sypialni zaszła subtelna zmiana.

Thea poczuła jego pożądanie.

Poczuła dosłownie – mocne, twarde wybrzuszenie napierające na jej udo.

Powietrze gęstniało.

Być może mężczyźni tracą rozum, gdy pólnadzy leżą w łóżku, a kobieta siedzi na nich okrakiem?

– Powtarzam pytanie. Po coś tu przyszła, lady Dorotheo?

Zrozumiała, że nie uwolni się siłą mięśni. Musiała zatem użyć słów. Wzięła głęboki wdech, aby się uspokoić.

– Bo popełniłam olbrzymi błąd – odrzekła. – Twoja przychylność przekreśliła całe lata moich niepowodzeń. Mam powyżej uszu tego, że wszyscy używają mnie do swoich celów. Nie wolno ci fruwać beztrąsko niczym motyl i dla byle kaprysu zmieniać kobiety, które są o krok od staropanieństwa, w najbardziej pożądane partie w Londynie. – Wydawało się, że Thea odkryła sekret, jak rozmawiać z panami. Tym sekretem była wściekłość. Furia czyniła z niej nad wyraz

elocwentną osobę. – Najpierw bez słowa wyjaśnienia odmawiasz mojej najszczerzej prośbie, aby skatalogować twoje zbiory, a potem celowo niweczysz wszystkie moje plany. Wiem, że uczyniłeś to z rozmysłem, nawet nie próbuj zaprzeczać.

– Ależ niczemu nie zaprzeczam – odpowiedział, uśmiechając się z zadowoleniem i sadowiąc ją wygodniej na sobie. – Wiedziałem, że jeśli wybiorę cię do pierwszego walca, będziesz oblegana przez zalotników, zatem przestaniesz mi się naprzykrzać. To był mój plan, aby raz na zawsze pozbyć się ciebie.

– Ty... ty... – wybełkotała i zaczęła go okładać pięściami. – Ty podstępny, samolubny, zatwardziały łajdaku!

Chwycił ją za przeguby.

– A może pompatyczny dupku? – zasugerował usłużnie. – Albo nadęty skurwielu?

Thea nigdy nie używała tak dosadnego języka. Ale zawsze jest ten pierwszy raz.

– Arogancki dupku – szepnęła.

Roześmiał się.

– Śmielej, proszę, głośniej – zachęcał.

„Naigrawa się ze mnie?”

– Arogancki dupek z ciebie! – oświadczyła.

Bez słowa ostrzeżenia przekręcił się na bok, a potem powalił ją na wznak i przygwoździł mocarnymi udami.

– Au! – krzyknęła. – Zmiażdżysz mnie!

– Dam ci nauczkę, byś zrozumiała, dlaczego niemądrze jest zakradać się do komnat księcia, wślizgiwać do jego łóżka i sypać obelgami.

Cieżarem swojego ciała wciskał ją głęboko w pościel. Wyciągnął jej ręce nad głowę i chwycił oba przeguby jedną dłonią.

Co za prostak!

Dlaczego więc poczuła miłe ciarki przebiegające po całym kręgosłupie?

Nie bała się, on udawał, chciał ją nastraszyć. Lecz jej ciało reagowało w niecodzienny sposób.

Prężyło się w gotowości.

Przysunął twarz. Co za zmysłowe wargi. Górna ostro zarysowana, dolna lekko zaokrąglona...

– Lady Dorotheo, patrzysz na moje usta – zauważył. W jego oczach rozbłyły przekorne ogniki. – To na ogół oznacza, że dama chce być całowana.

– Nie chcę być całowana – zaprzeczyła.

Jej słowa były wierutnym kłamstwem. Pragnęła tego rozpaczliwie.

Policzki zapłonęły z gorąca.

Dlaczego gdy po raz pierwszy zapragnęła być całowana, musi ją trzymać w ramionach akurat ten zadufany w sobie prostak z książęcym tytułem?

Oczywiście nie chciała, żeby to on ją całował. To by tylko pogmatwało i tak skomplikowane już sprawy.

Chyba że ktoś widziałby, jak ich usta się łączą. Wtedy reputacja Thei byłaby kompletnie zrujnowana, a nie tylko nadwerżona. Ech, to mogłoby się powieść! Lecz tego wieczoru nie było żadnych świadków. Książę uwolnił jej ręce. Odgarnął kosmyk z jej twarzy i musnął kłykciami policzek, dalej szyję, a od tego zaborczego dotyku poczuła mrowienie na skórze, aż zmysły się ocknęły i dotarło do niej z całą mocą, że leży przygwożdżona ogromnym cielskiem księcia Osborne.

Nad nią wznosiła się jego potężna klatka piersiowa, a blask świec igrał na konturach

i wypukłościach jego umięśnionego tułowia.

Na jego szyi wisiał cienki rzemyk, u którego końca przywiązano coś, co wyglądało jak czerwony kamyk. Zaraz, chwileczkę... Przesunęła palcem po ostrych, nierównych krawędziach.

– To skamieniały *maërl*, prawda? Z plaży nad zatoką Balfry.

Cofnął gwałtownie rękę od jej policzka.

– Nie – odparł. – Nie *maërl*.

Czemu zaprzecza oczywistości?

– Odnoszę inne wrażenie – powiedziała. – Wielokrotnie spacerowałam po tych plażach i zbierałam kawałki takich krwistoczerwonych alg koralowych.

– Po co naprawdę tu dzisiaj przyszedłeś? – spytał twardo. – Poza tym, że podeptałaś mi plecy, obraziłaś mnie i zaprzeczyłaś wszystkim moim słowom.

„Aby wyczałował mnie znawca i koneser”.

„Nie, wcale nie po to”.

– Jesteś hulaką – odparła. – Naturalnie wiesz, jak ogłupić ludzi swoim urokiem, który wydaje się autentyczny. Znajdź więc sposób, abym znowu była niemile widziana w towarzystwie.

– A niby jak mam to zrobić?

– Rozpuść plotki o mnie. Rozpowiedz, że rzuciłam się na ciebie. Że błagałam, abys mnie uwiódł. Skompromitował.

– Hm.

Wtulił nos w zagłębienie jej szyi, co spowodowało dziwny motyli trzepot w jej brzuchu. Potem ugryzł ją pieszczotliwie w płatek ucha i serce od razu zaczęło bić jak oszalałe.

– Prosisz, żebym cię skompromitował? – szepnęła. – Jeśli tak, mogę uczynić wyjątek od reguły zabraniającej mi zadawać się z niewinnymi panienkami. – Zaczął rysować palcem kuszące hieroglify na jej obojczyku. – Ale uwaga, tylko ten jeden.

– Mówię o kompromitacji wyłącznie teoretycznej – wyjaśniła pośpiesznie.

– Jak to teoretycznej? Przecież właśnie obezwładniłem cię w łóżu. – Przesunął się lekko, aby wyraźnie poczuła napierający twardy czubek. – A ty leżysz pode mną bezbronna, zdana na moją łaskę.

– Pozwól, że ci wyjaśnię, mości książę – zaszczębiotała wesoło, jakby dyskutowali nad filiżanką herbaty w salonie. Musiała udawać, że sytuacja nie jest dla niej niczym nadzwyczajnym. Że nie czuje drżenia, że nie jest bliska omdlenia z emocji. – Kompromitacja teoretyczna lub, inaczej mówiąc, pozorne zszarganie niewieściej czci to całkiem prosta sprawa – ciągnęła, przybierając belferski ton. – Rozpuścisz plotki o mojej rozwiązłości. Ja potwierdzę te pogłoski, czym uwolnię cię od wszelkiej odpowiedzialności, i skończy się tym, że będę skompromitowana. A ty będziesz mógł dalej wspinać się po treliach do okien londyńskich wdów i żon łaknących przygód.

Bestia prychnęła cicho.

– Dlaczego, u licha, nie chcesz zawojować socjety? Czy nie tego chce każda dobrze wychowana panna z towarzystwa? Czy nie powinnaś być mi wdzięczna?

Skóra jej płonęła pod spojrzeniem jego granatowych oczu, jakby pościel ogrzewała szkadela.

– Wyobrażam sobie, że mogłabyś okazać mi wdzięczność na kilka sposobów, skoro już tu jesteś.

Thea zapiszczała, bo obcesowo chwycił ją swoimi dużymi rękami za biodra i przygniótł mocniej całym ciałem.

Boże miłościwy! Może tak wyglądają rozstajne drogi, o których rozmyślała. Prowadzą

wprost do prawdziwej kompromitacji.

– Nie pojmujesz, co mówię, mości księżę – oznajmiła, coraz bardziej zdesperowana. – Zamierzałam zaliczyć jeszcze jeden nieudany sezon, aby moja rodzina w końcu zaakceptowała porażkę, porzuciła nadzieję na moje zamażpójście i pozwoliła mi wrócić do Irlandii, gdzie mieszkałabym w spokoju z ciotką. – Zamknęła oczy i w wyobraźni od razu ujrzała ukochaną pulchną twarz cioci Emmy. Jej odzienie zawsze pachniało miodem koniczynowym i dymem z paleniska. – W Irlandii czułam się użyteczna. Miałam zupełnie inny cel, niż wabić arystokratów pozbawionych zasad. Pomagałam ciotce przy pszczołach. I przy wyrobie jej słynnych marmolad. Byłam wolna od społecznych konwenansów. Och, ty nie zrozumiesz!

– Wolisz być żądlona przez pszczoły, niż wydać się za mąż. Rozumiem doskonale.

Otworzyła gwałtownie oczy. Nieważne, że po raz pierwszy zetknęła się w intymny sposób z mężczyzną, którym na dodatek był okryty złą sławą największy rozpustnik Londynu. Nieważne, że sływał z zatwardziałego serca i frywolności.

On rozumiał.

Zaskoczona posłała mu uśmiech.

– No właśnie – powiedziała. – Jestem gotowa na wszystko, żeby uniknąć knoń mojej rodziny. Nie chcę wychodzić za mąż.

Wsparł się na łokciu i popatrzył na nią zaintrygowany.

– Naprawdę nie pragniesz mieć arystokraty za męża, bezpiecznego, obwarowanego życia i tuzina sług spełniających każdy twój kaprys? Nie potrzebujesz francuskich perfum ani naszyjników z brylantów?

– Och, nigdy nie pragnęłam brylantów, mości księżę. – Thea westchnęła. – Moja matka ma całe stosy zimnych, nieczułych brylantów, a jednak z całą pewnością nie naprawiły jej małżeństwa. Ani jej nie uszczęśliwiły.

Wsparł ogromną kwadratową szczękę na rękę, odsłaniając stronę naznaczoną świeżą raną.

Znów zaczęła się zastanawiać, w jakich okolicznościach otrzymał to cięcie. Miało dokładnie taki sam kolor jak czerwona skamielina wisząca na jego szyi.

– Opływająca w dostatek wysoko urodzona młoda dama, która nie szuka idealnej partii. – Pokręcił głową. – Nie, to wciąż nie układa się w żadną sensowną całość. Przykro mi, że nie przypadły ci do gustu konsekwencje moich poczynań, ale w swoim prostackim umyśle byłem przekonany, że wyświadczam ci ogromną przysługę.

Pchnęła go w pierś, usiłując się uwolnić.

– Dzięki przysłudze, którą mi podobno wyświadczyłeś, moja babka oświadczyła, że od jutra rana mam zamieszkać pod jej ścisłym nadzorem, a celem tego wszystkiego jest przyjęcie oświadczyn księcia Foxford lub markiza Marwood. Wolałabym umrzeć, niż wyjść za któregoś z nich.

Osborne milczał przez chwilę.

– Chodzi o Foxforda? – mruknął. Sturlał się z Thei jednym płynnym ruchem i wyskoczył z łoża. Chwytał pogrzebacz i dźgnął polana w kominku. – Nie pozwolę, aby poślubił cię ten stary obleśny lubieżnik.

Widok księcia stojącego przed kominkiem w blasku tańczących płomieni i ogłaszającego swój sprzeciw podziałał na nią piorunująco.

Miał na sobie tylko skrawek płótna. A ten skrawek wydawał się za mały, aby w pełni ukryć niektóre części jego ciała.

Części, które chętnie ujrzałyby w pełnej odsłonie.

Thea usiadła tak gwałtownie, że zakręciło się jej w głowie. Co się z nią działo? Nigdy

dotąd nie miała takich myśli.

Poprawiła gorset, wygładziła spódnicę i zsunęła nogi z wysokiego łóżka. Następnie zeskoczyła, jakimś cudem unikając upadku na twarz.

Małe zwycięstwo.

Odnalazła swoje buty.

– Po to właśnie tutaj przyszedłam – powiedziała. – Aby Foxford wypuścił mnie ze swoich łapsk jak gorący kartofel. Czy teraz zgodzisz się teoretycznie mnie skompromitować?

Książę dźgał z zapamiętaniem nadpalone polano, aż pomarańczowe iskry strzeliły w górę.

– Nie zamierzam cię kompromitować – odrzekł. – Ani teoretycznie, ani w żaden inny sposób.

Odłożył pogrzebacz i z oparcia fotela chwycił szlafrok z zielonego jedwabiu.

Kiedy zakrył nim muskularny tułów i zawiązał szarfę na biodrach, Thea z największym trudem zdusiła w sobie westchnienie zawodu.

– Skoro nie chcesz tego zrobić, musisz mi zapewnić bezpieczny rejs do Irlandii. Najlepiej jeszcze dziś. Nie zgodzę się mieszkać z babką. – Wzięła się pod boki. – I odmawiam wyjścia za Foxforda!

*

Niewzruszona wytrzymała jego spojrzenie. Jej szaroniebieskie oczy wydawały się twarde jak stal.

Dalton miał wrażenie, że właśnie został wyzwany na pojedynek.

„Książę Osborne. W twojej sypialni. Wpół do dwunastej. Do ciebie należy wybór broni”.

I on miał tę kobietę za delikatną i kruchą istotę.

Pomylił się srodze. Być może wydawała się zwiewna jak jedwab, ale miała taki sam twardy kręgosłup jak jej matka.

– Lady Dorotheo, najwyraźniej cierpisz na złudzenia spowodowane ostatnimi wypadkami – powiedział. Podszedł do kredensu i nalał sobie brandy. – Nie ma mowy, abym cię skompromitował, pozornie lub jakkolwiek inaczej, podobnie jak nie ma mowy, abym umożliwił ci ucieczkę do Irlandii. Nie wiedziałem, że nie chcesz znaleźć męża. Powtarzam, wierzyłem święcie, że wyświadczam ci dużą uprzejmość.

– Ach tak, raczywszy ze mną zatańczyć? Przystojny książę powodowany litością poprosił do tańca niemającą wzięcia hrabiankę, aby uchronić ją od staropanieństwa. I zarazem uwolnić się od jej natręctwa. – Zadarła głowę. – Wiedz zatem, że nie chcę twojej litości. Chcę tylko decydować o sobie, żyć w spokoju z dala od apodyktycznych babć i sprośnych starych arystokratów. A ty pomożesz mi spełnić to marzenie.

„Do pierwszej krwi lub śmierci. Idziecie dziesięć kroków i celujecie z pistoletów”.

Dalton przeczesał włosy dłonią.

Lady Dorothea wprawiła go w największe zdumienie.

A tego niełatwo było dokonać.

Gdzieś w głębi ducha przekomarzanie się z tą dziewczyną sprawiało mu o wiele większą przyjemność niż rutynowe zabiegi, aby zdobyć panią Renwick.

Lecz miał na głowie znacznie poważniejsze problemy niż szukanie sposobów, aby pomóc niezależnym hrabiankom osiągnąć staropanieństwo.

Choć było mało prawdopodobne, aby lady Dorothea kiedykolwiek została stuprocentową starą panną.

Psiakrew, w blasku świec wyglądała zjawiskowo.

Te wszystkie maślane loki wijące się aż do ramion. Nabierał coraz większego apetytu.

Czy w ogóle zjadł kolację?
Nie powinien był wypić aż tyle, ale trunek złagodził ból w ramieniu.
„Ona też byłaby dobrym sposobem na złagodzenie bólu”.
„Niech to diabli, brandy przeze mnie przemawia”.
– Mości książę, próbujesz zagłuszyć ból piciem – powiedziała. – Może raz w życiu powinieneś otwarcie się z nim skonfrontować.
– Nic o mnie nie wiesz – warknął.
Czy naprawdę stał tutaj ubrany w skrawek płótna i sprzeczał się ze złością z hrabiowskim tytułem?
Zacisnął mocniej szarfę od szlafroka.
– Nasza rozmowa skończona – oznajmił.
Odwrócił się na pięcie i zrobił trzy kroki.
Puk, puk w ramię.
„No nie, poważnie?”
Spojrzał do tyłu.
– Co znowu?
– Dwa słowa, mości książę.
„Hm, dwa słowa. Jakie?
Pewnie »Posiądź mnie«.
Nie, małe na to szanse.
Prędeż »Jestem zbzikowana«”.
Wyprężyła się na palcach i przyłożyła mu drobną dłoń do piersi, aby zachować równowagę.
Jedwabiste loki połaskotały go w podbródek, a zapach róż omotał mu umysł.
Delikatny, kwietny.
„Obłąd”.
W jej szeroko otwartych szaroniebieskich oczach zobaczył stanowczość.
– Żądam satysfakcji – powiedziała.
Określona część jego ciała znajdująca się poniżej węzła na pasku zareagowała ochoczo na te słowa.
„Dziewczyna chce, aby ją zadowolić!”
Wskazał palcem drzwi.
– Precz!
Uniosła butnie głowę i spojrzała mu prosto w oczy.
– Nie wyjdę, póki się nie zgodzisz – odparła.
Rozległo się pukanie i w środku pojawił się Con. Dalton dostrzegł jego przejętą minę, więc natychmiast podszedł do niego.
– Co jest? – spytał półgłosem, aby młoda dama nie usłyszała.
Irlandczyk zerknął nad jego ramieniem.
– Chodzi o Trenta – odparł szeptem. – Wypytywał o ciebie w klubie. Mówił, że zamierza złożyć ci wizytę. Być może jeszcze dzisiaj wieczoru.
– Niech to szlag!
Dalton nie mógł pozwolić, aby Trent zobaczył jego zranioną twarz, a zarazem nie zamierzał się chować jak szczur w norze.
W ułamku sekundy podjął decyzję. Lepiej ruszać w drogę, aby uniknąć groźby zdemaskowania.
– Wyjeżdżamy natychmiast – oznajmił. – Dziś. Nie mogę ryzykować, że zostanę

wykryty.

Con kiwnął głową.

– Powóz jest gotów – powiedział.

– Powóz? – odezwał się z tyłu cichy głos. – Dokąd to?

Dalton odwrócił się gwałtownie. Lady Dorothea podkrađła się za jego plecami. Nadawała słowu „wścibskość” nowy, złowrogi odcień znaczeniowy.

– To nie twoja...

– Jak to, ptaszyno, jego książećca mość ci nie powiedział? – spytał Con, ignorując rozpaczliwe gesty, którymi usiłował uciszyć go Dalton. – Wyruszamy ku zielonym wybrzeżom Irlandii!

Dalton jęknął.

„Dlaczego nie zwolniłem wcześniej tego nicponia ze służby?”

Oczy dziewczyny zapłonęły żywym ogniem.

– Wyruszacie do Irlandii? Mości książe, słowem mi o tym nie wspomniałeś. Dlaczego? I dlaczego się tam wybierasz? Do Balfry House?

Zbyt wiele pytań.

– Con, bądź łaskaw odprowadzić lady Dorotheę do wyjścia.

– Kto chce cię dopaść? – wypaliła, nie dając za wygraną. – Zazdrosny mąż?

– Otóż to – odparł. – Zazdrosny mąż. Bardzo niebezpieczny jegomość. Narwaniec, jakich mało. Musisz zmykać. Już.

Próbował zagnać ją do drzwi.

– Ale dlaczego akurat do Irlandii? – spytała.

– Z powodu... – zawahał się, szukając właściwej odpowiedzi w umyśle zmaconym brandy i obecnością tej dziewczyny – pewnej wdowy – dopowiedział triumfalnym tonem. To powinno ją wypłoszyć, skłonić do powrotu pod skrzydła mamusi. – Bardzo nadobna i samotna kobieta o płomiennie rudych włosach i szmaragdowych oczach. Usycha z tęsknoty za mną. Nie ma chwili, aby o mnie nie myślała. Biedactwo.

Zmrużyła oczy.

– Usycha z tęsknoty za tobą po drugiej stronie morza?

– Jej obrośnięty dziką różą treliaż wypatruje mojej wspinaczki.

Z boku dobiegł zdławiony rechot. Con przysłuchiwał się rozmowie z wyrazem rozbawienia na twarzy, jakby patrzył na występ klaunów.

Lady Dorothea ruszyła do przodu, aż jej oczy znalazły się o cal od podbródka Daltona.

– Zabierz mnie ze sobą – powiedziała. – Winienes mi pomoc w ucieczce, skoro nie chcesz naprawić zła, które wyrządziłeś.

– Do kroćset, nic ci nie jestem winien – odrzekł.

Chwycił jej płaszcz i zarzucił go jej na ramiona.

Wyprężyła się, napinając całe filigranowe, apetycznie zaokrąglone ciało, a w jej oczach zapłonął wściekły niebieski ogień, jakby ktoś uruchomił palnik gazowy.

– Odmawiasz naprawienia krzywdy i nie chcesz mnie zabrać do Irlandii! – krzyknęła. – Dobrze więc. Nie będzie to łatwe, ale jeszcze dziś sama znajdę sposób, aby się tam dostać.

„Ona chyba nie mówi poważnie?”

– Jakim sumptem? – spytał. – I jakim sposobem?

– Mam trochę drobnych w portmonetce. – Z kieszeni płaszczki wyciągnęła małą aksamitną sakiewkę. – Wykupię miejsce w dylizansie pocztowym. Jestem pewna, że co najmniej jeden odjeżdża w ciągu kilku godzin.

Dylizans pocztowy? To niemożliwe! Jest zbyt piękna i niewinna, aby podróżować

dylizanssem.

Ponadto nazbyt ufna. Na miłość boską, przecież siedziała okrakiem na jego nagim torsie. Ta panna najwyraźniej nie miała bladego pojęcia o niebezpieczeństwach czyhających na damy wpełzające do łóżka bałamutników.

Po drodze byliby rozbójnicy, rabusie, rzezimieszki, wszyscy czekający na naiwne młode dziedziczki o oczach głębokich jak ocean.

– Nie możesz podróżować dylizanssem pocztowym – powiedział Dalton. – Mając... – urwał i wskazał bezradnym gestem jej pyszne loki. – I jeszcze to... – dodał, zerkając na jej pełne różowe wargi.

Najwyraźniej stracił zdolność do wypowiedzania pełnych zdań.

Con prychnął.

– W rzeczy samej, księciuniu – rzekł. – Panna nie może jechać dylizanssem. Byłaby celem różnych zakusów.

Teraz Dalton poczuł się tak, jakby był tarczą strzelniczą. A lady Dorothea trafiła w sam jej środek. Prosto w jego sumienie, choć nawet nie wiedział, że coś takiego posiada.

Każda kolejna chwila stracona na czcze spory zwiększała groźbę, że nagle w progu pojawi się Trent, aby zadać pytania i żądać wyjaśnień.

Wojownik nigdy nie unika walki. A jednak ociąganie się oznaczało, że Dalton może stracić wszystko.

Wyglądało na to, że rzecz sprowadza się do następującego wyboru: Dalton stawi czoło Trentowi albo wyruszy do Irlandii w towarzystwie lady Dorothei. Ją przynajmniej łatwiej w razie czego obezwładnić. Ponadto nie odkryje jego tajemnicy. Nie ma pojęcia, że Dalton jest kimkolwiek innym niż beztroskim, oddanym przyjemnościom i hazardowi hulaką, za jakiego ma go cała socjeta.

Con mrugnął okiem do dziewczyny.

– Mamy mnóstwo wolnego miejsca w naszej dormezie, dobrze mówię, księciuniu?

Thea spojrzała na niego z ukosa. Nigdy dotąd nie spotkała tak pyskatego, bezczelnego i niesubordynowanego lokaja.

– Do Bristolu tylko dwadzieścia godzin – powiedziała, nie ustając w nakłanianiu Daltona, aby zabrał ją ze sobą.

„Niech to diabli porwą”.

Będzie tego żałował. Otworzył usta, aby niechętnie wyrazić zgodę, lecz ta niesforna dziewczyna nawet nie dopuściła go do głosu.

– Jeśli nie pomożesz mi w ucieczce, to... to... – Zacisnęła drobne dłonie w pięści, które nie odcisnęłyby śladu nawet w mięszu dojrzałego melona. – To będę sterceć przed twoim domem i każdemu przechodniowi opowiem, że uciekłeś gościńcem do Bristolu.

„Matko Przenajświętsza”.

Dalton walnął pięścią w kredens, aż zatrząsnęły się kieliszki do brandy.

– Hrabianko Dorotheo, jesteś zarazą i pomorem w jednej osobie – powiedział.

– A więc mnie zabierasz! – zakrzyknęła. Rozciągnęła usta w najpiękniejszym uśmiechu. – Tysiąckrotne dzięki, mości książę.

Con prychnął.

– Nie ma za co – odrzekł. – Księciuniu nigdy nie opuściłby damy w potrzebie. – Wykonał głęboki szarmancki ukłon. Dalton nie miał nawet pojęcia, że jego lokaj jest zdolny do tak dwornych zachowań. – Powóz czeka, milady – dodał z nosowym akcentem, jak najdalszym od jego codziennego irlandzkiego zaśpiewu.

– Dziękuję – odparła, unosząc kraj sukni i płaszcza, aby ruszyć płynnym krokiem po

dywanie do drzwi. Wyglądała w każdym calu tak władczo jak jej onieśmielająca matka. Zatrzymała się nagle i spojrzała na Daltona. – Pójdę do powozu za twoim służącym, jeśli nie masz nic przeciwko, mości książe. Ufam, że musisz się zająć własną osobą. Najpierw tym. – Machnęła ręką w jego stronę, mając na myśli szramę. – Potem tym. – Spojrzała drwiąco na jego gołe nogi wystające spod szlafroka.

Wyszli we dwoje z salonu, spiskowcy, którzy zawiązali sprzysiężenie, aby wtrącić Daltona w obłąd.

Pozostał sam. Prychał bezradnie z gniewu, ściskając kieliszek z niedopitą brandy i przeklinając siebie w duchu za to, że jest skończonym głupcem. Dopił resztkę trunku jednym gwałtownym haustem, który podziałał krzepiąco.

Co się stało przed chwilą? Czy naprawdę przystał na to, że będzie eskortował niewinną młodą damę aż do Irlandii? A wszystko z powodu popełnienia niewybaczalnej zbrodni, jaką było zaproszenie jej do tańca?

To nie miało sensu. Najmniejszego.

Potoczył żalonym wzrokiem po swojej sypialni. Sam musiał zebrać swoje rzeczy na drogę, bo Con był jego jedynym służącym.

Czego potrzebował? Ze wszech miar nieksiążęcego odzienia, bo zamierzał podróżować incognito. Noży. I pistoletu.

A czego nie potrzebował: na pewno towarzystwa nazbyt inteligentnej panny zbiegłej z domu, myślącej obsesyjnie o doprowadzeniu do własnej kompromitacji.

Trudno było zaprzeczyć, że nie zdołał uwolnić się od lady Dorothei.

Mało tego, uczepiła się go jeszcze bardziej.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 6

Thea ruszyła przez stajnię śladem nietypowego lokaja księcia Osborne, dygocząc z wilgotnego zimna.

Oto była, gotowa do ucieczki pod osłoną nocy, aby uniknąć przymusowego małżeństwa, a wszystko przez jeden uwodzicielski uśmiech na sali balowej, któremu nie mogła się oprzeć.

Gdyby nie zatańczyła z księciem, wciąż byłaby pośmiewiskiem towarzystwa.

I spełniłby się jej zamiar, aby odbębnić kolejny sezon z innymi pannami na wydaniu i po cichu wyjechać do Irlandii.

Teraz nie miała nawet czasu, aby zaplanować ucieczkę. A przecież chciała zabrać ze sobą różne przedmioty.

Na przykład skrzynie książek dla swojej młodej przyjaciółki Molly, córki dzierżawcy jednej z sąsiednich posiadłości, zapalanej czytelniczki, której nie było stać na zakup księgozbioru. Zadzierzgnęły niecodzienną przyjaźń, gdy Thea przebywała w Irlandii. Książki chroniły Molly przed popadaniem w kłopoty. Była dziewczyną, która napytałaby sobie biedy, gdyby nie miała stale zajętego umysłu.

No trudno. Książki można kupić w Dublinie. Ponadto była książęca biblioteka w Balfry House. Ogromna sala pod niebosiężnym sufitem, kryjąca zapierające dech w piersiach rzędy książek oprawionych w skórę.

„Lecz najpierw obrazy... dopiero potem księgi”, pomyślała Thea z uśmiechem.

Żadnych „ale”. Wyraźnie sprecyzowała swoje cele.

Musi go okiełznać. Narzucić mu swoją wolę.

Musi.

Zerknęła przez ramię w kierunku domu, w którym jej matka spała samotnie w wielkim łóżku, śniąc o tym, że córka wreszcie zostanie księżną.

Thea była dziedziczką, której przyobiecano sporą część rodowego majątku po wyjściu za mąż. Nie wyobrażała sobie, aby jej nagły wyjazd do Irlandii skończył się czymkolwiek innym niż wydziedziczeniem. Być może jej noga nigdy więcej nie postanie w londyńskiej rezydencji ojca.

– Milady, chyba nie zamierzasz się rozmyślić? – spytał niezwykle lokaj księcia Osborne, zauważywszy jej spojrzenie.

– W żadnym razie.

Naciągnąwszy szczelniej płaszcz na siebie, ruszyła za człapiącą roślą postacią.

Ta ucieczka zostanie odebrana jako ostateczna zdrada interesów rodziny.

To będzie gorsze niż całe lata nieudanych występów w salach balowych i na podwieczorkach.

Gorsze niż wyznanie prawdy księciu Harland tamtego dnia w kościele.

Lecz życie pod dławiącym nadzorem babki i wyjście za mąż za para wybranego z uwagi na jego rangę i majątność, z pogwałceniem zwykłej ludzkiej przyzwoitości, nie wchodziło już w rachubę.

Thea czuła, że jej niekonwencjonalna przyrodnia siostra zrozumiałaby tę decyzję. Nie pierwszy już raz żałowała, że nie może z nią porozmawiać, zasięgnąć jej rady. Nie mogła, bo Charlene przebywała w Surrey z mężem i nowo narodzonym synkiem.

Prowadzili manufakturę kakao. Podobno liczba tamtejszych pracowników podwoiła się, bo fabryka służyła także za schronisko dla bezdomnych młodych kobiet. Podobno dziewczęta uczyły się sztuki samoobrony, aby nie paść ofiarą męskich zapędów.

Być może Thei przydałyby się podobne lekcje... skoro miała już na zawsze zamieszkać u ciotki w Irlandii. Jeśli Bóg da, pewnego dnia pojedzie w odwiedziny do Charlene. A gdyby mimo wszystko odziedziczyła spadek po rodzicach, sama chętnie oddałaby się działalności filantropijnej.

– Jak masz na imię? – spytała księżęcego lokaja, gdy zbliżyli się do powozu.

– Wszyscy wołają mnie Con, milady.

– Jestem twoją dłużniczką, Con. Dziękuję.

Być może ten człowiek był obcesowy, nietaktowny i pozbawiony manier, lecz gdyby nie on, zostałaby wyrzucona na ulicę przez Osborne'a. Thea uznała, że powinna być mu wdzięczna do grobowej deski za okazaną pomoc.

Skinął głową, a wtedy koniec siwiejącej rudej brody zniknął pod postawionym kołnierzem płaszcza.

– Nie dziękuj mi – odparł. – Potrzebowałam możliwości ucieczki. A my akurat zmykamy w tę samą stronę.

Latarnie przymocowane po obu stronach przednich okienek opływowego czarnego powozu roztaczały w mroku żółtą poświatę.

Thea złowiła spojrzenie Cona.

– Jego księżęca mość dał wyraźnie do zrozumienia, że nie jestem mile widziana.

Irlandczyk chwycił ręką mosiężną klamkę.

– Nie zwracaj uwagi na jego utyskiwania – poradził. – Ma twardą skorupę jak orzech, ot co. Potrzebuje porządnego łupnięcia. I porządnego...

– Sługi, który będzie wykonywał polecenia – dopowiedział dudniący bas, który przeraził Theę tak bardzo, że serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. Zza powozu wyszedł księżę Osborne. – Tego potrzebuje w pierwszej kolejności.

Dwaj mężczyźni zmierzili się wyzywającym wzrokiem, co sugerowało, że często dochodziło między nimi do spięć i nigdy nie było wiadomo, który z nich wyjdzie zwycięsko z takiego starcia.

Con dał Thei do zrozumienia, że w głębi ducha księżę jest wrażliwym i dobrym człowiekiem.

Czy to możliwe?

W blasku lamp twarz Osborne'a składała się z ostrych kątów i złowrogich cieni, jakby uroczy dołek w podbródku przyfrunął z innego oblicza i zapomniał drogi do domu.

Odzienie miał tak samo posępne jak minę.

Wysokie czarne buty, ciemnobrazowe spodnie, czarne palto i niski czarny cylinder o pogiętym rondzie. Wszystko wyborne, najprzedniejszej jakości, ale zakurzone, niewymuskane, zupełnie niepodobne do jego stroju balowego.

Thea zauważyła, że na drzwiach powozu nie ma herbu rodu Osborne.

Być może nierzucające się w oczy odzienie i nieoznakowany powóz pozwalały mu podróżować incognito, aby uniknąć spotkania z zięjącymi żądzą zemsty mężami jego kochanek.

A takich zapewne było na pęczki.

Wszyscy wiedzieli, że kolekcjonował kobiety, jakby chciał nimi zapełnić wszystkie muzea Londynu.

– Lady Dorotheo, to twoja ostatnia szansa, aby się rozmyślić – powiedział księżę i chlasnął się w otwartą dłoń parą skórzanych rękawic do jazdy konnej. – Każę stajennemu odeskortować cię bezpiecznie do domu, do twojej troskliwej matki i miękkiego łóżka.

„Mojej matki nie nazwałabym troskliwą”.

Tym bardziej gdy córka okazała się tak wielkim rozczarowaniem.

Postanowiła, że nie da się zastraszyć tym patrzącym drwiąco oczom w kolorze nocnego nieba.

A już na pewno nie pozwoli, aby to Osborne podejmował za nią decyzje dotyczące jej życia.

Wyprostowała ramiona.

– Obawiam się, mości książe, że będziesz miał mnie za towarzyszkę w tej podróży.

– A ja obawiałem się, że właśnie to usłyszę z twoich ust. – Zgniół rękawice w zaciśniętej pięści. – Zatem w drogę. Nie ma czasu do stracenia.

Con wysunął usłużnie rękę.

– Proszę do środka, milady – powiedział.

Thea postawiła stopę na schodku, żeby wsiąść, lecz nagle zorientowała się, że tam, gdzie powinna być podłoga, było...

– Łóżko?! – zakrzyknęła zdumiona, patrząc na jedwabne poduszki w kremowo-niebieskie paski ułożone zachęcająco na lekko pochyłej drewnianej powierzchni. – Prawdziwe łóżko.

Zachwiała się na najwyższym schodku, niepewna, co powinna zrobić. Położyć się w sypialnym powozie razem z księciem?

„To wszystko jest niestosowne – upomniała siebie w duchu. – Ale świat stosowności pozostał daleko w tyle”.

– O co znowu chodzi? – spytał książe poirytowanym tonem.

Za jej plecami zamajaczyła jego ogromna postać. Nachylił się, aby zajrzeć do środka.

– Wsiadamy, milady – powiedział Con i podawszy jej rękę, pociągnął bezceremonialnie, aż straciła równowagę i klapnęła na poduszki. – Doprawdy, czy te dormezy nie są pomyslowym wynalazkiem? – Postukał w ścianę powozu. – Rozkładane ściany do podróżowania nocną porą.

Choć bujne bokobrody zasłaniały część twarzy, Thea przysięgłaby, że zobaczyła podstępny uśmiech na ustach sługi.

Książe przyglądał się Thei, gdy poprawiała czepek i wygładzała spódnicę po mało zręcznym wejściu do powozu.

Nagle się cofnął.

– Ustaw z powrotem siedzenia – warknął do lokaja.

– Za późno, nie ma czasu. Musimy ruszać natychmiast.

– W takim razie będę jechał na koźle.

– Nie możesz. Ktoś mógłby cię rozpoznać.

Książe zaklął pod nosem i wskoczył do powozu, lądując obok Thei z łomotem, od którego zdrząła cała drewniano-stalowa konstrukcja.

Con mrugnął okiem i zatrzasnął drzwiczki.

Głęboka bruzda na czole świadczyła o tym, że Osborne nie jest w nastroju do dalszych przekomarzań.

Wyglądał jak chmura gradowa. Z której za chwilę bił będzie nie tylko grad, lecz także pioruny.

Nic jednak nie mogło zmącić radosnego przypływu nadziei w sercu dziewczyny, gdy konie ruszyły truchtem i koła powozu zaczęły się obracać.

Jazda, w drogę z powrotem do Ballybrack Cottage!

Gdzie ciszę mąciło tylko bzyczenie pszczoł mieszkających w ciocinych wyplatanych ulach, a na kuchni bulgotała w rondlach marmolada z pomarańczy i miodu, nasycając powietrze cudownym aromatem.

Thea zmarnowała już dość czasu na starania, aby być idealną damą, a potem, wskutek niepowodzeń, na potępienie samej siebie. W Irlandii będzie miała swobodę, aby postanowić, kim

chce być, a nie spełniać oczekiwania matki i babki.

W dodatku wiedziała już, że pragnie być kobietą niedoskonałą, z wadami – jak cierpka marmolada z pomarańczy z zaledwie paroma kroplami miodu, aby złagodzić gorycz skórki.

Jak najdostojniej usadowiła się na poduszkach, okrywając nogi kraciatym czerwonym pledem. Potem zdjęła czepek.

Książę rozłożył się wygodnie na poduszkach i wyciągnął długie nogi, którymi sięgał do pustego przedziału bagażowego.

Pod wpływem kołysania powozu toczącego się po ulicach miasta zaczęli przesuwac się ku sobie, więc Thea musiała uchwycić się zasłonek, aby nie wturlać mu się w objęcia.

Wciąż mógł podjąć decyzję, aby wyrzucić ją na bruk.

Najlepiej dać mu trochę spokoju, przynajmniej do chwili, gdy opuszczą Londyn. A potem będzie mogła na nowo podjąć kampanię namów i zaklinań, aby zgodził się wyeksponować kolekcję.

Thea była pewna, że na poddaszu znajduje się jeszcze jeden obraz pędzla Artemisii.

Zaginione genialne dzieło.

Obraz tak wzruszający i piękny, że historycy sztuki musieliby przyznać tej wspaniałej artystce należne jej miejsce w dziejach malarstwa.

A gdyby okazało się, że obraz ten jest autoportretem, wówczas Thea – w pewnym sensie – poznałaby osobiście swoją ulubioną malarkę.

Miała dwa dni, aby skłonić księcia do zmiany postanowienia – dzień drogi powozem do Bristolu, następnie dzień na pokładzie statku płynącego do Irlandii. Miała nadzieję, że nakłoni go przynajmniej do tego, aby na własne oczy obejrzał *Śpiącą Wenus*. Wtedy być może zmieknie.

Dość czasu, aby przełamać jego opory.

Dwa dni muszą wystarczyć, bo więcej nie miała.

Zerknęła na niego kątem oka. Już na sali balowej jego obecność była przytłaczająca.

W ciasnej przestrzeni wydawał się kolosem.

Thea zadrżała.

– Zimno ci?

W półmroku zobaczyła jego spojrzenie spod przymrużonych powiek.

– Odrobinę – odparła. Naciągnęła wyżej koc. – Rozmyślałam o twoim służącym, mości książę. Jest dość... szczególnym człowiekiem.

– Określiłbym to inaczej. – Osborne zapatrzył się przez okno, najwyraźniej wyobrażając sobie, że skazuje Cona na powolne okrutne tortury. – Lubi dokazywać.

– Czy odebrał odpowiednie nauki, aby być kamerdynerem?

– Nie ma w nim nic z kamerdynera. Sądziłem, że zdążyłaś to dostrzec.

– Skąd się wziął?

– On... – Przysunął się bliżej i wsparł na łokciu. – To nie powinno cię interesować.

– Rozumiem, że nie mogę mieć nadziei, że zrozumiesz, mości książę, powody mojego postępowania. Że zrozumiesz, dlaczego muszę uciekać z Londynu. Dlaczego nie chcę poddać się woli babki i wyjść za mężczyznę, którego wybrała dla mnie moja rodzina.

– Sądziłem, że to wszystko po to, aby mi się naprzykrzać.

Nawet cienia uśmiechu. Gdzie się podział ten jego słynny urok? Mógłby przynajmniej udawać szarmanckość, aby Thea poczuła się lepiej.

– To nie moja wina, że znalazłam się w tym powozie – powiedziała, nie mogąc pohamować oskarżycielskiego tonu.

Ten mężczyzna chyba czuje, jakie to dla niej trudne?

– Nie twoja wina? – Prychnął niedowierzająco. – Nie twoja? A kto zakradł się dziś do

mojego łóżka i zaczął deptać po mnie? Kto szantażem wdarł się do tego powozu?

„Oddychaj miarowo i uśmiechaj się słodko. Damy nigdy nie tracą opanowania – usłyszała słowa matki. – Jeśli ulegasz uczuciu gniewu, nie daj tego po sobie poznać. Zachowaj spokój na twarzy”.

– No dobrze, mości księżę, ale kto pokrzyżował wszystkie moje plany? – spytała lekkim tonem. – Przez kogo mój dom zapełnił się kwiatami od starych lubieżników?

– Idę o zakład, że wśród tych kwiatów trafiły się również róże od bardziej pociągających adoratorów – odpowiedział. – Mogłaś wybrać któregoś spośród nich.

– Moja babka uparła się na Foxforda albo Marwooda. A to żaden wybór.

Popatrzył na nią przez dłuższą chwilę, a jego włosy mieniły się miedzią w blasku mijanych latarni ulicznych.

– Działasz pod wpływem gwałtownego impulsu – stwierdził. – Będiesz tego żałowała, kiedy upłynie trochę czasu.

Wypowiedział te słowa, jakby był jej ojcem, a przecież nie miał jeszcze trzydziestu lat.

– A więc uważasz, mości księżę, że nie umiem podjąć właściwej decyzji?

– Uważam po prostu, że nie przemyślałaś następstw.

Ech, tuzinkowy mężczyzna, mający wyrobione zdanie na każdy temat i nieumiejący słuchać.

Jej ojciec był taki sam. Od czasu do czasu twardym głosem wydawał polecenia, aby podreperować swoje ego, choć wszyscy wiedzieli, że londyńską rezydencją rodu i wszystkimi jego sprawami kierowała jego apodyktyczna matka.

– Dlaczego nie mogę swobodnie decydować o własnym losie? – spytała Thea. – Jeśli postanowię zostać starą panną, to trudno, żaden księżę mnie od tego nie odwiedzie.

Na jego ustach zamajaczył uśmiech.

– Lady Dorotheo, ty z całą pewnością nie zostaniesz starą panną. – Popatrzył na jej twarz. – Nie jesteś stworzona do tej roli. – Omiótł spojrzeniem całą jej postać, jakby potrafił zajrzeć pod koc. – Możesz mi wierzyć.

Mój Boże. Znowu ten zniewalający uśmiech, przez który to wszystko się wydarzyło.

– Po prostu nie pasuję do twojego wyobrażenia – ciągnęła uparcie. – Nie kładę uszu po sobie, nie można mnie wstawić do alkowy, a potem o mnie zapomnieć.

– Alkowy... – Uśmiechnął się. – Lubię alkowy.

Gołymi palcami przesunął po brzegu koca, zaledwie kilka cali od jej ramienia.

Jego uśmiech rozpałał w niej ciepło, które chroniło przed zimnem lepiej niż wełniany pled.

Thea sama już nie wiedziała, czy w głowie mąci się jej bardziej, gdy księżę patrzy na nią chmurnym wzrokiem, czy też gdy się uśmiecha.

W tej samej chwili koła powozu podskoczyły na wyboju, a ona straciła równowagę i wypuściwszy zasłonkę z dłoni, wpadła z impetem na księcia, niewzruszonego niczym głaz.

To przecież nie jej wina, że powóz rzuca nią na boki, prawda?

Objął ją silnymi ramionami i przycisnął do klatki piersiowej.

– Na miłość boską... – szepnęła.

– Nic się nie stało?

– Nie, nic mi nie jest – skłamała.

Ta bliskość była jak żywiołowa siła, która przetoczyła się po jej szańcach obronnych. Thea zapragnęła wsunąć dłonie pod jego surdut, pod wszystkie warstwy wełny i płótna, odnaleźć to umięśnione ciało, które kryło się głębiej.

„Dorotheo Beaumont. Opanuj się natychmiast. Dobrze wychowane damy nigdy nie mają

sprośnych myśli”.

Może po prostu pragnęła, aby wziął ją w ramiona? Pragnęła, aby ją uspokoił, że choć czeka ją trudna wędrówka, nie będzie musiała odbywać jej w pojedynkę.

Niedorzeczność.

Osborne zgodził się zabrać ją ze sobą – ale wbrew swojej woli. Zabrać i nic więcej.

– Tak się składa, mości księżę, że spędzamy razem sporo czasu w łóżku. A przecież ledwo się znamy.

Roześmiała się nerwowo, bo chciała rozładować napięcie i zdławić w sobie pragnienie bliskości.

Pragnienie, aby ją całował.

– Za niespełna dwie godziny będziemy w Hounslow – odparł Osborne gburowatym tonem. – Wtedy każę postawić w powozie siedzenia.

„Och nie, nie rób tego”.

O mało nie wypowiedziała tych słów na głos.

Powóz znowu podskoczył i księżę objął ją mocniej.

Pod wpływem jego nieodpartego uroku nawet najcnotliwsza dama miałaby nieprzyzwoite myśli. Świerzbiące palce. Złaknione ciało.

„Przestań w tej chwili. Prawdziwa dama nigdy nie ma... Nie poddaje się pokusie, aby...”

Dlaczego jednak uważa się, że mężczyźni mogą, a nawet powinni działać pod wpływem impulsu, a kobietom odmawia się tego przywileju?

„Na miłość boską, Theo. Co księżę by sobie wyobraził, gdyby znał twoje myśli?”

Pomyślałby, że ona chce go przywieść do ołtarza.

I myliłby się srodze.

Za żadne skarby świata nie zamierzała być jego kolejną głupiutką, trzepoczącą rzęsami wielbicielką, która rzuca mu się do stóp w płonnej nadziei, że zostanie jego żoną i tym samym księżną.

Thea wkroczyła do jego życia z całkiem innego powodu.

Żeby uciec. Wywalczyć dla siebie wolność.

I zyskać możliwość obejrzenia obrazów.

Nie miało to nic wspólnego z jego zmysłowymi ustami ani tym uwodzicielskim dołeczkiem w podbródku... ani z tymi potężnymi ramionami, którymi w tej chwili ją obejmował.

Nic wspólnego. W żadnym razie.

*

Dalton przygarnął mocno lady Dorotheę do piersi, bo koła podskakiwały gwałtownie na nierównych kocich łbach.

Nie mógł pozwolić, aby rzucało nią po całym powozie, aby zbierała siniaki i zadrapania, prawda? Zapewne zbliżali się już do Ludgate Hill. Dalej ciągnie się lepiej utrzymana droga.

Wtedy posadzi ją z powrotem na jej miejscu.

Zroluje swoje palto w wałek i odgrodzi się nim.

Dotknął jej ramienia.

– Już późno – powiedział. – Może spróbuj zasnąć? Gdy dotrzemy do gościńca, jazda będzie wygodniejsza.

Bujne rzęsy zatrzepotały nad bladymi policzkami.

Czy ona musi tak pysznie pachnieć? Jak mężczyzna ma się odprężyć w powozie przesyconym zapachem różanych płatków i ciepłego kobiecego ciała?

Nawet wsłuchiwanie się w rytm jej oddechu okazywało się nieznośnie podniecające.

Pod wpływem powietrza wciągane go w płuca jej biust przykryty kocem unosił się. Przecież Dalton był tylko mężczyzną. Czy mógł przestać myśleć o tym, co kryje się pod tą kraciatą wełną?

Nie wypuściłby jej piersi z rąk, bo pasowałyby idealnie do jego dłoni, zamknąłby je w nich. A gdyby uszczypnął jej sutki, jęknęłaby zaskoczona i oddała mu się bez wahania.

Gdyby osunął ręce na jej biodra, bez trudu posadziłby ją okrakiem na sobie.

Trzymałby unieruchomioną i jednocześnie sprawiał jej rozkosz dłońmi, ustami, językiem i...

W wyobraźni Dalton grzmotnął się otwartą ręką w czoło.

Może i sprawiała kłopoty, ale była niewinną młodą damą.

A nie jedną z tych wdówek, które znały życie od podszewki.

Nie jedną z tych mężatek, które zaciągał do łóżka, bo ich mężowie byli okrutni i notorycznie je zdradzali. Nie jedną z tych kobiet, które w jego ramionach znajdowały pocieszenie i zemstę.

Dawał im rozkosz i zapewnienia, że są piękne i powinny być adorowane. A one opowiadały mu o swoich mężach.

O wpływowych arystokratkach i sprzedajnych kupcach i fabrykantach, którzy władali londyńskim półświatkiem.

Dalton spotykał się z wdowami i mężatkami dla obopólnej korzyści. Nikt nie czuł się skrzywdzony.

One rozumiały, że księżę nie może im dać miłości.

Natomiast skrzywdzenie lady Dorothei byłoby nieuniknione.

– Śpisz, mości księżę? – szepnęła sennym głosem.

– Spałem – skłamał.

– Nieprawda. Gdybyś spał, nie usłyszałbyś mojego pytania.

– Próbowałem zasnąć i prawie mi się udało. Sugeruję, abyś uczyniła to samo.

Ziewnęła i wtuliła się w niego, a jej drobna dłoń wylądowała obok jego ucha.

Muśnięcie w szyję.

Jeden ulotny dotyk i Dalton od razu stwardniał, przepełniony czystą żądzą. Wstrzymał oddech.

Po nocy spędzonej w jaskiniach hazardu zawsze potrzebował rozładowania, bo skutek niebezpieczeństw krew wciąż buzowała mu w żyłach, a umysł pałał chęcią dominacji.

Delikatnie uniósł jej łokieć, zamierzając przenieść ją na drugą stronę powozu. Należało wytyczyć bezpieczny dystans.

W diabolicznym kontrataku koła zabuksowały, deski pod spodem zatrzęsły się, a lady Dorothea jeszcze głębiej wślizgnęła się w jego ramiona.

– Jak zadano ci tę ranę? – spytała półgłosem, zerkając na cięcie na zuchwie. – Uciekasz przed mściwym mężem swojej kochanki?

„Całe szczęście – pomyślał – że gazety rozpisują się o moich pojedynkach”.

Historie fabrykowane na podstawie pogłosek i celowo rozpuszczanych plotek.

– Wypadek w tawernie – odparł. – Odłamki szkła. Zdarzenie znacznie nudniejsze niż pojedynek.

– Doprawdy? – mruknęła nieprzekonana.

Ludzie wyciągali własne wnioski na widok jego siniaków i skaleczeń. Oczywiście nieczęsto odnosił rany. Zbyt był chyży w walce. W przypadku Trenta nie zachował ostrożności. Opuścił gardę.

To się więcej nie powtórzy.

– Mogę o coś spytać, mości księżę?

– Nie, nie możesz.

Z ust popłynęła odmowa, lecz jego dłonie dodały jej odwagi.

Uświadomił sobie z przerażeniem, że głaszcze ją po głowie. Że wsuwa palce między te złociste kosmyki.

– Śpij – rozkazał.

– Chcę wiedzieć tylko jedno. Co jest takiego w przygodach miłosnych, co uzasadnia podejmowanie nawet największego ryzyka?

„Nie odpowiadaj. Pod żadnym pozorem nie...”

– Bywają rzeczy, które warte są każdej ceny, poniesienia największych kosztów.

„Na przykład twoje jedwabne złociste loki. Bezcenne. To, jak idealnie pasujesz do moich objęć, jak wsuwasz głowę pod mój podbródek”.

O rety! Co w niego wstąpiło?

To przez ten mrok. I to łóżko.

I gorące kobiece ciało w jego ramionach.

– Ale co się kryje w takim podboju, posiadaniu kobiety, przywłaszczeniu jej sobie, a potem poszukiwaniu następnej? Co jest w tym tak nieodpartego? Chodzi o władzę? Czy o przyjemność?

„Niech to diabli”.

– Nie będziemy prowadzić takiej rozmowy – odpowiedział.

– Mnie to naprawdę ciekawi. Udawajmy, że jestem mężczyzną. Że gwarzymy sobie nad piwem w tawernie.

Dalton miałby w niej widzieć mężczyznę? Jak niby mógłby tego dokonać, skoro wyraźnie czuł krągłości jej ciała?

– Księżę, uznajmy, że jestem twoim najlepszym przyjacielem – ciągnęła, zniżając głos, aby wydobyć z gardła chrapliwy męski baryton. – Zatem, Osborne, czas na nową kochankę, he? Znudziła ci się ta Renwick? Kim będzie następna zdobycz?

Dalton zdusił śmiech w gardle. Co ona w ogóle może wiedzieć o kochankach?

Nagle sobie przypomniał. Jej ojciec, hrabia Desmond, był powszechnie znanym rozpustnikiem. Jego bękarty można było znaleźć jak Anglia długa i szeroka.

„Czy stawia mnie na równi ze swoim ojcem?”

Na tę myśl krew się w nim zagotowała z gniewu.

„Nic mnie nie łączy z Desmondem!”

Lecz nie mógł tego wytłumaczyć lady Dorothei. Na reputację rozpustnika pracował ciężko całymi latami.

Plotki o jego amorach odciągały uwagę od jego innych nocnych zajęć.

A jednak winien był tej kobiecie kilka słów wyjaśnienia.

– Mężczyźni to mało skomplikowane istoty – powiedział. – Lubimy tłuc przedmioty, pić na umór i sprawiać rozkosz kobietom. To proste.

Oczywiście aż tak proste nie było. Żądza zemsty okazywała się silniejsza od pragnienia miłości. Warto, aby pamiętał o tej życiowej prawdzie właśnie teraz, właśnie tutaj, w tym powozie, z lady Dorotheą wtuloną w jego tułów.

Nie powinien był zgodzić się, aby towarzyszyła mu do Irlandii. Sprytnie zablefowała. Nie powiedziałaaby Trentowi, gdzie go szukać.

Przez jego głowę przetoczyło się wspomnienie Foxforda obłapiającego tę dziewczynę swoimi starczymi łapskami. Niedobrze mu się zrobiło, tym bardziej że wypita brandy wciąż ciążyła mu w żołądku.

Zacisnął pięść przy jej talii. Lady Dorothea nigdy nie wyjdzie za Foxforda. On do tego nie dopuści.

Dalton nadal dążył do zemsty, lecz teraz miał pod swoją pieczęią tę młodą kobietę – aż do chwili, gdy bezpiecznie dotrze ona do domu swojej ciotki. Uznał jednak, że jest dość silny, aby podołać jednemu i drugiemu zadaniu.

Przekrzywiła głowę.

– Czy chcesz powiedzieć, że mężczyźni kierują się wyłącznie prymitywnymi odruchami... zwierzęcymi popędami, a konsekwencje się nie liczą?

– Coś podobnego.

Wtuliła się mocniej, przyciskając podbródek do jego szyi.

– A ty nie czujesz w tej chwili takiego popędu? – spytała.

Och, czuł ze wszech miar. Czuł, ugiął się pod jego gwałtownym naporem, łaknął rozładowania.

– Proszę, idźże spać – powiedział zdesperowany.

– Nie pragniesz mnie?

Za chwilę pożądanie rozsadzi go od środka.

Znajdą strzępy jego ciała na całym gościńcu stąd aż do Londynu.

– Nie liczy się, czy cię pragnę, czy nie. Masz zasnąć, inaczej zaknebluję cię fularem.

– Mhm. – Przekręciła się na bok, odsuwając od Daltona. – Próbuję jedynie zrozumieć męski umysł.

– Kobiety na ogół chcą od nas więcej, niż gotowi jesteśmy dać – stwierdził zadziwiająco łagodnym tonem.

– Wiem.

Jakież to ponure. Dalton o mało nie zadrżał.

– Ojciec nauczył mnie tej życiowej lekcji – ciągnęła. – Nigdy nie okazał mi najmniejszego zainteresowania. Zapewne nawet nie zauważył, że zniknęłam.

– A matka? Nie będzie się martwiła?

– Prędeż się wścieknie. Wszystkie swoje nadzieje i marzenia ulokowała we mnie, zamiast żyć własnym życiem. Uzmysłowiłam to sobie ostatnio.

– Zatem uciekłaś z domu.

– Mam nadzieję, że dobrze wykorzystam swoje życie. Że będzie miało sens, że przyniosę komuś pożytek.

No i proszę. A więc jednak czegoś od niego chciała.

Tego, czego w żadnym razie nie mógł jej dać.

– Mości książe, dlaczego nie pozwolisz mi wydobyć tych obrazów na światło dzienne? Co to szkodzi? Na tym poddaszu mogą się znajdować bezcenne skarby. Czy twój ojciec kupował te dzieła na aukcjach w Europie?

– Nie zostały kupione. Były formą spłaty długów hazardowych. Czasem wygrywał całe posiadłości, kiedy indziej kolekcje dzieł sztuki.

– I nie ciekawi cię, jaka jest wartość tych zbiorów? Mam przecucie, że osiągnęłyby niebotyczną cenę, gdybyś zdecydował się na sprzedaż.

– Nie ciekawi.

– Dlaczego nie? Co w tym złego, gdybyś się dowiedział?

– Nie wróć do Balfry! – Słowa te wyrwały się z jakiejś szczelnie zamkniętej części jego duszy. – Mój brat Alec utonął tam, gdy miał pięć lat. W zimnych wodach zatoki. Spadł... spadł z urwiska.

Ludzie wciąż sądzili, że to był nieszczęśliwy wypadek. Jeśli w ogóle o tym myśleli.

Zapadła głucha cisza. Dalton poczuł na ramieniu lekki dotyk jej dłoni.

– Tak mi przykro – szepnęła. – Nie miałam pojęcia.

Znał ten ton – typowa sytuacja, kiedy mężczyzna zdobywa się na wyznanie, a kobieta uważa, że mogłaby go ocalić.

Spiął się, a mięśnie jego ramienia zamieniły się w twarde sploty.

– Socjeta zapomniała – powiedział. – Lecz moja rodzina nigdy zapomnieć nie mogła. Zwłaszcza matka. Nigdy nie otrząsnęła się po jego śmierci.

Niech to wszystko szlag trafi. Było jeszcze gorzej. Właściwie nie powinien opowiadać o matce. Bo ta dziewczyna wciąż będzie mieć nadzieję.

„Powiniem trzymać język za zębami. Zawrzcę gębę i jej nie otwierać”.

Stanowił zagrożenie dla tej młodej szlachcianki.

– Nie przyszło ci do głowy, mości książe, że wizyta w tym domu mogłaby przegnać demony? – spytała cichym głosem.

– Nie życzę sobie odgrzebywania przeszłości.

– To smutne.

– Nie potrzebuję twojego współczucia, lady Dorotheo. Powiedziałem ci o tym, abyś zrozumiała, dlaczego nie interesuje mnie katalogowanie obrazów ukrytych na poddaszu mojego ojca.

Okryła szczelniej kocem ramiona i skuliła się po swojej stronie powozu.

– W takim razie nie będę się więcej narzucać.

Najwyraźniej się rozzłościła. Trudno, nie mógł postąpić inaczej. Nie mógł dać tej kobiecie nic więcej oprócz opieki w trakcie podróży do Irlandii.

Usłyszał jej lekki, miarowy oddech.

Dziwna z niej osoba. Ufnym wejrzeniem i niewinnie prowokacyjnymi pytaniami skłoniła Daltona do niecodziennych wyznań.

Dość, musiał pozostać skupiony i zmobilizowany.

Czujny, gotowy na wszystko, co miała przynieść przyszłość. Czekало go spotkanie z O’Roarkiem.

Tak, czujność i mobilizacja.

Lady Dorothea westchnęła we śnie, a odgłos ten zabrzmiał jak cichy wyraz ulgi, w reakcji na co Dalton spiął się jeszcze bardziej.

Nie zaśnie, dopóki to łóżko nie zmieni się z powrotem w ławy.

Ta kobieta stanowiła wielką pokusę, lecz on miał dość siły, aby się jej oprzeć.

Nawet gdyby błagała go, aby ją pocałował. Nawet gdyby nachyliła się do jego dyszla i poprosiła, aby nauczył ją, jak sprawić mu rozkosz ustami pod kurtyną tych przepysznych złocistych włosów.

„Co się ze mną porobiło, do czorta? Muszę się wziąć w garść”.

Miała piękną powierzchowność i wnętrze. Ta niewinna urodziwość była bezcenna. Nie powinien jej zbrukać.

Nie wolno mu jej posiąść.

Była pod jego opieką.

Nie mógł stracić panowania nad sobą.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 7

Dalton obudził się gwałtownie, bo ktoś dotknął jego twarzy. W okamgnieniu przygwoździł swoim ciałem napastnika, który zaczął miotać się w jego uścisku.

– Mości księżę – rozległ się stłumiony, pełen oburzenia kobiecy głos. – Mości księżę, to ja!

Zastygł zdezorientowany i wykonał kilka szybkich wdechów. Dama w jego łożu. Światło dnia.

Nigdy nie przespał całej nocy z kobietą. A co dopiero z damą.

„To nie moje łóżko”.

Ciasnota.

„Powóz”.

Zsunął się z lady Dorothei, a wspomnienie wydarzeń z poprzedniego dnia grzmotnęło go w głowę jak lewy sierpowy zadany przez boksera wagi ciężkiej.

W świetle dnia sytuacja wydawała się jeszcze bardziej niewłaściwa. Co on sobie myślał, do stu tysięcy diabłów? Nie powinien był zgadzać się na eskortowanie tej dziewczyny dalej niż na drugą stronę placu, gdzie stał dom jej rodziców.

Albowiem stanowił dla niej o wiele większe zagrożenie niż najbardziej apodyktyczna babcia.

„Niech to szlag, niech to szlag trafi!”

– Uff – stęknęła panna Dorothea, poprawiając czepek. – Nie trzeba aż tak ostro sobie poczynać z samego rana.

– Dotknęłaś mnie. Zareagowałem instynktownie.

– Chciałam cię obudzić – wyjaśniła. – Zatrzymaliśmy, aby zmienić konie. – Zmarszczyła nosek. – Czuję stajenne zapachy.

Sądząc po świetle, Dalton przespał pierwszą godzinę nowego dnia. Kilku stajennych wyprzęgało konie, zobaczył zmieniających się forsyków. Było to niepokojące.

Od jak dawna ona nie śpi?

Rzucił z ukosa spojrzenie w jej kierunku.

„Psiamać. Nie patrz na nią. Nie...”

Burza loków jak z przędzy cukrowej. Lekkie cienie pod cudownymi oczami koloru zadeszczonego nieba. Obojczyk kusząco wyłaniający się spod zielonego jedwabiu.

Dalton oderwał wzrok od tego wspaniałego widoku, zawiązał fular w prosty węzeł i przecesał dłonią niesforne włosy.

Najwyższa pora, aby uwolnił się od tej piękności o zbyt śmiałym wejrzeniu, wyglądającej, jakby przed chwilą spędziła noc z mężczyzną.

– Nie zostaniemy tu długo – powiedział. Zaczął się rozglądać za swoim kapeluszem w powozie przypominającym alkierz o poranku. – Zatrzymaliśmy się w drugorzędnym zajęździe. Mogą tu być dość niemili osobnicy.

A wśród nich on, i to na pierwszym miejscu.

Zbyt wiele godzin ostatniej nocy spędził na wyobrażaniu sobie najprzeróżniejszych sprośności, którym pragnął się z nią oddać. Bezpieczniejsza byłaby w towarzystwie byle rabusia.

Zapięła niewidoczne haftki pod wyszywaniem jasnozielonym obcisłym kaftanikiem.

– Umieram z głodu – oznajmiła, poprawiając czepek i zawiązując rażno pod spiczastym podbródkiem wstążki w gołęmb kolorze. – No dobrze. Musimy wymyślić sobie jakąś historię,

mości książe. Na wypadek, gdyby ktoś w zajeździe zaczął zadawać pytania. W czyjej dormezie podróżujemy?

– Con wynajął ją od kupca nazwiskiem Jones, jak mi się zdaje – odparł Dalton. Odnalazł kapelusz. Ech, jeszcze bardziej zdeformowany niż wcześniej.

„Spałem na nim czy co?”

– A w ogóle co to ma za znaczenie? – spytał.

– A więc ty, mości książe, będziesz poczciwym panem Jonesem z gminu. A ja jestem szacowną panią Jones... Zobaczmy...

Zaczęła gmerać przy wstążkach czepka, przyglądając się przez okno zamieszaniu na podwórzu zajazdu.

Dalton sięgnął po palto.

– Pan Jones jest właścicielem kilku składów z towarami sypkimi – powiedziała Dorothea. – Mąka, zboża, tego rodzaju rzeczy. Konie muszą przecież coś jeść, wiadomo. Chleb musi być z czegoś wypiekany. A w Bristolu czeka na nas trójka naszych dzieci. Na imię mają Melisande, Mirabelle i... Michaelmas.

Dalton zamrugał bezradnie. Nie wypił jeszcze porannej kawy, a tu już mowa o dzieciach?

– Michaelmas? – spytał.

– Urodziła się w święto Michała Archanioła, biedulka.

– Michaelmas to imię dziewczynki? – Wciągnął palto i nasadził zgnieciony kapelusz na głowę. – Nie potrzebujemy żadnej bajeczki. – Otworzył drzwiczki i wyskoczył z powozu. – Z tej prostej przyczyny, że z nikim nie będziesz rozmawiać.

Chwycił ją w pasie, wygarnął z dormezy i postawił na ziemi. Nie było to konieczne, ale grzeczność nigdy nie zaszkodzi. Tyle że jego dłonie nie chciały puścić jej szczupłej talii. Gdzie się podział ten obszerny płaszcz, który nosiła wczorajszego dnia?

O, jest, zwinięty w rogu powozu. Ech, zbyt wymięty, aby go włożyć.

W jej oczach zapaliły się zuchwałe iskierki.

– Wolałbyś, abyśmy mieli chłopczyka, panie Jones? – spytała.

Dalton oderwał dłonie od jej kibici i cofnął się o krok.

– Wolałbym nie prowadzić takich rozmów – odrzekł.

Na szczęście wszyscy na podwórzu i w stajni zajęci byli wykonywaniem swoich obowiązków. Siodłano konie i taszczono worki z paszą. Nikt nie zwrócił uwagi na spór toczący się między „małżonkami”.

Dalton zaklął w duchu. Miała to być cicha podróż bez żadnych perturbacji.

Lady Dorothea odchyliła głowę do tyłu, aby spojrzeć na niego spod czepka.

– A zatem racz mnie oświecić, z kim podróżujesz w swojej dormezie – powiedziała. – Może z tą ciężkostopą Olofsson?

Zatrzasnął drzwiczki powozu i poprowadził ją w kierunku zajazdu.

– Jesteś szlachetną panną Dorotheą – odparł. – Natknąłem się na ciebie samotną i zdesperowaną na poboczu gościńca, jako że dyliżans pocztowy, którym podróżowałaś, zostawił cię na drodze, zamarudziłaś bowiem zbyt długo, nękając oberżystę niemądrymi pytaniami.

Uśmiechnęła się triumfalnie.

– Ale zmyślasz, mości książe – odparła. – Ja jednak wolę swoją historię. Pan Jones jest tuzinkowym i zgodnym człowiekiem. Nigdy nie ruga swojej ukochanej żony. I nigdy nie patrzy na nią wilkiem.

Spojrzał na nią wilkiem. A potem warknął jak wilk.

– Upraszam cię, lady Dorotheo, abys weszła cicho do środka i pośpiesznie wypija herbatę – powiedział.

– Mów mi Thea, panie Jones. Wydaje mi się, że skoro mamy troje dzieci, wolno ci zwracać się do mnie po imieniu.

Oj, niebezpieczne słowa, niebezpieczne.

Damy imieniem Dorothea nigdy nie rozmawiałyby z kupcami w podrzędnym zajazdzie ani nie ściągały na siebie uwagi. Za to krnąbrne dziewczęta imieniem Thea gotowe były zrobić scenę.

Pokręcił głową.

– Nie – mruknął. – Żadnej Thei i żadnego pana Jonesa.

Zmrużyła oczy w mdłym świetle poranka.

Dalton zignorował to wyraźne ostrzeżenie i skierował ją pośpiesznie do drzwi zajazdu.

Ze środka wyszedł mężczyzna w skromnym czarnym odzieniu i koloratce pastora, po czym wyminął ich oboje.

– *Caro mio!* – zakrzyknęła lady Dorothea, machając ręką w stronę nisko zawieszzonego nieba. – *Che bella giornata!*

Duchowny odwrócił głowę i popatrzył na nich zaintrygowany.

– Co to miało znaczyć, na miłość boską? – spytał Dalton szeptem, gdy pastor oddalił się na bezpieczną odległość.

– Skoro nie mogę być żoną, muszę być metresą – odcięła się. – A stateczny pan Jones preferuje namiętne śpiewaczki operowe.

Ech, znowu te jej palce, muskały jedwabne wstążki czepka.

– Doskonale mówię po włosku. A mój liryczny sopran też nie jest najgorszy.

Aha, a on jest arcybiskupem.

– Moja panno, jesteś tak angielska jak pudding z Yorkshire – odrzekł Dalton. – Nikt nie weźmie cię za Włoszkę. – Podprowadził ją do drzwi. – A teraz do środka. Po cichu. I żadnego *caro mio*. I żadnego wymyślania nowych historyjek. Pojmujesz?

Zmarszczyła czoło.

– Siadywałam na głównym placu we Florencji i przysłuchiwałam się rozmowom – powiedziała. – Wszystko kryje się w gestach, mości książe. – Wykonała wielkopański ruch ręką. – Jestem panią Gabrielli, słynną sopranistką koloraturową z Florencji.

Wysunęła biodro i oparła na nim dłoń zaciśniętą w pięść.

Jeden ze stojących odwrócił się, bo jego uwagę przyciągnęły jej błazenada i pszeniczne włosy sięgające ramion.

Dalton zazgrzytał zębami.

– Jeśli pragniesz uwielbienia, powinnaś czym prędzej wracać do Londynu – powiedział. – Bo tam czekają twoi adoratorzy, żeby obsypać cię różami.

Iskierki w jej oczach zgasły raptownie.

– Nie pragnę uwielbienia – syknęła. – Pragnę wolności. – Zarzuciła włosami. – Chcę śpiewać, ile sił w płucach. Chcę... chcę żyć.

Poczuł ucisk w piersi. W końcu to całkiem naturalne, że ta dziewczyna lubi przywdziewać różne tożsamości niczym stroje, skoro od urodzenia żyła pod ścisłym nadzorem surowej matki.

Lecz ta nasilająca się buntowniczość komplikowała jego plany. Ponownie pchnął lady Dorotheę w kierunku drzwi.

– Musimy jak najrychlej dotrzeć do Bristolu, nie wzbudzając niczyjzego zainteresowania. Gdybyśmy na naszej drodze spotkali kogoś, kto cię zna, w jednej chwili stałabyś się kobietą upadłą. To dla ciebie bardzo niebezpieczne, chyba zdajesz sobie z tego sprawę.

– Mości książe, naprawdę masz mnie za bezrozumną istotę? Oczywiście, że zdaję sobie

sprawę. Ale taka wymyślona historyjka może nam pomóc. Jeśli podróżni zażywający wytchnienia w tym podrzędnym zajeździe, którzy najprawdopodobniej nas nie rozpoznają, uwierzą, że napotkali śpiewaczkę operową i majątnego kupca, nie będą mieli nic do powiedzenia o... – zniżyła głos do szeptu – ...o księciu i starej pannie.

Jej słowa miały sens. Nie... jednak nie miały. Najlepszym wyjściem z sytuacji jest zawsze trzymać gębę na kłódkę.

Niech ludzie sami sobie wszystko tłumaczą.

– Ty wchodzisz do środka, ja idę do stajni – rzekł. Podał jej kilka monet wyjętych z kieszeni palta. – Zapłacę za twoją herbatę, a ty ją szybko wypijesz.

Zacisnęła palce na pieniądzach.

– Cokolwiek sobie życzysz, *caro mio* – odrzekła z afektowanym włoskim akcentem, czemu towarzyszyło rozciągnięcie ust w przesłodzonym uśmiechu. – Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem.

Dalton nie zamierzał się nabrać na ten pokaz potulności.

W tym szczupłym kobiecym ciele nie było bowiem ani jednej potulnej kostki. Czego dowiodły jej następne słowa:

– Spróbuję nie zanudzić zacnych jegomościów odpoczywających w zajeździe więcej niż jedną, no, dwiema ariami.

Ruszyła do drzwi, poruszając ustami, jakby już śpiewała bezgłośnie.

Ech, dokoła było zbyt wielu ludzi, by mógł zarzucić ją sobie na ramię, związać fularem i wysłać powozem pod opieką Cona z powrotem do Londynu.

Samemu zaś pojechać konno do Bristolu. Bez uprzykrzonego towarzystwa.

Po zastanowieniu uznał, że lepiej, aby to Con ją związał, była to bowiem czynność mająca podtekst erotyczny. Na myśl o tym czuł w kroczu ukłucie czystej żądz.

Zaburczało mu w brzuchu. Chętnie zjadłby śniadanie. Lecz musieli zaraz ruszać w dalszą drogę, inaczej do Londynu mogła dotrzeć pogłoska o jego pobycie w tym zajeździe.

Dalton nie wiedział, dlaczego Trent go szuka. Nie chciał natomiast, aby lord odkrył, że na książęcej twarzy widnieje cięcie po nożu.

Ostrożnie obmacał palcami ranę. Przydałoby się ją obmyć.

Wszedł do stajni i wodą z pompy spryskał policzki i żuchwę.

Lodowata woda oczyściła mu umysł. Zewsząd dobiegały odgłosy koni grzebiących kopytami. Czuć było otrzeźwiająca woń łajna. I wyprawionej skóry. I słomy. Och, dobre proste zapachy wolne od aromatu różanych płatków.

Ruszył do jednego z boksów, z którego dochodziło pogwizdywanie Cona.

Na widok księcia Irlandczyk rozciągnął zarośniętą twarz w uśmiechu.

– No proszę, wstała nasza Śpiąca Królowa – zakpił. – Gdzie twoja adoratorka?

– Przestań się szczerzyć. Nic się nie wydarzyło. A ta sztuczka z łóżkiem była dziecinną zagrywką.

– Pojęcia nie mam, do czego pijesz – odparł Con.

Kiepsko udawał niewiniątko. Był na to zbyt owłosiony.

– Masz doskonale pojęcie – warknął Dalton, rzucając mu spojrzenie pełne odrazy.

– Chcesz powiedzieć, że nie poradziła sobie z tobą? Myślałem, że taka uparciucha postawi na swoim i nauczy cię paru sztuczek, których nie przyswoiłeś w Cambridge.

– Ha, ha, ha. – Książę się skrzywił, bo zabolęła go rozcięta skóra na żuchwie. – Z tej sprawy nie należy stroić sobie żartów. Jeśli ktoś nas rozpozna, ta młoda dama będzie skompromitowana.

Con napiął uzdę w dłoniach, wypróbując wytrzymałość rzemieni. Nigdy nie

pozostawiał niczego przypadkowi i wołał sam sprawdzać wszystkie szczegóły przed wyruszeniem w drogę.

– Przeżyje – stwierdził. – O ile ty jej nie skompromitujesz.

– Dość. Wiesz, że nigdy nie zdeprawowałbym niewinnej dziewczyny.

Choć musiał przyznać, że opieranie się pokusie jej krągłego ciała było istną torturą.

„A ty nie czujesz w tej chwili takiego popędu?”, usłyszał w głowie słowa lady Dorothei.

Mniej pryncypialny mężczyzna uznałby to za zachętę, aby ją uwieść.

– Jasna sprawa, nie mówiłem o ordynarnym deprawowaniu – odparł Con. – Raczej o zalotach, układaniu sentymentalnych kupletów o jej pięknych oczkach, ot co. O rozkochaniu jej w sobie, a potem o porzuceniu. – Jego niebieskie oczy nabrały ostrego wyrazu. – Wiedz zatem, że nie pozwoliłbym ci na to. Polubiłem tę damulkę.

Dalton westchnął.

– Ja też ją polubiłem, niech diabli wezmą te jej pyszne pszeniczne loki. Choć ma niebywale irytującą umiejętność pozostawiania głuchą na wszystkie moje namowy... A potem rozbraja mnie jakimś zabawnym słowem.

Con pokręcił głową, a od szerokiego uśmiechu nastroszyły się jego bokobrody.

– Nie, nie możesz pozwolić, aby cię rozbawiała – powiedział. – To niedopuszczalne.

Dalton był mistrzem w odnajdywaniu przestępców w labiryncie londyńskich zaułków. Potrafił powalić przeciwnika jednym ciosem. W ciągu pięciu sekund umiał wypatrzeć najwrażliwsze miejsce w szyi i przytknąć tam ostrze noża.

Lecz teraz zaczynało do niego docierać, że może się znaleźć w o wiele bardziej zdradliwym położeniu.

Na przykład wylądować w ciasnym pomieszczeniu z najbardziej irytującą i zarazem najbardziej ponętną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Na przykład przekomarzać się z dziewczyną dążącą do staropanieństwa, która na podwórzu zajazdu przy gościńcu nagle przemienia się w namiętą Włoszkę.

Pragnęła uwolnić się od władczej matki. No cóż, Dalton poznał hrabinę Desmond i sam też by nie chciał, aby rozporządzała jego życiem. Nie mógł jednak pozwolić, aby panna Dorothea wciąż wszczyniała zamieszanie, co groziło tym, że dwa oddzielne światy, w których żył, zaczną się przenikać – a rozpustnik i Piekielnik okażą się tą samą osobą.

Było to zbyt niebezpieczne. Stawiało pod znakiem zapytania jego plany. I stanowiło zagrożenie dla samej Dorothei.

– Tropimy zabójcę – powiedział ostrym tonem. – A może zapomniałeś?

– Nie zapomniałem – odrzekł Con. Przeciągnął dłonią po uprząży, sprawdzając uzdy i wodze. – Chociaż nie jestem kontent, że wracamy do Irlandii. Myślałem, że już nigdy nie zobaczę tych wybrzeży. Za dużo mam bolesnych wspomnień.

To samo dotyczyło Daltona. Wyglądało na to, że decyzją o powrocie obaj rozdrapują stare rany.

– Masz jeszcze w Cork jakąś rodzinę?

Irlandczyk pokręcił głową.

– Nie, nikogo.

Był wyraźnie poruszony. Dalton nigdy dotąd nie widział swojego sługi w podobnym stanie. Uświadomił sobie, że nie powinien był zabierać go ze sobą.

– Trzeba ci wracać do Londynu – stwierdził. – Dam sobie radę.

Con stęknął, pociągając ostatni raz za rzemienny pas.

– Jadę dalej, skoro tyle już przejechałem – odrzekł. – Poza tym mam niezgorszą uciechę, widząc, jak ta spódniczka potrafi zależeć ci za skórę.

– Jak drzazga pod paznokieć – mruknął posępnie książę. – A wydłubywanie tylko pogarsza sprawę. Prawdopodobnie siedzi teraz w jadalni i oczarowuje wszystkich gości, śpiewając jakąś sakramencką arię.

Con wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ach tak? – spytał.

– Wymyśla o nas różne historie. Ja jestem pan Jones, a ona jest słynną śpiewaczką operową. Przez całe życie była pod butem matki, więc teraz zachłysnęła się swobodą.

– Mówiłem? Niegorsza uciecha. Nie przegapiłbym tego za żadne skarby. – Con skinął na stajennego, aby uprzętnął rząd koński. – Skończę zaraz. Idź po naszą śpiewaczkę i zaraz ruszamy.

Ktoś musi zapędzić damę z powrotem do powozu.

A potem Dalton wsiądzie z nią do środka, aby uniknąć ryzyka, że w biały dzień jakiś szlachcic zobaczy go ze świeżym cięciem na żuchwie.

Przynajmniej nie będzie już tarzania się w łóżku. Zaraz postawią z powrotem siedzenia.

Choć to niezbyt mocne zabezpieczenie.

Ta kobieta budziła w Daltonie zwierzęce żądze.

Gdy wszedł do zajazdu, od razu ją zobaczył po drugiej stronie zadymionego niskiego pomieszczenia, jakby pozostali ludzie byli tylko cieniami, a ona jawiła się wyraźnie w ostrym kontraście.

Przygaszone smugi słońca wpadające przez ubrudzone szyby pieściły miodowo-bursztynowe pasma jej włosów i spoczywały na skórze, jakby ich powinnością było ogrzać ją ciepłym dotykiem.

On też chciałby ją ogrzać ciepłym dotykiem. W tej chwili. I pojąć jako swoją kobietę.

Wyglądało na to, że nie jest wyjątkiem. Do jej stolika podszedł bowiem tyczkowany jasnowłosy młodzieniec w wysokim wykrochmalonym kołnierzu, znad którego wystawały tylko czubki jego czerwonych uszu. Odezwał się do niej niewybaczalnie poufałym tonem. Dalton poczuł w piersi przypływ żywego gniewu, lecz szybko upomniał siebie w duchu, że nie powinien być zazdrosny o młokosa, który ledwie zaczął golić policzki.

Ponadto nie był zazdrośnikiem. Nigdy nie okazywał zaborczości wobec kobiet. Damy były dla niego obiektem chwilowego skupienia uwagi. Tak samo jak księżyc lub gwiazdy.

Nigdy nie robił im złudzeń, zawsze jasno stawiał sprawę. A one nigdy nie były rozczarowane.

A więc w tej chwili nie poczuł zazdrości. Do głosu doszła opiekuńczość.

Taką samą opiekuńczość poczułby wobec każdego niewinnego i bezradnego stworzenia, które pojawiłoby się na jego drodze.

Tyle że ona nie była bezradna. Bez trudu naginała wolę Daltona do swoich celów.

A jednak z niektórymi niebezpieczeństwami nie poradziłyby sobie nawet taka stanowcza i pomysłowa dama jak ona.

Ten młokos być może wyglądał nieszkodliwie, ale pierwszą zasadą obowiązującą na trakcie było nie rozmawiać ze wścibskimi nieznajomymi. Zwłaszcza takimi, którzy chcieli wiedzieć, którym gościńcem udasz się w dalszą drogę lub o jakiej porze wyruszasz.

Lady Dorothea żyła dotąd pod kloszem, nie wyrobiła więc w sobie nawyku czujności.

Uśmiechnęła się do nieznajomego w wykrochmalonym kołnierzu.

Dalton zacisnął dłonie w pięści i trzema krokami pokonał dzielącą ich odległość.

– Och, jesteś, mój panie Jones – odezwała się, witając go uśmiechem. – A już myślałam, że wpadłeś do końskiego koryta. Kawy? – Nie czekając na odpowiedź, nałapała porcję ze srebrnego imbryka do filiżanki. – Wiem, że lubisz mocną. Nie rozcieńczasz smaku mlekiem ani tak

niepoważnym dodatkiem jak cukier.

Młokos w wykrochmalonym kołnierzu rzucił Daltonowi lęклиwe spojrzenie, wydukał kilka słów przeprosin i pośpiesznie wrócił do swojego stołu.

Grzeczny chłopiec.

Dalton usiadł naprzeciw lady Dorothei i przyjął od niej filiżankę. Przyda mu się porcja mocnej kawy. A najlepiej pięć.

Dopiero teraz zauważył, że dziewczyna pożyczyła od kogoś przenośny sekretarzyk i jest w trakcie pisania listu.

Wypił kawę dwoma łykami.

– List do kogoś? – zagadnął.

– Tak, do matki.

Pióro skrobało papier.

Filiżanka w jego dłoni stuknęła głośno o spodek.

– Ufam, że bez wzmianki o mnie?

– Najmniejszej – odparła różnym tonem. – Musisz wiedzieć, mości księżę, że nie wszystko kręci się wokół ciebie.

Krzepki mężczyzna w pasiastej kamizelce zerknął ukradkiem w ich stronę. Ech, zbyt wielu ludzi mogło zapamiętać twarz podróżnego z charakterystycznym cięciem na twarzy.

Dalton rozerwał bułeczkę na pół i posmarował ją masłem. No dobrze, da dziewczynie jeszcze dwie minuty.

*

W niskiej sali zajazdu wypełnionej porannym światłem Osborne wydawał się istnym kolosem.

Jedno jego spojrzenie wystarczyło, aby pozostali mężczyźni pierzchali na boki jak przerażone szczury.

Wystarczyło też jedno spojrzenie Thei na niego i jej umysł płonął zakazaną żądzą.

Przypomniała sobie dotyk jego umięśnionych rąk, gdy ją obejmował, przytulał do piersi. Tę chwilę, kiedy powiedział, że jest piękna.

Dłoń jej zadrżała i na papier spadł kleks atramentu.

„Głupia dziewucho. Nie możesz pozwolić, aby myśli o nim wkraadały się do twojej głowy i zostawiały widoczne plamy”.

Obudziła się znacznie wcześniej niż on, po czym leżała w rozbujanym powozie wpatrzona w jego śpiącą postać. Widziała, jak poranne słońce wysysa brąz z jego włosów i igra na chropowatym krajobrazie jego twarzy.

Teraz sięgnął po drugą bułkę. Jadł tak samo, jak wykonywał inne czynności – pośpiesznie, połykając prawie w całości, nie marnując czasu na smakowanie, po prostu pożerał to, co było przeznaczone dla niego.

Nachyliła się nad listem. Jeszcze tylko kilka zdań.

Księżę otarł palce w serwetę.

– Właśnie się zastanawiałem, czy nie odsłonić szyi, aby fularem związać cię i odesłać jak tobolek do twojej matki – powiedział. – Może to lepsze niż list?

Gwałtownie podniosła głowę.

– Nie zrobiłbyś tego!

– Czyżby? – Przysunął dłoń do fularu, pociągnął groźnie za jego koniec, przykuwając jej wzrok. – Nie kuś mnie – wycedził ponuro. – Wystarczy, że dasz mi jeszcze jeden powód. Jeden maleńki powód.

- Wtedy znalazłabym inny sposób, aby uciec z Londynu.
- Po to ci ten wykrochmalony kołnierz? To twoja druga droga ucieczki?

Odwrócił się i wbił złowrogie spojrzenie w młokosa, który pożyczył jej podróżny sekretarzyk.

Jego posępny wzrok przeszył ją dreszczem. Osborne najwyraźniej zawarował sobie prawo, aby być jej wyłączną eskortą.

- Musisz wiedzieć, mości książe, że pan Cooper to szanowany urzędnik.
- Nie podoba mi się jego wygląd. Ma zbyt czerwone uszy. Jak nedorobione prosię.
- No cóż, on się czerwieni, gdy zwraca się do mnie – wyjaśniła Thea. – Przecież to słodkie. Potrzebowałam przyborów do napisania listu. Pożyczył mi więc swój pultrynek. Bardzo uczynnie z jego strony.

Zmrużył ciemnoniebieskie oczy.

– Obiecuj mi, że nie będziesz korzystać z przysług nieznajomych. Pod tą wykrochmaloną koszulą ze stojącym kołnierzem może bić robaczywe serce zatwardziałego przestępcy. O skrytych, nikczemnych zamiarach.

Na miłość boską, ten książe ma naprawdę wybujałą wyobraźnię!

- Nie sądzę, aby pan Cooper zamyślał cokolwiek nikczemnego – odrzekła.
- Być może nie, ale z całą pewnością rozmyślał o twojej figurze. Nie mógł od ciebie oderwać oczu. Gapił się.
- Sam też to robisz dość obcesowo – zripostowała.

Oczywiście swoją obcesowością zamierzał doprowadzić ją do wybuchu pasji. Chciał, żeby zachowała się jak rozkapryszona księżniczka. I zaczęła go błagać, aby wysłał ją z powrotem do Londynu, gdzie czekał na nią świat pełen wygód.

Och, nie da mu tej satysfakcji.

Życie oczekiwało od Thei podjęcia określonych decyzji.

Aby wyszła za męża. Została matką. Płynęła z nurtem jak całe pokolenia kobiet ku temu samemu przeznaczeniu.

Teraz zawróciła pośrodku rzeki i ruszyła z mozołem pod prąd. Zdawała sobie sprawę, że to nie będzie łatwe.

A drogę blokował ogromny głaz o kształcie księcia Osborne.

– Panie Jones – westchnęła, odkładając pióro. – Proszę mi nie mówić, że jesteś zazdrosny o biednego urzędnika.

Odsunął się od stołu tak gwałtownie, że o mało nie wyrócił się na krzesło.

– Ja? Zazdrosny o tego szczeniaka? Niedorzeczność. Kończ, panna, to swoje pisanie.

Powściągnęła uśmiech, dodała ostatnie zdanie, podpisała się, otarła pióro i odłożyła je starannie do futerału.

– Zwrócę mu jego własność – powiedział książe i zebrał przybory.

Thea wstała, strzepnęła okrucy i złożyła list.

Oboje podeszli do stołu, za którym siedział biedny przerażony pan Cooper. Dorothea nachyliła się do przodu.

– Dziękuję z całego serca za wypożyczenie mi przyborów – powiedziała.

Młody mężczyzna zarumienił się, potem zadrzał pod spojrzeniem Osborne'a, następnie zaczerwienił się jeszcze mocniej. Thea posłała urzędnikowi czarujący uśmiech.

– Upraszam pana, abyś nie zwracał uwagi na pana Jonesa – dodała. – Wczoraj wieczorem zjadł nieświeżą ostrygę. – Poklepała księcia po ramieniu. – Biedak przeżywa istne męki. Dlatego zachowuje się jak dzikus.

Morderczy wyraz twarzy Osborne'a sprawił jej niebywałą przyjemność.

Być może jej ulubioną rozrywką stanie się rozdrażnianie książąt.

Wcisnęła list w jego wielkie łapska.

– Bądźże aniołem i wyślij to za mnie, dobrze, panie Jones? – poprosiła. – Och, mój drogi, jesteś wzorem uczynności.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 8

Wielkie ciało księcia rozsiadło się obok, czubkiem głowy dotykając obitego pasiastym jedwabiem dachu powozu i zmuszając Theę do wciśnięcia się w kąt.

Dziewczyna z całej siły starała się skupić na widokach falistych wzgórz i kamiennych domków, w które obfitowały mijane wiejskie okolice, ale okazało się to niemożliwe.

Znajdował się zbyt blisko. Wciąż rozkojarzała ją perspektywa ich ciał ocierających się o siebie... przemawiających jedno do drugiego... gdy oni sami milczeli jak zakłęci.

Odkąd opuścili Zajazd pod Białym Jeleniem, powiedział do niej ledwie dwa słowa. Prawdopodobnie wciąż był urażony tym, że zleciła mu tak przyziemne zadanie jak wysłanie listu.

Rozporządzenie nim na oczach pośledniego urzędnika stało zapewne w sprzeczności z jego całym wychowaniem. O mało się nie zreflektowała i nie przeprosiła go natychmiast.

„Książęta mają pierwszeństwo we wszystkim, chyba że obecny jest członek rodziny królewskiej”. Zasady etykiety wpajano Thei od urodzenia, podobnie jak dziesięcioro przykazań.

Przez całe życie przepraszała za wszystko. Jazda w tym powozie stanowiła dla niej swoistą deklarację niepodległości. Zatem być może wpojone zasady przestały obowiązywać?

Być może w nowym świecie, którym nie władała jej matka, hrabina Desmond, książęta nie mieli pierwszeństwa?

Bo byli po prostu mężczyznami. I nie zasługiwali na szacunek ani uwielbienie tylko z powodu wysokiego urodzenia.

Wygłosił jej kazanie na temat niestosowności zadawania się z byle urzędnikiem w publicznym miejscu, a sam zadał się intymnie z połową londyńskich wdów i sporą częścią mężatek.

Theę oburzała niebywała skala nierównego traktowania obu płci.

Obserwowała go podczas pierwszych dwóch sezonów w socjecie, jak kurka podpatrywałaby lisa okrążającego zagrodę, świadoma jego niebezpiecznego uroku, bezpieczna jednak za zasłoną swojej nijakości.

W salach balowych Londynu Osborne tchnął charyzmą, która działała uwodzicielsko na wszystkie kobiety. Lecz tym, które nie cieszyły się powodzeniem, nie poświęcał nawet jednego spojrzania. Był królem intryg i skandali, uosobieniem aroganckiej bez troski.

Jakże niepodobnym do tego zadumanego mężczyzny, który siedział teraz obok niej. O czym myśli? Zapewne o czymś irytującym, sądząc po tym, jak marszczy brew i stuka stopą w podłogę.

„Puk, puk, puk”. Takt niezadowolenia.

A może knuł, jak się pozbyć Thei na następnym postoju? Przecież otwarcie powiedział, że najchętniej skrępowalby ją i wysłał jak tobołek z powrotem do Londynu.

Nie ulegało wątpliwości, że nie dbał o jej dobrą reputację. Była dla niego po prostu bólem głowy, którego pragnął się pozbyć. Za półtora dnia uwolni się od niej jak od nieprzyjemnego balastu.

Zerknęła ukradkiem na jego dłonie spoczywające na udach, pozbawione rękawiczek i osobliwie niewypielęgowane.

Kto słyszał o księciu z dłońmi pokrytymi stwardniałą skórą i z cieniem brudu za paznokciami? A to nierówne cięcie na szczęce nadawało mu łotrowski wygląd, spotęgowany jeszcze przez ciemny zarost, który plenił się niepowstrzymany.

Ten mężczyzna był zbyt... No cóż, zbyt taki i owaki. Zbyt rostry, zbyt dekoncentrujący,

zbyt nawykły do tego, że w każdej sprawie stawia na swoim.

Podniósł wzrok i złowił jej spojrzenie.

– Aha, musisz wiedzieć, że nie nadałem twojego listu – rzucił od niechcienia.

– Słucham?! Nie nadałeś mojego listu? A dlaczego to? To było bardzo proste zadanie.

Nawet książę powinien sobie z tym poradzić.

Uśmiechnął się kwaśno.

– W istocie nie chcesz wysłać tego listu – stwierdził.

– A skąd możesz wiedzieć, czego chcę? Czy mam rozumieć, że przeczytałeś moją prywatną korespondencję?

– Oczywiście, że przeczytałem. – Prychnął. – Chciałaś, żebym przeczytał.

– W żadnym razie nie chciałam! – Thea nawet nie próbowała opanować głosu. –

I łaskawie przestań zakładać, że znasz moje myśli lepiej niż ja sama!

– Gdybyś nie chciała, abym go przeczytał, sama byś go nadała.

– Poprosiłam o to tylko dlatego, że byłeś panem Jonesem. Zawsze wyobrażałam sobie, że tak właśnie postępuje troskliwy mąż: na różne sposoby okazuje żonie życzliwość, aby dowieść swego uczucia.

Zmrużył oczy.

– Madame, czy wolno mi przypomnieć, że nie starałem się o twoje towarzystwo w tej podróży? Lecz w chwili, gdy postawiłaś stopę w tym powozie, wziąłem za ciebie odpowiedzialność.

– Twój powóz to po prostu zwykła dla mnie dogodność – odparła Thea. Patrzyła na niego śmiało, choć najchętniej odsunęłaby się jak najdalej. – Nie potrzebuję twojej opieki, nadzoru ani wstrzymywania mojej korespondencji. A teraz racz mi oddać list – powiedziała, wyciągając rękę.

Nachylił się bardzo blisko, górując nad nią groźną postawą.

Niech napiera. Ona się nie cofnie. Nie wyrzeknie się zwycięstwa.

Teraz to nie jego potrzeby liczyły się w pierwszej kolejności. Nie miał pojęcia, co jest dla niej najlepsze.

– Poza tym, mości książę – ciągnęła – to nie jest twój powóz, tylko pana Jonesa, a więc nie ponosisz za mnie odpowiedzialności.

– Nieistotny szczegół – warknął Osborne.

Pokonał ostatnie cale odległości między nimi i przyparł ją do kąta.

Może jednak czasem warto w swoje rachuby w kalkulować odwrót?

Spojrzenie tych granatowych oczu groziło wtrąceniem jej w wir kapitulacji i uległości, w którym przepadną wszystkie jej mocne postanowienia.

Jak drobna hrabianka zdążająca pewnym krokiem do staropanieństwa mogłaby mieć nadzieję, że stawi opór takiej aroganckiej bestii?

Musi się postarać. Przecież posłuszna, potulna lady Dorothea odeszła w przeszłość.

Stawi czoło władcemu księciu i wyjdzie z tego starcia zwycięsko.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

– Oddaj mi list – powiedziała. – Sama go nadam.

– Nie – odparł, wyzywająco przeciągając samogłoskę.

– Oddaj!

Sięgnęła do klapy jego palta, chcąc dostać się do wewnętrznej kieszeni.

Chwycił ją za nadgarstek. Pod wpływem tego dotyku zaćmienie spowiło jej umysł, jakby zamgliło się lustro stojące obok miedzianej wanny z gorącą wodą.

Jego spojrzenie złagodniało.

– Dalibóg, naprawdę chcesz rozpowiedzieć takie kłamstwo? – spytał. – To zrujnuje twoją

reputację.

Milczała przez moment, zaskoczona troską widoczną w jego oczach.

– Jeśli nie wyślę tego listu, matka uzna, że mnie porwano. Skrzyknie ludzi na poszukiwania.

– A jeśli wyślesz, złamiesz jej serce.

W głosie Osborne’a zabrzmiała nuta autentycznego zafrasowania.

– Serce złamałam swojej matce już wiele lat temu – odrzekła Thea. – Kiedy nie odniosłam sukcesu w towarzystwie, do czego mnie przygotowywała od urodzenia. – Szukała odpowiednich słów, aby zostać dobrze zrozumiana. – Chciała, abym błyszczała w socjecie, zachwycała i zbierała poklask. Jak pokaz sztucznych ogni w Vauxhall. Lecz ja okazałam się niewypałem, nigdy nie wystrzeliłam w niebo. Zasycałam tylko jak mokry knot.

– Ale aktor z trupy wędrownej? Myślisz, że twoja matka uwierzy w taką historię?

– A dlaczego nie miałabym zakochać się w wędrownym aktorzyńce, który mnie skompromitował? W końcu płaci im się za to, aby przekonująco odgrywali namiętność na scenie.

– Większość z nich ma wprawione zęby i peruki, a na twarzy więcej pudru niż dziewczka z Covent Garden. Mogłaś przynajmniej wymyślić wiejskiego dziedzica w średnim wieku.

– To by dało matce nadzieję – odrzekła. – A tak będzie mogła odbyć żałobę i zająć się znajdowaniem odpowiedniej partii dla obu moich braci.

Uścisk palców na nadgarstku zelżał. Poczuela, jakby Osborne kciukiem badał jej tętno.

– Przedstawiasz to w tak czarnych barwach, jakbyś była już starą kobietą. Nie musisz wyrzekać się wszystkiego. Twoje życie wciąż jest pełne możliwości. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak zniewalająco piękna jesteś, Theo. A twoja uroda idzie w parze z błyskotliwym umysłem. To iście zabójcze połączenie.

Gdy ujawniał się urok Osborne’a, było tak, jakby jego oczy płonęły żywym ogniem zmysłowości. To on miał zabójczy czar.

Oblizwała suche wargi, a wtedy spojrzał niżej, wprost na jej usta.

– Tak bardzo piękna – powtórzył.

Chwycił ją za drugi przegub i znów poczuła kojący dotyk na wrażliwej skórze po wewnętrznej stronie nadgarstka.

Ten niski srebrzysty głos.

I te palce na jej przegubach. Pieściły ją łagodnie.

Po co toczyli ten spór?

Być może zbyt pochopnie napisała list do matki.

„Nie daj się omamić jego wypróbowanemu urowi. Skup myśli, Theo. To ważne”.

A jednak wciąż odnosiła uporczywe wrażenie, że dostrzega coś ujmującego pod jego powierzchownością. Coś, co nie miało nic wspólnego ze światem hulanki i blichtru.

Coś autentycznego, szczerego, co nie domagało się natychmiastowej przyjemności.

– Wasza książęca mość – odezwała się. – Doceniam twoją troskę o mój los, ale to moje życie. Wolno mi żyć tak, jak zechcę.

– Dwie damy nie powinny żyć samotnie w irlandzkiej dziczy. Będiesz łatwą zdobyczą dla pierwszych lepszych niegodziwców i łotrów. Jeśli zaś zostaniesz wydziedziczona, skończysz bez pieniędzy, całkowicie bezradna i bezbronna.

Dlaczego wypowiedział te irytujące słowa i wszystko zepsuł?

Thea wyrwała ręce z uścisku. Zesztywniała w przyływie gniewu.

– To nie jest dzicz, a ja nie jestem bezbronna – odparowała. – Jestem wykształcona i nauczona zawiadywać o wiele większym domostwem. I potrafię zapewnić sobie zarobek, gdyby zaszła taka potrzeba.

Skrzyżował ręce na potężnej klatce piersiowej.

– Powiedz, że nie pragniesz luksusu i wygod. Przekonaj mnie. Bo nigdy nie spotkałem kobiety, która by tego nie pragnęła. Idę o zakład, że gładkiej pościeli i francuskich mydełek pragniesz tak samo jak każda inna. Dowodzi tego choćby twój zapach.

– Nauczę się bez tego obywać. Dostosuję się. Wszystko jest lepsze od wydania się za człowieka, którego wybrała dla mnie matka. Od małżeństwa bez miłości. Od zniewolenia przez mężczyznę, który mną gardzi.

– I co by uczyniła, gdybyś wróciła? Przykuła cię kajdanami do ołtarza?

– Nie znasz mojej matki, mości książę.

– W istocie znam. Nie zapominaj, że w ubiegłym roku byłem obecny w pałacu Jamesa... księcia Harland. Zdaję sobie sprawę, że nadzwyczaj trudny z niej przeciwnik. Jesteś pewna, że potrafisz znieść jej gniew? I jak zadbasz o dochody?

Jeśli o to chodziło, miała plan. Oczywiście obejmował obrazy ukryte na książęcym poddaszu.

Niemądrze zatem byłoby zbyt rozdrażniać Osborne'a.

– Płynne władanie włoskim nie spłaci wierzycieli – ciągnął. – Ponadto jesteś zbyt śliczna i zbyt delikatna, aby przez resztę życia mieszkać w chacie jak zwykła chłopka.

„Delikatna?” Wcale nie była delikatna. Lub właśnie przestała być.

„Zachowaj opanowanie. Musisz uzyskać dostęp do jego obrazów. Zachowaj...”

Opanowanie jednak ją opuściło.

– Ty! – parsknęła. – Ty pompatyczny, wyniosły, zaborczy...

– Arogancki nie? – spytał z ironią. – Zapomniałaś?

– Arogancki dupku!

– Ile lat ma twoja ciotka?

– A co to ma do rzeczy?

– Czy ta posiadłość jest dziedziczona? Ilu ma sług? Czy stoi tam porządne ogrodzenie z bramą?

Zgromiła go wzrokiem.

– Nie powinnam była powierzać ci mojej korespondencji – powiedziała.

– Otóż to. – Popatrzył na nią posępnym wzrokiem. – Tego właśnie próbuję cię nauczyć. Nigdy nie ufaj mężczyźnie, Theo. Jesteśmy wilkami, każdy z nas, co do jednego. Od najniższego urzędnika po najwyższego księcia. Weźmiemy od ciebie list, lecz go nie wyślemy. Powiemy, że cię miłujemy, ale w sercu czuć będziemy inaczej. Pożremy cię na śniadanie i wyplujemy kosteczki.

– A mimo to utrzymujesz, że powinnam wydać się za męża.

– Mąż może i będzie cię zaniebdywał, ale będzie związany ślubowaniem, aby się o ciebie troszczyć.

Thea o mało nie roześmiała mu się twarz. Związany ślubowaniem, aby się o nią troszczyć? Jej ojciec nigdy nie troszczył się o nikogo i o nic prócz własnych interesów.

– Dawniej sądziłam, że zamążpójście będzie najlepszym sposobem uwolnienia się spod władzy matki. Miewałam nawet głupiutkie myśli o tym, że spotkam kogoś, kogo pokocham. Lecz po pierwszym sezonie w towarzystwie porzuciłam te mrzonki. Nie musisz mnie więc przekonywać, abym nie ufała mężczyznom. Nie takiej lekcji od życia potrzebuję.

– A jednak temu młodemu gryziopiórkowi zaufałaś na tyle, aby przyjąć od niego przysługę. I jak pierwsza naiwna gąska powierzyłaś mi swój list.

Wyprostowała ramiona w żalostnej próbie, aby sprawić wrażenie wyższej.

– Nie musisz mnie przestrzegać przed złymi wilkami – odpowiedziała. – Potrafię o siebie

zadbać, stokrotne dzięki.

W jego spojrzeniu coś się zmieniło.

– Na pewno potrafisz, naiwna gąsko? – Znowu patrzył na nią z ponurą, śmiertelną powagą. – Zamartwiałybym się o ciebie, mieszkającą nad tym wielkim posepnym oceanem.

Theę dopadła nagła myśl. Ach, ten okruch skamieliny, który nosił na szyi! Pochodził z plaż Balfry.

Z miejsca, w którym utonął jego brat.

W wielkim posepnym oceanie.

Poczuła ucisk w sercu na myśl o tym, że ten niepokonany, silny mężczyzna nosi w sobie tak wielką zadrę. Cierpienie, od którego od dawna usiłuje uciec.

Gdyby udało jej się nakłonić go do odwiedzenia Balfry House, znalazłby tam znacznie więcej niż tylko zapomniane arcydzieła malarstwa. Znalazłby wychnienie od przerażających wspomnień o śmierci brata.

Gdyby znów stanął w tym miejscu, skonfrontował się śmiało z własną udręką.

Z własnymi uczuciami.

Niezdolna się pohamować, musnęła go palcami w policzek, a delikatną skórę jej dłoni poskrobał zarost na szczęce. Dotknęli się rękami, otarli łokciem o łokieć.

– Nie boję się przyszłości, mości księżę – powiedziała łagodnym tonem. – To nie jest kaprys. Ani wpływ pełni księżyca. Nie przejdzie mi w nowiu. Wszystko to przemyślałam bardzo starannie. Wybrałam tę ścieżkę. Bezpowrotnie.

Odwrócił głowę i na moment dotknął ustami jej dłoni. Nie był to pocałunek, ledwie ulotne muśnięcie, ale serce zabiło jej jak oszalałe.

– Jest inna droga – odparł. – Wracaj do Londynu. Powiedz matce, że odmawiasz wyjścia za Foxforda.

Thea pokręciła głową.

– Jeśli nie będzie Foxforda, będzie kto inny – odrzekła. – Matka i babka rozpaczliwie chcą, abym spełniła ich marzenia. Przecież sam byłeś świadkiem, jak matka najęła moją przyrodną siostrę, pannę Beckett, aby złować Harlanda. To czysta desperacja. – Opuściła dłoń na kolana, a skórę wciąż łaskotało wspomnienie zarostu na jego twarzy. – Sama ucieczka nie wystarczy. Muszę uczynić coś nieodwracalnego.

*

„Coś nieodwracalnego moglibyśmy zrobić już w tej chwili”, pomyślał Dalton.

„W tym powozie. Na tym siedzeniu.

Precz z tym czepkiem. Za dużo sztywnej słomy i jedwabnych wstążek.

Uporajmy się z tymi haftkami chytrze wszytymi w podpinkę zdobnego kaftanika.

Zedrzyjmy suknię. Stanik. Bieliznę”.

Przesunął spojrzeniem po jej szczupłej figurze. Ani chybi ma kształtne piersi. Nie za duże, ale okrągłe, idealnie dopasowane do jego dłoni. Ugną się pod jego palcami, gładkie, jędrne.

Zostawiłby pończochy i podwiązki.

Lubił oglądać kobiety rozebrane do samych podwiązek. Widok jedwabnych wstążek na gładkich udach nieuchronnie powodował u niego natychmiastową erekcję.

A skoro o tym mowa... Przesunął się lekko, aby zeszytniały członek ułożył się wygodniej przy udzie. Miał nadzieję, że tego nie zauważyła.

Kłamstwo. W istocie liczył, że ona jednak zerknie w dół i zobaczy, jak na niego oddziałuje.

Uważała, że nie jest idealną kobietą? Przecież to oczywiste, że jest.

Była też idealnym sprawdzianem siły jego woli.

Pragnął ją pocałować. Zorientował się, że jakimś cudem jego dłoń zaplątała się w jej pszeniczne loki.

Dziki różę o cienkich płatkach. Tak właśnie pachniała.

Wargi miała bladoróżowe, podobne do poziomek, które rosły na polach w pobliżu Balfry. Czy smakowałyby tak samo jak one?

Z najwyższym trudem pohamował pragnienie, aby się o tym przekonać.

Och, posmakowałby słodczy. Jakże zdradliwej słodczy.

Przywłaszczyłby sobie ją całą.

Jak by to było, gdyby taka kobieta jak ona czekała na niego w domu, kiedy wracałby po nocy spędzonej w piekle, obolały i posiniaczony?

Jej niewinność była tak wielka i silna, że złagodziłaby wszelki odczuwany przez niego ból.

„Nie. To wszystko jest na opak”.

To on czuł ból tak wielki, że z kretesem zniszczyłby jej niewinność.

Jej piersi gwałtownie falowały. Poziomkowe usta rozchyliły się lekko.

– Czy teraz pojmujesz, mości książę, dlaczego muszę wysłać ten list? – spytała.

„Ach, list”.

W którym wyjaśnia matce, że nie może dłużej żyć w kłamstwie, że w Irlandii skompromitował ją wędrowny aktor. Co za niedorzeczne łągarstwo.

Kiedy to przeczytał, głęboko w trzewiach poczuł nagły gniew. Lecz po chwili uświadomił sobie, że to wszystko czcze wymysły.

Jednak kim on jest, aby jej mówić, że nie powinna rujnować sobie życia, skoro postanowiła to zrobić?

Pod warunkiem, że to nie przez niego jej przyszłość w socjocie zostanie przekreślona na zawsze.

Odchrząknął i wysunął palce z jej włosów.

O nie, nic nieodwracalnego się nie wydarzy. Nic a nic.

– Zgoda, nadam twój list w następnym zajeździe – powiedział Dalton.

Wpatrzyły się w niego tęczówki w kolorze kropel deszczu smagających morskie fale.

– Nadasz?

– Tak, jeśli istotnie tego sobie życzysz.

Rozciągnęła zmysłowe wargi w uśmiechu, od którego pojaśniały jej oczy.

– Tysiącrotnie ci dziękuję, mości książę. – Wygrzewał się przez moment w blasku jej radości. – Widzisz, to nie było takie trudne, prawda? – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Nie musisz zawsze być taki nieprzystępny.

„Powiedz, czego jeszcze sobie życzysz. Niech to będzie cokolwiek. Poproś, abym cię skompromitował w konkretny sposób”.

Dalton wciągnął głęboko powietrze w płuca, by przepłoszyć zdołne myśli.

Opanowanie. Stoicyzm. Nieprzystępność. Albowiem okazanie serdeczności w tej sytuacji mogłoby napytać im obojgu wielkiej biedy.

I żadnych więcej ukradkowych dotyków. Należy uniknąć tego wybuchu podniecenia, od którego niemal rozsadzało mu ciało, gdy ustami musnął jej dłoń.

Przysunął się do ściany powozu.

Musi odzyskać poczucie równowagi. Odnaleźć w sobie niezłomną wolę zemsty. Niewzruszoność, zawziętość. Skupienie na celu.

Trent zamącił mu w głowie, wywołał zwątpienie nieznanne od lat.

Nagle cięcie ostrza w ręku nieprzyjaciela.
Chwila słabości w powozie.
Niczym się od siebie nie różnią.
Jedno i drugie pozostawia widome blizny.
*

Najpierw Dalton pomógł Conowi przy uprząży, następnie wszedł do zajazdu w Chippenham, zamierzając spełnić złożoną obietnicę, a więc wysłać list Thei. Lecz właśnie wtedy dojrzał ją zażywającą wytchnienia w fotelu przy kominku w głębi wielkiej sali. Ramiona pochylone, dłonie na kolanach, wzrok wbity w trzewiki z czerwonej skóry.

Wyglądała na bardzo samotną. Na owalnej twarzy malował się wyraz niepokoju, brew była zmarszczona.

Powiadomienie matki o rzekomym romansie z aktorką zmieniłoby życie Thei nieodwracalnie. Socjeta w okrutny sposób piętnowała upadłe kobiety wysokiego urodzenia. Thea zostałaby wyrugowana z towarzystwa. Nawet gdyby zmieniła zdanie, nie mogłaby powrócić na łono rodziny.

A jeśli z czasem zaczniesz żałować swojego postanowienia? A jeśli zatęsknisz za Londynem? Zaświtała mu nowa myśl. A jeśli ciotka wcale nie ucieszy się z jej powrotu do Irlandii? Albo umrze niespodziewanie? Co się wtedy stanie z tą dziewczyną?

Będzie wydziedziczona, opuszczona przez wszystkich.

Sama.

Na tę myśl ścisnęło go w gardle.

Taka kobieta nigdy nie powinna być sama. Została stworzona po to, aby przeżywać radości. Cieszyć się wszystkim, co dobre i przyjemne.

Stworzona do miłości, do kochania.

Dalton wycofał się z zajazdu, nie zwracając na siebie uwagi.

Na jego życzenie rozweselony oberżysta, który najwyraźniej delectował się już wieczornym kuflem portera, przyniósł pióro i kałamarz.

– Czy coś jeszcze, panie? – spytał.

– Idzie mi o tę młodą damę, która siedzi przy kominku. Proszę jej zanieść filiżankę najlepszej czekolady.

W oczach oberżysty zapłonęły ogniki.

– Podziw wzbudza ta istotka, prawda, panie? – spytał. – Czy mam jej rzec, że napój od pana?

– Nie. Proszę powiedzieć, że przysyła go kucharka.

Mężczyzna pokiwał głową jak mędrzec.

– Zrozumiałem, jasnie panie.

Książę niezwłocznie napisał własny list.

Postanowił, że nie będzie ślepą siłą, która skaże Theę na całe życie żalów i rozpamiętywań.

O żalach wiedział już dość, aby rozumieć, że zżerają człowieka od środka niczym korniki, które atakują pień obalonego drzewa.

Sprawę powinna rozwiązać jedna zawołana groźba skierowana do hrabiny: jeśli Thea zostanie zmuszona do poślubienia Foxforda lub innego podstarzałego para jego pokroju, Dalton skomplikuje życie rodu Desmond w socjocie tak, jak tylko książę potrafi skomplikować.

Do tego kilka słów powiadamiających, że Thea... „Kiedy zacząłem nazywać ją w myślach po imieniu? Dopiero teraz czy w powozie?” Powiadamiających hrabinę, że jej

ukochana córka jest cała i zdrowa i zostanie bezpiecznie dowieziona do Irlandii.

Co się tyczy jej dalszych losów, nie mógł gwarantować niczego, albowiem zamierzał tropić O'Roarke'a.

Dokończył pisanie krótkiego listu i oddał oba, swój i Thei, oberżyscie, aby zostały niezwłocznie wysłane.

Mówiąc ściśle, spełnił życzenie dziewczyny.

Nadał jej list.

Po prostu przy okazji wysłał też swój. Którym nowinom da wiarę posępna hrabina Desmond, to już będzie zależało wyłącznie od niej samej.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 9

W połowie drogi do Bath. Nogi ścierpnięte od wielogodzinnego siedzenia w powozie. Umysł sparaliżowany poczuciem winy.

Czy słusznie postąpił, wysyłając ten list? Teraz było za późno, aby się nad tym zastanawiać. Co się stało, to się nie odstanie.

Thea ukryła się za jedną z gazet, które zebrała po drodze. I dobrze. Ilekroć bowiem ze sobą rozmawiali, powietrze iskrzyło konfliktem. Powóz w końcu zajmie się ogniem i spali na popiół, jeśli nie będą uważać.

Opuszczona gazeta zaszeleściła i ukazały się szaroniebieskie oczy.

– Jest tutaj ogłoszenie reklamujące Księżną Czekoladę – odezwała się Thea. – Wyrób twojego przyjaciela, księcia Harland. Skosztowałam jej w zajeździe w Chippenham. Nie miałam pojęcia, że jest aż tak pyszna.

– James poświęcił się wyrobowi najlepszej pitnej czekolady na świecie. Ostatnio udało mu się doprowadzić do obniżenia taks importowych, stąd nawet podrzędne oberże mogą sobie pozwolić na serwowanie czekolady.

Gdyby ją teraz pocałował, z pewnością wciąż smakowałaby jak przyprawy w słynnej czekoladowej miksturze Harlanda. Dlaczego ciągle nachodzą go takie myśli?

Mała, ciasna przestrzeń.

Śliczna, prześliczna Thea niemal opalizowała w dogasającym świetle. Nigdy dotąd nie widział jej popołudniową porą.

Aby przegnać podobne myśli, zadał pierwsze pytanie, które przyszło mu do głowy:

– Czy miałas jakąkolwiek styczność z księżną Harland, odkąd ona...

– Odkąd skradła mi wybranka? – odpowiedziała z uśmiechem. – Dzień po tym, gdy miałam poślubić księcia, zostałam wygnana do Irlandii.

– To z pewnością było dla ciebie bolesne przeżycie.

– Hm, sama nie wiem. W istocie wcale nie pragnęłam za niego wyjść. Nikt nie chce w to wierzyć, lecz taka jest prawda. Przecież nigdy nawet go nie spotkałam.

– To dobry człowiek – powiedział Dalton.

„Znacznie lepszy ode mnie”.

– Ale owszem, pragnęłabym pewnego dnia zobaczyć swoją przyrodnią siostrę.

Pokiwał głową. A zatem okazało się, że postąpił właściwie. Thea nie chciała zerwać wszystkich więzów z socjetą. Nie chciała skazać się na samotność.

Uniosła z powrotem gazetę.

Skrzypiące koła powozu. Stukot końskich kopyt na żwirowym trakcie.

Dalton znów przeanalizował w myśli wszystko, czego udało mu się dowiedzieć o O’Roarke’u, po to aby nie patrzeć nieustannie na szczupłe kostki otulone miękką skórą trzewików.

Z opowieści matki wynikało, że O’Roarke był dawniej urzędnikiem w kompanii spedycyjnej, a obecnie majątnym kupcem, który prowadził działalność z Nowego Jorku. Dalton uznał, że w bristolskim porcie bez trudu dowie się więcej o nim i jego stosunkach handlowych.

Dlatego ojciec nigdy nie podejrzewał, że to O’Roarke może być zabójcą Aleca? Być może nawet nie wiedział o jego istnieniu. Dalton natychmiast pobiegł myślą do wszystkich ludzi, których stary książę zrujnował w jaskiniach hazardu.

Niskiej rangi urzędnik nie trafił na listę podejrzanych.

Ojciec uparcie trzymał się hipotezy, że jeden z jego nieprzyjaciół podążył za nim z Londynu do Irlandii i zaatakował tam w dniu przybycia.

A przecież tym człowiekiem mógł być O’Roarke, który przez lata czyhał na odpowiednią sposobność. Na właściwy moment. Może postrzegał księcia jako symbol ucisku? Jako tego, który skradł mu ukochaną? Na domiar złego odebrał Irlandczykom ich dziedziczne ziemie.

– Ach – odezwała się Thea, przerywając tok jego myśli. – To powinno zaciekawić znanego hulakę. Okazuje się, że Piekielnik znowu uderzył. Przed Karmazynem na Piccadilly. Piszą tutaj, że obrabował lorda Trenta z jego wygranej i zostawił go krwawiącego na bruku.

To raczej Daltonowi utoczono krwi.

„Niech ci nie drgnie żaden mięsień. Nie okazuj najmniejszego zainteresowania”.

A może odwrotnie, bo taka obojętność wyda się jej zastanawiająca? Powinien wygłosić jakąś zdawkową uwagę.

– W dzisiejszych czasach na ulicach jest bardzo niebezpiecznie – stwierdził jak najbardziej nonszalancko. Należało skierować rozmowę na inne tory. – Moja matka nie opuściła Osborne Court od ponad dziesięciu lat, dasz wiarę? – dodał. – Boi się zapuścić do miasta.

Thea ściągnęła usta ze zdumienia.

– Nie wystawiła nosa z domu od dziesięciu lat? Wiem, że nazywają ją... – Urwała.

– Wdowę Samotnicą – dopowiedział. – Tak, owszem.

– Wprawdzie nigdy nie widziałam, aby wyjeżdżała z domu, myślałam jednak, że robi to o niecodziennych porach albo tylnym wyjściem.

Dalton powinszował sobie w duchu za udaną zmianę tematu.

– Ojciec próbował oddać ją do zakładu dla obłąkanych, ale ja na to nie pozwoliłem. Matka cierpi na najostrejsze stany lękowe. Dygocze ze strachu na myśl o opuszczeniu domu.

– Jakże to ogromnie smutne. – Thea odłożyła gazetę na bok. – Czy nie można czegoś na to poradzić?

– Dawniej próbowałem ją nakłonić do wyjścia. Otulałem ją paltem i niosłem na rękach do drzwi. Lecz krzyczała tak głośno, że musiałem wrócić z nią do jej komnat. Umysł nadal ma trzeźwy i silny, popada jednak w stany przygnębienia i lęku.

– Nigdy nie wróciła do swojego domu w Irlandii?

– Siostry piszą do niej, przekazują nowiny, ona jednak nigdy ich nie odwiedza. One też przestały się z nią widywać. Zbyt to bolesne dla wszystkich.

– Tak mi przykro.

Odwrócił twarz, aby nie widzieć jej oczu pełnych współczucia.

– Lecz matka nie zawsze czuje się nieszczęśliwa – powiedział. – Lubi karmić swoje koty smakołykami. I ćwiczy na dziedzińcu.

– No dobrze, ale żeby w ogóle nie wychodzić z domu? To tak, jakby się było więźniem.

– W tym wypadku z własnej woli.

W powozie zapadła cisza.

Dalton zaczął bazgrać palcem po zimnej szybie w ramie okna. Nagle zastygł, bo uświadomił sobie, co pisał: „Alec”.

Thea odchrząknęła delikatnie, więc zerknął na nią.

– Powiadają, że Piekielnik jest Irlandczykiem – rzuciła wesołym tonem, prawdopodobnie przekonana, że wyświadcza mu przysługę powrotem do poprzedniego tematu. – Podobno mówi z silnym irlandzkim zaśpiewem. Tak piszą w gazetach.

Dalton uświadomił sobie, że stuka stopą w podłogę, więc zastygł.

„Nie okazuj zbyt dużego zainteresowania. Masz do czynienia z bystrym dziewczęciem”.

Przekrzywiła głowę na bok.

– Jesteś częstym bywalcem klubów hazardowych, czyż nie? Czy aby nie miałeś nigdy do czynienia z Piekelnikiem?

– Bywam wyłącznie w tych najlepszych. A Piekelnik to wymysł, aby sprzedawać dzienniki.

Pokręciła gwałtownie głową, a dokoła jej ramion posypały się złote loki.

– Nieprawda – stwierdziła. – Wiem, że to prawdziwa postać. Znam go.

Dalton się zakrztusił. O czym ona gada, u licha?

– No, nie osobiście – dodała. – Mój starszy brat Andrew go spotkał.

Dalton zaczął szukać w pamięci Andrew Beaumonta... Ach tak! To ten Beaumont. Zawiany Beaumont, jak go nazywano w klubie.

– Twój brat – odparł – to, wybacz szczerze, pijaczyna. Lata temu spotkałem go przy kilku okazjach i nigdy nie wypuszczał kielicha z ręki. Najprawdopodobniej opróżniono mu kieszenie, kiedy włókł się do domu, więc musiał ubarwić historię, aby ratować swoje dobre imię.

Stanowczy ruch głową zakończoną szpiczastym podbródkiem.

– Wcale nie.

Psiakrew. Dlaczego nie związał jej i nie odesłał do domu, kiedy była taka możliwość?

– Piekelnik uratował mojego brata przed przepuszczeniem w karty całej fortuny. Wydaje mi się, że gazety wszystko przekreśliły. Piekelnik to prędzej anioł stróż, nie rzezimieszek.

Dalton zakaszłał, aby pokryć zaskoczenie.

– Jeśli to prawdziwa postać, to jest przestępcą – powiedział. – Grasującym po Londynie irlandzkim bandytą. Pewnego dnia go złapią i wtedy zawisnie wysoko.

Przesadził? Nie chciał przecież okazywać żadnych silnych emocji związanych z tą sprawą. Czy czymś się zdradził? Drżeniem głosu? Nerwowym tikiem? Czy wzbudził jej podejrzenia?

– Mylisz się – odparła. Przysunęła się do niego i splotła dłonie, zdecydowana przekonać go do swoich racji. – To szlachetny człowiek. Andrew o mało nie przegrał całej swojej części rodowej fortuny, a do tego włości w Bedfordshire. Wróciłam wcześniej z balu, a on siedział w salonie przy pogaszonych świecach, trzymał się za głowę. Powiedział wtedy, że niewiele brakowało, a straciłby wszystko. Oczy mu płonęły. Potem dodał, że Piekelnik go uratował. Wciąż to powtarzał.

Dalton doskonale pamiętał tę noc. Zasiadł do gry w tym samym klubie, w przebraniu utracjusza. Obserwował ukradkiem Beaumonta. Chłopak przegrał pół swojej fortuny za jednym rzutem kostkami po zielonym suknie.

Wciąż był młody, ale już flaczał, miał zaczątki brzucha, podkrążone oczy i jałowcowy oddech zatwardziałego pijaczyny. Grał coraz bardziej brawurowo. Gdy wychodził z klubu, wrzeszcząc na całe gardło, że w takim razie spróbuje szczęścia Pod Starym Dziadygą po sąsiedzku, Dalton ruszył za nim na ulicę.

Zrzucił wieczorowy strój. Przedzierzgnął się w Piekelnika.

Wiedział, że mrok skryje jego prawdziwą tożsamość. Pijany Beaumont nie stanowił zagrożenia.

Rozlazły, bezradny.

Dalton nie musiał się nawet starać. Jedno ostrzeżenie wypowiedziane pomrukiem i tamten zaczął bełkotać z przerażenia.

– Był wstrząśnięty, twarz miał ziemistą – ciągnęła Thea napiętym niskim głosem. – Ręce tak mu drżały, że o mało nie rozlał brandy. Nie jest zbyt rozmowny, ten mój brat, ale wtedy... Chyba musiał się komuś zwierzyć, a ja akurat się napatoczyłam. – Zapatrzyła się w okno. – Stracił trzy tysiące funtów w dziesięć minut. Tak straszne, że aż trudno uwierzyć.

W istocie Beaumont o mało nie stracił o wiele więcej.

– Och, spójrz – powiedział Dalton. – Zbliżamy się do rogatek Bath.

Wskazał znak drogowy, ale Thea nie raczyła spojrzeć.

Wciąż rozmyślała o swoim bracie i tajemniczym Piekielniku.

– Andrew powiedział mi, że wyszedł na dwór, aby złapać oddech, i nagle ktoś chwycił go za gardło od tyłu i przyparł do muru. Jakiś olbrzym praktycznie wcisnął mu twarz w cegły. Piekielnik ostrzegł, że następnym razem nie będzie go w pobliżu i nie przyjdzie mu na ratunek.

– I co w tym szlachetnego? – spytał Dalton. – Dla mnie to wygląda na napad. Pchnął twojego brata na mur. Groził.

– Ma niecodzienne metody – odparła nieco sztywno. – Ale skuteczne. Bo Andrew już nigdy nie zagrał. I przestał pić. Gdy Piekielnik go uratował, zaczęłam się interesować poczynaniami tego człowieka. Śledzę je od pewnego czasu w gazetach.

„Niedobrze. Bardzo niedobrze”.

– Zanosi się na deszcz – mruknął zdesperowany.

– W jego działaniach są pewne prawidłowości – ciągnęła, jakby nie usłyszała jego słów. – Nigdy nie atakuje kobiet ani dzieci, wybiera tylko mężczyzn. Na ogół majątnych i zepsutych. I niekiedy ratuje takich biedaków jak Andrew. – Wyglądziła spódnicę i spojrzała zamyślona przez okno. – Czasem zastanawiam się, czy mój brat tego wszystkiego sobie nie uroił, bo potrzebował wierzyć w jakąś większą moc sprawczą. Ale nie. – Pokręciła głową. – Wierzę, że Piekielnik istnieje. I jest bohaterem. Jak Robin Hood.

– To wytwór wyobraźni – zachrypiął Dalton. – Zdecydowanie wytwór wyobraźni.

– Nie. Prawdziwy szlachetny człowiek.

– Z przykrością stwierdzam, że się mylisz. Nie ma takiego bohatera, który naprawiłby całe zło w społeczeństwie i ocalił bezbronnych. To mit.

– To ty się mylisz. – Zamachała gazetą do Daltona. – Księżna i książę Harland wspierają bezbronnych, dają schronienie bezdomnym dziewczętom, zapewniają im przyuczenie do zawodu i pracę. To szlachetne postępowanie. Dlaczego tobie nigdy nie przyszło do głowy, żeby w ten sposób spożytkować swoją fortunę?

Dzięki Bogu, tym razem to ona zmieniła drażliwy temat.

– Skoro już pytasz, to zainwestowałam ogromną kwotę w tę ich filantropijną instytucję. Harland to mój najlepszy przyjaciel. Wierzę w to, co robi razem z Charlene.

– Mości książę, nie miałam pojęcia! – Thea popatrzyła na niego rozbłyśniętymi oczami. – To cudowne.

– Drobnostka, nic wielkiego. Moi przyjaciele są o wiele lepszymi ludźmi ode mnie. Nigdy nie będę taki jak oni. Ale dzięki nim mam prosty sposób wykorzystania swojej fortuny.

– Skoro książę Osborne, hulaka i rozpustnik bez serca, łoży pieniądze, aby ratować bezbronne kobiety przed życiem na ulicy, to teraz jeszcze łatwiej przyjdzie mi uwierzyć, że Piekielnik ocalił mojego brata.

Co? Dalton o mało nie dostał napadu kaszlu. To dziewczę miało przenikliwy umysł, a teraz wspomniało o jego dwóch tożsamościach w jednym zdaniu!

„Muszę ją rozkojarzyć. Przekierować jej uwagę”.

Musiał powstrzymać tę dociekliwą piękność przed snuciem dalszych teorii i domysłów. I tak oto zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

Porwał ją w ramiona i pocałował.

*

„No cóż. Tego się nie spodziewałam”. To była jedyna myśl, którą Thea zdołała

sformułować, gdy zaskoczona poczuła na ustach zmysłowe wargi Osborne'a.

„Mój pierwszy pocałunek”.

Zawsze wyobrażała sobie, że będzie to całkowita katastrofa. Że wybuchnie niepowstrzymanym chichotem.

Albo wyrznie zębami w podbródek mężczyzny.

Albo... jak w najgorszym koszmarze, który ją prześladował podczas pierwszych dwóch sezonów... zaraz po pocałunku zwymiotuje na jego wyglansowane botforty.

Lecz stało się zupełnie inaczej. Po prostu... poczuła rozluźnienie. Odprężyła się. I rozkoszowała nowym przeżyciem.

Wargi miał delikatne, a zarazem natarczywe; poruszały się po jej ustach jak pędzel po płótnie.

Czuła, że pocałunek staje się coraz bardziej namiętny, że obejmuje ją swoją mocą aż po stopy, jakby kropla farby akwarelowej w kolorze błękitu pruskiego skapnęła w objęcia wody, aby stworzyć wizerunek wzburzonego nieba.

Jego wargi domagały się więcej. Próbowaly rozewrzeć jej usta. Napierały, muskały, aż wreszcie ustąpiła i wtedy, och, poczuła wsuwający się język, otwierający pokłady nowych doznań i podsuwający odpowiedź na od dawna dręczące ją pytanie.

O co tyle hałasu? Skąd te wszystkie sonety miłosne?

Teraz już wiedziała.

Silne ramię objęło ją w talii. Książę drugą ręką gmerał przy wstążkach pod jej podbródkiem, a potem ściągnął czepek z głowy i odrzucił go na bok, cały czas przywierając ustami do jej ust.

Olbrzymia dłoń spoczęła na karku Thei, unieruchamiając ją, wydając jej wargi na coraz bardziej natarczywy pocałunek.

Jakby rozkazywał jej: „Odchyl się trochę do tyłu. Spleć dłonie na moim karku. Ty także nacieraj językiem. Mów do mnie bez słów”.

Po jej ciele rozchodziły się coraz silniejsze fale rozkoszy.

Szybowała. Skoczyła na oślep w nieznanie.

Ugniatał dłonią jej kibić, jakby nadawał jej kształt.

Zarostem nieogolonej twarzy ocierał się o jej policzki i podbródek.

Całowanie się z tym mężczyzną przypominało oglądanie w galerii obrazu tak pięknego, że odmienia życie widza. Jakby otworzyło się nowe okno na świat. Jakby rzeczywistość się rozrastała.

Straciła mu kapelusz z głowy i zagłębiła palce w jego faliste gęste włosy, aby przyciągnąć go bliżej.

Wytworna dama nie zrzuca dżentelmenowi kapelusza z głowy. Nie wyobraża sobie, że zdziera z niego surdut, aby odsłonić jego potężny tors, który widziała poprzedniego wieczoru.

„Wielkie nieba. Czy robię się rozpustna?”

Wiedziała tylko jedno: każda sekunda jest niewypowiedzianą rozkoszą.

*

Dla Daltona pocałunek był na ogół pocałunkiem i niczym więcej. Zetknięciem się warg, zaproszeniem do gry, poszukiwaniem zażyłości. Wstępem do aktu miłosnego. Rozmową niewymagającą słów.

Czasem, choć z rzadka, był czymś więcej, przebłyskiem raj, odkupienia.

Teraz jednak Dalton przeżył coś innego.

Zatracił się w chwili, gdy ich usta się zetknęły.

Zapomniał o niebezpieczeństwie. Zapomniał, jak się myśli.

W tym tańcu języków ta młoda kobieta wcale mu nie ustępowała. Otworzyła szerzej usta. Zachęcająco.

Ach, te odgłosy, te ciche pojękiwania, które wydawała! I wplotła dłoń w jego włosy, aby przyciągnąć go do siebie.

Gdzie podziały się jej zahamowania, pruderyjność, dystans? Czy westalki nie powinny być łękliwe i niepewne siebie?

Thea oddała się całowaniu z takim zapamiętaniem, że członek Daltona zrobił się sztywniejszy niż dyszel powozu. Całe lata skrępowania okazały się przygotowaniem do tej chwili. Teraz dała upust swojej tłumionej naturze.

Rozpostarła skrzydła i pofrunęła swobodnie w przestworza namiętności.

Zaczął ją całować, aby przestała mówić. Aby odciągnąć ją od tematu Piekielnika. Być może aby ją trochę przestraszyć. Wywieść ją z jej przytulnego świata, w którym niebezpieczeństwo istniało tylko teoretycznie.

Powstrzymać ten bystry kobiecy umysł od odkrycia tajemnicy.

Lecz zaraz potem myśli i plany uleciały, bo Thea oblizała zmysłowe różowe wargi, które pragnął smakować i zawłaszczyć.

Palcem musnął jej pulsującą szyję, wglębienie tuż nad obojczykiem.

Jęknęła i zmrużyła oczy. Ugryzł ją lekko w górną wargę i wtedy znów otworzyła dla niego usta, a on wsunął w nie język, rozkoszując się tym niebywałym smakiem niewinności połączonej z zapamiętaniem.

Może to dla niego był to pierwszy prawdziwy pocałunek w życiu, nie dla niej?

Ta myśl dopadła go nieproszona i nie chciała ulecieć.

Gdyby wokół było dość miejsca, posadziłby ją sobie na kolanach. Ciasnota i ograniczenie podziały na niego jak afrodyzjak.

Przyłożył dłoń do jej policzka i musnął kciukiem dolną wargę, jednocześnie ją całując.

Doznania wolne od uczuć.

Fizyczne zaspokojenie bez potrzeby głębszej intymności.

Takie zasady rządziły jego przygodami miłosnymi.

Nigdy w pełni nie oddał się kobiecie. Jakaś część jego tożsamości zawsze pozostawała nieujarzmiona, patrzyła na wszystko z boku. Odrębna, niedotykalna.

Ale całe to gadanie o Piekielniku... Sprawilo, że Dalton znów przedzierzgnął się w swoje alter ego. Stał się pierwotnym wojownikiem. Kroczył po ostrzu miecza, którym była żądza.

Przepełniony surowym pożądaniem rodzącym się prosto z trzewi. Potrzebą dominacji, podboju.

Jego ciało tchnęło teraz szalonym przekonaniem, że zdobycie tej kobiety stało się nowym celem w jego życiu.

Okno zaparowało.

Kciukiem szerzej rozsunął jej wargi i natarł mocniej językiem. Na torsie poczuł jej jędrne piersi.

Ocierała się o niego jedwabistym policzkiem, jakby była kocicą o miękkim futerku.

Do diaska, zabrakło mu siły, aby oprzeć się takiemu zaproszeniu.

Obcałował jej szyję, zarumienione policzki, delikatną skórę za uchem.

Dalton miał napięte mięśnie brzucha, a jego członek próbował wyrwać się ze spodni na wolność.

Drobnymi dłońmi ujęła go za twarz.

W pierwszej chwili myślał, że jest powstrzymywany, lecz odchyliła nieco głowę

i pocałowała go w oba kąci ust. A potem cmoknęła dołek w podbródku.

– Pragnęłam tego, odkąd zatańczyliśmy walca – szepnęła.

Zamknął oczy.

Wielkie nieba, ta niewinna istotka mogłaby nauczyć wdowy kilku niezłych sztuczek.

Powóz zadygotał – a może to zadygotał sam Dalton?

Nie, jednak powóz.

Hamujące koła zaskrzypiały, a potem woźnica zawołał:

– Prr!

Książę odskoczył błyskawicznie, z trudem uspokajając przyśpieszony oddech. Szybko zagarnął czepek z podłogi.

Otworzyły się drzwi i ukazała się twarz Cona, z nosem zaczerwienionym z zimna.

Wystarczyło jedno spojrzenie na potargane włosy i spuchnięte wargi Thei, aby ze zdumienia uniosły się gęste brwi na irlandzkim czole.

Dalton odchrząknął.

– A... dlaczego się zatrzymaliśmy? – spytał.

Kiedy zrobiło się ciemno? Tak długo się całowali?

– Wyjdź i sam zobacz – warknął Con. – Od lat nie widziałem nic tak sakramencko dziwnego. Proszę wybaczyć mój język, milady.

Uchylił czapki w stronę Thei.

– Nic się nie stało – odrzekła, zawiązując wstążki czepka, aby odzyskać przynajmniej pozór stosowności. – W istocie... chętnie zażyłabym świeżego powietrza.

Con wysunął rękę, aby ją powstrzymać.

– Lepiej zostać w środku.

– Dlaczego, co się stało?

– Pieniądze albo życie! – zabrzmiał cienki głos po drugiej stronie powozu.

„Doprawdy? Rabusie?”

Czy ten jegomość nie wiedział, że takie czasy dawno minęły? Rogatki na gościńcach były coraz lepiej strzeżone, więc bandyci na drogach stali się rzadkością.

Con rozciągnął ogorzałą twarz w uśmiechu.

– Grozi się nam pistoletem – powiedział.

– A to wszystko jest zabawne, bo...? – dopytywał Dalton.

– Winienesz zobaczyć rabusią. A może raczej rabusiątko. Pędrak nie może mieć więcej niż piętnaście lat. Głos mu nawet jeszcze nie zmężniał. Pieje jak sakramencki chórzysta.

Książę odetchnął z ulgą. Prędzej stawiłby czoło dwunastu rabusiom niż kolejnym pytaniom Thei.

Jej pocałunki okazały się jeszcze zdradliwsze.

Odwrócił się do niej.

– Nie ma się czym kłopotać, moja droga – powiedział. – Szybko się z tym uporamy.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 10

„Niech to diabli – Dalton zrugął się w myśli. – Jestem zwierzęciem. Chutliwym zwierzęciem”.

Zbyt był pochłonięty obcałowaniem młodej damy powierzonej jego opiece, aby dostrzec napaść na gościńcu.

Nawet jeśli ten gołowąs był rzezimieszkiem od siedmiu boleści, to jednak trzymał w ręku pistolet i najwyraźniej wierzył, że w ten sposób zmusi ich do wydania pieniędzy.

Nieszczęśnik mógł mieć co najwyżej szesnaście lat. Z okrągłej twarzy pokrytej piegami spoglądały rozplamione brązowe oczy. Sama skóra i kości. Niewątpliwie był synem zubożałego rolnika, a do desperackiego czynu pchnął go głód.

– Oddajcie monety – zapiszczał. – Banknotów waszych nie chcę.

Con miał rację – biedaczyna mówił dziewczęcym głosem.

– Spokojnie – mruknął Dalton do Irlandczyka. – Nie chcemy go przestraszyć. Pistolety i nerwowie, popędliwi smarkacze to niedobre połączenie.

– Wolnego, mój drogi chłopcze – odezwał się łagodnym tonem Con. – Nie ma potrzeby wymachiwać bronią.

Pistolet był stary i zardzewiał. Być może nawet nie został naładowany.

Ale pewności nie mieli.

Dalton i Con wymienili błyskawiczne spojrzenia.

Pierwszy zamierzał skupić na sobie uwagę napastnika, a drugi chciał go wtedy rozbroić.

Najęty woźnica siedział spokojnie na koźle, rozsądnie nie mieszając się do rozmowy.

Księżę zaczął gmerać w kieszeni kamizelki w poszukiwaniu pieniędzy.

– Proszę, chłopcze – rzekł. – Starczy ci z nawiązką. – Wyciągnął dłoń z połyskującą gwineą.

Rabuś skupił chciwe spojrzenie na monecie, a wtedy Con przysunął się do niego.

– Nie mów do mnie „chłopcze” – zapiszczał wyrostek, podnosząc pistolet i mierząc w pierś Daltona. – Jestem Mroczny Baron, Rycerz i Postrach Gościńców.

Dalton ryknąłby śmiechem, gdyby nie lufa wycelowana w jego serce.

– Może lepiej to opuść – powiedział ugodowo. – Jesteśmy uzbrojeni po zęby i dwakroć od ciebie roślejś. Bierz pieniądze i zmykaj do matki.

Con znajdował się coraz bliżej, gotów zaatakować. Wystarczyłby jeden szybki ruch nadgarstkiem, aby wytrącić napastnikowi broń z ręki.

Na trzy. Raz, dwa...

– Na miłość boską, co za wstyd! – rozbrzmiał oburzony kobiecy głos.

Thea. Oczywiście. Wysiadła z powozu i wzięwszy się pod boki, z groźną miną ruszyła szybkim krokiem w kierunku rabusia.

Con się zawahał, nie wiedząc, co robić.

– Damy sobie z tym radę, milady – odezwał się Dalton, napinając mięśnie, żeby natychmiast odciągnąć dziewczynę na bok, gdy Irlandczyk zaatakuje.

Co ta nieprzewidywalna kobieta wyrabia? Puszczając słowa Daltona mimo uszu, podeszła wprost do rabusia.

– Nie zdajesz sobie sprawy, że robisz wszystko nie tak? – spytała oburzona.

Wyrostek posłał jej spojrzenie pełne skruchy.

– Ja... jak to? Przepraszam...

Zaraz, czy ten rzezimieszek właśnie ją przeprosił?

– Trzeba było poczekać do zapadnięcia pełnej nocy – powiedziała. – I zawiązać chustę na twarzy, aby nikt nie mógł cię potem rozpoznać.

Że co? Czy Dorothea Beaumont instruowała bandytę, jak powinno się dokonywać napadu?

„Należało ją posadzić z pistoletem na koźle, obok woźnicy. Ona nie potrzebuje mojej opieki”.

– Milady – warknął ostrzegawczo. – Con i ja panujemy nad sytuacją.

Zgodnie z jego oczekiwaniem słowa te nie wywarły na niej najmniejszego wrażenia.

Stała wprost przed rabusiem i wyciągnęła rękę.

– Oddaj mi pistolet – rozkazała.

Wyrostek zwiesił głowę.

– Przepraszam, jaśnie pani – mruknął. – Rozpacz mnie pchnęła do tego postępu.

– Oddaj.

Ku zdumieniu Daltona chłopak posłusznie położył broń na jej dłoni. Z rezerwą zacisnęła palce na kolbie.

Na gładkiej młodzieńczej twarzy pojawił się półuśmiech.

– Przepraszam, panno Dorotheo. Skąd mi było wiedzieć, że natknę się na kogoś znajomego? Klnę się na Boga, że to mój pierwszy napad.

Dalton i Con wymienili zdumione spojrzenia. Czy chłopak właśnie zwrócił się do niej po imieniu?

Dalton popatrzył na Theę.

– Czy mam domniemywać, że znasz tego bandytę? – spytał.

Nachyliła się i zerwała wyrostkowi czapkę z głowy. Wtedy na ramiona opadły dwa kruczoczarne warkocze.

– Raczej bandytkę. To Molly. Poznałyśmy się w Irlandii. Mam nadzieję, że zaraz nam wyjaśni, jakim sposobem skończyła jako rabuś na drogach pod Bath. No, ruszaj, Molly. Jazda do powozu. Bo jeszcze ktoś cię zobaczy.

Dziewczyna popatrzyła na Cona.

– Ten tu się do mnie zakradał – powiedziała.

– Bo wymachiwałaś pistoletem, żeby go ograbić.

– Nienaładowanym.

– A skąd miał to wiedzieć? Dostyc, Molly. Jazda do powozu, w tej chwili. Mroczny Baron, Postrach Gościńców. Co za brednie. – Thea odwróciła się do Daltona. – Ona pojedzie ze mną – oznajmiła wyzywającym tonem, jakby spodziewała się sprzeciwu.

– Jak sobie życzysz, milady – odparł.

Nie ufał sobie, więc był zadowolony z obecności dziewczyny. Bo wciąż czuł ten nieziemski pocałunek na wargach...

Con podszedł do Molly i nachylił się do jej twarzy.

– No więc, młody panie. Czy panno?

Zmrużyła oczy do wielkości szparek.

– Tyś Irlandczyk?

– Jak sam Kamień z Blarney. A co ciebie sprowadza na gościniec w ten piękny wieczór?

Skrzyżowała wiotkie ręce, a pod rękawami wysłużonego płaszcza zarysowały się kościste łokcie.

– Skradziono mi pieniądze – odparła. – Ten wstrętny skur... – Zerknęła na Theę. – Parszywiec uciekł do Bristolu.

– Zatem zabierzemy cię do Bristolu, i to bez opłaty – powiedział Con. – Wsiadaj.

Pomógł obu kobietom zająć miejsca w powozie.

Dalton dosiadł jednego z koni.

Znajdowali się zaledwie kilka minut jazdy od rogatek Bath i zapadały coraz gęstsze ciemności. Nie groziło im już, że zostaną przez kogoś wypatrzeni.

Gdy wreszcie ruszyli w drogę, książę złowił wzrokiem spojrzenie Cona.

– No i zrobiło się ich czworo – mruknął, kręcąc głową.

– Trzeba oddać naszej damie sprawiedliwość – odpowiedział Irlandczyk, przekrzykując tętent koni. – Nie można się z nią nudzić ani przez chwilę. Co za zajmująca osoba.

Dalton chwycił wodze.

„Zajmująca? Hm. Można i tak to określić. A można inaczej”.

Pocałunek wstrząsnął nim dogłębnie. Poprzestawiał w nim wszystko.

Naznaczył go tak wyraźnie jak cięcie nożem w szczękę.

Dalton przegrywał walkę o zachowanie zimnej krwi.

„Bestia ze mnie – pomyślał z odrazą. – Nie potrafię się opanować. Oprzeć pokusie”.

Kłopot w tym, że ona rozprawiała o Piekielniku. Zaczął ją całować, żeby powstrzymać jej dywagacje.

Poczucie winy paliło go żywym ogniem.

Na miłość boską, przecież niedawno wysłał list do jej matki. Poprzysiągł, że dowiezie ją całą i zdrową do celu.

Niech to diabli, zamierzał dotrzymać słowa, choćby była to ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

Koniec ze szczerymi rozmowami i zażyłością.

Przed wszystkim koniec z pocałunkami.

*

Molly nie przyjęła chusteczki zaoferowanej przez Theę.

– Ja nigdy nie płaczę! – prychnęła, marszcząc nos przyprószone piegami. – Tato się wściekali, że nie płaczę, jak pas szedł w ruch.

– Coś ty sobie ubzdurzyła, dziewczyno? Przecież mogłaś zginąć. Tu się roi od niebezpiecznych drabów.

W relacji księcia ze służą było coś nadzwyczaj niekonwencjonalnego. Thea obserwowała ich milczące porozumienie. Odebrałoby Molly broń z taką łatwością, jak odbiera się dziecku cukierka.

– Ten posiwiasty rudzielec z Irlandii jest w porządku, ale tamten drugi, przystojniak o zadumanych oczach, mocno mi się nie podoba – oznajmiła Molly. – Nie ufam przystojniakom. Nie powinna pani z nim podróżować, milady. Jeszcze skradnie pani serce... I pieniądze pewnikiem też.

– Czy tobie przydarzyło się coś podobnego? Skąd się tu wzięłaś?

– Tak jakby podobnego.

– Tak jakby?

– Nie mogę powiedzieć. – Molly skrzyżowała ramiona w wyrazie sprzeciwu. – Proszę mnie nie zmuszać.

Jako szóste z jedenaściorga dzieci, które niedawno straciły ojca, Molly musiała podjąć pracę w fabryce jedwabiu w Cork.

– Powiedz mi – nalegała Thea. – Może wtedy ci ulży. A kłopoty wydadzą się mniejsze. Może nie jest aż tak źle, jak sądzisz. A wreszcie może będę mogła ci pomóc.

Thea i jej ciotka często zachodziły do chaty rodziny Molly, przynosiły dzbany z miodem, świeżo upieczony chleb, zabawki i własnoręcznie szyte kołdry. Utrudzona chłopka o pomarszczonej twarzy i posrebrzonych czarnych włosach miała jedenaście gąb do wykarmienia. Rodzina dzierżawiła ziemię od jednego z sąsiadów ciotki, bezdusznego szlachcica, którego posiadłość nadzorowali chciwi zarządcy narzucający wysokie czynsze i odmawiający wykonania najprostszych napraw.

W posiadłości Daltona nie było dzierżawców, a jedynie garstka sług, starych i sękatych jak drzewa w tamtejszych sadach. Rozległy majątek miał żyzną ziemię orną, która mogłaby wyżywić sporo rodzin, ale książę kazał wszystko pozamykać na cztery spusty.

Thea zadrżała, przypomniawszy sobie, co powiedział o swoim bracie. Biedak miał ledwie pięć lat. Ale czy to jest powód, aby marniała tak wspaniała posiadłość?

– Jest źle – powiedziała Molly. Zamrugała brązowymi oczami. – Ja jestem zła. – Wcisnęła długie warkocze pod miękką niebieską czapkę. – Nie chcę być dziewczyną. Dziewczynom zawsze jest gorzej, to pewne. Odtąd będę nosiła portki. I chowała włosy. – Wysunęła dolną wargę. – Proszę mnie nie powstrzymywać.

Thea się uśmiechnęła.

– Nie zamierzam cię powstrzymywać. Postrach Gościńców może robić, co mu się podoba.

– Dobre miano, prawda? Aż zadygotali w tych swoich eleganckich gaciach.

– O tak, byli śmiertelnie przerażeni.

Molly uśmiechnęła się krzywo.

– Nie wiedziałam, co mam zrobić – westchnęła. – Nie miałam wyboru.

Thea skinęła głową.

– Tak myślałam.

– Bo pani mi taką książkę pożyczyła. Historię o Richardzie Turpinie, tym rabusiu.

Pewnego wieczoru Molly ruszyła z Theą do jej domu, trzymając się dwa kroki z tyłu, czujna i nieufna. Gdy dotarły na miejsce, Thea skierowała się prosto do półek z książkami, bo na ich widok dziewczynie zapłonęły oczy.

Odtąd Molly czytała w każdej wolnej chwili. Thea czuła sympatię do tej młodej Irlandki, która chodziła rozkołysanym krokiem i klęła jak marynarz. W dodatku pragnęła przeczytać wszystkie książki na całym świecie.

Z zapadnięciem zmierzchu Molly przychodziła do domu ciotki Emmy, mając palce poplamione na niebiesko od farbowania jedwabiu i pragnąc zająć umysł lekturą. Obie młode kobiety zasiadały obok siebie do czytania przed kominkiem. W ten sposób spędzały większość długich zimowych wieczorów.

– Ach, więc to ja ponoszę odpowiedzialność za twój przestępczy wybryk? – spytała Thea.

– Ale skąd. To wina Jacka Raneya. – Przerażona Molly zakryła dłonią usta i spojrzała bystrymi oczami na Theę.

– Jacka Raneya? Wyrwało ci się. To już możesz powiedzieć mi wszystko.

Dziewczyna westchnęła, unosząc chude ramiona.

– Nie... nie mogę – jęknęła.

– To może najpierw ja tobie zdradzę swoją tajemnicę. A potem ty mnie.

Molly się nachyliła.

– Dobrze – odparła.

– Nie wolno ci tego mówić nikomu. Ten przystojny szlachcic o ciemnoniebieskich oczach to nikt inny jak książę Osborne. Podróżuje w przebraniu jako kupiec Jones, bo ucieka przed zazdrosnym mężem jednej ze swoich kochanek.

– Księżę Osborne? Z Balfry House?

Thea skinęła głową.

– Owszem. Zamierzam go przekonać, aby otworzył swoje dworzyszcze przed światem.

– A niech mnie – szepnęła z przejęciem Molly. – Nie myślałam, że jego noga kiedykolwiek jeszcze postanie w Irlandii. – Zerknęła podejrzliwie na Theę. – Ale dlaczego pani z nim podróżuje? Chyba nie... Pani i on...

– Nic podobnego! Po prostu eskortuje mnie w drodze powrotnej do cioci Emmy.

– Ach tak? – Dziewczyna zagwizdała z niedowierzania. – Widziałam, jak na panią patrzy.

– Wyjawiałam ci moją tajemnicę. Teraz twoja kolej.

Molly wywróciła oczami.

– No dobrze, umowa to umowa – rzekła. – Lecz najpierw chciałabym wiedzieć, dlaczego wyjechała pani z Londynu. Przecież nie minął miesiąc od powrotu jaśnie panienki.

– Nazbyt tęsknię za Irlandią. I ciebie też mi brakowało. Zamierzałam przywieźć ci powóz pełen książek, ale wyjechałam w wielkim pośpiechu.

– Brakowało pani mnie? – spytała Molly, uśmiechając się nieśmiało. – I naprawdę chciała mi pani przywieźć książki? – Nagle posmutniała. – Nie mogę już nigdy wrócić do domu.

– Dlaczego?

– W tamtej chwili ten Jack wydawał mi się najlepszym, co mogłam wybrać. Kłamca i oszust, skurwiel jeden. O, przepraszam, milady. Ale to prawda. – Molly zacisnęła dłonie w pięści. – Gdy go dopadnę, pożałuje, że w ogóle się urodził.

– Co się stało? Powiedźże!

– Jeden z nadzorców w fabryce się do mnie dobierał, to dostał kolanem w jądra za swoje starania. – Dziewczyna wsparła łokieć na udzie. – I tak straciłam posadę. Mamie nie mogłam powiedzieć. Musiałam uciekać, a pieniędzy nie miałam. Pojechałam więc z Jackiem do Bristolu. To marynarz, obiecał, że znajdzie mi pracę pokojówki w zajeździe w Bath.

– Co za kundel.

– To nie wszystko – mruknęła Molly z goryczą w głosie. – Powiedział, że potrzebujemy trochę grosza, aby kupić mi ubiór pokojówki. Pokryć pierwsze koszty. No więc ukradłam pieniądze własnej matce. Wszystkie pieniądze zakopane pod cisowym żywopłotem.

– Och, Molly, coś ty narobiła!

– Mówię przecież, że zła ze mnie dziewczyna. Ale chciałam oddać, słowo! – Pokręciła głową. – Jack zabrał mnie do Bath i uciekł z tymi pieniędzmi. Wrócił do Bristolu, kursuje do Cork i z powrotem. I bawi się w Tawernie pod Kotwicą. Zostawił mnie ze starym pistoletem i parą swoich portek.

Teraz Thea zrozumiała już wszystko. Samotna młoda dziewczyna nie miała wielkiego wyboru w obcym mieście.

– Odnajdę go, gdy dojedziemy do Bristolu – powiedziała stanowczo Molly. – Odnajdę go i zmuszę do oddania pieniędzy. – Kopnęła z wściekłością zardzewiały pistolet leżący na podłodze powozu. – Najpierw jednak muszę nauczyć się ładować to żelastwo.

– Koniec z pistoletami, Molly.

– Przecież po dobroci mi tych pieniędzy nie odda! Muszę go najpierw nastraszyć.

– Co za okropny pomysł. Pomówię z księciem. Może coś poradzi.

Molly przyjrzała się Thei uważnie.

– Chyba nic pani nie obiecywał, co? – spytała.

– Nie, wręcz przeciwnie. Ze wszech miar próbował mi pokazać, jak bardzo mnie nie lubi. „Hm, a pocałunek? Był całkiem obiecujący”. Thea chciała wiedzieć, co oznaczał.

W Londynie oznaczałby całkowitą kompromitację dla młodej damy.

Na szczęście Londyn pozostał daleko w tyle.

Gdy rozmyślała o tym pocałunku, miała wrażenie, że owinęła go w papier, przewiązała wstążką i sprezentowała sobie jako cenny dar.

Rozpakuje go później, na osobności, kiedy będzie miała dość czasu i spokoju, aby rozsmakować się we wspomnieniu przeżytej rozkoszy.

– Nie martwmy się teraz o przyszłość – powiedziała. – Najpierw sprawy najważniejsze. Zatem ciepły posiłek dla ciebie. Wyglądasz na okropnie wygłodniałą. – Chwyciła Molly za rękę i zaczęła rozcierać jej dłonie. – Kiedy ostatni raz najadłeś się do syta?

– Będzie ze dwa dni – odparła dziewczyna, opuszczając wstydliwie powieki na oczy osadzone w piegawatej twarzy.

Jak to możliwe, że jakikolwiek mężczyzna chciałby skraść jej cnotę? I pieniądze?

Uff, dopisało jej szczęście, bo napadła akurat na powóz księcia. Biedaczka nie miała łatwego życia, a jej buńczuczność i niewyparzony język były zasłoną, za którą kryła się wrażliwa dusza.

Molly oparła głowę o ścianę powozu.

– Ale żem zmęczona, milady – westchnęła.

– Odpoczywaj. Niedługo będziemy w Bath.

Skuliła się w kącie, a Thea przykryła ją swoim płaszczem.

Dlaczego książę Osborne otoczył się taką twardą skorupą? Zapewne z powodu śmierci brata. I choroby matki. Thea wiedziała, że jego ojciec był bezdusznym okrutnikiem i właścicielem kilku ekskluzywnych klubów hazardowych.

Być może więc książę nie wiódł aż tak beztroskiego i samolubnego życia, jak się wszystkim wydawało?

Powóz zwolnił i zatrzymał się przed zajazdem w Bath.

Thea była tak pochłonięta myślami, że nawet nie zauważyła, kiedy na drodze zaczęło się robić tłoczno od innych powozów.

Nie chciała budzić Molly. Dziewczyna była blada i zmordowana.

Woźnica pomógł Thei wysiąść z powozu, a ona zadygotała w wieczornym chłodzie.

Książę zsunął się na ziemię i szepnął coś do utrudzonego konia, poklepując go kojąco po boku. Nie raczył spojrzeć na Theę.

Okna sali na piętrze zajazdu rozjaśniało pogodne światło i dobiegały stamtąd dźwięki skrzypek i tupot nóg.

– Jakaś zabawa? – spytała Thea chłopca stajennego.

– Tańce, jasnie pani. – Wyrostek spojrział ponad jej ramieniem na powóz. – Macie żółte koła. Z czerwonym przystrojeniem. Jak nazwisko podróżującego dżentelmena, jeśli wolno spytać?

Spojrzała na księcia. Uznała, że najlepiej będzie zachować fałszywą tożsamość.

– To pan Jones.

Chłopak o mało nie wyskoczył ze skóry.

– Pan Jones?! Dziękuję, jasnie pani. Muszę pędzić do roboty.

Po tych słowach pośpieszył do zajazdu.

Dziwne. Przecież powinien był pomóc Conowi przy koniach.

Irlandczyk zbliżył się, a gdy przemówił, z jego ust buchnęły kłęby pary.

– Gdzie ten straszny rabuś z gościńca? – spytał.

– Śpi, biedaczka. Trzeba jej dać coś ciepłego do jedzenia.

Skinął głową.

– Wszystkim nam przydałoby się coś na ząb – powiedział. – Bo...

Przerwał mu donośny trzask otwieranych drzwi. Z zajazdu wyłoniło się dwóch barczystych mężczyzn o zarumienionych gniewnych twarzach.

– Jones! – ryknął jeden z nich, podnosząc pięść. – Który z was to Jones?!

Rozdział 11

„Co znowu?” Czy nie można odbyć normalnej, spokojnej podróży do Bristolu? Najpierw zakazane słodkie pocałunki w powozie. Potem piegowata dziewczucha przebrana za rabusia. A teraz te dwa błazny.

Świdrujące ślepie, łapska zaciśnięte w pięści, rozdziawione gęby wołające Jonesa.

– Hola, hola, panowie – odezwał się Dalton beztróskim tonem. – Zaszła pomyłka. Nie jestem Jones, pojmujecie?

Con stanął tuż za jego plecami.

– Coś za chętnie wynajął nam swój powóz ten pan Jones – syknął do niego Dalton.

Irlandczyk wzruszył lekko ramionami.

– Teraz wyjaśni się dlaczego – odmruknął.

Ten z krzaczastymi czarnymi bokobrodami i twarzą pomarszczoną jak pysk buldoga ruszył śmiało do przodu i zatrzymał się krok od księcia.

– Masz czarny powóz podróżny z żółtymi kołami i czerwonym przystrojeniem. – Splunął w trociny leżące na ziemi. – A ta damulka – kiwnął głową w stronę Thei – przedstawiła cię jako Jonesa. Zgadza się?

– A jakże, a jakże – pośpiesznie potwierdził jego równie wrogo nastawiony towarzysz, noszący postrzępioną czerwoną chustę na szyi.

Dalton jęknął w duchu.

„Thea. Oczywiście”.

– Skłamałam! – zapiszczała rozbijając. – On nie nazywa się Jones.

Buldog odwrócił się w jej stronę.

– No więc jak się nazywa, jaskółeczko?

– Nazywa się... nazywa...

Thea próbowała gorączkowo coś wymyślić.

„Świetnie. To bardzo pomocne”.

– Jesteś Jones! – ryknął mężczyzna, skupiając wzrok na Daltonie. – I teraz zapłacisz, coś winien panu Gatlingowi.

– Przykro mi, że was rozczaruję, drodzy panowie, ale nie jestem Jones. Ja tylko wynająłem od niego ten powóz. A teraz raczcie wybaczyć, jesteśmy zdrożeni i musimy się posilić.

Dlaczego na podwórzu nie było innych ludzi? W zajeździe najwyraźniej trwała zabawa. W oknach na piętrze paliły się świece i rozbrzmiewała muzyka.

Buldog pobiegł spojrzeniem za wzrokiem Daltona.

– Wszyscy się weselą i piją poncz – powiedział. – Nikt nie usłyszy twojego wołania.

Dalton roześmiał się w głos.

– Z czego on rży? – warknął mężczyzna w czerwonej chuście na szyi.

– Jestem kontent, bo mamy taki piękny wieczór – odparł książę. – Rześkie, chłodne powietrze. Przesycone zapachem świeżych liści. Niebawem nadejdzie wiosna i nawet tacy szubrawcy jak wy będą mieć lżejszy krok i radość w nikczemnym sercu.

– Kogo zwiesz szubrawcem?! – syknął Buldog, doskakując do Daltona.

– Ja nigdy nie będę mieć lżejszego kroku! – zakrzyknął Czerwona Chusta.

Mało szarych komórek, sporo mięśni. Dość, by wspólnie powalili słonia.

– Ile pan Jones jest winien? – spytał Dalton.

– Panu Gatlingowi jest winien sto funtów. Tyle mu skradł, oszukując przy kartach tydzień temu.

– Pojmuję. Niegodziwiec z tego pana Jonesa.

– Podły, aż nie ma takiego... – Buldog się zreflektował. Zmrużył oczy. – Ty jesteś Jones. Przystań bałamucić i dawaj no pieniądze!

– Panowie, zaszła pomyłka – wtrąciła się znowu Thea, lecz zanim zdążyła dokończyć, z powozu wyłoniła się Molly, mrugając powiekami i pocierając zaczerwienione oczy.

– Co się dzieje? – spytała.

– Nie twoja rzecz, chłopcze – odwarknął Czerwona Chusta. – Chyba że masz nasze sto funciaków.

– Niedobrze się czuję – powiedziała dziewczyna, chwiejąc się na nogach.

Thea położyła jej dłoń na ramieniu.

W blasku latarni Molly miała upiornie bladą twarz, a jej czoło lśniło od potu.

Thea objęła ją czule.

– Co ci jest? – spytała.

– Chyba... chyba zemdleję.

Con doskoczył do niej i podparł ją ręką. Dotknął jej czoła.

– Ona ma gorączkę – stwierdził.

– Ona? – zdziwił się Buldog. – Dziewucha w portkach?

– Potrzebujemy lekarza – powiedziała Thea.

Dalton pragnął podbiec z pomocą, lecz najpierw musiał uporać się z dwoma osiłkami.

– Con, zabierz obie panie do zajazdu – polecił. – A ja pomówię z tymi sympatycznymi jegomościami.

Irlandczyk wziął Molly na ręce.

– Ejże, widzicie, dziewczucha ma portki! – powtórzył Buldog.

– Jones, co ty za dziwactwa wyprawiasz?! – zawtórował mu Czerwona Chusta.

Dalton zaczekał, aż Thea znalazła się bezpiecznie w środku, po czym odwrócił się do dwóch mężczyzn. Nie chciał, aby widziała, jak sobie poradzi. Stała się nieufna, więc gdyby zobaczyła, że w ciągu paru sekund rozkłada dwóch przeciwników na ziemi, nabrałaby podejrzeń.

Musiał zwlekać, bo być może podpatrywała przez okno.

Niech zadadzą kilka ciosów, aby walka wydawała się trudna.

– A zatem do rzeczy, panowie – zaczął, zrzucając surdut. Podciągnął rękawy koszuli. – Nie będzie to długo trwało.

Odpowiedzią był rechot.

– Niedługo, mówi nam ten koleś!? Nas dwóch, on sam, he, he.

– Lubię taki stosunek sił – odparł Dalton.

Śmiech ucichł.

– Dość zuchwale sobie poczynasz jak na kogoś, kto zaraz będzie starty na miazgę.

– Który z was pierwszy? Śmiało, panowie. Na gołe pięści. Jak to w karczmach.

Wiedział, że Czerwona Chusta ma nóż, bo wciąż błądził palcami po kieszeni. Natomiast Buldog wyglądał na wytrawnego zabijakę, który nie oprze się pokusie brutalnej walki na gołe pięści.

Napięli mięśnie w gotowości. Dalton zrobił krok w ich stronę.

Niech zaatakują pierwsi. Nabiorą wtedy ufności we własne siły.

Wieczorny wiatr niósł odgłosy klaskania i rzępolenia na skrzypkach.

Książę nie miał wyboru, musiał podnieść ręce do walki.

– No dalej, bijcie – prowokował. – Bijcie, matoly sakramenckie.

Przyjął na szczękę pierwszy cios zadany z całej siły. Głowa odskoczyła do tyłu. Zachwiał się na nogach.

W następnej chwili Buldog uderzył w brzuch. Potężne łapsko trafiło w ścianę mięśni.

Owszem, zabolalo, lecz Dalton był na to przygotowany.

Łup, trzask kości o kość.

Ślina i krew trysnęły w powietrze.

Wypluł gęstą strużkę czerwieni na trociny. Zamrugął, bo pot szczypał w oczy.

Przyjął cios, który powaliłby każdego innego mężczyznę.

Ale właśnie dlatego ćwiczył codziennie.

Zahartowując, karząc własne ciało i umysł.

Aby wytrzymać podobne uderzenia.

Każdy cios, który rodził ból, skłaniał go do dzikiego śmiechu.

Bo to było prawdziwe. Bo to był prawdziwy ból. Pozwalał zapomnieć o reszcie.

Dalton mógłby tak przez całą noc.

Odczuwać ból.

I czekać na odpowiednią chwilę, aby się zrewanżować. Niech się zmęczą, niech uwierzą, że sprawią mu lanie.

Do tego właśnie miał talent. Do walki.

Do walki i sprawiania przyjemności kobietom.

A więc ból i rozkosz. To był jego żywioł.

Chciał trochę odczekać, potem ich wykończy. Muszą go najpierw porządnie pokiereszować. Na tyle, żeby Thea wyzbyła się podejrzeń.

Zatoczył się od ciosu.

Nawet nie zauważył, że wróciła na podwórze.

Dostrzegł to dopiero wtedy, gdy w ostatniej sekundzie Buldog powstrzymał cios wymierzony w jego brzuch.

Odwrócił się.

Thea. Stała na środku placu. Rozpuszczone włosy spadały kaskadą na ramiona. Nie miała czepka, kurtki, rękawiczek. Ot, przepyszna zarumieniona kobieta w szaro-zielonych jedwabkach.

Rozkołysane biodra, rozplamione oczy.

Uniosła z wdziękiem rękę, jakby chciała pobłogosławić podwórze.

– Jestem La Gabrielli – obwieściła. – Publiczność! Ika niepohamowanie, gdy śpiewam Rossiniego i wznoszę się na wysokie F. – Obcałowała opuszki palców, cmokając donośnie. – *Che voce divina!* Tak krzyczą.

– Ghhhh – wydał z siebie nieludzkie dźwięki Buldog, odsuwając się od Daltona. Trącił łokciem swojego towarzysza. – Co ona gada?

Czerwona Chusta rozdziawił gębę.

– Pojęcia nie mam. Ale ślicznotka z niej wyjątkowa.

– *Silenzio!* – rozkazała Thea, mówiąc z przesadnym włoskim akcentem. – To wasz szczęśliwy wieczór, panowie. La Gabrielli zaraz zaśpiewa tylko dla was.

Rozpostarła ramiona, potrząsnęła długimi kręconymi włosami i wciągnęła głęboko powietrze w płuca, od czego uniosły się jej piersi pod stanikiem.

Po czym rozpoczęła występ.

Zapewne Rossini, tak przecież mówiła. Dalton znał się na operze jak na hodowli świń, potrafił jednak poznać, czy ktoś umie śpiewać.

Thea umiała. Więcej niż umiała.

Miała wysoki sprawny głos, który oczarowywał ciepłem i bogactwem tonów.

Dwaj napastnicy stali z otwartymi ustami, niemi i unieszkodliwieni, porażeni urodą i pięknym śpiewem.

Złote loki połyskiwały w poświacie księżyca, ręce wykonywały wdzięczne gesty, oczy iskrzyły się błękitem i srebrem, zmysłowy sopran pieścił uszy.

W tej sukni, z lokami opadającymi na ramiona, nikt nie rozpoznałby w niej dziewczyny, która ubrana na biało i przystrojona perłami tańczyła na balu ledwie kilka dni wcześniej.

Dalton miał wrażenie, że po raz pierwszy widzi prawdziwe oblicze Dorothei Beaumont. Poruszała się śmieiej, bardziej bez troski, swobodniej.

Była na scenie i rozkoszowała się mocą swojego oddziaływania.

Nie mógł oderwać od niej wzroku.

Była najśliczniejszym widokiem, jaki kiedykolwiek ukazał się jego oczom. Wiedział, że odcisnie to na jego umyśle trwale piętno.

Czas spowolnił. Męskie spojrzenia oblepiały kobiece ciało.

Była przekonana, że przysłała mu z odsieczą. Dlaczego czuł przez to ucisk w klatce piersiowej? Nie wiedział. Było to... urocze. I odważne.

W dodatku skutkowało.

W istocie książę wcale nie był zadowolony, że skutkowało aż tak znakomicie.

Nie podobało mu się, że te dwa bydlaki rozbierają ją oczami, ogłupione jej namiętym występem w świetle księżyca, że dyszą pożądaniem w reakcji na wdzięczną postać i świergotliwy głos. Że są zauroczone i zziąbane.

Dwa bydlaki? A może trzy?

Aria dotarła do dramatycznego zwieńczenia wyśpiewanego z gorącą pasją. A potem zapadła cisza.

Thea sunęła ku swoim widzom.

Buldog zamrugał powiekami.

– Ghhh. Aleś ty śliczna.

– Och, dziękuję! – Obdarzyła go tak promiennym uśmiechem, że się zachwiał jak po ciosie.

I cofnął o dwa kroki.

– Teraz, szlachetni panowie, gdy już zaszczyciliście mnie swoją uwagą, mam do was pytanie, jedno jedyne pytanie – ciągnęła z tym samym niedorzecznym włoskim akcentem.

– Słuchamy, pani Ga... Gabrielo.

– Gabrielli. – Posłała Buldogowi surowe spojrzenie. – Pani Gabrielli, jeśli łaska. – Odwróciła się do drugiego mężczyzny. – Moje pytanie brzmi: czy w zajeździe nie ma nikogo, kto widział pana Jonesa na własne oczy i mógłby potwierdzić, że mąż mój, pan Gabrielli, nie jest tym, na kim chcecie dokonać odwetu?

„Mąż?! Jezusie miłosierny”, jęknął Dalton w duchu.

Thea zbliżyła się do niego.

– Co ty wyprawiasz?! – syknął.

– Ratuję ci skórę, rzecz jasna. – Uśmiechnęła się rażno. – Może nie zauważyłeś, ale porządnie byś od nich oberwał. Panny walczące o męża mają więcej zapału od ciebie.

Buldog podrapał się po podbródku.

– No mnie się zdaje, że Betsy zna tego Jonesa – odrzekł. – Podobno, hm, podobno go nieźle zabawiła.

„Psiamać, dlaczego mnie to rozwiązanie nie przyszło do głowy?”

– Ech, mężczyźni – prychnęła Thea z pogardą. – Zawsze pierwsi do bitki. A pomyśleć chwilę to nie łaska. Pójdę zatem i przyprowadzę tę Betsy. A wy się nie ruszać nawet na cal!

Zgromiła wzrokiem wszystkich trzech po kolei, po czym ruszyła jak królowa do zajazdu.
Dalton uniósł brew.

Czerwona Chusta wzruszył potulnie ramionami.

Po krótkiej chwili Thea pojawiła się z powrotem na podwórze w towarzystwie tęgawej kobiety o zaróżowionych policzkach i gęstych ciemnoblonde włosach.

– Czy to pan Jones? – spytała, wskazując palcem Daltona.

Betsy zmierzyła go wzrokiem od stóp do głowy i zagwizdała z podziwem.

– Bożeż ty mój! – zakrzyknęła. – Gdy to był pan Jones, ani chybi wpakowałam się do jego powozu i uciekła z nim do Londynu!

– Ale to jego powóz – wtrącił Buldog.

– Przecież mówiłem – zaświszczał Dalton, trzymając się za żebra. – Wynająłem go od Jonesa.

Ten z czerwoną chustą na szyi odchrząknął niepewnie.

– Bez urazy, drogi panie Gabrielli, co? – mruknął.

Wyciągnął grabę do polubownego uścisku dłoni.

– Zajdź do środka, *caro sposo* – zaćwierkała Thea. – Czy ci nikczemnicy cię skrzywdzili? Powinniśmy wezwać straż nocną?

Buldog pokręcił kosmatym łbem.

– Nie ma potrzeby! – zakrzyknął. – Zaszło małe nieporozumienie.

– Brown, ty tępaku – fuknęła Betsy. – I ty, Morgan. Napadacie na niewinnego człowieka?

Pan Gatling się dowie!

Obaj zwiesili głowy jak uczniowie, których nauczyciel okłada linijką.

Thea uśmiechnęła się do Daltona. Przesłanie tego uśmiechu było oczywiste: „Widzisz? Po mojemu jest lepiej”.

– Chodźże, *caro sposo*. – Wzięła go pod ramię. – Ci mili panowie kupią nam posiłek.

– Tyś jak zbudowany z cegieł, Gabrielli. Bebech masz ze stali. – Buldog otoczył Daltona ramieniem, jakby był jego najlepszym przyjacielem. – Niech ci to wynagrodzę. Czym lubisz przepłukać gardło? Brandy? Winem?

– Whiskey – stęknął Dalton.

Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Doskonale, będzie to najprzedniejsza whiskey, jaką robią w Irlandii. Każę przysłać do waszego pokoju.

– Potrzebujemy najlepszej kwatery – obwieściła Thea rozkazującym tonem. – Z ciepłą wodą, świeżym płótnem i maścią na stłuczenia i rany mojego męża.

Znów zgromiła dwóch mężczyzn wzrokiem, a oni skłonili głowy.

– Jeszcze czegoś będzie potrzeba? – spytała Betsy.

– Ciebie – szepnął Dalton tak cicho, że tylko Thea go usłyszała. – Pan Gabrielli będzie potrzebował ciebie.

Zdaje się, że oberwał w głowę o jeden raz za dużo.

Bo jak inaczej wytłumaczyć jego słowa?

– To wszystko, dziękuję – odparła pośpiesznie Thea, rumieniąc się gwałtownie.

Ruszyli we dwoje po schodach za posługaczką.

– Przyprawdę ci lekarza, jak już obejrzy Molly – zwróciła się Thea do Daltona.

– Nie, dziękuję – warknął. – Żadnych lekarzy.

– Ale... jesteś poturbowany. I krwawisz.

– To głupstwo. – Skrzywił się. – Po prostu było ich dwóch.

– Dobrze, że w porę nadeszłam. Jak się nazywa taka sekwencja w boksie?

Odskok–doskok?

– Ha! – Parsknął i zaraz się skrzywił, bo ból przeszył mu żebra. – Przestań mnie rozśmieszać, kłuje jak diabli.

– Mówię poważnie. Po powrocie do Londynu powinieneś wziąć kilka lekcji pięściarstwa, mości książę. Warto umieć się bronić.

Co za ironia losu.

Przecież w kilka sekund powaliłby tych osiłków jedną ręką.

Ale tego nie mógł powiedzieć. Bo wtedy Thea zaczęłaby zadawać zbyt dużo pytań.

*

Dziesięć minut później Dalton zasiadł w niskim fotelu obitym czerwonym aksamitem przed kominkiem, w którym trząsał wesoło ogień. Zaoferowano im najprzystrojnniejszy pokój w całym zajeździe, byle tylko odstąpił od składania skargi.

Usłużna Betsy przyniosła miednicę z gorącą wodą, świeże płótna i maści.

– Zaraz każę przysłać posiłek, panie Gabrielli – powiedziała. – Czy życzy pan sobie, abym opatrzyła panu rany? Nie? Gdyby pan czegokolwiek potrzebował, proszę zawołać, wnet przybiegnę.

Thea zmarszczyła brew.

– Dziękujemy, to wystarczy – odparła stanowczym tonem i odprowadziła posługaczkę do drzwi.

Dalton uśmiechnął się dyskretnie. Pannie Dorothei Beaumont najwyraźniej nie spodobało się, że Betsy łąpie na niego z zainteresowaniem. Ucieszyło go jej niezadowolenie, choć właściwie nie wiedział, dlaczego tak jest.

Odwróciła się do niego.

– Ci dwaj spuścili ci niezłe lanie.

Ech... do czego jeszcze będzie musiał się posunąć, aby bystra panna na wydaniu nie odkryła jego tajemnicy?

– Bez przesady – mruknął. – To tylko parę zadrapań i siniaków. Nic nadzwyczajnego. – Znów się skrzywił, bo fala bólu rozlała się po całym brzuchu. – Być może mam pęknięte żebro albo dwa. Nie ma się czym martwić. Idź zobaczyć, jak się miewa Molly. Mnie nic nie będzie.

– Na pewno?

Thea zagryzła dolną wargę, zostawiając na niej ciemniejszy ślad, który przyciągnął spojrzenie Daltona i przywołał wspomnienie pocałunku w powozie. Ech, chętnie dokończyłby to, co zostało przerwane.

Doprowadził do właściwego zwieńczenia.

W oczach Thei zobaczył szczerą troskę.

– Mości książę, jeśli jesteś ranny, powinnam ściągnąć lekarza – powiedziała. – Bez ceregieli.

– Nie mam żadnych obrażeń, których nie zaleczyłoby kilka łyków whiskey. Podaj butelczynę, sarenko, dobrze?

Gdy napitek z jęczmienia przyprawiony miodem ogrzał jego wnętrzności, a kuszące usta Thei zniknęły za drzwiami, Dalton wyciągnął się wygodnie w fotelu przed kominkiem i zamknął oczy.

Alkohol złagodził ból obitych żeber.

Nie złagodził jednak pożądania.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 12

Do pokoju Molly dobiegały wesole odgłosy skrzypiec i tańca.

Con stał na posterunku obok łóżka. Podniósł rękę na powitanie, gdy otworzyły się drzwi i do środka weszła Thea.

– Jak ona się czuje? – szepnęła, odgarniając dziewczynie kosmyk włosów z czoła.

Molly spała spokojnie, choć nadal była blada i miała spękane wargi.

– Lekarz dał jej krople nasenne – odparł półgłosem Irlandczyk. – Powiedział, że wydobrzeje. Po prostu jest wygłodzona i zmęczona.

– Zjadła coś przed snem?

Kiwnął głową.

– Wypiła trochę rosołu i pożarła sześć bułek. – Zerknął na dziewczynę z zadziwiającą czułością. – Znasz ją, prawda, milady?

– Tak. Pochodzi z wielodzietnej rodziny dzierżawców niedaleko Balfry. Jedenaście gąb do wykarmienia. Zaprawdę nie wiem, jak pani Barton udaje się ich wszystkich obrobić.

Niebieskie oczy wybałuszyły się w pooranej twarzy obramowanej bokobrodami.

– Pani Barton?

– A tak, wdowa.

– A może wiesz przypadkiem, jak ma na imię ta kobieta?

Thea nateżyła pamięć. Nic z tego, zawsze nazywała ją „panią Barton”. Pokręciła głową.

– Niestety nie wiem – odparła.

– Nieważne – mruknął i spojrzał zmrużonymi oczami na Molly. – Ona przypomina mi kogoś, kogo dawniej znałem. Ma takie same płomienne oczy. – Zerknął z powrotem na Theę. – A jak nasza książęca mość poradził sobie z tymi dwoma zabijakami? Pewnie nawet nie zdążyli zipnąć, co?

Przekrzywiła głowę zaintrygowana i popatrzyła na Irlandczyka.

– Wprost przeciwnie – odrzekła. – Ma poobijane żebra, rozcięcie nad okiem i całkiem sporo siniaków.

Con zmarszczył krzaczaste brwi.

– Doprawdy? W takim razie może powinnaś iść i się nim zająć. Ja zostanę tutaj i popilnuję Molly. Nic jej nie będzie, nie ma powodu do niepokoju.

Jak to możliwe, że Thea uważała tego mężczyznę za obcesowego prostaka? Najwyraźniej był kimś zupełnie innym. Dotknęła jego rękawa.

– Dziękuję – szepnęła.

Odchrząknął.

– Idź już, milady. Musisz się zatroszczyć o rannego zwierzaka.

Idąc korytarzem, Thea poczuła dziwne trzepotanie w żołądku.

Rozsądek nakazywał wynajęcie osobnych pokoi. Rozsądek i stosowność.

Zatrzymała się gwałtownie.

Niedawno śpiewała arię w poświęconym księżycu, a jej publicznością było dwóch drabów.

Niewiele w tym stosowności.

No cóż, należy zrobić następny krok na ścieżce przygód. I kolejny.

Zapukała do drzwi.

– Wejść! – zabrzmiało obcesowe polecenie.

Osborne połuźnił poplamiony krwią fular i rozpiął guziki surduta, ale najwyraźniej nie

zamierzał obmyć obitej twarzy.

Nazbyt był pochłonięty piciem whiskey, sądząc po tym, jak obniżył się poziom bursztynowego trunku w butelce.

– Jak się czujesz, mości książę?

– Bywało gorzej.

– Może przyjrzelibyśmy się twoim obrażeniom? – spytała różnym głosem Thea, jakby była pielęgniarką zwracającą się do krnąbrnego pacjenta.

Powodowała nią przecież zwyczajna troska. Szczera, nienaganna.

Stęknął.

– Doskonale – powiedziała. Rozpięła mankiety i podwinęła długie rękawy nad przeguby. – Winienesz się przenieść na łóżko. Nie obmyję ci ran, gdy siedzisz taki poskręcany.

Podniósł wzrok, a wtedy podłoga zabujała się pod jej stopami.

Co za głęboki szafir w tych oczach. Przesycony bólem. Wyciągnęła ku niemu rękę, lecz natychmiast się zreflektowała i gwałtownie ją opuściła.

– Nie dam rady cię przenieść. Sam musisz się podnieść. Zresztą zaraz podadzą nam kolację.

– Chcesz, żebym położył się na łóżku, prawda? – zapytał, a jego oczy zalśniły uwodzicielsko.

Nagle ciepło zarumieniło jej policzki.

– Z czysto medycznej przyczyny, pojmujesz, mości książę.

– A jakże, pojmuję.

Poderwał się na nogi z lekkim sapnięciem, odtrącając zaoferowaną rękę.

Zdjął surdut.

Teraz to Thea ze świstem wypuściła powietrze.

– Masz krew na koszuli – powiedziała.

– Ach tak? – Spuścił wzrok. – Istotnie. Jeden z nich miał nóż.

– Boże miłosierny! Mogli cię zabić.

– Mało prawdopodobne. – Dalton błysnął wilczym uśmiechem. – Mam grubą skórę. – Osunął się na łóżko. – Daj z siebie wszystko, Theo. Daj z siebie wszystko.

Łyknął więcej whiskey.

Thea rozpięła górne guziki jego białej lnianej koszuli.

Gdy delikatnie ściągała mu ją z ramion przez głowę, wciągnął boleśnie powietrze przez zęby.

Wstrzymała oddech na widok jego potężnej klatki piersiowej i twardego umięśnionego brzucha.

Szmatką zanurzoną w gorącej wodzie zmyła krew z rozcięcia nad okiem. Zasyczał i złapał ją za nadgarstek.

– Przepraszam, mości książę – powiedziała.

– Mów mi Dalton. – Wpatrywał się w nią bacznie, szukając czegoś w jej twarzy. – I nie przepraszaj. Kobieta, która ratuje księcia, śpiewając arię księżycową, nigdy nie powinna przepraszać... za nic.

Serce zabiło jej mocniej.

– Dalton? Przecież teraz jesteś księciem Osborne.

– Dawny tytuł przyłgnął do mnie na dobre. Zbyt długo go nosiłem.

„Dalton. Czy to oznacza zażyłość?”

Zmyła krew z płytkiego rozcięcia na piersi.

Jakże różniło się męskie ciało od kobiecego. Musnęła opuszkami palców złotawe kłaczki

porastające jego pierś i jeden płaski sutek.

Miał jeszcze inne blizny. Upiorne, niewidzialne.

– Jesteś o wiele ładniejsza od osoby, która mnie zwykle pielęgnuje, wiesz o tym? – spytał. Wykrzywił lekko usta. – Na ogół to Con opatruje mnie po kilku rundach boksu.

Zeskrobała mu ślad krwi z policzka.

– Nigdy nie mogłam pojąć powabu tego sportu – odparła. – Dla zabawy mężczyźni okładają się pięściami. Nie dość przemocy na tym świecie? Czy trzeba ją przemieniać w rytuał?

– Mówiłem ci, Theo, mężczyźni to prymitywne istoty. Lubimy tłuc. Mamy to we krwi. Po śmierci brata czułem się bezbronny. Gdy tylko podrosłem, zacząłem się uczyć boksu i fechtunku, aby poczuć się silniejszym.

– Hm. Sądząc po dzisiejszym wieczorze, niezbyt przykładałeś się do tej nauki.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Och, dla mnie to była dopiero rozgrzewka – odrzekł. – Kilka minut później znokautowałam ich obu.

– Mhm.

– Nie wierzysz mi?

– No nie wiem... Nie zadałeś ani jednego ciosu.

– Na tym polega moja strategia. Niech się zmęczą, dostaną zadyszki, a potem trach!

Walnął pięścią w brzeg łóżka. I natychmiast jęknął, bo gwałtowny ruch spowodował klucie w żebrach.

– Przestań się miotać – upomniała Thea. Nałożyła maść na rozcięcie na klatce piersiowej, przesuując palcami po gładkiej skórze i twardych mięśniach. – Usiądź, proszę. Muszę zawiązać kawałek płótna na tej ranie.

Dalton podparł się na łokciu. Był niebywale barczystym mężczyzną. Dłuższą chwilę trwało, zanim owinęła jego tors. Musiała się głęboko nachylić, aby uporać się z zadaniem.

Do pasów płótna chętnie dodałaby swoje ramiona.

Odsunęła się.

– Poślę po świeżą koszulę – powiedziała, odwracając się i zsuwając z łóżka, aby nie dostrzegł pragnienia w jej oczach.

Chwycił ją za nadgarstek i przyciągnął z powrotem do siebie.

– Nie – syknął. Oczy zapłonęły mu w blasku świec. – Zawsze śpię nago.

Znowu poczuła uderzenie gorąca rozlewające się z głębi brzucha po całym ciele. Aż na policzki.

Czuła, że nad jej rozsądkiem górę bierze dzika śmiałość. Skoro Dalton spał nago, chętnie ściągnęłaby teraz z niego te portki.

Palce przesunęły się w kierunku rozporoka.

O rety. Powinna jak najszybciej wyjść na podwórze, aby przewietrzyć głowę na chłodnym powietrzu. Spryskać policzki lodowatą wodą.

– Pójdę wywieźć się, co z naszym posiłkiem – powiedziała, żeby ukryć zmieszanie.

Żeby nie dostrzegł, że całe jej ciało zmieniło się w galaretę dygoczącą z pożądania. Jeszcze chwila i rozpięłaby mu spodnie.

Takie myśli w głowie przyzwoitej młodej damy?

Wyszła na korytarz i oparła się o ścianę, aby uspokoić oddech.

U góry schodów pojawiła się Betsy z tacą pełną naczyń.

– Jak się miewa pan Gabrielli? – spytała. – Mam nadzieję, że obyło się bez poważnych ran.

– Półnagi w tej chwili, obawiam się. Każ przynieść świeżą koszulę.

- Zrobi się, pani Gabrielli.
- Wezmę to. Dziękuję, Betsy.

Thea chwyciła za brzeg tacy, lecz dziewczyna stawiała niespodziewany opór.

- Za ciężka, jaśnie pani – odparła. – Sama zaniosę.

Oczywiście. Przecież nadarzyła się okazja, aby popatrzeć na rozebranego Daltona.

- Nie, nie jest za ciężka – odrzekła Thea.

Pociągnęła mocniej i Betsy niechętnie oddała tacę.

- Dobrze, więc chociaż otworzę pani drzwi.

Nie czekając na odpowiedź, dziewczyna nacisnęła klamkę. Wyciągnęła szyję, aby dojrzeć łóżko, lecz widok zasłaniały kotary.

Zawartość tacy pachniała niebiańsko. Nagle Thea poczuła wilczy apetyt. I to nie tylko na księcia Osborne.

Postawiła tacę na stole, odprowadziła wścibską Betsy za próg i zamknęła drzwi.

Dalton dźwignął się z łóżka i usiadł w fotelu naprzeciwko, mając na sobie tylko portki z kozłej skóry i pasek płótna, którym przewiązała go Thea.

- Dziewczyna przyśle nową koszulę – powiedziała.

Policzki ją paliły, nic nie mogła na to poradzić. Nigdy dotąd nie siedziała naprzeciw półnagiemu mężczyzny przy kolacji. Jakim cudem ten karygodny zarost na szczęce i siniak na policzkach jeszcze dodawały mu urody, choć przecież i tak był już zniewalająco przystojny?

Thea oderwała wzrok od ciemnoniebieskich oczu i skupiła się na potrawce z wołowiny i marchwi oraz pysznym chrupiącym chlebie z masłem. Tego wieczoru nie dbała o maniery. Wygarnęła nawet resztki potrawy skórką od chleba.

Dalton też zjadał ze smakiem i przez dłuższą chwilę w milczeniu zapełniali żołądki.

– Zauważyłeś, mości książe, że głód czyni prosty posiłek o wiele smakowitszym od najwymyślniejszej uczyty? – spytała Thea, ocierając palce serwetą. – Co pijesz? – Nachyliła się i pociągnęła nosem. – Pachnie torfem.

– Trafne określenie. – Podniósł butelkę. – To wyborna trzykrotnie destylowana irlandzka whiskey z jęczmienia.

- Mocna?

– Za mocna dla panny Dorothei.

- Jak mam to niby rozumieć?

– Tak, że młode damy najczęściej lubią sączyć lekką sherry. Nic w tym złego. Ja sam od czasu do czasu lubię popić przedniej sherry.

Thea wyprostowała się w fotelu.

- Poproszę trochę do skosztowania – powiedziała.

Czemu nie? Nowe doświadczenie pozwoli oderwać wzrok od jego muskularnego torsu. Jakże wielka wydawała się jego dłoń zaciśnięta na szklance, do której nalał odrobinę trunku.

Upiła parę kropel, dumna z siebie, bo wcale się nie zakrztusiła. Jeszcze trochę. Alkohol spłynął do żołądka, rozlewając w jej ciele miłe ciepło i poluzniając spięte mięśnie między łopatkami.

– Wołowina i whiskey – odezwał się Dalton lekko kpiącym tonem. – Nasza młoda dama szybko poznaje świat.

– A owszem. – Thea rozejrzała się po pokoju umeblowanym prostymi sprzętami. – Sztuka piękna w zajazdach lekko obniżyła loty.

- Sztuka piękna w zajazdach?

– We wszystkich zajazdach i oberżach jak Anglia długa i szeroka wiszą reprodukcje tych samych pięciu obrazów – wyjaśniła. – Zapewne setki rzemieślników dzień w dzień

wykonują kopie.

Pokręcił głową.

– Nie zwróciłem uwagi – mruknął.

Wskazała ścianę dłonią, w której trzymała szklaneczkę.

– Proszę bardzo, oczywiście to Gainsborough. Obowiązkowo. W zajazdach zawsze wiesz się najpogodniejsze pejzaże. Muszą być pierzaste obłoki, w oddali iglica kościoła. Kosmate owieczki pasące się na stoku. Taka sztuka podnosi na duchu, nie uważasz, mości książę?

Zmrużył oczy, wpatrzony w obraz, a Thea skorzystała z okazji i dołała sobie whiskey.

– Nie podoba mi się – stwierdził. – Za mało nagich bogiń.

Roześmiała się.

– Tycjan w sali balowej też ci się nie podobał. Nie jesteś wielbicielem sztuki?

– Istotnie, nie poświęcam jej zbyt wiele uwagi – odrzekł.

– A czy nie myślałeś o swojej kolekcji w Balfry House?

– Być może moje rozważania idą w tym kierunku.

Oczy Daltona zalsniły w blasku świec.

Zapukano do drzwi. Thea podniosła się i odebrała od Betsy świeżą koszulę z fularem.

Zamknęła natychmiast drzwi, aby dziewczyna nie dostała palpacji serca na widok półnagięgo księcia.

I poczuła szczerzy żal, gdy wciągnął koszulę na ramiona.

Trunek najwidoczniej już uderzał jej do głowy.

Zawiązał luźno fular.

– Dochodzę do wniosku, że lubię whiskey – powiedziała Thea. – Zaiste wspaniały wynalazek.

Alkohol ją ośmielił. Zgarnęła dłonią włosy w kok na głowie i wygięła szyję, wysuwając biust do przodu.

Patrzył zachłannie, a ona rozkoszowała się swoją władzą nad nim.

Puściła włosy i potrząsnęła głową. Uwielbiała czuć ciężar loków na plecach, muśnięcia na szyi.

Było co najmniej kilka sposobów, aby skłonić księcia do wydobycia kolekcji obrazów z zakurzonego poddasza.

Lubieżna myśl zagnieździła się w głowie Thei jak whiskey niosąca ciepło w jej żołądku.

*

Dalton ścisnął widelec w dłoni, usiłując zignorować Theę. Odniósł spektakularną porażkę.

Gdy potrząsnęła głową w blasku kominka, jej włosy przeobraziły się w gęstwinę płomieni.

Ze wszystkich sił pragnął zepchnąć ją do zakamarka swojego umysłu zarezerwowanego dla problemów, pecha i plag, lecz okazywała się kobietą zbyt ponętą i intrygującą.

W rozmowie dawała dowody bystrości intelektu, a każdy jej ruch przesycony był naturalną, swobodną zmysłowością.

Dalton podziwiał także jej odwagę. Thea stawiała czoło tej ognistej smoczycy, którą była jej matka, i porzuciła wygodne życie, co dowodziło wielkiej śmiałości.

– Och, spójrz! – zakrzyknęła, podnosząc pokrywkę ostatniego naczynia. – Trifle!

Ze wszech miar niestosownie zanurzyła palec w deserze i... niech to szlag! Oblizała go.

Dalton był stracony.

Może jednak mogliby spędzić noc w tym samym łóżku? Pofiglować trochę? Nie za dużo oczywiście.

– Mmmm – westchnęła, mrużąc oczy. – Ciasto biszkoptowe. – Znow oblizała palec. – Dżem morelowy. Słodka śmietana skropiona słodkim winem. – Zjadła ostatnią drobinę z palca. – Posmak cytryny i ubite białka. Przepyszne.

To ona jest przepyszna. Oczy zamknięte, policzki rozplamione od whiskey i żaru w kominku. Miodowe loki rozsypane na czerwonym aksamitnym oparciu fotela.

Wygarnęła łyżką deser prosto z naczynia.

– Pożrę to – mruknęła.

„Ma na myśli trifle”, usiłował przemówić do swojego niezdyscyplinowanego członka prężącego się w gotowości.

– Wprost brak mi słów – ciągnęła i wzięła kolejny kęs, trzepocząc rzęsami.

Czy ta kobieta musi zachowywać się tak, jakby zwykły biszkopt wprawiał ją w ekstazę?

– Mniemam, że smakuje? – rzucił Dalton obcesowo.

– Jest doskonale. – Thea zmarszczyła czoło. – Nie chcesz spróbować, mości książę?

Powinieneś.

Wzięła następną porcję, wysuwając język, aby zlizać trochę pianki.

Członek żył własnym życiem w desperackiej nadziei na spełnienie.

– Proszę – rzekła, zgarniając łyżką kawałek miękkiego przekładańca. – Skosztuj.

Zacisnął wargi.

– Nie lubię trifle – wycedził.

– A próbowałeś kiedykolwiek?

– Nie.

– Tylko troszeczkę. Bardzo proszę.

Tak się zaczynają największe kłopoty. Musiał otworzyć usta, bo przysunęła łyżeczkę do jego twarzy, a on przecież pragnął skosztować tego, co chciała mu zaofiarować... Choćby to był tylko deser.

Wypiła kolejny łyk whiskey i zachichotała cicho.

– Co cię tak śmieszy? – spytał.

– Pamiętasz, jak deptałam ci po plecach, mości książę? Mocniej, Olofsson, tak mówiłeś.

Daj z siebie wszystko.

– Owszem, pamiętam. Jak mógłbym zapomnieć?

– Szkoda, że nie widziałeś swojej miny, gdy się zorientowałeś, że to ja, a nie ta cała Olofsson. Pragnąłeś mnie udusić.

Ponownie zachichotała, bo zmarszczył gniewnie czoło.

– Chyba masz dosyć – stwierdził.

Wyciągnął rękę, ale szybko odsunęła swoją szklaneczkę i wypila jej zawartość jednym haustem.

– Gdybyś tylko widział swoją minę.

– Widzę siebie codziennie rano w lustrze i to wystarczy – warknął.

Roześmiała się w głos.

– Przyznaj, że to było zabawne – powiedziała.

– Być może. – Próbował zachować powagę, lecz mu się nie udało. – Mam dość odwagi, aby przyznać, że owszem, było zabawne.

– A dziś postąpiłeś cudownie – ciągnęła Thea. Westchnęła głęboko. – Zgodziłeś się zabrać Molly do Bristolu. Umieściłeś ją w zajeździe, żeby wydobrzała. – Owinęła sobie złoty lok na palcu. – Jesteś szlachetnym człowiekiem.

Nieprawda. To, co pragnął teraz z nią zrobić, nie było szlachetne. Raczej prymitywne i niepohamowane.

– Molly potrzebuje naszej pomocy – stwierdziła Thea zaskakująco trzeźwym tonem.

– Jakim cudem znalazła się w tych krzakach przy drodze z zardzewiałym pistoletem w ręku?

– Nie mogę zdradzić szczegółów. Powiem tylko, że jest usprawiedliwiona okolicznościami. Do tego desperackiego czynu pchnął ją splot nieszczęśliwych zdarzeń. Potrzebuje naszej pomocy, aby wrócić do rodziny w Cork.

– Niech jedzie z nami – powiedział Dalton. Rozparł się w fotelu. Whiskey zaczynała roztaczać swój czar, bo poczuł rozkoszną ociążałość. – Pod warunkiem, że pistolet pozostanie pod moją pieczęcią.

– Och, mości księżę. – Thea uśmiechnęła się psotnie. – Zrzędzisz, ale tylko na pokaz. Con mówił prawdę.

– A co mówił? – spytał czujnie.

– Że masz wrażliwe, czułe wnętrze. Że trzeba tylko rozbić skorupę.

– Ten gadatliwy parszy...! – prychnął. – Uduszę go gołymi rękoma.

– Przecież to prawda. – Patrzyła na niego, przekrzywiając lekko głowę. – Ta twoja grubiańskość i bezduszność to tylko mydlenie oczu. Przypatruję ci się, odkąd jedziemy razem. – Znów skosztowała trifle. – Słyszę fałszywą nutę. A właściwie prawdziwą. Jakbyś miał dobre serce i chciał dobrze postępować.

Dość tego gadania.

Dalton poruszył się niespokojnie w fotelu.

Może powinien dziś spać w stajni? To była jedyna rozsądna droga postępowania. Ta dziewczyna zbyt długo żyła pod butem matki i teraz zachłysnęła się swobodą. Mocą swojego uwodzicielskiego uroku. I dedukującego umysłu.

Odsunął łyżeczkę i rzucił serwetę na stół.

– Najlepiej będzie...

– Zaczynam również podejrzewać, że masz skryty powód, aby jechać do Irlandii – stwierdziła, wymachując łyżeczką w powietrzu.

Zmusił się, aby zachować spokój. Starał się, aby nie drgnął mu żaden mięsień ani kąciki ust. Gdyby teraz wyszedł, wzbudziłby większe podejrzenia.

Przecież ona nie może wiedzieć, że za dnia Dalton jest księciem, a w nocy mrocznym bojownikiem o sprawiedliwość.

– Owszem, mam swoje tajemnice – odparł, wciskając się głębiej w fotel i uśmiechając beztrudnie. – Rozszyfrowałaś mnie. – Podniósł ręce w geście kapitulacji. – I owszem, mam swoje powody, aby jechać do Irlandii.

– Naprawdę? – szepnęła Thea.

Otworzyła szeroko oczy i nachyliła się.

– Nie wybieram się tam po to, aby odwiedzić jakąś wdowę.

– Po co w takim razie?

Wstrzymała oddech z wrażenia i przesunęła się na skraj fotela.

„Dlaczego jadę do Irlandii? Myśl, myśl! Trzeba podać przekonujący powód. I skierować jej uwagę w odpowiednią stronę”.

– Jadę... Szukam żony.

O mało nie upuściła łyżeczki.

– Żony?!

– Owszem. – Dalton rozsiadł się w fotelu i położył jedną nogę na kolanie drugiej. –

Księżęta Osborne tradycyjnie biorą sobie Irlandki za żony. Jestem już w tym wieku, co mój ojciec, kiedy poślubił moją matkę.

Zamknęła gwałtownie usta.

– Ach.

– O co chodzi?

– Myślałam... myślałam, że nie zamierzasz się żenić.

Wzruszył ramionami.

– Matka tego chce – odparł. – Uznałem, że gdyby doczekała się wnuka, to może znalazłaby w sobie siłę, aby wreszcie wyjść z domu. Jest Irlandką, więc zaakceptuje rodaczkę jako moją żonę.

Thea wyglądała na wstrząśniętą i głęboko zranioną. Psiamać, zapragnął objąć ją czule i szepnąć jej do ucha, że to wszystko nieprawda.

Przecież nie szukał narzeczonej. Nie miał głowy do ożenku.

– W Londynie powtarzają, że ty się nigdy nie ożenisz, mości księżę – wybąkała, siląc się na lekki ton. – Że jesteś bezdusznym, zatwardziałym hulaką, który nigdy się nie ustakuje.

– I mają słuszość... w pewnej mierze. Bo żenić się będę bardziej przez wzgląd na matkę, a nie dla siebie.

Ech. Okropne. Dalton nie cierpiał jej okłamywać.

– A więc mówisz, że nie jesteś hulaką?

– Jestem najpierwszym hulaką Londynu. Wiesz o tym doskonale.

– Wiem? No cóż, bywasz czarujący, lecz zauważyłam, że twój uśmiech nigdy nie sięga oczu. Nawet wtedy, gdy całujesz dziewczynę.

– Och, Theo, czy ty badasz mnie jak jeden z tych swoich obrazów?

– Być może. Bo zdaje się, że pod wierzchnią warstwą są ukryte inne motywy.

– Czy mam rozumieć, że jestem arcydziełem? – zadowolony.

Ze wszystkich sił starał się nie pokazać, jak mocno poruszyły go jej słowa.

Przekrzywiła głowę i pobiegła spojrzeniem od jego ust aż do...

Czy ona naprawdę wpatruje się w jego krocze?

– Mości księżę, wprawdzie oszczędnie używasz słów, ale twoje ciało mimowolnie wysyła różne sygnały – powiedziała. – Na przykład stukasz stopą.

Dalton powstrzymał niesforą nogę.

Niech szlag trafi ten jej bystry umysł!

– Gdy jesteś niezadowolony, stukasz lewą stopą – ciągnęła Thea. – Zazwyczaj są to trzy uderzenia. Przed chwilą tak było.

Zastygł.

– Jesteś bardzo spostrzegawcza – przyznał.

– I jeszcze jedno ci powiem. – Nachyliła się i wsunęła łokcie w przestrzeń między jego dłońmi. – Idę o zakład, że w głębi ducha wcale nie jesteś hulaką ani rozpustnikiem. Udajesz takiego, aby trzymały się od ciebie z dala natrętne matrony szukające dobrej partii dla swoich córek.

Odskoczył jak oparzony.

– Przegrałabyś ten zakład z kretesem – odrzekł. – Spytaj pierwszego lepszego człowieka w Londynie. Spytaj wydawcę „Timesa”. Moje wybryki wystarczyły, aby jego syn miał pełne ręce roboty w redakcji.

Pokręciła głową i rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

– Nie przekonałeś mnie – odparła.

Jakże zręcznie osaczyła go swoimi domysłami. Wydawało się, że jest najtrudniejszym

przeciwnikiem, z jakim Dalton kiedykolwiek miał do czynienia. Musiał zachować najwyższą ostrożność. Nie wolno zdradzać swoich uczuć.

Na szczęście był obeznany ze sztuką wybiegów i podstępów.

Wyprostował się w fotelu.

– Wystarczy, abys przeczytała zapisy w księdze zakładów u White’a. Te, w których wyszczególnione są moje wpłaty. Tam kryje się cała historia.

Zanurzyła łyżeczkę w salaterce z deserem, całkowicie zapominając o dobrych manierach.

– Wątpię – odpowiedziała spokojnie. – To tylko połowa historii. A mnie zależy na odkryciu całej prawdy.

Dalton przywołał uwodzicielski uśmiech na twarz.

– Nic nie znajdziesz – odparł nonszalancko. – Przykro mi cię rozczarować, sarenko, ale naprawdę jestem hultajem w każdym calu. – Rozłożył szeroko ręce. – W tej piersi nie ma szczerzłotego serca. W istocie nie ma żadnego serca.

Zmrużyła szaroniebieskie oczy.

– Chcesz iść o zakład? – spytała.

– Nie chcę.

Żadnych zakładów. Najwyższa pora, aby wyjść.

– Świadek numer jeden – powiedziała, wskazując łyżeczką jego stopy. – Twoje buty.

„Ze co?”

– Buty?

– Nie kazałeś ich wyglansować, odkąd wyruszyliśmy w drogę z Londynu. Wszyscy wiedzą, że hultaje i bawidamki zawsze noszą wypucowane botforty, w których się przeglądają. – Zamachała łyżeczką. – A zatem nie rozpustnik, nie bawidamek.

Dalton prychnął.

– Jutro każe je wyczyścić – odrzekł.

– Świadek numer dwa – ciągnęła niezrażona. Nabrała sobie więcej słodkiej masy, zjadła i oblizała łyżeczkę. – W ogóle nie pachniesz jak hulaka. Byliśmy blisko siebie, powąchałam. W ogóle tak nie pachniesz. – Postukała palcem w stół. – Ostre piżmo. Drzewo sandałowe. Las sosnowy. Wyprawiona skóra. To są wonie, którymi pachnie hulaka. A ty, jeśli chcesz znać prawdę, pachniesz raczej stajnią.

– Bo doglądam naszych koni – wybąkał.

– Nie – zaprzeczyła, wielce z siebie zadowolona. – Pachniesz tak, bo nie jesteś rozpustnikiem.

– Na miłość boską, co za niedorzeczna rozmowa! – Uniósł się z fotela. – A zatem idę do stajni, aby znaleźć się wśród swoich.

– Zaczekaj, mości książę! – krzyknęła, znów wymachując łyżeczką. – Świadek numer trzy. Nasza Molly. Dopuszciasz do swojej kompanii dziewczynę, która groziła ci pistoletem. To dowodzi, że nie jesteś bezduszny.

– Cóż w tym dziwnego? Nie zamierzałem zostawić na gościńcu biedaczki, która w męskim ubraniu wymachuje pistoletem. Mogła postradać życie. Albo zawisnąć na szubienicy.

– Otóż to. Troszczysz się o ludzi, którzy są słabsi i mają mniej udane życie niż ty. I z całą pewnością kochasz swoją matkę. Zależy ci także na Conie. A to prowadzi mnie do ostatniego świadectwa...

– Wypiłaś za dużo whiskey, więc...

– ...świadectwa numer cztery. Znajdujesz się w sypialni. W moim towarzystwie. Ja się lekko podchmieliłam, a ty nawet nie próbujesz mnie pocałować. Nie spojrzalesz nawet pożądliwie na moje usta. – Odłożyła z trzaskiem łyżeczkę na stół. – A więc w istocie nie jesteś

rozpustnikiem. – Wstała i ukloniła się najpierw w prawą, potem w lewą stronę. – Szacowni członkowie ławy przysięgłych, oskarżenie nie ma nic więcej do dodania.

Dalton jęknął. Ta kobieta go wykończy. Rękawica została rzucona. Czy sprostą wyzwaniu?

Igrała z ogniem. Dobrze zatem, sama tego chce, sama się prosi. W tej chwili niczego nie pragnął bardziej, niż przekonać ją, że w głębi ducha jest rozpustnikiem.

Zaczynając tu, na dywaniku przed kominkiem.

Kończąc na łóżku.

Zedrzeć z niej suknię, ściągnąć stanik. Wyrwać z jej ust jęki i krzyki. Sprawić, że będzie gorętsza niż płomienie w kominku.

Dość tych prowokacji. Podpity książkę też ma określone granice wytrzymałości.

Popatrzył więc pożądliwie na jej usta.

Wyciągnął rękę i chwycił nogę jej fotela. Szarpnął, przyciągając Theę ku sobie.

– Chodź tu – warknął. – Zaraz ci udowodnię, że jestem rozpustnikiem.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 13

– O matko! – wykrzyknęła.

Był to mało przekonujący sprzeciw. Dalton chwycił za jej fotel i przysunął ją do siebie.

Być może przeszarżowała. Mężczyźni też mają określoną wytrzymałość.

Podobnie jak kobiety.

Narastało w niej napięcie. U dołu kręgosłupa czuła sploty czegoś natarczywego, jakby wąż chciał uporczywie pełznąć wyżej. Pragnęła poczuć na sobie dłonie księcia. Te wielkie szorstkie dłonie.

Nigdy dotąd nie doznała takiego popędu.

Dziś mogłaby go zaspokoić.

Zdrożna myśl była natrętna jak pszczoła latająca zbyt blisko twarzy – potajemne, niebezpieczne podniecenie. Na spędzanie dni w samotności, z dala od mężczyzn miała resztę życia. Teraz pragnęła zerwać ze stosownością i dobrym wychowaniem. Zerwać bardzo gwałtownie.

Kolejne szarpnięcie za fotel i jej nogi znalazły się w imadle jego kolan.

Oczywiście, że był rozpustnikiem, doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Zaciągnął do łóżka połowę londyńskich wdów i żon. Wyrafinowanych i pięknych kobiet. Dlatego zapewne ona nie wydaje mu się aż tak ponętna.

Krażyły plotki, że jednego wieczoru uwiódł trzy kobiety. I że to z jego powodu panna Antonia Bradford żyła teraz w klasztorze we Francji.

Byli tacy, którzy twierdzili, że przy pełni księżyca Osborne zmienia się w wilka i krąży po ulicach Londynu w poszukiwaniu ofiary.

Hm, to ostatnie Thea wymyśliła, ale przecież opowiadano o nim tak niestworzone historie, że zaintrygowałyby każdą młodą damę, która odkryła w sobie zamięłowanie do przygód.

Położył ręce przy jej biodrach, ale jej nie objął, nie dotknął nawet. Patrzyła na jego szyję, na tętno widoczne pod skórą. Mogłaby się nachylić i pocałować go w to rozedrgane miejsce.

– Rozpustnik podniósłby ci teraz kraj sukni – powiedział i spojrzeniem wyraził, co ma na myśli. Lecz jego dłonie cały czas spoczywały na fotelu. – Albo kazał ci samej to zrobić.

Uwodzicielskie słowa zalewały jej umysł jak fale nadmorski klif.

– Nigdy bym tego nie zrobiła – odparła.

„A może jednak?”

– Zrobiłabyś, zrobiła. Możesz mi wierzyć.

Jakże pewny siebie, jakże zadufany.

Kłopot polegał na tym, że gdy mówił o zakasaniu spódnicy, Thea wyobraziła sobie, że to dzieje się naprawdę. Ledwie jeden krok dzielił wyobraźnię od pragnienia, a pragnienie od działania.

Ten wąż wijący się u dołu kręgosłupa mógł teraz wypełznąć do rąk, które posłusznie uniosłyby spódnicę, cał po cał, nad skórzane trzewiki i wyżej, nad białe pończochy.

– Zastanawiałem się, co się kryje pod tą powściągliwą suknią – powiedział. Przekrzywił głowę i wtedy kosmyk włosów opadł mu na czoło. – Idę o zakład, że cienki muślin. Taki, przez który mógłbym zobaczyć wierzchołki twoich piersi.

Jego bezceremonialne słowa powinny stanowić obrazę, lecz jej ciało zareagowało zupełnie inaczej – jakby Dalton jej dotknął. Sutki stwardniały, naprężając się pod halką.

Unióś dłonie. Wstrzymała oddech.

Lecz jej nie dotknął. Zamiast tego zajął się sobą.

Poluźnił fular, wreszcie rozsupłał węzeł.

– Każdy rozpustnik wart swego miana wie, że kobieta lubi patrzeć na dobrze ukształtowane męskie ciało – powiedział. Rozparł się w fotelu i rozsunął uda, rozkładając szeroko ręce. – Robi się od tego wilgotna i gotowa na jego przyjęcie.

Gotowa na co? Umysł Thei gnał w przód, wyobrażając sobie to wszystko. Oczy upajały się widokiem mężczyzny.

Czarne skórzane buciska pomarszczone od długiego użytku. Spodnie z koźlęcej skóry napięte na udach. Fular zwisający luźno z muskularnej szyi.

Kanciasta szczeka złagodzona okrągłym dołeczkiem pośrodku podbródka.

Brazowawe włosy, gęste i faliste, niesformnie opadające na oczy.

Nieruchomy, tchnął teraz opanowaniem, które przyciągało uwagę.

Władał każdym pomieszczeniem, do którego wszedł. Salą balową i sypialnią jednak.

Zawładnął Theą. A ona pragnęła się poddać tak samo jak wtedy, gdy tańczyli razem walca.

Uniósł brwi.

– Przyjrzałaś się dobrze? – spytał.

Przełknęła ślinę.

– Tak. I widziałam lepsze okazy.

– Och, czyżby?

Rozpiął górne guziki koszuli i ściągnął ją przez głowę. Był teraz półnagi, z rozchełstanym fularem na szyi.

– Widziałam posągi wojowników – ciągnęła.

„Bogów i półbogów”, chciała dodać, ale wtedy mógłby stać się jeszcze bardziej zarozumiały. Ten mężczyzna miał najwyraźniej wielkie mniemanie o swoich wdziękach.

Choć przecież byłoby to trafne nawiązanie.

Był odlany z brązu i górował nad zwykłymi śmiertelnikami, którzy pełzali u jego stóp.

Jego śmiech zadudnił jak koła rozpędzonego powozu na bruku.

– Rasowy rozpustnik wie, kiedy kobieta o tym myśli – rzekł. Ordynarnym gestem chwycił się za krocze. – Życzyłabyś sobie zobaczyć?

Miała ściśnięte gardło. Próbował ją zgorszyć do tego stopnia, aby przestała toczyć grę i uznała się za pokonaną. Aby potwierdziła, że jest rozpustnikiem, i doszła do wniosku, że sama znalazła się na bardzo grząskim gruncie.

– Mógłby to być zajmujący widok – odparła śmiało. Uniosła lekko głowę. – Ale widziałam już takie rzeczy.

Rozdziawił usta.

– Pardon?

„No, wreszcie to mnie udało się go zgorszyć. A więc oboje umiemy toczyć tę grę”.

– Nie można studiować sztuk pięknych, nie oglądając męskich postaci – powiedziała Thea sztywno. – Na przykład w zobrazowaniu Zeusa przez Caravaggia... męskość... unosi się wprost przed oczami patrzącego.

– Unosi się?

– No nie dosłownie. Rzecz w tym, że perspektywa została zastosowana w taki sposób, że to pierwsze, co rzuca się w oczy.

– Czy raczej pierwsze, co rzuca się w oczy młodym damom?

– Wcale nie sprawia imponującego wrażenia, bo widzisz, mości księżę, Zeus się unosi. Na chmurze.

– Brzmi to dość... flakowato. Zapewniam, że tutaj będzie inaczej.
– Widziałam też inne przykłady – powiedziała nonszalancko. – Na ścianie świątyni w Rzymie. Akwafortę przedstawiającą boga Priapa. Jego atrybuty były... wielce okazałe. Znacznie bardziej niż twoje, tego jestem pewna.

– Pofolguj, Theo. Niejeden dżentelmen potraktowałby to jako zaproszenie, by stanąć do porównania.

– A niejedna dama przyjęłaby to wyzwanie.

„Młode damy nie przyjmują żadnych wyzwań. Ani nie gapią się na męskie portki. Ani nie...”

„Łam najświętsze zasady! Wszystkie po kolei!”, odezwał się w Thei buntowniczy głos.

Czy mogłaby? Potrafiła?

Z sercem bijącym jak oszalałe wysunęła nieśmiało dłoń. Zdecydowanie łamiąc zasadę.

Odskokzył, jakby ktoś przytknął mu rozżarzone żelazo do skóry.

– O nie – powiedział, kręcąc głową. – Jeszcze nie, sarenko. Zbyt ni pośpiech nie leży w kodeksie postępowania rasowego rozpustnika. – Zsunął fular z szyi i szarpnął naprężoną bawełną w dłoniach, aż na jego ramionach nabrzmiały wydatne mięśnie. – Dawaj przeguby – rozkazał.

Co zamierzał? Thea wybałuszyła oczy, gdy uniósł jej ręce i obwiązał nadgarstki fularem, zasupłując go luźno.

– Damy, które łamią zasady, muszą ponieść tego konsekwencje – oznajmił.

Szarpnął za koniec fularu i odsunął się, zostawiając ją obezwładnioną i zdeorientowaną.

Sięgnął po szklankę i dopił whiskey.

Właściwie nawet nie dotknął Thei. Musnął ledwie jej przeguby, gdy wiązał fular.

Wcześniej chwycił fotel za nogi, potem pogłaskał się po klatce piersiowej, gdy zdejmował koszulę, a teraz pieścił palcami szklankę, jakby to była jedna z tych jego cholernych londyńskich wdów.

Obłąd.

Ona nie mogła go teraz dotknąć, bo miała związane dłonie. Dlaczego więc czuła gorąco w ciele i zaciskała mocno uda?

– Unieś ręce nad głowę – zabrzmiało drugie polecenie.

Wyciągnęła ramiona i skrępowane przeguby zawisły w powietrzu.

– Ładnie – mruknął z aprobatą. – Bardzo ładnie.

Opuszkami palców musnął szczyt jej piersi, napierających pod stanikiem. Bezwstydnie wystawiła się na jego dotyk.

Kciukiem potarł jej szyję i ruszył w górę wyciągniętego ramienia.

Zsunął rękaw, odsłaniając nagą skórę.

Wąż rozsnuwał sploty wokół kręgosłupa. Wcześniej Dalton powiedział, że kobieta robi się wilgotna. Teraz Thea zrozumiała, co miał na myśli.

Między udami czuła ciepło, właściwie gorąco. Poruszyła się w fotelu, zaciskając nogi tak mocno, jakby chciała zdusić napierające uczucie.

Przesuwał kciukiem w okolicach jej łokcia. Była skrępowana, niezdolna do uwolnienia się, lecz nie z powodu fularu pętającego przeguby.

Dlatego, że pragnęła więcej.

Pocałował ją w zgięcie łokcia, a ona z trudem pohamowała jęk.

Zwykły łokieć, a jakże wrażliwe miejsce, gdy wystawione jest na męskie usta.

Przesunął się i powtórzył to samo z drugiej strony, tym razem dotykając zgięcia językiem. Ta delikatna pieśczota wywołała wstrząs w całym jej ciele, tętno przyśpieszyło, w brzuchu

roztrzepotały się motyle.

– Gdy muskam cię tutaj – powiedział, znów ocierając palcami wrażliwe zgięcia łokci – wtedy chcesz, żebym to zrobił też tutaj.

Zsunął dłoń po jej sukni i musnął ściśnięte uda.

Ten ulotny dotyk przedarł się ogniem przez warstwy tkaniny, potężniejszy i bardziej zniewalający niż bezpośredni kontakt.

Ramiona bolały ją od trzymania rąk nad głową.

– Dłonie ci drżą – zauważył. – Chciałabyś je opuścić. Chciałabyś objąć mnie za szyję. Oho, rozchyliłaś lekko usta. Wdychasz gwałtownie powietrze, wypełniasz nim płuca, a potem wydychasz.

Ten mężczyzna był zaprawionym w bojach uwodzicielem, to nie ulegało wątpliwości.

Szarpnęła głową, aby strząsnąć włosy z szyi, lecz ręce wciąż trzymała nad głową.

Czego trzeba, aby to on stracił panowanie nad sobą i złamał własne zasady?

– Jeśli ja zrobię tak – szepnęła, wypinając pierś i odchylając głowę do tyłu, aby wystawić szyję – wtedy ty zapragniesz mnie dotykać.

Usłyszała jego przyspieszony oddech.

– Zapragniesz wsunąć dłonie w moje włosy – ciągnęła, a słowa płynęły z jakiegoś pierwotnego zakamarka w jej umyśle. – Zapragniesz tego nade wszystko.

Jęknął cicho i ujął w dłoń jej policzek.

„Hm, obiecujące”.

Przekręciła lekko głowę i musnęła ustami wewnątrz jego dłoni. Język wił się, badając skórę. Sól.

Nieznany dotąd smak mężczyzny.

Napiął mięśnie i szarpnął jej fotelem, aż poleciała do przodu, wprost w jego ramiona. Podniósł ją i usadził okrakiem na sobie, a jej nogi zadyndały po obu stronach.

Zarzucił sobie jej spętane dłonie na kark i natarł ustami na jej wargi, całując żarliwie. Poczula metaliczny smak krwi i czystą woń brzoźowego mydła, którym obmyła jego rany.

Wąż wił się natarczywie wokół kręgosłupa, pobudzając żądzę. Thea była teraz szklanym słojem pełnym rozedrganych świetlików, które miały się pobudzone i lekkie, pragnąc wyrwać się na wolność.

Zagłębił palce w jej włosy, głaskał ją po głowie i nakłaniał do pocałunków.

Utulona i smakowana poczuła, że jej twarz spoczywa w kołysce jego dłoni. Odsunął się i delikatnie obcałował obrys jej ust. Zadrżała z rozkoszy, gdy zębami skubnął krawędź jej wargi.

Oto legendarny książę Osborne w akcji. W bezpośrednim kontakcie, a nie podpatrywany z drugiego końca sali balowej.

Była razem z nim.

Całował ją namiętnie, niepohamowanie. Skóra aż cierpła z rozkoszy.

Rozpływała się jak masło rzucone na rozgrzaną patelnię.

Jęk rozkoszy wyrwał się z jej gardła i zaraz utonął w jego ustach.

Między udami czuła palący żar gromadzący się w źródle wilgoci.

Znów jęknęła w jego usta, napierając, pragnąc wszelkiego dotyku.

Wiedziała, że on usiłuje dać jej lekcję na temat zdeprawowanej natury mężczyzn, ale to przestało mieć znaczenie.

Pragnęła, aby ten pocałunek trwał wiecznie.

Pragnęła chwycić go za włosy, zmusić, aby pieścił ustami jej piersi, lecz przecież miała związane ręce.

„Niżej, Dalton. Błagam”.

Żarliwy oddech głąskał skórę. Wyprężyła się lekko, unosząc biust. Przenikało ją nieznane uczucie, jakby w stwardniałych sutkach, w ich osobliwym mrowieniu, skupiało się całe pragnienie pieszczoty.

– Proszę...

Wreszcie chwycił dłońmi jej piersi, wciąż skryte pod halką, i uniósł je do swoich ust.

Zwinny język próbował przedrzeć się przez wiotką bawełnę. Błyskawica przeszła całe jej ciało wyprężone do granic wytrzymałości.

– Och tak... to nieopisane – westchnęła.

*

– Thea – jęknął Dalton, kładąc głowę na jej jędrnych, miękkich piersiach. – Co ja mam z tobą zrobić?

Potrafił wyobrazić sobie mnóstwo różnych sprośności niedozwolonych w przypadku dziewczycy powierzonej jego opiece. Nie potrzebował whiskey, żeby złagodzić klucie poobijanych żeber. Gdy dotykał Thei, jego ciało zapominało o bólu.

Mógł obwiniać trunek, mógł zrzucić odpowiedzialność na dokuczliwe skutki przyjęcia ciosów na dziedzińcu. Albo mógł spojrzeć prawdzie w oczy. Pragnął dotykać jej jedwabistej skóry... słyszeć jej dźwięczny śmiech... smakować morele i whiskey na jej języku.

Pożądał jej. To uczucie brało się z trzewi, było tak pierwotne, że stanowiło jakby szósty zmysł.

Zsunął jej skrępowane dłonie ze swojej szyi i posadził ją z powrotem w fotelu. A potem opadł na kolana.

Spróbuj. Wypij tylko jedną kropelkę.

– Co robisz? – jęknęła, gdy powoli uniósł jej spódnice i halkę, odsłaniając nogi w białych pończochach.

Zgrabne nogi o szczupłych kostkach.

Pochylił się, żeby rozsznurować jej czerwone trzewiki. Powoli. Przedłużając jej mękę oczekiwania. Patrzyła na niego zmrużonymi oczami, a koronki długich rzęs rzucały cień na policzki.

Miała na sobie proste bawełniane reformy z rozcięciem pośrodku.

„O, doskonale”. Łatwy dostęp.

Nie było czasu, aby rozwiązać troczki bielizny. Pragnął jej posmakować jak najszybciej. Bez zwłoki. Już.

Zaczęła się wiercić, chcąc uciec, ale przytrzymał ją nieruchomo.

Krzyknęła zaskoczona, gdy wsunął palce pod majtki. Była wilgotna od pożądania, śliska od wyczekiwania dalszego ciągu.

Delikatnie rozsunął lepkie płatki, otwierając ją szerzej, przygotowując dla siebie.

– Dalton, co ty... och...

Wiła się, lecz unieruchomił ją, obejmując ramieniem za biodra. Zadrżała, gdy przytknął koniec języka i powoli zatoczył nim krąg wokół jej płci.

Ledwie przedsmak. Zapowiedź.

Nagle zastygła. Czekwała. Pragnęła więcej. Znow ję polizał, przesuwając językiem w górę i w dół po wyrzuczeniu, ociągając się z dotknięciem samego środka.

Rozkoszował się lekko dymnym, słodkim smakiem. Wreszcie wsunął język głębiej, żeby skosztować pełni, po czym zaczął nim wędrować po jej najskrytszym miejscu.

Nieświadomie poruszała teraz ustami, tworząc wargami rozfałowane kółka, jakby chciała wytyczyć właściwy ruch.

Odsunawszy twarz, chwycił w garść jej halkę i zadarł ją, aby zobaczyć więcej. Była taka piękna, doskonała.

Był piekielnie podniecony, twardy jak chyba nigdy dotąd. Pragnął zgarnąć ją z tego fotela jednym szybkim ruchem i nasadzić na swój dyszel. Wilgotna i rozochociona przyjęłaby go bez trudu, choć przecież była dziewicą.

Smakowała wybornie.

Członek pulsował boleśnie, pragnąc wyrwać się na świat, dołączyć do gry miłosnej.

Dalton wsunął palce między jej uda. Składał jej hołd jednocześnie dłonią i językiem.

– Dalton...?

Pytanie, potrzeba domagająca się zaspokojenia. Zacisnęła mięśnie wokół jego palców. Była już o krok.

Nie mógł odpowiedzieć, bo usta miał zajęte, wypełnione słodyczą tej zachwycającej kobiety.

Wcisnął palce głębiej i jednocześnie ssał delikatnie, wywijając językiem.

Jęknęła i docisnęła łono do jego twarzy. Na zmianę dygotała i napinała całe ciało.

– Ja... och...

„Już blisko”.

Ssał spragniony, poruszając coraz szybciej językiem, zwiększając tempo.

Wygięła się i szarpnęła gwałtownie, a potem głowa opadła jej do tyłu. Osunęła się w fotelu, lecz on wciąż nie ustawał, językiem i wargami przedłużając jej rozkosz.

Jego Thea, jego zmysłowa boginka. Jęczała, zatracona w doznaniach, z szeroko rozsuniętymi udami.

Rozwiązał jej dłonie i zakrył uda suknią.

– Niech to będzie dla ciebie przestrogą – warknął. – Dlaczego nie warto stawiać zakładów przeciw rozpustnikowi. Zawsze przegrasz.

– Jestem na tyle pewną siebie kobietą, że potrafię przyznać, kiedy się pomylę – odparła drżącym głosem, rozcierając palcami zdrętwiałe nadgarstki.

– Że co? – Dalton usiadł wyprostowany w fotelu i skrzyżował ręce na piersi. – Nie dosłyszałem.

Napawał się widokiem rumieńców na jej twarzy i nabrzmiałej dolnej wargi, opuchniętej od pocałunków.

Owszem, posmakował jej, ale niewystarczająco. Pragnął więcej.

Łyknął whiskey, a torfowy smak wypełnił mu usta, mieszając się z wciąż wyraźną kobiecą słodyczą.

– Przyznaję, że jesteś rasowym rozpustnikiem godnym tego miana – powiedziała.

– I?

– I stan twoich butów w żaden sposób nie świadczy o twojej konducie.

– Zatem moja misja skończona.

Dał sygnał do odwrotu. Dlaczego więc ciało nie uniosło się z fotela?

– Doprawdy? – spytała, wpatrzona w niego zamglonymi niebieskimi oczami. – Doprawdy skończyłeś już swoją misję?

Whiskey, której łyk właśnie pociągnął, wpadła w niewłaściwą dziurkę, paląc gardło. Dalton się rozkaszał.

– Czy coś się stało? – spytała Thea głosem niewiniątka.

– Podczas tej podróży nie będziemy toczyć takich rozmów – wykrztusił.

Nachyliła się i atlasowe piersi wezbrały nad wzorzystym jedwabiem sukni.

– To co będzie dalej?

Rozdział 14

- Nic – odparł Dalton, odsuwając się w fotelu. – Ja pójdę spać do stajni.
- Do stajni? Mając pokiereszowane żebra?
- Albo zdrzemnę się tutaj. W fotelu przy kominku.
- Zerknęła w kierunku łóżka stojącego przy oknie.
- Moglibyśmy również dzielić...
- Żadnego dzielenia łóżek. Dość tego.
- „Psiamać, dlaczego prawie zawsze powarkuję, gdy się do niej zwracam?”
- Jak zauważył wcześniej, budziła w nim uśpione zwierzę.
- Pali mnie ciekawość. – Zmarszczyła czoło. – Jak długo... jak długo trwa reszta? Z tych przedsmaków, których pozwoliłeś mi zaznać, wnoszę, że raczej chyżo mknie ku końcowi.
- Nie byłoby chyżo, zapewniam.
- W rzeczy samej, skoro pogoń za rozkoszą uczyniłeś celem swojego życia. Pewna jestem, że opanowałeś... określone umiejętności. A może kobiety po prostu lubią ci schlebiać? I tylko udają, że też czerpią z tego przyjemność?
- Żadna kobieta, która wpadnie mi w ramiona, nie musi udawać.
- Skąd możesz mieć pewność? – spytała, uśmiechając się wyniośle.
- Och, doskonale pojmował, jaka gra się tutaj toczy. Oto Thea usiłowała wznieść wokół siebie szaniec ironii i bez troski, udawać, że to, co wydarzyło się przed chwilą, było dla niej tylko przelotną zmysłową przyjemnością.
- Uwierz mi, gdybyśmy się teraz kochali, nie musiałabyś niczego udawać – stwierdził. – A trwałoby to całą noc. Lecz to nie ma znaczenia, bo nic takiego się nie stanie. A to, co się stało, już się nie powtórzy.
- A dlaczegóż to? A gdybym sobie tego życzyła?
- Wyciągnął rękę i ujął w dłoń jej podbródek.
- Bo my, mężczyźni, odczuwamy rozkosz jak szkwał przetaczający się po morzu. W jednej chwili jest, w następnej już nie ma. Z kobietami sprawa ma się inaczej.
- Odsunęła twarz od jego dłoni.
- A może ja różnię się od innych kobiet? Może potrafię czerpać rozkosz i jednocześnie zawrzeć serce, podobnie jak to robią mężczyźni?
- O nie, życie jeszcze cię nie nauczyło oddzielać tego – dotknął lekko jej czoła – od tego. – Musnął delikatnie palcem jej biust, pod którym biło serce. – I mam szczerą nadzieję, że nigdy cię tego nie nauczy. Z całą pewnością mam w sobie dość honoru, aby nie wystąpić w roli takiego nauczyciela.
- Zmrużyła oczy.
- A jakże, wielce honorowy z ciebie dżentelmen – odparła. – Popisujesz się na balach, uwodzisz niewinne młode damy doskonałą męską prezencją. Patrzcie na moją imponującą muskulaturę – warknęła, naśladując jego gruby głos i nadymając klatkę piersiową jak kogut. Następnie zerwała się z fotela i wysunęła głowę do przodu. – A jak się wam podoba uroczy dołeczek w moim podbródku? – Wyprostowała ramiona. – A nie czujecie łaskotania między udami na widok moich silnych barów, he?
- Wyciągnął rękę, aby chwycić ją za spódnicę, jednak zrobiła unik, a w jej oczach zabłyśły ogniki przekory.
- O nie, panienki! Możecie patrzeć, ale dotykać nie wolno! – zakrzyknęła.

Zarechotał wbrew sobie. Ta dziewczyna potrafiła go kompletnie rozbroić.

– Czy naprawdę tak myślą o mnie panny na wydaniu?

– O tak – szepnęła. – A nasze myślenie idzie jeszcze dalej.

„A niech mnie...” Spuściła wzrok na jego krocze. Członek od razu stanął na baczność, gotów do działania.

Dalton wstał z fotela, wziął ją w ramiona, porwał i zaniósł na łóżko. Niech szlag trafi dobro i zło. Myślał tylko o... miękkiej wypukłości jej warg. O jędrnym biuście, którego napór czuł teraz na klatce piersiowej.

Wtuliła się w niego z westchnieniem, co odebrał jak rozkosz otulającą jego sztywną męskość. I nagle zrobiła coś kompletnie nieoczekiwanego. Pchnęła go mocno, aż padł plecami na łóżko.

Dosiadła go natychmiast i przesunęła palcem po szlaku włosów znikających pod pasem spodni.

– Chcesz wiedzieć, o czym jeszcze myślą panny, mój książę?

„Nie odpowiadaj. Nie odpowiadaj!”

Z jego ust wyrwał się kompromitujący jęk.

Patrzyła śmiało na jego krocze.

– O tym myślimy – powiedziała, gmerając palcem przy rozporoku. – To jest, zastanawiamy się, czy jest prawdziwy, czy wypychasz czymś portki.

Litości, swoimi gadkami całkowicie zdeprawował umysł tej dziewczyny. Pchnął ją w rozpasanie. Ale czy to nie cudowne?

– Thea, ty mnie wykończysz.

Wciąż przesuwiała palcem po szlaku włosków.

– Chcę wiedzieć, dokąd prowadzi ta ścieżka – mruknęła.

I to ona miała czelność oskarżać go o rozpustę?!

„Nie wytrzymam dłużej, nie wytrzymam”.

Co za całkowita i niespodziewana zamiana ról. Teraz on był zdany na jej łaskę i niełaskę. Teraz on był rozochocionym głupcem, który modlił się w duchu, aby swoje śmiałe słowa przekuła w czyn.

– Thea – szepnął jak w gorączce. Szybkim ruchem ręki rozpiął guzik rozporoka i wtedy członek wyrwał się na wolność. Chwycił go w rękę i zaofiarował jej. – Czy to chciałaś zobaczyć?

Skinęła niemo głową, wpatrzona szeroko otwartymi oczami w jego przyrodzenie.

– Czy ty też chciałbyś mnie zobaczyć? – spytała cichym, uwodzicielskim głosem.

Potaknął, nie potrafiąc wydobyć z siebie słów.

Sięgnęła do tyłu i rozpięła suknię. Ściągnęła ją przez głowę, pozostając tylko w gorsecie i prostej białej halce.

Rozpalony, pragnąc ujrzeć sterczący jędrny biust, szarpnął za skraj jej bielizny i wtedy piersi wyslizgnęły się z gorsetu.

– Wielkie nieba, Thea, jesteś przepiękna.

Spuściła wzrok na swój dekolt.

– Tak myślisz?

Znów skinęła głową, jakby na zawsze odebrało mu mowę. Zaczął muskać palcem delikatną skórę piersi i różowy kwiatusek twardego sutka.

Uniosła się lekko, wspierając na rękach. Włosy opadły pierzastymi falami na jego klatkę piersiową.

– Ja też chcę ci dać rozkosz – szepnęła.

Pogładziła dłonią jego sutki i przesunęła ją ku napiętym mięśniom brzucha. I niżej.

Poczuł muśnięcie na członku niczym delikatny dotyk płatka róży.

– Pokaż... pokaż, jak mam dać ci rozkosz – poprosiła.

Zamknęła dłoń na jego przyrodzeniu.

Jęknął.

Zacisnęła mocniej.

Był w szale pożądania.

Zakrył ręką jej dłoń i zaczął przesuwać nią w górę i w dół, od jąder do żołądki.

W lot pojęła. Cofnął rękę, a Thea pieściła go, przesuwając palcami po członku, wilgotnym teraz od potu i pierwszych kropel nasienia, które sygnalizowały, że nie wytrzyma długo.

Co za rozkosz, przepłaszająca wszelki ból.

To był najbardziej podniecający widok, jakim Dalton kiedykolwiek sycił oczy. Thea, jej wydęte usta, szeroko otwarte szaroniebieskie oczy i dłoń obejmująca jego dyszel.

Jęknął, dając znak, że jej zabiegi nie idą na marne.

Umysł rozdzierała teraz nagła potrzeba uwolnienia. Księżę zacisnęła ręce na pościeli po bokach, aby nie rozsunąć płatków jej płci i nie wtargnąć gwałtownie do samego środka.

Aby nie zarzucić sobie jej nóg na biodra i nie wcisnąć się całym sobą w jej ciało.

Dorównałyby mu w pasji. I pomysłowości. Dosiadłyby go, dostrajając się i dodając sporo od siebie.

Splecione kończyny, napięte mięśnie, sparaliżowane umysły.

On był gotów, a ona taka piękna, z obnażonymi piersiami, złotymi lokami opadającymi kaskadą na ramiona, skupiona na dawaniu rozkoszy.

Chwycił ją za kark, nachylił ku sobie i pocałował, odszukując jej język, napierając, gdy wciąż pieściła jego przyrodzenie gładkimi, miękkimi palcami.

Smakowała jak miód. Jak najśłodszy nektar. Mógłby zanurzyć się w niej, zatopić z kretesem, na zawsze.

Zapomniawszy o obolałych żebrach i całym świecie, przyciągnął ją mocno do siebie, zniewolony pożądaniem wypełniającym każdą komórkę ciała.

– Szybciej – szepnął.

Posłusznie przyśpieszyła.

Zatopił twarz w jej pachnących różą włosach, mokry od potu i rozdygotany od potrzeby rozładowania nieznośnego napięcia.

Orgazm dopadł go jak cios w żołądek, rozrywając na strzępy, sprawiając, że każdy nerw pragnął zawyć z rozkoszy.

Opadł na plecy i pociągnął Theę za sobą. Loki miała mokre od jego potu. Wydalone nasienie skapywało z dłoni na jego brzuch.

W ciele wciąż dudniły echa najwspanialszego spełnienia. Jak werble wycofującego się wojska. Dalton nie chciał, aby to był koniec.

Pogładził ją po włosach.

– To było cudowne – szepnął. – Dziękuję.

– Proszę bardzo. – Podniosła głowę i uśmiechnęła się nieśmiało. – Czy... było ci dobrze?

– O wiele lepiej niż dobrze.

Gdy odzyskał władzę w rękach, chwycił starą podartą koszulę i wytarł jej dłoń i swój brzuch.

W blasku świec jej oczy mieniły się jaśniejszą szarością, jakby źrenice były okolone krążkami srebra. Jak mógł nie dostrzec tego wcześniej?

Objął ją ramieniem i przytulił do siebie, napawając się zapachem ciepłej kobiety, której

wcześniej dogodził.

Nie zamierzał dociekać, dlaczego czuje się przy niej tak wspaniale. Ani dlaczego nie obchodzi go, że złamał swoje zasady. Czy nie może zasnąć z Theą w objęciach?

Wtedy przedłużyłby tę nieziemską rozkosz o kilka godzin.

*

Co za nieoczekiwany obrót spraw. Co za szczęście.

Czy do jej głowy nie powinien się teraz wdzierać głos autorytarnej, surowej matki? Napominający, urągający srogim tonem.

Lecz nie, był tylko miarowy oddech Daltona przy jej uchu i echa niedawnej rozkoszy wciąż rozchodzące się po całym ciele.

– Zapasy w łóżku odbieram bardzo pozytywnie – powiedziała. – Chyba mam do tego dryg.

– Mmmm. – Połaskotał jej ucho natarczywymi twardymi wargami. – Przyznaję ci rację.

Wielkie nieba, jakże uwielbiała słyszeć jego urywany oddech.

– A jak to się nazywa? – spytała. – Moment... ukoronowania.

– Szczytowanie – mruknął sennym głosem. – Spełnienie... mojej rozkoszy. – Pogłaskał ją znowu po głowie. – Naszej wspólnej rozkoszy.

Poruszyła się, wtulając głęboko w krąg ciepła roztaczanego przez jego ciało. Gdyby wiedziała, że po tym Dalton robi się taki miły, sprawiłaby mu tę rozkosz już pierwszego wieczoru. To wiele by uprościło.

Uśmiechnęła się, przytulona twarzą do jego klatki piersiowej.

To rozładowanie... Dojście do kresu. Co za odkrycie.

Nigdy dotąd nie zgłębiała tych tajemnic swojego ciała. Nie docierało do niej, że może być kimś więcej niż bezwolną, posłuszną, milczącą samiczką wystrojoną w pióra, aby przywabić samca.

A przecież jej ciało kryło w sobie wiele sekretów.

Rozkosz ścinająca krew w żyłach, spinająca każdy mięsień.

Ta wędrowka była bardziej obiecująca, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Miała swój cel. A po drodze dokonywało się cudownych odkryć.

– Dalton.

Stęknął w odpowiedzi. Nie spał.

– Ten obraz, który chcę wydostać z poddasza twojego domu, to autoportret Artemisii. Była malarką renesansową. Mówiłam ci o niej. W swoich listach wspominała o malowaniu obrazu zatytułowanego *Autoportret jako alegoria malarstwa*. Ale ten obraz zaginął.

Pogładził ją lekko palcami po ramieniu.

– I co byś z nim zrobiła?

– Opisałabym go... Może złożyła rozprawę w Brytyjskim Instytucie Krzewienia Sztuk Pięknych. Historia zdegradowała twórczość i postać Artemisii do rangi pomniejszego przypisu. Siedemnasty wiek nie był gotowy na przyjęcie kobiety o ognistym temperamencie i wyrobionych poglądach, która swoją sztukę wykorzystywała do osądzania społeczeństwa odmawiającego jej wolności.

– A więc pragniesz na nowo napisać historię?

– Chciałabym wierzyć, że świat jest już gotów na ujrzanie tego autoportretu. Gotów uznać śmiały, bezkompromisowy talent Artemisii.

– Być może. Chociaż wielkiej nadziei bym nie miał.

– Sztuka piękna w wykonaniu kobiet winna być... do dziś tak się uważa... niewieścia,

miła, łagodna. Artemisia wyłamała się z tego schematu. W jej obrazach nawiązujących do mitologii nie ma nic ślicznego ani przyjemnego. Z szyi Holofernesa tryska krew, gdy umięśniona Judyta w udręce przecina kości i chrząstki.

Poruszył się obok.

– Naprawdę? Chciałbym to zobaczyć.

– Ten obraz wisi w galerii we Florencji. Wydaje mi się, że to z jego powodu jestem tutaj, zamiast sumiennie haftować robótki w londyńskim domu mojej babki w oczekiwaniu, aż sprzedadzą mnie Foxfordowi. Ten obraz głosi, że kobiece dłonie są równie zręczne jak męskie, umysły równie bystre, a wrażliwość, sposób widzenia świata wcale nie gorsze.

– No wiesz, są jeszcze inne... – szepnął coraz senniejszym głosem.

Spojrzała uważnie na jego twarz ledwo widoczną w gęstym półmroku.

– Co masz na myśli?

– Inne poddasza... sale... całe domy wypełnione dziełami sztuki i zabytkami, które mój ojciec wygrał przy karcianym stoliku. Ukradł tak naprawdę.

– Naprawdę? – Serce zabiło jej mocno. – Gdzie?

Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała miarowo jak morze pod kadłubem okrętu.

– Gdy miałem piętnaście lat i zjechałem do domu z Eton na wakacje, ojciec zabrał mnie do naszej rezydencji w Mayfair. Zachowywał się tajemniczo, skrycie. Myślałem, że chce mnie przedstawić jednej ze swoich kochanek. Myliłem się.

Głos ucichł, a Thea wstrzymała oddech w oczekiwaniu na dalszy ciąg tej opowieści, bojąc się, że Dalton zaśnie, nim dokończy.

– Ten dom był od podłóg po sufity dosłownie zapełniony bezlikami skarbów. Wyglądało to jak baśniowa grota z łupami. Posągi z marmuru... skrzynie pełne monet... sterty bezcennych dawnych obrazów.

Thea odzyskała oddech.

– Cóż to musiał być za widok – szepnęła. – I co on zrobił z tym wszystkim?

– Nic – odparł, a w jego głosie zabrzmiały gorzkie tony. – Składował. Potrafił dostrzec piękno, ten stary książę, lecz zależało mu tylko na tym, aby to zagarnąć, osiąść i stać się najbogatszym człowiekiem w Anglii.

Znów umilkł, a jego oddech zwolnił.

Thea pogłaskała go po chropawej kwadratowej szczęce, jakby pragnęła osłodzić mu nieprzyjemne wspomnienia.

– To wciąż tam jest? – spytała.

– Owszem – szepnął w półśnie. – Pokryte grubą warstwą kurzu, oplecione pajęczynami... Ech, poddasze w Balfry to byłby dopiero przedsmak. Pojęcia nie mam, co zrobić z tym sezamem.

Ciało miała ciepłe od jego troskliwych ramion, a teraz w głowie rozpętała się gonitwa myśli.

„Och, chętnie pomogłabym ci podjąć decyzję”.

– Niektórzy arystokraci zapisują swoje kolekcje w darowiźnie Instytutowi Brytyjskiemu – odparła, próbując przybrać obojętny ton, aby nie wystraszyć go swoją ekscytacją i zapałem. – Instytut czasem wystawia te dzieła, aby studenci sztuk pięknych mogli je podziwiać i się na nich uczyć.

– Podoba mi się to.

Jego ramię drgnęło, a oddech się umiarował.

– Dalton.

Nic.

Thea nigdy wcześniej nie słyszała z tak bliska oddechu drugiego człowieka. Nigdy nie

gościła nikogo w swojej sypialni. Ani siostry, ani przyjaciółki, która spędzając u niej noc, wślizgnęłaby się do jej łóżka, żeby szeptem zwierzać się z sekretów.

Zawsze była sama.

A teraz? Ona i Dalton. Co powiedzą sobie jutro rano? Czy będzie umiała spojrzeć na niego bez przypominania sobie tych wszystkich bezceństw, na które się powazyli?

Na samą myśl znów oblała ją fala gorąca.

O tak, wyrwała się ostatecznie z sieci rodzinnych uzależnień.

Te słowa oznaczały niepewność. Być może nawet niebezpieczeństwo.

A zarazem przebudzenie.

Był w nich uwodzicielski przedsmak wolności.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 15

„Psiamać. Psiamać!”

Dalton obudził się z głową Thei wtuloną w jego szyję i dłonią wetkniętą pod podbródek. Zaczął wyliczać swoje niewybaczalne grzechy w rytm jej oddechu.

Najpierw nalał jej irlandzkiej whiskey przyprawionej miodem. Potem przyjął porcję kremowego deseru oferowaną na łyżeczce.

Podjął wyzwanie, aby udowodnić, że jest rozpuśnikiem.

„Do diabła, co ja narobiłem”.

Później chleptał jej słodycz, aż donośnym krzykiem obwieściła spełnienie.

Wreszcie zacisnął rękę na jej dłoni, aby pokazać, jak powinna mu się zrewanżować.

A najgorsze z tego wszystkiego?

To, że wziął ją po wszystkim w objęcia i wyznał, że obrazy na poddaszu Balfry są ledwie przygrywką.

„Ty dumny, bezduszny skurwielu. Niech szlag cię trafi po trzykroć”.

Nigdy dotąd nie przespał całej nocy z kobietą w ramionach, bezbronną i upojoną rozkoszą.

W nocy górę wzięła potrzeba bliskiej więzi. A przecież nie uległ tej pokusie od czasów Cambridge, gdy miał się za poetę, pił tanie wino w tawernach i pisał wiersze jeszcze mniej strawne niż to wino.

Spytała, co będzie dalej.

Z całego serca pragnął pokazać Thei, co dzieje się w dalszej kolejności. Znajdujemy właściwy rytm, dostrajamy się do siebie. Kobieta się otwiera, mężczyzna w nią wchodzi. Głęboko, jeszcze głębiej.

Wtedy bucha ekstaza, dojrzała i krótkotrwała jak letni dzień.

„Racja, podążaj tokiem tych myśli do logicznej konkluzji. Nie będziesz mógł spełnić jej oczekiwań, a wtedy poczucie winy złamie ci serce”.

Ta dziewczyna stanowiła dla niego niebezpieczeństwo, bo budziła w nim wrażliwość. Sprawiała, że łagodniał.

On zaś oznaczał niebezpieczeństwo dla niej, bo każdy, z kim by się związał, stanowiłby cel ewentualnej zemsty. W końcu Alec utonął dlatego, że ktoś chciał się odegrać na starym księciu, ukarać go za grzechy.

Gdyby tajemnica Daltona wyszła na jaw, potężni wrogowie, którzy nienawidzili go za kradzież ich dochodów, spróbowaliby dopaść go w podobny sposób. A więc uderzyć w bliską mu osobę.

Mogliby wykorzystać Theę jako kartę przetargową. Aby rzucić go na kolana.

Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby przydarzyło jej się coś złego z powodu ich zażyłej znajomości.

Pragnął być mężczyzną, który spełniłby wszystkie jej marzenia. Ale nie mógł nim być.

Poruszyła się w jego ramionach, wzdychając cicho i wtulając się mocniej, aż poczuł ciepłe krągłości na swojej skórze. Dostrzegął jej głód. Była złaźniona miłości, akceptacji. Owszem, dostrzegął to, lecz nie mógł nic zrobić, aby ją zaspokoić.

Bo nigdy nie mógłby spełnić jej oczekiwań. Dlatego wkrótce czekało ich pożegnanie.

Pozostanie mu tylko wspominać te chwilę przez resztę samotnego życia.

Jakże pięknie wyglądała, skulona w łóżku, z rzęsami na policzkach, z jednym obnażonym

ramieniem.

„Trzeba się wynosić. Szybko”.

Ostrożnie zsunął Theę ze swojej klatki piersiowej na łóżko.

Podniósł kołdrę, aby wstać.

„Niech to szlag”.

W nocy zdjęła gorset i teraz jej prześliczne piersi były wyraźnie widoczne pod przezroczystą batystową halką, która zadarła się ku biodrom i splątała na wysokości ud. Widział jej zgrabne nogi i cień między nogami.

Na ten widok całe jego ciało przeszył prąd gwałtownego pożądania, sięgając opuszek palców, wnikając między żebra, pod którymi kryło się niedostępne dotąd serce.

Wyskoczył z łóżka, nie dbając o to, czy ją obudzi. Chwycił ubranie i buty.

„Dłoń na klamkę. Naciśnij. Wyjdź, nie oglądając się za siebie”.

Wypadł na korytarz. Zatrzymał się jednak w pół kroku i przywarł plecami do ściany. Pragnął wrócić.

Zsunąć z niej halkę do końca, obnażyć jędrne piersi, wąską kibić i wydatne biodra.

Zgarnęłyby włosy z ramion, odsłaniając szyję, i odwróciła głowę, aby złowić jego spojrzenie tymi źrenicami w srebrnych otoczkach pośród gęstwiny złocistych kosmyków.

W tym spojrzeniu byłaby nieśmiała zachęta. Jeszcze nie. Jeszcze nie wolno jej dotykać.

Może potrzebowałyby się obmyć? Być może byłaby lepka po nocy pełnej zatracenia.

Zanurzyłyby kawałek płótna w ciepłej wodzie. Wziął kostkę mydła o różanym zapachu i zaczął nim masować jej łabędzią szyję, plecy, ramiona.

Tym razem użyłyby mydła zamiast swoich palców.

Kazałyby jej czekać... Wstrzymałyby oddech... Mydło powędrowałyby niżej. Ku sutkom, wzgórzom jej piersi. I niżej. Do pępka, coraz mocniej ściskane palcami.

Jeszcze niżej... Między uda. Tam, gdzie Dalton pragnęłyby wejść. Tam, gdzie chciałby się wślizgnąć.

Nabrzmiwając od pożądania. O krok od utraty panowania nad sobą.

Zabrałyby ją na drugą stronę, aż wykrzyczałyby jego imię w ekstazie i... wtedy zgarnęłyby ją w ramiona i zaniósł na łóżko.

Dość! Grzmotnął potylicą w ścianę. Co on wyprawia, stojąc na korytarzu przed drzwiami jej pokoju i dysząc jak chutliwy kundel?

– Panie Gabrielli.

Wyprostował się.

– Dzień dobry, Betsy – mruknął szorstkim tonem, modląc się w duchu, aby posługaczka nie spojrzała na jego portki. – Pani Gabrielli chciałyby dostać kubek gorącej czekolady na śniadanie.

Pognał schodami wprost do stajni.

Postanowił, że pozostałą drogę do Bristolu spędzi w siodle.

Odgrodzony od Thei warstwami drewna i stali. Bezpieczny.

Ech, marzenie ściętej głowy.

*

– Przybyliśmy do Bristolu, milady – rzekł Con. Najpierw podał rękę Thei, a potem Molly, by pomóc im wysiąść z powozu przed ceglana fasadą Gospody pod Hejnalistą, do której prowadziły drzwi w kolorze pogodnej zieleni. – Odpoczniecie tutaj aż do wieczoru, bo wtedy wypływa nasz statek – dodał, zauważając, że Thea odwraca głowę w kierunku koni. – Książę jest już w porcie, by dopilnować warunków rejsu.

– Ach – westchnęła, usiłując ukryć rozczarowanie.

Miała nadzieję, że zjedzą we dwoje posiłek. Dalton nie zamienił z nią słowa, odkąd wyslizgnął się z pokoju, gdy jeszcze spała. Jechał wierzchem obok powozu, a między Bath a Bristol nie zrobili żadnego postoju.

Wciąż zmęczona Molly przespała prawie całą podróż, dzięki czemu Thea miała ponad dwie godziny spokoju, aby rozmyślać o wszystkich intymnych chwilach z ostatniej nocy.

Przeszła odmianę. Światło, dźwięk, kolory odbierała w nowy sposób.

Czekolada, którą wypła na śniadanie, miała niebywale intensywny smak. A gdy uniesione przez wietrzyk wstążki od czepek smagnęły ją w twarz, dotyk miękkiego jedwabiu przywołał wspomnienie palców Daltona muskających jej policzek.

– Czy może być, że księżę unika cię z jakiejś konkretnej przyczyny? – spytał Con, a w jego niebieskich oczach zapłonęły domyślne iskiereki.

Na jej twarzy rozkwitły gwałtowne rumieńce.

– Nie bądź śmieszny – odparła.

Wiedzieli. Oboje. Con i Molly wiedzieli, że spędziła z nim noc w jednym pokoju.

Co myślą? Policzki piekły ją nieznośnie, jakby za chwilę miały buchnąć płomieniem.

Piegowata twarz Molly rozciągnęła się w figlarnym uśmiechu.

– Nasza dama zaprzecza zbyt gwałtownie, prawda, Con?

Hm, obdarowanie ją dziełami wszystkimi pana Shakespeare’a nie było chyba najlepszym pomysłem.

Irlandczyk zarechotał i posłał Thei ubawione spojrzenie.

– W dodatku osobliwych kolorów nabrało jej oblicze – kpił dalej. – Molly, ślicznotko, jak byś nazwała taką barwę?

Dziewczyna zrobiła zamyśloną minę.

– Hm, szkarłat może? – Przekrzywiła głowę. – Różany pąs?

– Wiesz, Molly – ciągnął Con – od dawna liczyłem, że napatoczy się jakaś panna, która przywoła go do porządku, okiełzna jak trzeba. I widzę, że lady Dorothea jest do tego zdolna, że już prawie, prawie się jej udało.

Thea otworzyła usta, aby zaprotestować, lecz się zreflektowała. Cokolwiek by teraz powiedziała, zadziałałoby przeciwko niej.

– Mhm – mruknęła, naciągając mocniej czepek, aby ukryć twarz. – Czy wy dwoje już skończyliście?

Nadszedł młody służący w czerwonej kurtce z połyskliwymi mosiężnymi guzikami i jeszcze czerwieniszymi wypryskami na policzkach, aby wprowadzić ich do gospody.

Thea i Molly stanęły z boku, tymczasem Con wdał się w rozmowę z naburmuszonym oberżystą o obwisłych czarnych wąsach.

– Wszystko załatwione – oznajmił po chwili pogodnym tonem, podchodząc. – Niebawem wrócimy, pani Gabrielli – zwrócił się do Thei i mrugnął porozumiewawczo. – I młody paniczu Gabrielli – dodał, znów puszczać oko, tym razem do Molly.

Nasadził czarną czapkę na głowę porośniętą posiwiałymi rudymi włosami i odmaszerował.

Molly zerknęła triumfalnie na służącego, najwyraźniej zachwycona tym, że nikt w gospodzie nie zwrócił uwagi na to, że jest dziewczyną przebraną za chłopca.

Owszem, była wysoka i nie miała wydatnego biustu, lecz chodziło o co innego. Thea przypatrzyła się jej z ciekawością. Tajemnica kryła się w tym, jak Molly się zachowywała. Stała na szeroko rozstawionych nogach i prężyła ramiona podobnie jak księżę Osborne.

Ruszyły za krostowatym służącym do przydzielonych pokoi.

– Co więc wydarzyło się zeszłego wieczoru, gdy pomdlałam? – spytała szeptem Molly. – Czy pani i... no wie pani kto... czy wy spędziliście noc w jednym pokoju?

– Nie patrz tak na mnie – odparła Thea. – Nic się nie wydarzyło.

Hm... nic? Nieważne, Molly nie musiała tego wiedzieć.

– Zawsze wiedziałam, że książęta to zbereźnicy – mruknęła dziewczyna, uśmiechając się domyślnie.

„Ale o mnie tego nie wiedziałaś”, pomyślała Thea.

Dotarły do pokoju Molly.

– Chyba znowu się zdrzemnę – powiedziała dziewczyna.

– Ciągle ci słabo?

Policzki Molly wyraźnie się zaróżowiły, co było dobrym znakiem.

– Nic mi nie jest. Tylko zmęczona jestem, to wszystko.

Thea zaczekała, aż Molly rozgości się w kwaterze, po czym zaordynowała gorącą wodę do kąpieli w swoim pokoju.

Gdy miedziana wanna została napełniona, Thea z uczuciem wdzięczności zanurzyła się w kłęby pary, aby jak najszybciej obmyć się z brudów gościńca. Otulona wodą, natychmiast poczuła się tak, jakby Dalton wziął ją w objęcia i tulił do siebie, nasycając płynnym żarem. A gdy się poruszyła, woda zachlupotała dokoła, jakby dłonie księcia ją pieściły.

Ostatnia noc okazała się objawieniem. I precudowną rozpustą.

Thea zamknęła oczy i oparła głowę o krawędź wanny. Przesunęła dłonią po ramieniu, po piersiach i skierowała ją niżej wprost na brzuch.

Chciała lepiej poznać swoje ciało. Całował ją... o tutaj. Odnalazła palcami to miejsce, dotknęła wrażliwych zakamarków.

Poczuła łaskotanie pod wodą. Jedną dłoń trzymała na piersi, drugą zsunęła ku śliskim podwojom między udami.

Znów to rozkoszne pulsowanie.

Nie musiała już żyć wedle zasad narzuconych przez matkę. Mogła być nieroztropna i postępować skandalicznie.

„Mogłabym mieć kochanka”.

Ta szokująca myśl nigdy nie powstała w głowie układowej, dobrze wychowanej córki hrabiny Desmond. Teraz jednak dudniła w głowie zbuntowanej Thei. Zwłaszcza że wczorajsza noc była smakowaniem rozkoszy.

Dotąd Thea zamierzała wycofać się cicho i niezauważenie z socjety. Lecz teraz, gdy wysłała kłamliwy list do matki, nie było na to żadnych widoków.

Ludzie będą szeptać, plotkować o jej kompromitacji.

Może jedna ze służek przeczyta list i rozpowie o wszystkim.

Artemisia miała kochanków i została napiętnowana jako rozwiązła kobieta, a życie osobiste położyło się głębokim cieniem na jej twórczości.

Nawet ciocia Emma nie uniknęła skandalicznego epizodu w swoim życiu. Thea nie знаła wszystkich szczegółów, jednak krążyły pogłoski, że wdąła się w romans z hrabią mającym kaleką żonę. To by tłumaczyło, dlaczego cioci nigdy nie zapraszano do Londynu.

Thea coraz szybciej poruszała dłonią, rozbryzgując wodę nad twardym guziczkiem, który był źródłem najrozkoszniejszych doznań. Więcej pragnęła odkryć na pokładzie statku podczas rejsu do Irlandii, kiedy morze będzie kołysać kadłubem.

Będą rozmawiać, śmiać się... A potem zamilkną.

Pragnęła dowiedzieć się, co dzieje się potem.

Nigdy wcześniej nie wyobrażała sobie, że może przeżywać tak nieopisaną rozkosz.

Fale doznań przetaczające się między udami, rozprzestrzeniające po całym ciele.
Napięte mięśnie. Coraz szybsze ruchy dłonią. Napięty brzuch. Narastająca, wszechogarniająca przyjemność.

Jęknęła cicho, odchylając głowę.

To może wejść jej w krew.

Trwało za krótko. Zaspokojenie owocowało zaostreniem apetytu.

To przypominało jedzenie słodkiego tortu. Lub picie gorącej czekolady. Napór przypraw i słodyczy w ustach. Odległe pokrewne tym falom gorąca przetaczającym się rozkosznie przez całe ciało.

„Dama nigdy nie zjada więcej niż jedno ciasteczko. Dama odmawia sobie przyjemności”.

Lecz Thea z całą pewnością przestała być damą.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Serce zabiło jej mocniej.

– Kto tam?!

– To ja, Jenkins, proszę pani – odpowiedział kobiecy głos.

Służąca. Nie Dalton.

– Wejź! – odkrzyknęła.

– Czy to panine jedyne odzienie? – spytała krzepka pokojówka o zaróżowionych policzkach, potrząsając wzorzystą suknią z niebieskoszarego jedwabiu.

– Obawiam się, że tak.

– Nic nie szkodzi, oporządzą ją, że będzie jak nowa. I te śliczne buciki tak samo. – Wzięła z podłogi czerwone trzewiki. – Zetrę z nich błoto, to będą świeciły jak dwa rubiny.

– Dziękuję ci.

Służąca wyszła.

Thea sama czuła się jak nowa. Ledwo wyruszyła w drogę, a dokonała już tak wielu odkryć.

Dostrzegła w sobie pokłady siły, o których nie miała pojęcia.

Zerwała więzi z matką. Ujrzała ślepie lufy wycelowanego w nią pistoletu. Zapobiegła bójce.

Wytrąciła z równowagi aroganckiego księcia.

Zmieniło się jej spojrzenie na świat, jakby artysta uznał, że poza, którą przyjęła u początków tej wędrówki, jest niewłaściwa, i namalował nową postać, osobę o śmielszej, wyraźniejszej sylwetce, a ułudę dotychczasowej tożsamości ledwo można było dostrzec pod warstwami świeżo nałożonej farby.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 16

Dalton pchnął drzwi i wszedł do Tawerny pod Kotwicą. Jego nos natychmiast zaatakowały stęchła woń rozlanego dżinu i smród dochodzący z zaułka na tyłach, gdzie wyrzucano śmieci.

Wybrał stół w kącie, by siedzieć plecami do ściany i mieć dobry widok na wejście. Aby zabić czas, nim Con do niego dołączy, zamówił szklanicę ciemnego piwa u piersiastej karczmarki o wściekle rudych włosach i zalotnym uśmiechu.

Wrócił właśnie z portu, gdzie wynajął kupiecką brygantynę o poetyckiej nazwie Prawda i Jutrzenka, z której dokerzy wyładowywali drewniane beczki oznaczone herbem Giełdy Maślanej w Cork. Wymógł na szyprze, aby statek wyruszył w rejs powrotny przy najbliższym odpływie.

Oprócz tego wykupił dla Thei i Molly dwa miejsca w pierwszej klasie na najekskluzywniejszym parowcu w całym Bristolu. Postanowił, że Con powita obie kobiety w Cork, po czym bezpiecznie odstawi je z portu do domu.

Uznał, że sam stanowi większe niebezpieczeństwo dla Thei niż ktokolwiek inny, kogo mogłaby spotkać w jadalni na pokładzie luksusowego parowca.

Co ona teraz robi? Najpewniej bierze kąpiel. Zanurzona w kłębach pary, z jedną zgrabną nogą sterczącą z wody, z mokrymi włosami wijącymi się na ramionach.

Albo zwinięta w kłębek drzemie na miękkim łóżku.

Trzeba zaspokoić pragnienie. „Gdzie moje piwo?”

Dalton podniósł wzrok i zobaczył wielkiego dryblasza taszczącego bez wysiłku beczkę do kontuaru.

Karczmarka nalała piwo i podeszła do księcia.

– Na imię mi Pearl – powiedziała, patrząc z uznaniem na jego ramiona. – Masz ochotę na towarzystwo?

Pokręcił głową.

– Nie dziś – odparł. – Ale dziękuję za twoje chęci.

Nachyliła się nad stołem, aż jej obfity biust zawisł przed nosem Daltona.

– Na pewno nie?

– Na pewno – rzekł stanowczo.

Upił portera. Piwo było gęste i treściwe jak pajda chleba. Zaczął rozmyślać o tym, czego się dowiedział w porcie, gdy dobił targu z szyprem brygantyny.

Za dwa dni Wędrowiec, statek należący do O’Roarke’a, wypływał z Cork do Nowego Jorku.

Dryblas odstawił beczkę, odwrócił się i podszedł do stołu Daltona. Krzywy nos, gruba szyja i głęboko osadzone niebieskie oczy wydawały się nie całkiem obce.

– Znam cię?

– Ze słyszenia na pewno. – Mężczyzna poprawił fular. – Albertson jestem, choć ludziska znają mnie jako Łamignata z Bristolu. – Miał ogromne łapska całe w siniakach. – Znajdujesz się pan w moim lokalu.

Dalton przypomniał sobie, że wiele lat temu widział Łamignata walczącego na ringu.

– I bardzo przytulny jest to lokal – powiedział, posyłając dryblasowi niechętnie spojrzenie.

Pragnął w spokoju wypić piwo w oczekiwaniu na Cona, nie wdając się w żadne rozmowy.

Niezrażony Albertson oparł się łokciami na stole.

– Co pana sprowadza do Bristolu, panie...?

– Jones – padła krótka odpowiedź. – Interesy.

– Jakie interesy?

– Moje, nie twoje.

– Och, pojąłem. – Mężczyzna cofnął się o krok i podniósł wymownie rękę. – To było tylko przyjacielskie pytanie. Mam nadzieję, że piwo smakuje. Do widzenia.

Dalton patrzył w skupieniu, jak Albertson człapie z powrotem do kontuaru. Nie było nic dziwnego w tym, że zawodowy pięściarz został właścicielem tawerny. Przyportowe zatęchłe dziedzińce, zaułki i meliny pełne były włóczęgów, zabijaków i desperatów wszelkiej maści.

Mimo to krótka rozmowa wzbudziła jego czujność.

Potrząsnął głową, aby przepłoszyć chaotyczne myśli. Uznał, że jest przewrażliwiony, a dryblas nie miał wrogich zamiarów.

W tej samej chwili do środka wszedł Con.

Dalton przyzwał Pearl machnięciem ręki.

– Zakwaterowałem panny w gospodzie – oznajmił Irlandczyk, przysiadając się. – Hrabianka Dorothea spąsowiła siedmioma odcieniami szkarłatu, gdy wspomniałem o tobie. Czy powinienem coś wiedzieć o wypadkach zeszłej nocy?

– Nie chcę o tym rozmawiać. – Dalton dopił resztkę portera i zamówił następną szklanekę.

Con rozparł się na krześle i oparł jedną nogę na kolanie drugiej.

– Podoba mi się ta dama – stwierdził. – Ma rogatą duszę i wrażliwe serce. Nie chcę, żebyś ją skrzywdził. Jeśli wydarzyło się coś...

– Wciąż jest dziewczicą.

Con przez chwilę patrzył wyzywająco na księcia, po czym wyraźnie się rozluźnił.

– I wciąż mamy czas – mruknął, uśmiechając się pod nosem. – Ona cię owinie wokół palca.

Dalton puścił jego słowa mimo uszu i odebrał drugie piwo od karczmarki.

– Wyływamy dziś wieczorem – oznajmił. – Znalazłem brygantynę z Cork, rozładowują teraz towar. Szyper powiedział, że załoga będzie złorzeczyć, że muszą od razu wracać, ale zaoferowałem mu dwadzieścia procent ponad zwykłą stawkę, żebyśmy pożeglowali jeszcze dziś.

– Dwadzieścia procent ponad zwykłą stawkę to ładna sumka – powiedział zrędlawie Con. – Szkoda pieniędzy. Nawet jeśli jest nas czworo pasażerów.

– Dwóch, nie czworo.

Podniósł brwi.

– Dwóch?

– Dla dam zarezerwowałem osobny rejs – wyjaśnił książę. – Wyływają jutro rano parowcem. Kupiecka brygantyna to dla nich niewłaściwe miejsce.

Con spojrział na niego bacznie i odstawił szklanekę.

– Czego ty się tak boisz? – spytał.

– Niczego – odburknął Dalton.

„Thei”, dopowiedział w myśli. Stawał twarzą w twarz z mężczyznami, którzy pragnęli go zabić, lecz o wiele bardziej lękał się panienki o oczach koloru zadeszczonego nieba i uśmiechu przypominającym pierwszą zapowiedź tęczy po przejściu burzy.

Irlandczyk skrzyżował ręce na piersi.

– Lat ci nie ubywa – mruknął.

– Do czego zmierzasz?

– Winienesz się ożenić. Spłodzić bachora.

– Wiesz, że to niemożliwe.
– Człowieka w samotności składają do grobu. I może on wtedy srogo żałować swoich decyzji.

– Nie jestem samotny. Mam mnóstwo towarzyszek.
– Przestać udawać szubrawca. Nie o to mi idzie.
– Wiesz, że nie mogę się ożenić. Poza tym przyganiał kocioł garnkowi. Nie słyszałem, abyś mówił, że zamierzasz odwiedzić Bronagh.

Con zapatrzył się w swoje piwo.
– Rozmyślałem nad tym – przyznał. – Kto wie, może i zdecyduję się pojechać i ją zobaczyć.

Dalton zastygł ze szklanką podniesioną do ust.
– Przynajmniej dałbym jej sposobność, aby na mnie powyrzekała – powiedział Irlandczyk. – Może dobrze jej to robi.

Czy w jego głosie zabrzmiała nutka nadziei?
– Może dobrze zrobi i tobie – odparł książę.
– Nie podoba mi się, że dama i Molly będą podróżowały same.
– Nie będą same. Poprosiłem kapitana, aby otoczył je szczególną opieką, a na parowcu będzie się roiło od szacownych matron. Odbierzesz je w porcie, wsadzisz do powozu i zawieziesz do domu.

– Do domu? – Con zakręcił piwem w szklance. – A wiesz, gdzie jest dom Molly? Ona jest córką Bronagh.

– Że co? – Dalton gwałtownie odstawił szklankę na stół, aż oblał sobie kłykcie piwem. – Skąd wiesz?

– Zostałem przy niej zeszłej nocy, gdy zemdłała. Potem rozmawialiśmy o jej rodzinie. – Jego oczy wypełniło osobliwe światło. – To córka Seamusa i Bronagh. Moja bratanica.

– Doprawdy?
Con skinął głową.
– A więc sprawa rozstrzygnięta. Zobaczysz Bronagh bez względu na to, czy masz ochotę, czy nie. Zdrowie wujka Cona!

Dalton podniósł szklankę w geście toastu.
Irlandczyk prychnął.
– Tylko nie myśl, że nagle zmiękne i się ustakuję. Bronagh nienawidzi mnie za to, że wyjechałem. Pewnie mnie przepędzi, wymachując zardzewiałym pistoletem. Jaka matka, taka córka.

– Albo powita cię pocałunkami odwlekanymi przez dwadzieścia lat.
– Ha!

Ten przeciągnięty okrzyk był aż nadto wymowny. Oznaczał, że w istocie Con ma nadzieję na powitalne pocałunki. Że być może w głębi ducha rozmyśla o wycofaniu się i zostaniu prawdziwym rolnikiem. O ustakowaniu się. Znalezieniu miłości.

Dalton zerknął z ukosa na starego przyjaciela i współpiskowca. Wyobraził sobie małe dzieci uczone jego nóg. Ciągące go za tę posiwiąłą rudą brodę i podskakujące na jego kolanach.

A jednak nie... Nie miał aż tak bujnej wyobraźni.
Con, którego znał, unikał zwykłych ludzkich kontaktów, wołał samotność i głęboki cień.
Przez kilka minut siedzieli jak to oni w milczeniu, popijając portera. Książę wciąż natęzał umysł, aby wyobrazić sobie Cona orzącego na roli albo dojącego krowy.

– Jakież wieści o O’Roarke’u? – spytał w końcu Irlandczyk.

Dalton nachylił się do niego.
– Tak, ma statek o nazwie Wędrowiec – odparł półgłosem. – Za dwa dni wypływa z Cork do Nowego Jorku.

Con chwycił mocno szklankę w dłoń.

– A więc zdążymy go dopaść – stwierdził.

– Wiesz, myślę, że to on. Czuję to.

Dalton od tak dawna szukał zabójcy swojego brata. Trawiony dojmującym pragnieniem zemsty.

Irlandczyk stęknął.

– Zobaczymy – mruknął. – Ale teraz musisz pójść i powiedzieć damie, że popłyniecie osobno. – Uśmiechnął się pod nosem. – Dać jej sposobność, aby na ciebie nawrzeszczała.

*

Dalton zapukał do drzwi.

Przyszedł, aby powiadomić Theę o swojej decyzji. Postanowił, że nic go nie skłoni do zmiany zdania. Innymi słowy, przyszedł się pożegnać.

– Proszę! – zawołała.

Wszedł przygotowany na widok szaroniebieskich oczu i kształtnych ust w kolorze dojrzałych truskawek.

– Dalton – powiedziała.

Nie wstała, tylko wyciągnęła dłoń w jego kierunku.

Uśmiechnęła się, więc musiał spuścić wzrok, udając nagle zainteresowanie wzorzystym dywanem.

– Lady Dorotheo.

– Lady Dorotheo – powtórzyła prowokacyjnym tonem. – Jakże oficjalnie.

Włosy wciąż miała mokre po kąpieli i pachniała jakby inaczej. Mocniej. Niczym róża, która rozkwita tylko nocą.

„Przestań wyciągać szyję i upajać się tym zapachem. Psiakrew, ta rozmowa nie potoczy się gładko”.

Nieważne, stanowił niebezpieczeństwo dla tej kobiety, dlatego należało szybko zakończyć znajomość.

Odchrząknął i podniósł głowę.

– Przyszedłem się pożegnać – oznajmił.

– Ależ dopiero wszedłeś – odparła ze śmiechem. – Usiądź. Napij się herbaty.

– Nie mam czasu. Jeszcze dziś wyruszam do Cork.

Zmarszczyła czoło.

– Wiem przecież.

Wciąż jej pragnął. Oczywiście, że pragnął. To się nigdy nie zmieni. Chyba tylko w dniu jego śmierci.

Co z tego? Nie mógł się z nią związać.

– Con i ja płyniemy sami, wy dwie popłyniecie parowcem jutro rano.

Znów wyciągnęła rękę. Zwalczył odruch, aby się odsunąć. Wiedział, że będzie stracony, jeśli ona go dotknie.

– Przecież, o ile pamięć mnie nie myli, obiecałeś, że dowiesz mnie do Irlandii – powiedziała. W jej oczach zabłyśły iskierki. – Tak wynegocjowaliśmy. A jesteś człowiekiem, który dotrzymuje słowa. Powinam przeczytać księgę zakładów u White’a, pamiętasz?

Zacisnął szczęki.

– A pamiętasz, co ci powiedziałem? – odrzekł. – Nigdy nie ufaj mężczyźnie. Mówimy jedno, robimy drugie. Kupiłem ci bilet pierwszej klasy na najlepszy parowiec płynący do Cork. Zaserwują ci śniadanie w luksusowej jadalni. A do smaku będzie ci przygrywać orkiestra kameralna.

– Wiesz, że nie dbam o to.

– Będzie ci wygodnie.

Zmrużyła oczy.

– Dlaczego to robisz? Z powodu ostatniej nocy?

Oczywiście, że z powodu ostatniej nocy.

– To, co wydarzyło się między nami, było...

– Nie musisz za nic przeproszać. – Pokręciła głową i wtedy uwodzicielski zapach rozszedł się w powietrzu. – Czuję się bardzo dobrze. Lepiej niż dobrze.

Przygotował się na łzy i pretensje, a przynajmniej na zapuchnięte oczy i skargi na ból głowy po wypiciu whiskey. A widział przytomne spojrzenie i zalotny uśmiech.

– Thea, zrozum, nie zasługujesz na takie traktowanie. Nie zasługujesz na bycie kochanką na jedną noc. A ja nie zasługuję na ciebie.

– Boisz się – powiedziała oskarżycielskim tonem. – Myślisz, że wykorzystam to, co się stało, aby wymusić coś na tobie.

Myliła się srodze. Owszem, bał się, ale siebie. Bał się tej otchłani namiętności, która rozwarła się w jego piersi, krusząc mury wzniesione wokół serca.

– Wydaje ci się, że nie znam samej siebie, ale owszem, znam doskonale – ciągnęła, ściskając podłokietniki fotela. – Zawsze pozostawałam na skraju wydarzeń. W szkole. Na balach. Nigdy nie zajmowałam miejsca pośrodku, chyba że matka mnie wypchnęła, a wtedy się potykałam i upadałam. Wreszcie dotarło do mnie, że chcę poznać życie od podszewki. Chcę zakosztować prawdy. Możesz mi zaufać, Dalton?

Co z tego, skoro nie ufał sobie?

– Thea, zmuszasz mnie, abym mówił bez osłonek. – Wyciągnął rękę i ujął ją za podbródek, chcąc, aby spojrzała mu prosto w oczy. – Nigdy nie mógłbym się z tobą ożenić.

Odsunęła głowę od jego ręki.

– Doskonale rozumiem, że wyruszyłeś na poszukiwania irlandzkiej narzeczonej – odparła. – Będzie miała posągową figurę, płomiennorude włosy i szmaragdowe oczy.

Psiamać. Zupełnie zapomniał o bajeczce, którą jej zaserwował. Odchrząknął niepewnie.

– Nigdy nie mówiłem, jak taka osoba ma wyglądać.

– Och, dajże spokój. – Machnęła lekceważąco ręką. – Przecież masz swój ulubiony typ. Musi być wysoka. Modna. Efektowna. Obdarzona obfitym biustem. I małym mózdzkiem.

Niby prawda. Teraz jednak pociągała go kobieta o innych cechach.

Filigranowa, uparta, przekorna... pełna pobudzającej zmysłowości.

– Wyobrażasz mnie sobie jako samotną, bezbronną starą pannę gnijącą na irlandzkim odludziu! – wybuchła. – A wcale tak nie będzie. – Roześmiała się beztrząsco. – Owszem, będę starą panną, ale siejącą zgorszenie. Wezmę sobie kochankę w Irlandii. Może nawet dwóch albo trzech. – W jej oczach zabłyśły wyzywające ogniki. – Tam w bród przystojniaków. Podobnych do twojego przyjaciela księcia Harland. Ciemne włosy, zielone oczy. Muskulatura. – Zerknęła na jego ramiona. – Ale nie taka ostentacyjna.

Czy ona naigrywa się z jego wyglądu?

Ta rozmowa toczyła się niewłaściwym torem.

Dalton nie chciał się posłużyć kolejnym kłamstwem. Lecz kłamał od tak dawna, że stało się to jego drugą naturą.

– Muszę już iść – oznajmił. – Winienem odwiedzić... – to słowo nie chciało mu przejść przez gardło – wdowę, którą znam od dawna w tym mieście. Mam mało czasu, trzeba mi zdążyć przed rejssem.

Jej tęczołki pociemniały do koloru stalowej szarości. Tak jak oczekiwał.

– Wdowę? – Na jej policzkach zakwitły rumieńce, a groźne błyski w oczach nabrały intensywności. – Nie potrzebujesz już żadnych wdów.

– Wdowy doskonale mnie rozumieją.

– Rozumieją tylko, jak wielki masz majątek.

– Prawisz mi morały? Myślałem, że jesteś kobietą niekonwencjonalną i łaknącą przygód.

Zarzuciła włosami.

– Bo jestem.

– Pierwszą zasadą przygodowego życia jest różnorodność – powiedział Dalton. – Gdy jedna ścieżka staje się ograniczeniem, natychmiast wybierasz inną. Rozumiem powab myślenia, że jedna ścieżka może być odpowiedzią na wszystkie pytania. – Patrzył ponad jej ramieniem, odnajdując wzrokiem okno i budynek z cegły po drugiej stronie ulicy. – Ale ja nie mogę być niczyją odpowiedzią.

– Dlaczego to robisz? – szepnęła.

Bo lepiej, aby go znienawidziła. W dłuższej perspektywie okaże się to dla niej łatwiejsze do zniesienia.

– Uznałem, że może przyda ci się więcej świadectw, że ze mnie hulaka bez serca. Jeśli jeszcze ci tego nie udowodniłem ostatniej nocy.

– W co ty wierzysz, Dalton? Na czym ci zależy? Czy życie jest dla ciebie tylko igraszką?

– Wierzę, że słońce zajdzie dziś wieczorem i wytoczy się na niebo jutro rano. – Założył z powrotem kapelus. – Wierzę, że ludzie gonią za przyjemnościami, aby opędzić się od świadomości, że każdy kolejny oddech przybliża ich do śmierci. Że diabeł mieszka w pustej kieszeni, a chciwość skłania ludzi do grzechu. Wierzę, że miłość to złudzenie, które wymyślono po to, aby odegnać strach przed śmiercią.

– Nic dla ciebie nie znaczę – powiedziała bezbarwnym tonem.

Znów musiałby skłamać, więc milczał.

Bo tak naprawdę znaczyła dla niego wszystko. I właśnie dlatego musiał odejść.

Zasługiwała na znacznie więcej od życia.

Na spokojne wieczory spędzane na czytaniu książek przy huczącym kominku. Na odkorkowywanie nowej butelki francuskiego wina. Na brzęk dwóch uderzających o siebie kieliszków.

Na pachnący świeżą farbą pokój dziecienny.

Na czułość i ciepło.

Słowem, na wszystko, czego nie mógł jej dać.

– A więc dobrze, goń za pustą rozkoszą. Zanurz się w całym morzu chętnych wdów.

Gniewnym gestem odgarnęła mokry kosmyk z twarzy.

Uff, misja spełniona. Teraz Thea go znienawidzi. I tak będzie dla niej najlepiej.

Dalton odwrócił się, aby odejść, lecz w tej samej chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wmaszerował Con.

– Gdzie Molly? – spytał. – Nigdzie nie mogę jej znaleźć.

– Odpoczywa – odparła Thea. – Przespała całą podróż w powozie. Wciąż jest lekko chora, jak mi się wydaje.

Pokręcił głową.

– Nie ma jej w pokoju. A łóżko jest nietknięte. Kiedy ostatni raz ją widziałas, milady?

– Godzinę temu.

Zaczął chodzić niespokojnie w tę i we w tę po wzorzystym dywanie.

– Chyba nie sądzisz, że mogła zrobić... coś... coś głupiego, hę? Chyba nie udaje znowu rabusia?

– Przecież ja mam jej pistolet – powiedział Dalton. – Bez niego poszłoby jej jeszcze gorzej niż za pierwszym razem.

– A ten cały Raney, który ukradł jej pieniądze? – dopytywał Con. – Wczoraj mówiła mi, że to marynarz. Może poszła go szukać?

Thea spięła ramiona.

– Myślałam, że jest zbyt wyczerpana, aby wyjść z pokoju, ale teraz, skoro mi o tym przypomniałeś, wydaje mi się, że właśnie na takie szaleństwo nasza Molly mogła się poważyć. – Ścisnęła kraj spódnicy. – Powinnam była zostać przy niej. Mieć na nią oko.

– To nie twoja wina – zapewnił pośpiesznie książkę. – Znajdziemy ją. Skoro Raney jest marynarzem, trzeba szukać w porcie.

– Wspominała, że jest tawerna, do której on często zagląda – powiedziała Thea. – Zaraz, zaraz... jak ona się nazywa... Coś związanego ze statkami. – Spojrzała znękanym wzrokiem na kominek, szukając podpowiedzi wśród płomieni. Nagle poderwała głowę. – Mam. Tawerna pod Kotwicą! To tam.

Dalton i Con wymienili wymowne spojrzenia. Właśnie z tej knajpy wrócili. Nie było to właściwe miejsce dla młodej dziewczyny.

Irlandczyk ścisnął w garści rondo swojego kapelusza.

– Trzeba ją znaleźć – stwierdził. – Nie ma czasu do stracenia!

Obrócił się na pięcie i wypadł z pokoju.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 17

– Szybciej, człowieku! – ryknął Con, wystawiając głowę z powozu. – Nie mamy całego dnia na zmarnowanie!

Dalton wiedział, że jeśli Molly stanie się coś złego, Irlandczyk nigdy sobie nie daruje, że dopuścił do skrzywdzenia bratanicy.

Utknęli w gąszczu powozów i furmanek usiłujących wcisnąć się w sieć mniejszych uliczek, które prowadziły do melin St. Jude's.

Thea uparła się, aby wziąć udział w tej misji ratunkowej, nawołując do pośpiechu razem z Conem. Stwierdziła, że nie wysiedzi spokojnie w zajeździe, gdy Molly być może grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. W efekcie wcisnęli się we troje na pojedyncze miejsce w powozie Jonesa.

Mieli nadzieję, że wszystko potoczy się błyskawicznie. Dalton i Con zamierzali wpaść do Tawerny pod Kotwicą, zabrać Molly i dziesięć minut później znaleźliby się z powrotem w zajeździe.

– Zbyt długo to trwa – mruknął Irlandczyk. Przez całą drogę wiercił się, stukając stopą i zaciskając pięści na kolanach.

– Zaraz będziemy na miejscu – odparła Thea uspokajająco.

Dalton nie był zachwycony powrotem do tawerny. Wciąż rozmyślał o wścibstwie Albertsona. Były pieściarz wpatrywał się w niego, jakby szukał wzrokiem cięcia na szczęce po nożu Trenta.

Thea siedziała w milczeniu, otulona obszernym szarym płaszczem, schowana za szerokimi ramionami Cona, z twarzą ukrytą pod skrajem czepka.

Jej niepokój był tak wyraźnie wyczuwalny, jakby w powozie siedziała czwarta osoba. Daltonowi wciąż dźwięczały w uszach słowa, które wypowiedział do niej ledwie kilka minut wcześniej. Wszystkie te kłamstwa, którymi się posłużył, aby ją do siebie zniechęcić.

Co za idiotyczna myśl, że wolałby towarzystwo jakiejś sztywnej wdowy.

Kiepsko to rozegrał.

Gorzko pożałował tych słów, gdy tylko je wypowiedział. Kiedy w jej oczach zgasty zalotne iskierki, a z ust znikł uśmiech, Dalton poczuł się jak tchórz i przestępca.

Dezorientacja, poczucie zdrady... a wreszcie uraza odmalowująca się na jej twarzy. Czy mógł ją za to winić? Ostatniej nocy stracił panowanie nad sobą. Najpierw obezwładnił ją fularem, potem pocałunkami, a dziś brutalnie odtrącił.

Nie mógł jednak jej wyznać, dlaczego musi zerwać wszystkie więzi. Podobnie nie mógł znieść tego poczucia zdrady widocznego w jej oczach. Cokolwiek by zrobił, dla niej oznaczało to cierpienie.

W dodatku wciąż czuł przemożną ochotę, aby porwać ją w objęcia, pogłaskać po jedwabistych włosach, szepnąć do ucha, że powiedział nieprawdę...

Dość tego.

Odtąd jego myśli będą skupione. Bezwzględne.

Uwolnione od Thei.

Wspólna jazda powozem niczego nie zmieni.

Thea i Molly popłyną luksusowym parowcem jutrzejszego ranka, tymczasem Dalton i Con jeszcze tego wieczoru wyruszą na pokładzie brygantyny.

Żadnych więcej zawirowań. Żadnych więcej pocałunków.

– Byłeś wcześniej pod Kotwicą? – spytała nagle Thea Irlandczyka.

– Owszem, właśnie stamtąd wróciłem. Obskurne miejsce. Nie podoba mi się, że Molly się tam wybrała.

– Przecież jest środek dnia. Czy może jej coś grozić o wpół do czwartej po południu?

Con uparcie pokręcił głową.

– Pod Kotwicą to nie jest miejsce dla niewinnej dziewczyny – odparł. – Roi się tam od marynarzy ze wszystkich portów świata.

– Dobrze więc, że z wami jadę – powiedziała. – Mam łagodzący wpływ na nieokrzesanych osobników. Bez trudu uspokoiłam wczoraj tych osiłków w zajeździe.

Zerknęła spod czepka na Daltona, żeby zobaczyć, jak przyjął to śmiałe stwierdzenie.

„Łagodzący wpływ. Wolne żarty”.

W całym tym jej gibkim ciele nie było niczego, co miałoby na kogokolwiek łagodzący wpływ.

Zmrużył oczy i wtedy się uśmiechnęła, nieznacznie rozciągnęła usta w poczuciu małego triumfu, co oznaczało, że doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak on odbiera jej słowa. I że nowym celem jej życia stało się działanie mu na nerwy.

I niech to szlag, bo na przekór wszystkim swoim postanowieniom w głębi ducha pragnął, aby go dręczyła na wszelkie możliwe sposoby, jakie wykoncypuje ten jej bystry umysł.

Zanim ta zdradliwa myśl rozwinęła skrzydła, powóz zwolnił i zatrzymał się przed poczeriałym od sady frontonem Tawerny pod Kotwicą.

Dalton wychylił się zza Cona.

– Ty zostajesz – zwrócił się do Thei. – To potrwa ledwie chwilę.

Delikatne brwi uniosły się w wyrazie lekceważenia.

– No dobrze – westchnął, choć nie odezwała się ani słowem, a tylko obrzuciła go spojrzeniem oznaczającym, że nikt nie będzie jej rozkazywał, a już na pewno nie żaden książę. – Skoro już musisz z nami iść, to trzymaj się za moimi plecami.

Skinęła głową, zaciskając mocniej szare wstążki czepka i prostując drobne ramiona.

– Śpieszmy się – ponaglił Con, ruszając do wejścia.

Gdy otworzyli drzwi, na ulicę wypłynął rejwach wzbudzany przez oddających się zabawie marynarzy. Sala zapełniła się, odkąd Dalton stąd wyszedł. Nie było jednego wolnego krzesła.

W ogromnej przestrzeni rozświetlonej przez blask migoczących wysokich świec i wiszących lamp gazowych rozbrzmiewały piskliwe śmiechy i bełkotliwe okrzyki.

Krzepcy marynarze w niebieskich kurtkach i czerwonych chustkach na szyi żłopali piwo, żartowali z kelnerkami i przepuszczali zarobek przy kartach i kościach do gry. Było pewne, że niektórzy zgrają się do gaci, nim nastanie świt, i wrócą do domu goli i kompletnie pijani, do przedwcześnie postarzałych żon, posiwiiałych od zmartwień, i czeredki zmarzniętych, żałośnie wyglądających dzieci.

Thea patrzyła wybałuszonymi oczami, jak mężczyzna o policzkach poznaczonych ospą ubrany w wyświechtany surdut chwyta za spódnicę kobietę o tępym spojrzeniu i przyciąga ją ku sobie, aby na oczach wszystkich cmoknąć ją donośnie w usta.

Dalton czuł się nieswojo, przyprowdziwszy dziewczynę do tego świata. Jej słodki zapach ścierał się z cuchnącymi alkoholowymi wyziewami.

Próbował myśleć o niej jako o niepohamowanej pokusie – gigantycznym niebezpieczeństwie, którego należało unikać za wszelką cenę – lecz tutaj, w tym tłumie marynarzy, robotników portowych i straganiarzy, wydawała się kruchą i bezbronną istotą, która wymagała opieki.

Przyłożył dłoń do jej pleców, aby pokazać nicponiom kotłującym się dokoła, że dama znajduje się pod jego eskortą.

Wcale nie dlatego, że pragnął jej dotykać – powtarzał sobie uporczywie w myśli.

Zerknęła na niego spod długich, czarnych rzęs, a wtedy przygarnął ją mocniej, ręką obejmując wąską talię.

„Jest moja. Moja”, głosił wszem wobec ten gest.

Ani śladu Albertsona. I Molly.

Con rozglądał się po sali, a spięte ramiona wymownie świadczyły o jego wzburzeniu.

– Już wróciłeś?

Dalton nadział się wzrokiem na śmiałe spojrzenie Pearl, karczmarki o płomiennie rudych włosach, która wcześniej złożyła mu niedwuznaczną propozycję.

Wystawiła biodro i mrugnęła okiem.

– Stęskniłeś się za mną, szelmo? – spytała, ściskając go za ramię, jakby chciała ocenić jego muskulaturę.

Thea groźnie zmrużyła oczy.

– Widzę, że masz towarzystwo – dodała kobieta, mierząc nowo przybyłą wzrokiem od stóp do głów i wyczuwając w niej potencjalną rywalkę.

– Hm! – prychnęła Thea, zarzucając głową, lecz wypadło to mało imponująco, bo bujne loki poskramiał utrudzony podróżą słomkowy czepek.

Dalton delikatnie zdjął dłoń oberżystki ze swojego ramienia.

– Stęskniłem się za twoim porterem – odparł rażno. – Dwie piny poproszę, dla mnie i mojego przyjaciela.

– A może ty masz ochotę? – zwróciła się Pearl do Cona. – Niezły z ciebie szkuner do żeglowania. Potrzebujesz morza, na które byś wypłynął?

Rozkojarzony Irlandczyk pokręcił głową, wciąż wypatrując Molly w zatłoczonej sali.

– Chcemy tylko piwa – powiedział Dalton.

Rozgniewana karczmarka odwróciła się gwałtownie i odeszła, powiewając krajem wyblakłej sukni z czerwonego jedwabiu.

Con skinął głową w głąb sali.

– Tam – mruknął.

Tłumek otaczający stół w kącie przerzedził się na tyle, że księżę dostrzegł toczącą się grę w kości.

Molly stała pod przeciwległą ścianą, prężąc ramiona. Uśmiechnięta szeroko, potrząsała dramatycznie kośćmi w kubku, a gapie jak zahipnotyzowani obserwowali każdy ruch jej drobnych dłoni.

Zza stołu patrzył na nią wściekłym wzrokiem dwudziestokilkuletni jasnowłosy mężczyzna w niebieskim surducie z wypolerowanymi mosiężnymi guzikami, obejmujący w talii służącą o soczystości kasztanowych włosach.

Najwyraźniej ubodło go, że przegrał z młokosem. Gdyby Dalton nie wiedział, że Molly jest dziewczyną, też wziąłby ją za chłopaka. Z warkoczami wciśniętymi pod niebieską czapkę, ubrana w niebieski surdut i kamizelkę, przypominała obszarpanego chłopca okrętowego, który biega na posyłki i wysługuje się kapitanowi i załodze frachtowca.

Dalton doskonale znał wszystkie londyńskie jaskinie hazardu oraz najprzeróżniejsze gry losowe, nie wiedział jednak, jak przebiega obecna partia.

Najwyraźniej wiedzieli to marynarze, bo jak na komendę zareagowali wiwatami, gdy Molly potoczyła kości po płóciennej macie.

Pewna siebie, harda dziewczyna śmiało odpowiadała na świńskie żarty i docinki gapiów

zgrupowanych dokoła.

– No i co, chłopaki, zmiękła wam kotwica? Bo moja jest twarda i sięga głęboko!

Dalton zachichotał wbrew sobie. Dziewczyna była świetną aktorką, zachowywała się jak rasowy marynarz. Skupiona na grze, nawet nie zerknęła w stronę nowo przybyłych.

Rumiany mężczyzna jeszcze mocniej poczerwieniał, gdy odliczył monety i przesunął je na środek stołu. Molly zaśmiała mu się wesoło prosto w nos i zgarnęła pieniądze.

– To pewnością ten Raney – powiedział Con, wskazując spojrzeniem jasnowłosego.

Dalton skinął głową.

– Nie wydaje mi się, że ją rozpoznał – szepnęła zdumiona Thea.

– Najwidoczniej – przyznał Con. – Nie podoba mi się to. Ten jegomość sobie podpisał i bardzo nie lubi przegrywać.

Molly trzasnęła dłonią w stół, aż stosik monet podskoczył wysoko.

Raney zmrużył oczy i zacisnął usta.

Czujny Con zastygł.

Dalton doskonale znał tę postawę. Irlandczyk oceniał niebezpieczeństwo. Badał sytuację i błyskawicznie podejmował decyzję. Wycofać się czy walczyć.

Najlepiej byłoby wkroczyć, zgarnąć Molly i wyjść. Powiedzieć, że kapitan niezwłocznie wzywa ją na statek.

Raney najwyraźniej wypił już kilka kufli, bo chwiał się lekko na nogach. Napięta sytuacja mogła się szybko zmienić w awanturę. Strata pieniędzy zawsze jest bolesna – jeszcze bardziej w stanie podchmielenia.

Con złowił oczami spojrzenie księcia. Pora wkroczyć.

– Trzymaj się z tyłu – szepnął Thei do ucha. – I bądź gotowa do wyjścia w każdej chwili.

– Przecież ona wygrywa.

– Tak, ale może się zrobić nieprzyjemnie, jeśli ktoś dostrzeże, że to dziewczyna.

Thea zmrużyła lekko oczy.

– Nic jej nie grozi – powiedziała. Odsunęła się, wyslizgując z jego objęć. – Nie musisz się w to mieszać. Zaufaj mi, Dalton. Niech Molly sama o sobie zadecyduje. Ważne, aby poczuła, że zatriumfowała nad Raneyem. Za to, jak ją wcześniej potraktował.

Con spojrzał na Daltona pytająco, nie mając powodu zwłoki. Księżę poruszył w bok palcem wskazującym, co było umówionym znakiem, aby powstrzymać się od działania.

I wycofać.

Con zmarszczył brwi.

– Zaufaj mi, Dalton – powtórzyła Thea, a jej oczy zabłyśły w półmroku.

Podobne słowa wypowiedziała w zajeździe.

Nie chodziło tylko o Molly. To było ważne również dla niej. W jej życiu rodzinnym były tylko polecenia i przymus... nigdy nie poznała, czym jest zaufanie. Chciała, aby Molly kierowała swoimi sprawami, posmakowała swojej siły, ale tak naprawdę sama też chciała kontrolować bieg spraw.

Przez całą podróż poddawała sprawdzianowi swoją moc, przyjmując rozmaite role, doprowadzając do skrajnych sytuacji. Chciała stać się panią siebie. I uwolnić się od zasad wpojonych przez matkę.

Dalton uważnie obserwował Molly. Gdyby zrobiło się groźnie, należało natychmiast zainterweniować.

Thea złowiła spojrzenia wymieniane przez obu mężczyzn. Uniosła się na palcach.

– Dziękuję – szepnęła księciu do ucha.

Następnie obdarzyła go promiennym uśmiechem, od którego ponura sala nabrała żywych

kolorów, jakby wędrowiec wyłonił się nagle zza zakrętu i jego oczom ukazała się panorama roziskrzonego w słońcu morza.

Dalton zrobiłby wszystko dla tego uśmiechu.

Uwielbiał też jej śmiech. Wysoki srebrzysty głos jak rozedrgane dzwonki.

Con był wyraźnie niezadowolony ze zwłoki, ale posłusznie trzymał się z boku.

Opuściwszy lekko głowę, patrzył bacznie na Molly.

Nadeszła kolej Raneya, aby postawić pieniądze i rzucić kośćmi. Przesunął stosik miedzianych monet na część maty oznaczoną koroną.

– Wszystko na jeden rzut – wybełkotał.

Znowu rozległy się krzyki w tłumie:

– Diabeł zagiął dzisiaj parol na ciebie!

– Pozwolisz wyrostkowi obłupić się ze skóry?

Służąca o kasztanowych włosach wyslizgnęła się z objęć Raneya, podeszła do Molly i szepnęła jej coś do ucha.

Molly dała jej monetę. Wtedy dziewczyna zarzuciła jej ręce na szyję i cmoknęła ją donośnie w policzek. Molly zrewanżowała się tym samym i uściskała ją mocno.

Mężczyźni dokoła ryknęli śmiechem, wskazując szyderczo palcami Raneya i poklepując Molly po plecach. Pechowiec stracił bowiem nie tylko pieniądze, ale także afekt kasztanowłosej dziewczyny.

Patrzył teraz wściekłym wzrokiem na Molly, a ona uśmiechnęła się szeroko, rozkoszując swoim triumfem.

Dalton nachylił się do Thei.

– Chłopka ogrywająca marynarzy i całująca karczmarki – szepnął. – Niezłe przedstawienie, co?

Zdławiła śmiech, przykładając dłoń do ust.

– Owszem, co za widok – przyznała.

– Przeklina i gra jak prawdziwy wilk morski, ta twoja Molly. Ciekawe, gdzie się tego nauczyła.

– Ma dziesięciu braci. Zgaduję, że w tej dziedzinie to oni byli jej guwernerami.

– Dziesięciu braci. – Dalton gwizdnął cicho i odwrócił się do Cona. – Słyszałeś? Dziewucha ma dziesięciu braci. Więc może się trochę znać na mężczyznach.

Irlandczyk wydał się z siebie typowe niezobowiązujące stęknienie i lekko rozluźnił ramiona.

Thea obdarzyła Daltona kolejnym uroczym uśmiechem, a on znów położył jej dłoń z tyłu talii.

Rozochocona Molly przesunęła wszystkie swoje pieniądze na środek stołu.

– Całość. Pora z tobą kończyć. Szukuj trumnę.

Raney spochmurniał.

– Szczęście zaraz od ciebie odstąpi, chłopasiu – mruknął.

Molly podniosła swoją szklankę i wypila wszystko jednym długim haustem, wywołując pochwalne okrzyki wśród tłumu.

– O nie, szczęście odstąpiło mnie w dniu, kiedy się spotkaliśmy, Jacku Raney!

Szarpnął głową i wbił w nią spojrzenie, próbując skojarzyć twarz.

Con napiął mięśnie.

Molly znów rozpoczęła rytualne wywijanie kubkiem, a znajomy grzechot kości wzbudził w Daltonie masę wspomnień. Rozległy się wiwaty, marynarze stawiali zakłady.

– Pięć szylingów na podrostka!

– Pięc na Raneya!

Wszyscy wstrzymali oddech.

Kości wypadły z kubka i potoczyły się po stole.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 18

Thea bała się patrzeć. Odwróciła głowę i spojrzała na Daltona.

Rudowłosa oberżystka w czerwonej sukni nazwała go szelmą. Z tą raną na szczęce rzeczywiście sprawiał wrażenie zatwardziałego zabijaki.

Nie golił się od dawna i jego twarz pokrywał teraz ciemnobrązowy zarost zasłaniający dołek w podbródku. Thea wiedziała jednak, że ten uroczy znak wciąż tam jest, czeka na ponowne odsłonięcie.

Karczmarka pożerała księcia oczami, jakby był tłustym indorem na Boże Narodzenie. Czy można ją było za to winić?

Natura obdarzyła go męską urodą, która zwracała uwagę każdej kobiety, kazała jej zastanawiać się, czy spadł z nieba na ziemski padół, a swoje kochanki zabiera wprost do piekła.

Thea czuła jego władczą dłoń na swojej talii. Jakby chciał ją sobie przywłaszczyć.

Czy zaufał w końcu jej intuicji?

Rozległy się wiwaty i Thea znów odwróciła głowę w kierunku stołu.

Molly zerwała czapkę i długie warkocze opadły gwałtownie na ramiona.

– To ja, Jacku Raneyu, ty kpie skończony! To ja, Molly Barton! Pamiętasz mnie? – Zgarnęła garść monet i wrzuciła wszystkie do niebieskiej czapki. – To moje!

Wymieniony zmrużył oczy do postaci małych szparek.

– Ty... – wydukał. – To ty... Jak śmiesz. Ja ci...

Marynarze pokładali się ze śmiechu, klepiąc się z radości po udach.

– Wystrychnięty na dudka przez dziewczuchę! – ryknął jeden.

Z morderczym wyrazem oczu Raney sięgnął do kieszeni surduta. Thea ścisnęła Daltona za ramię, lecz Con już ruszył, stawiając duże, zdecydowane kroki. Rozsunął bez trudu tych, którzy stali mu na drodze, i objął Raneya potężnym ramieniem, blokując rękę zanurzoną w kieszeni.

– A więc znasz moją bratanicę? – spytał.

Molly patrzyła z zapartym tchem na Cona. Przekręciła głowę i zaraz pobladła gwałtownie, rozpoznając Theę i Daltona.

– Odstap, staruszk – warknął Jack, próbując wyrwać się z uścisku, ale na próżno.

Staruszek okazał się bowiem zbyt silny.

– Wygląda mi na to, że wygrała uczciwie – powiedział Con. – Idziemy, Molly.

Cofnął ramię i skinął na dziewczynę. Zgarnęła czapkę ze stołu i ruszyła za nim posłusznie.

– Nie biegnij – poinstruował Dalton Theę, chwytając ją za łokieć i kierując w stronę wyjścia. – Idź pewnym krokiem. Jakbyś była u siebie.

Rzucił na kontuar kilka monet, wartych więcej, niż kosztowało ich piwo, po czym we czworo zaczęli się przedzierać przez rozfalowany tłum w stronę tylnego wyjścia.

Zaułek za progiem cuchnął gnijącymi śmieciami.

Thea zerknęła z obawą przez ramię, spodziewając się, że drzwi otworzą się gwałtownie i ich śladem wytoczy się na zewnątrz tłum pod wodzą rozwścieczonego Raneya, lecz nic takiego się nie wydarzyło.

Zagrożenie przyszło z innej strony.

U wylotu zaułka stało trzech roślących mężczyzn o zaciętych twarzach, w czarnych kapeluszach głęboko nasuniętych na czoła.

Dalton zatrzymał się, spinając mięśnie i wysuwając się przed Theę. Con zrobił to samo, zasłaniając sobą Molly. Dwaj mężczyźni stworzyli szaniec złożony z mięśni, odgradzający obie kobiety od niebezpieczeństwa.

Thea musiała wyprężyć się na palcach, aby zza barów Daltona widzieć rozwój sytuacji.

Tamci ruszyli groźnie do przodu. Najpewniej byli strażnikami na żołdzie tawerny. Lub awanturnikami szukającymi rozrywki w ciemnym zaułku.

Zadrżała i zerknęła na Molly.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła dziewczyna. Zaciśnęła dłonie w pięści. – Jeśli trzeba, będziemy walczyć – dodała, rzucając śmiało spojrzenie na trzy zbliżające się postacie.

– Dobry wieczór, Albertson – odezwał się Dalton groźnym basem. – Tym zaułkiem też rządysz?

– Zaraz będę rządził tobą.

Z bliska widać było wyraźnie, że ma krzywy nos, pokaleczone uszy i lodowate niebieskie oczy.

Zatrzymał się pół kroku od Daltona i dźgnął go palcem w pierś.

– Jest nagroda za schwytanie cię, Jones.

Umysł Thei mიაոiał się między różnymi scenariuszami. Czy ten mężczyzna bierze Daltona za Jonesa? Znowu to samo nieporozumienie? Czy powinna się wmieszać, ściągnąć na siebie ich uwagę?

Zza ramion księcia zerknęła ponownie na napastników i postanowiła jednak trzymać się z tyłu. Albertson miał bary jeszcze szersze od księżęcych i ogromne łapska o poharatanych kłykciach. Widać było, że to zawodowy bokser. O wiele bardziej niebezpieczny niż tamtych dwóch osiłków w zajeździe.

– Mack – warknął Albertson. – Dawaj mi ten papier.

Wezwany mężczyzna miał szerokie płaskie czoło i małe, głęboko osadzone oczka. Pogrzebał w kieszeni na piersi i wyciągnął pomiętą kartkę, po czym podał ją Albertsonowi.

Papier zaszeleścił w wyciągniętej dłoni.

– Trent mówi, żeby mieć oko na Piekielnika – powiedział Albertson. – Który to uciekł dwa dni temu z Londynu w przebraniu dżentelmena. Mam ci tu rysunek tego typu. Wysoki. Okazałej postury. I blizna. – Przejechał palcem po swojej szczęce. – O tutaj.

Thea wstrzymała oddech. Dalton przecież mówił, że rana pochodziła z pojedynku z zazdrosnym mężem. Na pewno tak powiedział? A może ona sama przyjęła takie wytłumaczenie?

Albertson zgniótł kartkę i rzucił ją na ziemię.

– Powiedziałbym, że jeden z nas pasuje do tego opisu – warknął.

Dalton przypominał kamienny posąg.

Nie odezwał się słowem, a jednak Thea słyszała w głowie jego dudniący głos.

„Jeśli to prawdziwa postać, to jest przestępcą. Pewnego dnia go złapią i wtedy zawiśnie wysoko”.

„Nie ma takiego bohatera, który naprawiłby całe zło w społeczeństwie i ocalił bezbronnych. To mit”.

A potem:

„I owszem, mam swoje powody, aby jechać do Irlandii”.

Wszystkie te zaprzeczenia i wykręty.

Zaczął ją całować w powozie, kiedy wspomniała o Piekielniku.

Mógł skrywać tak wielką tajemnicę? Czyżby to on był...?

Tok jej myśli przerwał donośny śmiech Daltona, rozbrzmiewający po całym zaułku

rozjaśnionym światłem dogasającego dnia.

– Osobliwy sposób czerpania zysków – powiedział. Ściągnął rękawiczki i podał je Conowi. – Napadanie na porządnych klientów w zaułkach chyba nie przysparza ci stałych bywalców, he?

– Ani się rusz – warknął Albertson, rozstawiając szeroko nogi i wznosząc pięści do ciosu. – Bo ci zaraz świat pociemnieje w oczach.

Pod wpływem impulsu Thea skoczyła do przodu zza pleców Daltona.

– Pomyliliście człowieka! – krzyknęła. – Pan Jones nie zna się na walkach.

– Do tyłu! – warknął książę, chwytając ją za suknię.

– Czyżby? – zarechotał Albertson, zerkając z upodobaniem na jej postać. – A o tobie Trent nic nie mówił. Ślicznotka z ciebie, wiesz? – Wyciągnął rękę, żeby chwycić ją za ramię. – To się nazywa łup wojenny.

Wszystko wydarzyło się tak błyskawicznie, jakby ogień pożarł stóg suchego siana.

Dalton rzucił się do przodu. Błysnęły obnażone zęby, śmignęła pięść.

Każdy ruch celny i doskonale wykalkulowany.

Potężny cios trafił prosto w twarz i Albertson runął na bruk jak szmaciana lalka.

Pozostali dwaj skoczyli do ataku, lecz Dalton zrobił zwinny unik i trzasnął ich głowami jedną o drugą.

Mistrzowsko. Precyzyjnie.

I tak szybko, że Thea zdążyła zrobić zaledwie jeden krok do tyłu, gdy wszystko dobiegło końca.

Jęki na bruku, ciała sparaliżowane bólem, umysły otępiałe od ciosów.

Con nie ruszył palcem, stał tylko na czatach, a na jego ogorzałej twarzy odmalowało się śmiercionośne skupienie.

Książę wyprostował się, wypełniając sobą przestrzeń. Jego ogromny cień padł na bruk zbryzgany świeżą krwią.

Pierś falująca gwałtownie, pięści wciąż zaciśnięte.

Podniósł głowę i spojrzał na Theę.

Jego oczy były ledwie wspomnieniem błękitu w morzu obsydianu.

„Och, to ty – pomyślała. – To ty. Ten mit. Bohater bezbronnych... To ciebie szukają”.

O mało nie rzuciła mu się na szyję, aby powiedzieć, że nie musi jej odtrącać, bo poznała jego tajemnicę.

Przerwał tę chwilę, robiąc krok nad powalonymi mężczyznami i podnosząc swój kapelusz.

Con podał mu rękawiczki.

– Lepiej się stąd wynośmy – powiedział obcesowo.

Molly patrzyła wytrzeszczonymi oczami na Daltona.

– A niech mnie... To było niesamowite.

– Jazda do powozu! – rozkazał Irlandczyk.

Chwycił dziewczynę za ramię i poprowadził ją dokoła trzech leżących na bruku, wciąż nieprzytomnych mężczyzn.

Książę skinął na Theę i ruszył za tamtymi, z ramieniem przekrzywionym pod dziwnym kątem, jakby z powodu skurczu.

Tyle bólu kryło się w tym człowieku... W każdej kości i mięśniu. I w sercu.

Thea zgarnęła z ziemi pomięty arkusz papieru i wsadziła go do sakiewki, po czym pośpiesznie podążyła za nimi.

Wcisnęli się wszyscy do czekającego powozu. Thea i Dalton dotykali się kolanami.

Drzwi się zatrzasnęły i koła ruszyły.
– Ani chwili spokoju – mruknął Con, kręcąc głową.
Molly zerknęła na niego, potem na Daltona.
– Nauczcie mnie tak walczyć – poprosiła. – Nie jestem duża, ale mam zapał.
Irlandczyk parsknął śmiechem.
– Fakt – przyznał.
Thea złowiła spojrzenie księcia.
– Jedziemy z wami do Cork – powiedziała.
Skinął głową.
– Niestety tak – odparł. – Powiedziałem stangretowi, że ma nas zawieźć prosto do portu.
Tamci widzieli wasze twarze.
Thea wstrzymała oddech. A więc Dalton chciał ją zatrzymać przy sobie!
Molly poklepała się po kieszeni, brzękając wygranymi monetami.
– Mam dość, żeby oddać mamie oszczędności – powiedziała. – Jeszcze trochę zostanie.
A ten marynarzyk na drugi raz mocno się zastanowi, czy nadużyć zaufania dziewczyny.
– Postrach Gościńców znów uderzył – zażartowała Thea.
– Dobrze, że tym razem obyło się bez wywijania pistoletem – dorzucił Con.
Molly się uśmiechnęła.
– I bez pistoletu oskubałam go do szczętu. – Spoważniała. – Czy podałeś się za mojego wuja, żeby nastraszyć Jacka? Czy to najprawdziwsza prawda?
Irlandczyk się zawahał. Thea dostrzegła cień strachu przemykający po jego twarzy.
Wreszcie potaknął.
– Obawiam się, Molly, słoneczko, że masz we mnie wujaszka – mruknął.
– Czy zamierzałeś mi powiedzieć? – spytała, a jej dolna warga wyraźnie zadrżała.
– Nie byłem zdecydowany – przyznał szczerze. – Widzisz, dawno temu znałem twoją matkę. A ty wyglądasz jak ona. – Pociągnął dziewczynę za warkocz. – Z wyjątkiem tych portek, rzecz jasna.
– Ha! – Molly zmarszczyła czoło. – Skoro jesteś mój wuj, pewnie każesz mi włożyć kieckę i złoisz mi skórę, jak tego nie zrobię.
Wzruszony Con pokręcił gwałtownie głową, aż nastroszyły mu się bokobrody.
– Nigdy w życiu, słoneczko – zapewnił. – Nigdy w życiu cię nie uderzę. Nie jestem jak Seamus.
Molly przygryzła wargę.
– Nie jesteś. Co to, to nie.
Serce Thei wezbrało nadzieją, gdy patrzyła na tę dwójkę zagubionych nieszczęśników.
Molly zasługiwała na dobroć otoczenia, a Con na drugą szansę.
Każdy zasługiwał na szansę, aby znaleźć szczęście.
Zerknęła ukradkiem spod rzęs na Daltona.
Znów była blisko niego i pragnęła, aby wziął ją w objęcia. Czy on też tego pragnął?
Ich oczy się spotkały.
Owszem, pragnął. Czują to wyraźnie.
Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń.
Och, jakie to cudowne uczucie. Dotykać się nawzajem.
Serce zabiło jej mocniej na myśl o wspólnej morskiej podróży.
Co kieruje mężczyzną, który chce wieść potajemnie życie mściciela?
Czy to z powodu śmierci brata? Z powodu samotnictwa matki? Z powodu strachu?
Z powodu ojcowskiej chciwości?

Wszystkie fragmenty układanki zaczęły lądować na właściwym miejscu niczym symbole alegorycznego obrazu składające się na głębszy sens.

Przelotne związki, schadzki, okna i treliaże. Bajońskie sumy stawiane w zakładach, pojedynki, blizny... Czy to wszystko było maskaradą?

Niepohamowany hulaka Dalton był kostiumem, który przywdziewał Dalton odgrywający rolę wymiaru sprawiedliwości.

Zaczęła wspominać wieczory, kiedy widziała go brylującego na salach balowych Londynu. Cudowny hulaka, wokół którego kręcił się cały świat, o którym rozpisywały się gazety i marzyły spragnione doznań wdowy. Sądziła, że księżę jest mężczyzną pokroju jej ojca. Zmieniającym kobiety jak rękawiczki, pozostawiającym po sobie szlak złamanych niewieścich serc.

A może było zupełnie inaczej?

Chylące się ku zachodowi słońce pomalowało niebo na bursztynowo, a powóz zbliżał się do portu. Nie ulegało wątpliwości, że Dalton jest wytrawnym kłamcą, skoro tak długo potrafił okpiwać wielu ludzi. A skoro tak świetnie kłamie, to czy naprawdę jej pragnie, czy też jego pocałunki były kolejnym wybiegiem?

Thea postanowiła, że skłoni go do otwarcia serca i wyjawienia wszystkich tajemnic.

Przy niej mógł być sobą.

I ona również. Inspirowana odwagą, a nie spętana strachem.

Mogli razem smakować życie, kroczyć ścieżką pełną rozkoszy.

Uścisnęła mu dłoń i wtedy spojrział na nią oczami rozbłyśniętymi w półmroku.

Nic się nie zmieniło. Dziś wieczorem Thea padnie w ramiona wytrawnego, czułego kochanka.

A właściwie zmieniło się wszystko.

Tym kochankiem będzie... bezecny hulaka i szlachetny wojownik w jednej osobie.

Rozdział 19

Gdy wsiedli na pokład Prawdy i Jutrzenki, Con powiadomił szypra o dwóch dodatkowych pasażerkach. Oczywiście oznajmił, że Thea jest żoną Daltona, niech szlag trafi jego posiwiące bokobrody.

Dalton nie miał siły, aby wdawać się w spory. Szyper uśmiechnął się i powiedział, że jego kajuta nada się dla gości.

W kambuzie zjedli pośpiesznie kolację złożoną z zimnych wędlin, sera i chleba. Następnie Thea oddaliła się z Molly, żeby pomóc dziewczynie odnaleźć jej koję.

Kajuta szypra okazała się zadziwiająco przestronnym pomieszczeniem położonym na górnym pokładzie blisko rufy; ciągnęła się przez całą szerokość statku. Stół, ławy i piękna boazeria, którą pokryto wbudowane szafki, połyskiwały w wieczornym świetle wpadającym przez okna nad burtą.

Dalton czuł rwący ból w ramieniu, spowodowany potężnym ciosem zadany Albertsonowi. Omal nie wyrwał sobie kości z panewki przy tym uderzeniu.

Potrzebował odpoczynku. Najlepiej na łóżku.

A jeśli nawet w tym samym łóżku znajdzie się Thea – jak to się stało regułą ostatnimi czasy – on i tak będzie zbyt zmęczony, aby poważnie się na cokolwiek.

Osunął się na posłanie. Szyper najwyraźniej lubił wygody. Dalton westchnął z rozkoszą, układając zbolące ciało w miękkiej pościeli na wybornym materacu z końskiego włosia.

Trent zapewne rozesłał wieści po wszystkich spelunkach i tawernach Londynu, aby wypatrywano jegomościa z raną ciętą na szczęce. Wydawało się jednak, że nie połączył Piekielnika z Daltonem. Przecież Albertson użył nazwiska Jones. Mimo to widział jego twarz. W dziennym świetle. Gdy włosy nie były poczerwione sadzą, a oblicza nie zasłaniała chusta.

Odtąd należało zachować daleko posuniętą ostrożność. Ludzie Trenta na pewno szukali czwórki wędrowców. Dlatego nie wolno było pokazywać się w tym składzie. Powinni się rozdzielić, uznał Dalton. Con odstawi Molly do matki, a on sam zabierze Theę do jej ciotki.

Potem będzie miał jeszcze cały dzień, aby dowiedzieć się więcej o O'Roarke'u. I wreszcie stawi mu czoło. Gdy chcesz zmusić człowieka do zwierzeń, dobrze jest znać jak najwięcej szczegółów z jego życia. Wtedy łatwiej skłonić go do wyznania win.

Dalton rozwalił się wygodnie na dużym łóżku, nie racząc zaciągnąć zasłon, kołysany przez fale poruszające kadłubem. Po chwili powieki opadły na oczy.

Niedługo potem usłyszał nadchodzącą Theę. Dobięły go pluski, gdy czerpała wodę z miednicy, aby obmyć twarz.

Co najpewniej znaczyło, że wcześniej zdjęła słomkowy czepek.

Co znaczyło, że mógłby teraz zanurzyć dłonie w jej rozpuszczonych włosach.

Otworzył oczy.

Stała przed okrągłym lustrem w połączanej ramie i wyjmowała szpile z włosów.

Dojrzał błysk czujnych szaroniebieskich oczu.

I fragment kształtnej zmysłowej wargi.

Wypukłe lustro złowiło promienie dogasającego słońca i pomalowało jej policzki na złoto.

Wyjęła ostatnie szpile z włosów i potrząsnęła pszenicznymi lokami, aż opadły na ramiona i plecy.

Dalton zacisnął mocno powieki.

– Czy ramię znów ci doskwiera? – spytała cicho.
Zasłonił oczy lewą ręką, aby nie dostrzegła w nich bólu.

– Nic mi nie jest.

– Nieprawda. Aż wykrzywiasz usta.

Łóżko drgnęło, bo przysiadła na jego skraju.

Dłonią odgarnęła mu kosmyk włosów z czoła.

– Jak mogłabym ci pomóc?

Psiakrew, przecież nie pierwszy raz czuł silny ból. Bywał poważnie poturbowany. Kontuzje stanowiły dla niego chleb powszedni. Podejmował brawurowe ryzyko, narażał ciało na ciosy, bo uważał się za niepokonanego, choć wiedział, że śmierć czyha za każdym ciemnym rogiem, z rąk każdego napotkanego nożownika.

– Nic mi nie jest – powtórzył.

– Co dokładnie robi Olofsson, żeby ci ulżyć?

– Czasem ramię drętwieje. Ona potrafi rozluźnić mi mięśnie, abym znów mógł nim ruszać. To stara bokerska kontuzja, którą odniosłem, gdy umówiłem się na kilka rund z moim przyjacielem Hatherlym.

– A no tak. Boks.

Dalton zastygł. W jej głosie złowił osobliwą nutę.

– Owszem – odparł.

– Odwróć się – poleciła.

W pierwszej chwili zamierzał odmówić, lecz myśl o jej dłoniach dotykających jego obolałego i posiniaczonego ciała okazała się zbyt wielką pokusą.

Przekręcił się na brzuch i podłożył sobie ręce pod czoło.

– Muszę ci zdjąć koszulę – oznajmiła rażnym tonem.

– To nie jest konieczne.

– Jak sobie życzysz.

Zaczęła ugniatać mu palcami prawe ramię pod płótnem koszuli.

Miała drobne i delikatne dłonie, lecz sam dotyk przynosił ukojenie. Po chwili zaczęła naciskać nieco silniej, masując obojczyk. Z gardła Daltona wydobyło się głębokie westchnienie.

– To w tym miejscu?

– Aha.

– Tych trzech bandytów powaliłeś w okamgnieniu. Muszę przyznać, że było to imponujące. Całkiem inne od twoich... wątpliwych popisów w Bath.

– Albertson chwycił cię za ramię. Dostałem szał. Musiałem zaatakować.

Coś zaszeleściło obok jego głowy. Uchylił jedno oko. Thea położyła rysunek przedstawiający Piekielnika ze szramą na szczęcie.

Zgniół kartkę w dłoni.

Musnęła placem jego żuchwę.

– Może chcesz mi coś powiedzieć? – spytała.

Jakże niebezpieczna była pokusa, aby się zwierzyć, obnażyć. Co by się stało, gdyby wyznał prawdę?

– Dalton, spójrz na mnie.

Podniósł głowę.

Nachyliła się do niego, a fale jedwabistych włosów opadły wokół jej twarzy.

– W tawernie zaufałeś mojej intuicji – szepnęła. – Pozwoliłeś, aby Molly postąpiła według swojego rozeznania. Teraz znów proszę, abys mi zaufał. Powiedz mi prawdę. Jestem na tyle silną kobietą, że ją udźwignę.

Pragnął jej powiedzieć... pragnął zrzucić z siebie brzemię tajemnicy, lecz gdyby to zrobił, ona znalazłaby się w jeszcze większym niebezpieczeństwie niż do tej pory.

Pochylił twarz na złączone dłonie.

– Nie mam nic do powiedzenia – mruknął. – Po prostu stanąłem w twojej obronie. Każdy mężczyzna postąpiłby tak samo.

– Kłamiesz.

Jęknął.

– Thea, daj spokój. To był ciężki dzień. Lepiej się położyć.

– Powiedz prawdę – nalegała.

– Nie mogę.

– To przynajmniej przyznaj, że chciałbyś to zrobić.

Pragnienie, aby obnażyć duszę przed tą kobietą, narastało i teraz stało się prawie nie do zniesienia.

– Thea, ja...

„Miotam się po morzach pozbawiony busoli”.

Thea uświadomiła mu, że jest całkowicie, beznadziejnie zagubiony. Jej uparte dążenie do odkrycia prawdy było liną ratunkową rzuconą mu pośród wzburzonych morskich fal. Mógł uchwycić się jej mocno i uniknąć niebezpieczeństwa.

Uchwycić się jej. Liny czy Thei?

Złapał ją za rękę i pociągnął na łóżko obok siebie. Przytulił twarz do jej szyi.

Pogłaskała go po głowie.

– Nie musisz dźwigać tego sam – powiedziała.

Przygarnął ją mocniej, rozkoszując się słodkim zapachem jej włosów i spokojną stanowczością pobrzmiwającą w głosie.

Nie chciał tonąć w odmętach.

Uniosła głowę i ujęła jego podbródek w obie dłonie.

– Ja znam prawdę, Dalton – szepnęła.

Zamknął oczy.

– Jesteś szlachetnym i honorowym człowiekiem – ciągnęła. – A ja cię pragnę. Rozpaczliwie. Potrzebuję cię.

A zatem wiedziała.

Nie potrafił ocalić Aleca ani powstrzymać matki przed osuwaniem się w obłęd, ale być może ta kobieta potrafiła skłonić go do otwarcia serca. A to przyniosłoby ocalenie. Może jednak mógłby być mężczyzną, którego potrzebowała?

Precz z takimi myślami. To pragnienie było tylko wyrazem jego słabości.

Wyciągnął rękę i objął Theę.

Przywarła do niego.

– Chcę wiedzieć, że moje ciało potrafi czuć – powiedziała. Podniosła się i usiadła na nim okrakiem. – Chcę się nurzać w rozkoszy. – Splotła dłonie na jego karku i napała jędrnym biustem na jego klatkę piersiową. – To ciebie wybieram, Dalton.

„To ciebie wybieram”.

Zapało mu dech w piersiach. Jak bardzo by chciał, aby to było takie proste!

– Być może nie jestem tak ponętą kobietą jak te, które wolisz. – Wykrzywiła usta. – Nie jestem posągowa. Nie mam obfitych kształtów.

Chwycił ją za piersi i ścisnął lekko palcami.

– Jesteś ideałem, Thea – powiedział.

– Nie mam roziskrzonych szmaragdowych oczu. Co tam, moje tęczywki nie mogą się

nawet zdecydować, czy chcą być szare czy niebieskie. – Nachyliła się i przysunęła miękkie wargi do jego policzka. – Ale gdybym cię zdobyła, mości książę, pod moim wpływem zmieniłbyś preferencje.

Po tych słowach pocałował ją, powodowany całą tą tęsknotą, którą w sobie dusił. Pocałował ją, bo chciał wierzyć, że życie może być proste. Ech, ta szarpanina i ból, te wszystkie gry, które ludzie toczą, aby opóźnić nadejście śmierci.

A przecież życie mogłoby być zapachem róż, bo Thea byłaby w pobliżu. Trzymałby w dłoniach jej ciepłe ciało.

Och, wziąć ją w ramiona.

Wznieść most prowadzący do innego świata.

Ujrzeć rozświetlone okno zamiast mrocznego zaułka.

Dalton mógłby być zwykłym człowiekiem. A nie zaślepionym mścicielem.

Po prostu człowiekiem.

Mężczyzną, który pragnie tej kobiety. Tej wyrafinowanej, bystrej, pięknej kobiety.

Zaprzestał walki. Ona odkryła jego tajemnicę. Nawet nie musiał niczego mówić głośno.

Nie miał siły, aby ponownie odtrącić Theę.

Poruszyła nad nim swoim jędrnym i chętnym ciałem. Znów dotknął jej krągłych piersi, gibkiej talii i wydatnych bioder.

Pocałował ją.

Chwycił linę ratunkową.

Rozdział 20

Thea naparła mocniej, poszukując ulgi w słodkim bólu odczuwanym między nogami.

Gdy jęknął i posadził ją sobie wygodniej na biodrach, jej serce zatriumfowało.

Wtłoczona w schemat, zniewolona przez matkę. Przez socjetę. Przez wszystkich, którzy się z niej śmiali, szeptali za jej plecami, nazywali ją Panną Fatalną.

Otarła się sutkami o jego potężną klatkę piersiową, a efekt tej ulotnej pieszczoty sięgnął brzucha i sekretnego miejsca, którego dotknęła w trakcie kąpieli tego ranka.

Posłuszna córka, uosobienie zasad, idealna kandydatka na księżną... To wszystko odeszło do przeszłości.

Zrzuciła to z siebie, jak wąż zrzuca zbyt ciasną skórę.

Oto była – naga i prawdziwa.

Ona i on.

Jedna noc pełna rozkoszy miała nieodwracalnie zmienić ich życie.

Układność. Elegancja. Wyrafinowanie. „Niech to wszystko diabli porwą!”

– Na pewno tego chcesz? – szepnęła niskim głosem, w którym pobrzmiwały czułość i pożądanie.

Wygięła plecy i otarła się udami o jego biodra.

– O tak – jęknęła.

– Cholera, Thea. Jesteś prześliczna.

Serce zabiło jej dziko, a skóra zrobiła się tak wrażliwa na dotyk, że gdy musnął opuszką palca jej policzek, przeszedł ją dreszcz.

– Pocałuj mnie jeszcze – szepnęła.

Spełnił jej życzenie. Władcze wargi natarły, rozwierając jej usta. Język śmiało wdarł się do środka.

Dalton obalił ją na łóżko i przygniótł sobą, wciskając w pościel.

Ciała się splotły, ramiona obejmowały ramiona, palce tonęły we włosach, udo ocierało się o udo.

Thea poczuła na brzuchu napór jego twardej męskości. Wiedziała, że za chwilę wejdzie w nią, a ona przyjmie go z wdzięcznością, bezwstydnie rozsuwając nogi.

Zagubieni pośrodku morza. Pędzący ku nieznanemu.

Pragnęła go. Całego. Również jego bezecnego wcielenia.

Pragnęła mężczyzny i mitu.

Może uda jej się go przekonać – jeśli nie słowami, to pieszczotą, dotykiem.

Zrobi wszystko, na co będzie ją stać.

Ciało doskonale wiedziało, czego pragnie. Kazało jej zerwać z Daltona koszulę, bo naga skóra chciała dotykać nagiej skóry.

Thea sięgnęła do guzików.

Za dużo ich. Okazały się odporne, a dłonie miała rozdygotane. Chwyliła oburącz i szarpnęła z całej siły, żeby rozerwać.

Tylko jeden guzik odleciał, spadł na podłogę z imponującym trzaskiem.

Dalton ściągnął koszulę przez głowę.

O tak, tego chciała. Ujrzeć nad sobą to poznaczone bliznami i posiniaczone ciało.

Uniósł jej nogę i rozsznurował trzewik, potem to samo zrobił z drugą. Zsunął buty z jej stóp i postawił je obok łóżka.

Potem ściągnął swoje botforty.

Dalej uporał się błyskawicznie z jej suknią i bielizną.

Onieśmielona nagle, skrzyżowała ręce przed sobą, lecz chwycił ją za przeguby i pociągnął je w dół.

– Niech na ciebie popatrzę – warknął niskim, zwierzęcym głosem. – To wszystko dla mnie? Całe to piękno? Te cudowne, ponętne krągłości...

Przesunął dłońmi po jej ramionach, piersiach, talii, biodrach.

Jej ciało drżało z oczekiwania na to, co miało się zaraz wydarzyć. Wyciągnęła ręce.

– Całuj mnie – szepnęła.

– Aleś ty zachłanna – zażartował, lecz natychmiast porwał ją w ramiona i okrył pocałunkami tak natarczywie, że straciła dech.

Gdy uniosł się lekko, skamielina wisząca na jego szyi zadyndała w powietrzu i Thea chwyciła ją w dłoń, czując w palcach ostre krawędzie.

Pamiętka po zamordowanym bracie.

Wiedziała, że potrafi przynieść mu ukojenie.

Teraz jedyną przeszkodą były spodnie.

Przez okrągłe okienko wysoko w ścianie Thea dostrzegła zimne szare morze.

Odrzuciła głowę do tyłu i jęknęła z rozkoszy, bo znów chwycił w dłonie jej piersi i zaczął pieścić palcami sutki, aż naprężyły się boleśnie.

Po chwili mokrym językiem dotknął brodawki, a wtedy Thea uniosła się lekko, wystawiając całe ciało, bezwstydnie składając się w ofierze.

Przez długi czas nie odrywał się od sutków, lizał i ssał oba na przemian, a ona czuła falę wzbierającą między udami, jakby znów sięgnął językiem do jej wnętrza. Ciało było spójną całością, trójkątem rozkoszy, którego wierzchołkami były sutki i łono.

Skoro jej piersi są tak wrażliwe, to czy u mężczyzn jest podobnie? Uniosła głowę i przesunęła językiem po małym płaskim sutku.

Nie odepchnął jej. Odebrała to jako dobry znak. Pocałowała więc drugi i potarła go lekko zębami. Dalton jęknął i uniosł się na łokciach, odsłaniając tors.

Jeszcze lepszy znak.

Pocałowała go w mostek i w szyję, a potem w wypukłe muskularne ramiona.

Opuścił ręce i wsunął je pod jej plecy i niżej, zaczął ugniatać pośladki, przyciskając jej miednicę do swojego twardego członka.

Na wrażliwych udach poczuła szorstką kożlęcą skórę, z której uszyto książęce spodnie. Thea była coraz bardziej mokra. Dalton przesunął kciukiem między jej nogami, po wilgotnym zakamarku, a jej ciałem targnął dygot.

Wsunął palce do środka. Uniosła się na spotkanie, a wtedy pchnął do samego końca i zaczął poruszać powoli, delikatnie.

Potem mocniej, nasadą dłoni pocierając najwrażliwsze miejsce, palcami prowadząc Theę na szczyty rozkoszy.

Coś w brzuchu jakby się otwarło. Zaciśnęła mięśnie wokół jego palców, a wtedy nastąpiła eksplozja, tak nagła i gwałtowna, że Thea krzyknęła. Z jej gardła wyrwał się wysoki dźwięk, jakby w oddali mewa zakwiliła nad oceanem. Frunąc po bezkresnym niebie.

Taka błogość tylko dzięki palcom? Co by więc poczuła, gdyby Dalton wsunął w nią swoją naprężoną, twardą męskość, którą trzymała w dłoni zeszłej nocy?

Zaczęła gmerać przy guzikach jego spodni i po chwili uwolniony członek wyrwał się na świat, gotowy, chętny do działania.

Książę zsunął spodnie i gatki, a wtedy palce Thei ruszyły, aby dokonać odkryć.

Jęknął.

– Przysięgałem, że cię nie skompromituję – szepnął.

– Przestań. Nic nie mów. Patrz na mnie, Dalton. Jestem tutaj. Nie chcę od ciebie niczego poza tą chwilą.

Naparł na nią, dążąc do spełnienia. Rozchyliła szerzej uda. Uczucie rozszerzania, silniejsze, niż wywołały jego palce.

O wiele silniejsze.

Wspierając swoje umięśnione ciało na łokciach, pochylił głowę i zaczął ssać jej piersi, a jej uda rozsunęły się jeszcze szerzej pod jego niepohamowanym naporem.

Wprawnym ruchem bioder wsunął się głębiej, rozwierając ją, aż wstrzymała oddech, jakby jej ciało się przeobrażało.

– Jesteś taka mokra. Chcę być w tobie.

Instykt wypowiedział jej, że powinna unieść nogi i objąć go nimi w biodrach, aby ciała splotły się w jedno.

– O tak – stęknął, odsunął się lekko i wszedł w nią powolnym zręcznym ruchem.

Zastygł, dysząc ciężko, i popatrzył jej prosto w oczy.

– Zaczekam na ciebie – wycharczał napiętym głosem. – Aż poczujesz przyjemność.

To mogło potrwać chwilę.

Wtargnięcie członka rozwarło ją do granic wytrzymałości i nie było to miłe doznanie. Thea przygryzła dolną wargę.

– A poczuję? – spytała.

– Ręczę, że tak – odparł. – Oddychaj razem ze mną. Zgrajmy się.

Wciągnął głęboko powietrze w płuca, a ona poszła za jego przykładem.

Łagodne kołysanie statku kołło wzburzony umysł. Dalton pozostawał w bezruchu, po prostu tkwił w jej łonie, dając jej czas i przestrzeń, aby dostroiła się do nowych doznań.

Po chwili drgnął, zaczął się poruszać ostrożnie w rytm morskich fal. Nie przerywając naporu, delikatnie zgarnął jej kosmyk włosów z twarzy.

Ssał jej sutki, wsunął palec między splecione ciała i zaczął pocierać nabrzmiąły guziczek, to cudowne miejsce, które łaknęło jego dotyku.

I nagle rzeczywiście Thea poczuła błogość. Wielką błogość.

– Podoba mi się... – szepnęła.

– Tak myślałem.

Uśmiechnął się, a rozkołysane światło lampy zawieszanej na ścianie rzuciło granatowe cienie na jego kanciastą twarz.

Thea zastanawiała się, czy powinna czuć wstyd: leżała z rozłożonymi szeroko nogami, a on wdarł się w nią już do połowy, delikatnie napierając.

Ile jeszcze ona potrafi w sobie pomieścić?

Spojrzała w dół i zobaczyła ciemne włosy dokoła jego dyszla, splątane z jej własnymi kędziorkami. Wszedł już prawie do końca. Wbiła pięty w jego umięśnione plecy, żeby przyciągnąć go bliżej.

Jęknął i zatopił w niej ostatnie cale swojego członka, a ciała zwały się tak mocno, że nie pozostało nawet miejsca dla kciuka pieszczącego łechtaczkę. Thea poruszyła się delikatnie. A co by było, gdyby uniosła się lekko ku niemu i zaczęła ocierać?

W ten sposób odkryła bramy niebios.

Ból szybko przygasł pod wpływem wykonywanych na próbę ruchów. Ze stopami wpartymi w jego plecy mogła wywrzeć właściwy nacisk.

– O tak – pochwalił. – Znajdź własny rytm. Wsłuchaj się w swój oddech.

Znalazła. Wsłuchała się.
Cykl powolnych rozkołysanych ruchów. Niczym morskie fale.
Otarła się o niego, a on wypełnił ją sobą. Poruszali się spleceni w dwutakcie. Tańczyli walca z falami.

Drżenie znów przeszło całe jej ciało, głęboko w środku, a mięśnie zacisnęły się mocno.
– Właśnie tak – pochwalił.

Złożył na jej ustach długi namiętny pocałunek i wwiercił się głęboko, docierając do końca tych samych przecudownych zakamarków, które wcześniej znalazł palcami. Poczuł, jak ona zaciska się wokół niego, co tylko spotęgowało nieopisaną rozkosz.

Było tak cudownie, że Thei zebrało się na płacz.

Poruszał się coraz szybciej, zmieniając nieco nachylenie, aby wcisnąć się jeszcze głębiej. Czy to możliwe? Zachwycona patrzyła na jego wykrzywioną twarz widoczną w roztańczonym świetle.

Te ciemne, granatowe oczy, jak przepastne jeziora. Pragnął jej całym sobą. Oboje trawiła potrzeba, aby wspólnie osiągnąć spełnienie.

Mocniej i szybciej, szurając łóżkiem, rozkołysani wraz ze statkiem.

Ekstaza ich przyzywała. Jakby tuż za linią widnokręgu. Wzlecieli wysoko na skrzydłach rozkoszy, rozpięli żagle na wietrze namiętności.

– Och, jak mi dobrze, jak mi dobrze z tobą – wyszeptał Dalton, ujmując jej twarz w dłonie. – O tak. – Zadygotał potężnie. – Posłuchaj, Thea. Nie wydam nasienia w tobie. Ale musisz teraz dojść. Zrób to dla mnie.

Poszybowała w bezkres najcudowniejszych doznań.

Całe jej ciało zanosło się śpiewem.

Chorał Bacha w czteroczęściowej harmonii rozbrzmiewający w przepastnej katedrze.

„O Boże, usłysz moją pieśń”.

Stęknął i wysunął się z niej, ocierając się twardym członkiem o jej brzuch. Poczula na skórze tryskające nasienie – gęste, ciepłe, życiodajne.

Padł na nią zziąjany i wtulił twarz w jej piersi.

Pogłaskała go po wilgotnych włosach i spoconych ramionach.

– To było cudowne – powiedział i pocałował ją w sutek, a wtedy znów oblała ją fala rozkoszy. – Wiedziałem, że z tobą będzie najlepiej.

Smakowała słodycz tych słów.

– Czy mówisz to wszystkim swoim kochankom? – spytała, siląc się na beztroski ton.

– Nie. Nigdy żadnej tego nie mówiłem.

– To z pewnością nieprawda. – Zmierzwiała mu dłonią włosy. – Przecież miałeś mnóstwo wspaniałych kobiet.

Podniósł głowę.

– Wprawa nie przesądza o wszystkim – odrzekł. Mokrym językiem obrysował leniwie jej brodawkę. Ta pieszczota znów wzmogła pożądanie. – Jesteśmy dla siebie stworzeni – dodał szepem i owionął ciepłym oddechem jej sutek, aż zapragnęła, aby znów wziął ją ustami.

Czy zdawał sobie sprawę, jak jej serce reaguje na te słowa?

W tej chwili bezwarunkowego oddania, gdy jego nasienie wciąż spływało do jej pępka, była całkowicie obnażona.

Pragnęła wierzyć, że gdy mówił, że są dla siebie stworzeni, miał na myśli coś więcej niż tylko dwa ciała zestrojone w akcie miłosnym.

Teraz chciała czuć tylko twardość jego warg na swoich ustach, szorstkość jego zarostu na policzku.

Obietnicę nowych rozkoszy.

*

Upojenie. Nieopisana rozkosz. Ból ramienia zapomniany w przyływie ekstazy.

To było samolubne – obejmować ją w ciemności, czerpać pociechę z jej słodkich pocałunków i idealnych kształtów, bo przecież niewiele mógł dać w zamian.

Na statku panowała cisza. Tylko liny trzeszczały i pluskała woda oblewająca drewniany kadłub.

Zasnęli spleceni w objęciach.

Tak właśnie oddziaływała na niego ta uwodzicielska kobieta. Jej miękkie ciepłe ramiona pozwalały mu zapomnieć o wszelkich troskach.

Najgłębsze zadowolenie. Prawdopodobnie tak właśnie nazywano ten stan.

Lecz była to tylko krótkotrwała zwłoka, opóźnienie tego, co miało nieuchronnie nadejść. Dalton musiał powrócić w objęcia mroku. Podjąć na nowo poszukiwania mordercy.

Co mógł jej dać? Co mógł obiecać?

Nie wiedział, co czeka go w Irlandii. Trudny przeciwnik, z którym trzeba się zmierzyć, czy kolejne nieuchwytnie widmo? Odpowiedzi na od dawna zadawane sobie pytania i kres matczynego cierpienia czy kolejne wątpliwości?

Pragnął dać Thei poczucie bezpieczeństwa, pragnął, aby dostrzegła w sobie moc i siłę.

Przytuliła się do jego piersi i była to czysta, pierwotna przyjemność.

Jakby zaczerpnął pierwszy haust nocnego powietrza po wyjściu z jaskini hazardu, gdzie spędził długie desperackie godziny w kłębach dymu z cygar.

Dalton naśmiewał się ze swojego przyjaciela Jamesa, kiedy ten zakochał się bez pamięci w przyrodniej siostrze Thei. Uważał, że ta płomienna miłość z czasem niechybnie wystygnie.

Teraz, trzymając Theę w ramionach, nie był tego już taki pewny.

Kobieta śpiąca w jego objęciach, z twarzą przy jego piersi, poznała jego najgłębsze tajemnice, a jednak nie uciekła, pozostała u jego boku.

Przy niej mógł być sobą. Nie musiał przywdziewać żadnych masek.

– Śpisz, Thea? – spytał.

– Nie – odszepnęła, nie podnosząc głowy. Rozczapierzyła dłoń na jego piersi. – Jestem tutaj.

Leżała cicho i nieruchomo w jego ramionach. Przytulił ją mocniej.

Czy zdobędzie się na odwagę?

Wziął głęboki wdech i skoczył w przepaść.

– Miałem dwadzieścia lat, gdy pierwszy raz założyłem chustę na twarz i wyslizgnałem się w noc, aby szukać zemsty.

Urwał. Czekał. Jeśli Thea wypowiedziałaby teraz niewłaściwe słowa, nie wyznałby nic więcej.

Milczała. Wciąż trzymała dłoń na jego piersi i naciskała lekko, jakby nakłaniając do dalszych zwierzeń.

– Mój brat Alec nie utonął w wyniku wypadku – ciągnął Dalton. – Został zamordowany. Szukam pomsty na człowieku, który odebrał mu życie. Już od dziesięciu lat.

Cichy szelest pościeli był jedynym wyrazem zaskoczenia.

– Zabójca zostawił list. „Skradłeś, co moje, więc odebrałem ci, co twoje”. Ojciec okradł tak wielu ludzi, że nie wiadomo było, od czego zacząć. Miał długą listę zaprzysięgłych wrogów. – Słowa wzbierały w gardle niczym biblijny potop. – O wszystkim dowiedziałem się dopiero, gdy miałem osiemnaście lat. Wcześniej myślałem... że to moja wina. Alec był młodszy

ode mnie o pięć lat. Nie odstępował mnie na krok. Tamtego dnia poszedł ze mną na urwisko. Chciał mnie wziąć za rękę, ale się odsunąłem. Kazałem mu wracać do domu. A potem się okazało, że spadł.

Thea wciąż milczała. Nie pośpieszyła z zapewnieniami, że Dalton nie ponosił winy za to, co się stało. Że miał wtedy ledwie dziesięć lat i nie był za nic odpowiedzialny.

Słuchała z niezmaconą uwagą, która podziałała jak balsam, przynosząc ukojenie, tłumiąc gniew, pozwalając mu mówić otwarcie o tym, o czym nigdy z nikim nie rozmawiał. Nawet z Conem.

– Gdy skończyłem osiemnaście lat, ojciec wreszcie wyznał mi prawdę. Alec został zamordowany w odwecie za krzywdy wyrządzone przez mojego ojca. Dlatego matka go zniechęciła. Ja podobnie. W pierwszym odruchu zacząłem chodzić do spelunek, żeby przegrywać rodzinne pieniądze. Na złość ojcu. A potem na własną rękę zacząłem szukać zabójcy.

Pragnął, aby zrozumiała, dlaczego nie może jej pokochać. Nie miał serca, które mógłby złożyć w ofierze.

– Moim zamiarem nie było stać się mitycznym mścicielem – ciągnął. – Chciałem tylko odnaleźć zabójcę mojego brata. Jednak z czasem to się rozrosło.

Przesunęła palcem po szramie na jego szczęce. Zapadła kojąca cisza.

Dalton rozkoszował się zapachem jej ciepłej skóry. Gdyby przytulił Theę z całej siły, być może już nic by ich nigdy nie rozdzieliło.

– Matka oszalała z rozpaczy. Ojciec chciał mieć więcej dzieci, ale odmówiła. Powiedziała, że ich syn umarł za jego grzechy i to wystarczy, ona nie zamierza rodzić kolejnego męczennika. – Odczuwał ból matki o wiele dotkliwiej niż własny, pogrzebany pod warstwami pozorów. – Pragnienie zemsty zawładnęło mną dawno temu i nie wyobrażam sobie innego życia. – Thea zadrżała, więc pogłaskał ją uspokajająco po głowie. – Nie płynę do Irlandii, aby znaleźć żonę. Płynę, żeby wytropić zabójcę mojego brata. Ten człowiek nazywa się O’Roarke... To znaczy, wszystko wskazuje, że to właśnie on.

Zastygła.

Przepełniony emocjami Dalton poczuł ból w piersi.

– Przepraszam, że cię okłamałem – szepnął. – Bardzo cię przepraszam.

Cisza.

A potem stłumione pociągnięcie nosem.

– Thea, powiedz coś. Chyba nie... Płaczesz?

Uniosła głowę i otarła oczy dłonią.

– Płaczę nad dziesięcioletnim Daltonem. Jakże ciężki krzyż dźwigasz od wielu lat. Najpierw myślałeś, że to była twoja wina. Dopiero potem dowiedziałeś się, że Alec został zamordowany. To zbyt wielkie brzemię.

– Nie szukam współczucia.

– Oczywiście. Ty nigdy nie potrzebujesz współczucia, zrozumienia ani... miłości.

Ostatnie słowo wyszeptała cichutko, a wtedy w jego sercu wezbrał ból.

– Moją towarzyszką życia jest zemsta. Gdy budzę się rankiem, to o niej wpierw myślę. I tak samo pod koniec dnia, kiedy kładę się spać.

– Zemsta nie przywróci ci brata.

– Wiem, ale może pomóc mojej matce. Gdyby wiedziała, że sprawiedliwości stało się zadość, być może nabrałaby odwagi, aby w końcu wyjść z domu.

– Teraz rozumiem. Rozumiem, dlaczego starałeś się mnie odtrącić.

– Będąc tutaj ze mną, narażasz się na niebezpieczeństwo. Podobnie Con jest cały czas zagrożony. Gdyby wydała się moja tajemnica, byłby w to wplątany. Mógłby zawisnąć. A ja za

nic nie chcę do tego dopuścić. – Zacisnął w pięść dłoń zagrzebaną w jej włosach. – I nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić.

– Wiem o tym.

– Ci trzej w zaułku tawerny polowali na mnie. Ale mogli wyrządzić ci coś złego. Stanowię dla ciebie zagrożenie.

*

W sercu Thei wezbrało ogromne współczucie. Usłyszała słowa, których Dalton w ogóle nie wypowiedział. Że odnalezienie zabójcy brata było szansą na odzyskanie miłości matki. Bo ten nieszczęśnik nie zaznał miłości. Ani od matki, ani od ojca. W dodatku dźwigał ciężkie brzemię w postaci głębokiego poczucia winy.

Gdy przytuliła jedno ucho do jego piersi, a on ramieniem jak kokonem otulił drugie, poczuła, że nie ma innego świata prócz tego ciepłego i cichego zakątka wypełnionego jego bijącym sercem, jej oddechem i niezmaconą szczęśliwością zaklętą w tej chwili.

Oto intymność, której Thea nigdy dotąd nie zaznała.

Policzki piekły ją od jego szorstkich bokobrodów, a to surowe doznanie sięgnęło także serca. Jej ciałem wciąż co jakiś czas targało drżenie. Czuła się zaspokojona i odprężona. Żałowała Daltona, a jednocześnie była wdzięczna za tę nową świadomość.

– A gdybym ci powiedziała, że otrzymałam od siebie niezwykły dar? – spytała.

– Skompromitowałam cię – odparł bez ogródek. – Jakim cudem mógłby to być jakikolwiek dar?

Odsunął się odrobinę.

– Nie mówię o tym, co stało się dzisiaj... Choć to było precudowne i chciałabym jeszcze.

– Naprawdę?

Uniosła głowę i się uśmiechnęła.

– O tak – zamruczała. – Ale nie mam na myśli przeżywania rozkoszy. Mam na myśli zaufanie. W tawernie zaufałam mojej intuicji, a to było wspaniałe, porywające uczucie. Naprawdę mam wrażenie, że nikt wcześniej w ten sposób we mnie nie uwierzył.

– Och, Thea, powinnaś sobie ufać. Jesteś bardzo błyskotliwą kobietą. Obdarzoną nieomylną intuicją.

Przytuliła twarz do jego szyi.

– Przez całe życie wątpiłam w siebie – wyznała. Szukała w głowie odpowiednich słów, aby wyrazić, co znaczy dla niej bycie z nim. – Nas, kobiety, uczy się wątpić w swoją wartość i przepraszać, jeśli okazemy siłę. Matka mi to wpoila. Nigdy nie spełniałam jej oczekiwań, więc sądziłam, że nigdy nie będę się nadawać do niczego. – Dotknęła jego policzka. – Dlatego... dziękuję ci.

Pocałował ją w czubek głowy.

– Thea, po tym, co się stało, winniśmy poczynić ustalenia – powiedział.

Zamarła.

– Nie chcę od ciebie niczego oprócz dzisiejszej nocy – odrzekła.

„Kłamczucha ze mnie. Przecież chcę więcej”.

Chwyliła go za włosy i przyciągnęła do siebie, po czym pocałowała go w usta. Jęknął i przywarł chciwie do jej warg, łapiąc ją za kark.

Doprowadzał ją do szaleństwa. Dopiero teraz zrozumiała sens tego wyrażenia. Czuła się owładnięta niepohamowaną siłą, jak statek miotany falami u stóp urwiska.

Dalton wyrwał się z jej objęć i zaczął ją obcałowywać, aż w końcu wsunął głowę między

jej nogi i wtedy zajęczała z rozkoszy.

Nic się nie liczyło. Tylko to, co działo się w tej chwili.

Złapała go za ramiona i podciągnęła do góry.

Jej głowa zwisała nad krawędzią łóżka, włosy omiatały podłogę.

Objął ją w talii silnym ramieniem.

– A jednak po namyśle – szepnęła, podnosząc się – miałabym życzenie.

Spiął mięśnie płaskiego brzucha.

Zamknął oczy.

– Życzyłabym sobie – dodała, chwytając go między nogami i kierując członek ku swemu wnętrzu – jeszcze więcej rozkoszy.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 21

Zасыпаніе w objęciach Daltona na pokładzie rozkołysanego statku nie było aż tak przyjemne, jak Thea sobie wyobrażała.

Przygniótł kolanem jej udo, a ciężkim ramieniem przygwoździł jej tułów do materaca.

Drugie ramię zwiesił z łóżka. W dodatku zajął prawie całą przestrzeń obszernego dwuosobowego posłania.

Co znaczyły dla niego wydarzenia tej nocy? Czy ona kiedykolwiek się tego dowie? Nie potrafił wyrażać uczuć ani przyznać się do słabości. A ich związek postrzegał właśnie jako słabość.

Thea doskonale zdawała sobie sprawę, co ta znajomość znaczy dla niej. Przełamanie strachu, brawurowy skok w nieznane, w nowe życie wolne od społecznych oczekiwań i ograniczeń.

Miłość wzbierającą w sercu, zalew uczuć, od którego łzy napływały do oczu.

Być może powinna oddzielić uczucia od reakcji ciała na pieszczoty zatwardziałego lekkoducha i rozpustnika. Lecz gdy ujrzała jego prawdziwe oblicze, jej szanse obronne skruszały i napelniła ją surowa tęsknota, niepohamowana jak napór oceanu i niewzruszona jak klify wznoszące się z wód.

Nie chciała, aby blask świtu opromienił jej twarz, gdyż to oznaczałoby koniec wspólnej wędrówki i rozstanie.

Przygnieciona do łóżka jego ciężkim ramieniem, z piersiami przyklejonymi do jego torsu, przez kilka uderzeń serca wyobrażała sobie, że to nie będzie koniec... tylko początek.

Zobaczyła oczami duszy, jak oboje schodzą po kamiennych schodach ku tarasowym ogrodom Balfry House. Jak Dalton pomaga jej ściągać płótna z obrazów w połączonych ramach.

Kichają, ścierając wieloletnie warstwy kurzu i pajęczyn.

Zapada wymowna cisza, gdy ich oczom ukazuje się autoportret Artemisii – ukrywane dotąd piękno i bezkompromisowa prawda.

A skoro Thea potrafiła sobie wyobrazić ich dwoje w Balfry House, potrafiła także wyobrazić sobie, jak Dalton stawia czoło O'Roarke'owi, zabójcy Aleca. Jak zmusza mordercę do wyznania winy. A to wreszcie ukoi gniew i ból doskwierające mu od tak dawna.

Być może ona mogłaby być jego towarzyszką w wędrówce ku głębszym pokładom międzyludzkiego zrozumienia. Z początku Dalton niechętnie myślał o wspólnej podróży, potem był świadkiem jej przemiany, pozwalał jej odkrywać własną tożsamość, wreszcie, gdy najbardziej go potrzebowała, był obok – niewzruszony jak skała i skupiony na celu: niezłomny wojownik i namiętny kochanek.

Chciała być u jego boku, gdy rozmyślał nad zmianą swojego życia. Chciała go wspierać, kiedy uwolni się wreszcie od dławiącego przymusu dokonania zemsty.

Obróciła się i przywarła czołem do jego czoła. Musnęła delikatnie palcem dołeczek w podbródku.

Przecież on nie może jej odtrącić.

Sam musi otworzyć swoje zaryglowane serce, uznać, że jest godzien miłości i zaufania.

Ostrożnie podniosła mu ramię i wyslizgnęła się z jego objęć. Opadł na plecy, lecz się nie obudził.

Wciągnęła halkę i pończochy, włożyła suknię przez głowę i zaczęła gmerać przy haftkach na plecach. Spięła włosy w prosty kok i unieruchomiła go szpilami, wreszcie wcisnęła

pognieciony czepek na głowę.

Na koniec narzuciła na ramiona satynowy kaftanik w obronie przed chłodem, po czym otworzyła drzwi kajuty i wyszła na pokład, a od przesyconego solą morskiego powietrza zapiekły ją oczy.

Sternik stojący na wyższym pokładzie dostrzegł ją i dotknął daszka czapki.

– Dzień dobry, jaśnie pani.

Zamachała do niego ręką i ruszyła na dziób.

Podwyższony pokład dziobowy otoczony był wysokim relingiem, co Thea zauważyła podczas wchodzenia na statek. Ostrożnie wdrapała się teraz po drabince. Na dziobie stała Molly zapatrzona w dal.

Thea podeszła do niej, rozkoszując się blaskiem słońca bijącym od spienionych srebrnych fal przetaczających się wokół kadłuba.

Po chwili Molly przechyliła głowę w jej kierunku.

– Troszkę boję się wracać do domu – wyznała, a z jej brązowych oczu wyzierała bezbronność.

Thea jedną ręką objęła ją za chude ramiona, a drugą przytrzymała się relingu.

– To zrozumiałe – odparła.

– Matka będzie zła, bo ukradłam jej oszczędności. A potem rzuciłam perły przed wieprze, tak powie. Co ze mną nie tak? – Molly uniosła głowę i zamrugowała oczami, aby powstrzymać napływ łez. – Tato zawsze mówił, że diabeł we mnie siedzi.

Thea przytuliła ją mocno.

– Przecież odzyskałaś te pieniądze, i to z nawiązką. A temu wieprzowi dałaś nauczkę, jakiej nie zapomni, do domu zaś wracasz z wujem. To powinno złagodzić matczyzny gniew, nie sądzisz?

– Może. – Dziewczyna otarła oczy rękawem. – Ale na niego też będzie wściekła. Na nas oboje. Ech, na kolację będzie dziś czerstwy chleb i przypalone mleko.

Thea się uśmiechnęła.

– Musisz dać jej trochę czasu. A Con to zacny człowiek.

Z początku miała tego Irlandczyka za gruboskórnego prostaka, teraz jednak wiedziała, że w głębi ducha jest nie mniej wrażliwy niż Dalton. Że to silny i wytrwały mężczyzna. Życzliwy i honorowy.

– Molly Barton – powiedziała. – Ty zawsze spadniesz na cztery łapy. Twoim przeznaczeniem są wielkie czyny. Zważ na moje słowa.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

– Pozwoli mi pani przetrząsnąć swoją bibliotekę, gdy już zamieszka w Balfry House?

– Słucham?!

– No kiedy wyjdzie pani za księcia i zamieszkacie w Balfry. A może wolicie wrócić do Londynu?

Thea zabrała rękę z ramienia Molly.

– To się nigdy nie stanie – odparła.

– Skąd pani wie? Uśmiecha się pani o wiele częściej niż wtedy, gdy panią poznałam. Oczy pani błyszczą, jak pani na niego patrzy. A jak on patrzy na panią... – Dziewczyna zagwizdała cicho i zmarszczyła piegowaty nosek. – Aż to obrzydliwe.

Thea się uśmiechnęła.

– A widzi pani? – Molly dała jej kuksańca. – Już się zrobiło wesoło.

Owszem, Thea nie potrafiła powstrzymać się od uśmiechu. W jej ciele wciąż pobrzmiwało echo rozkosznych przeżyć z minionej nocy. Bryza muskała jej policzki, a serce

chciało pofrunąć na skrzydłach wiatru.

Napłynęły chmury i zaległa gęsta mgła, ale gdzieś wyżej niebo pozostawało czyste i błękitne.

Na pokładzie zapanował rozgardiasz. Marynarze w ciemnych flanelowych koszulach i wełnianych spodniach, kurtkach i czapkach wykonywali rytualny taniec na trzy pas – zwinąć tę linę, pociągnąć za tamtą, wspiąć się na maszt! Raz-dwa-trzy.

– Do stawiania żagli! – zadudnił basowy głos od strony rufy.

– Gotowi! – odkrzyknął marynarz stojący przy fokmaszcie.

– Chwytać za szot!

Na tę komendę czterech marynarzy wskoczyło na wanty, którymi umocowano fokmaszt, po czym zaczęło się wspinać po omasztowaniu.

– Niech pani patrzy! – krzyknęła Molly. – Będą rozwijać żagle.

Mężczyźni wdrapywali się wyżej z niewiarygodną prędkością. Kolejni wskoczyli ich śladem na wanty i w górze zaroilo się od ludzi.

Thea aż wstrzymała oddech, gdy pierwszy marynarz przestał trzymać się masztu i wysunął niebezpiecznie na saling.

W ciągu kilku minut mężczyźni poluzowali i rozpięli liny. Uwolnione żagle opadły do połowy, wciąż zrolowane u dołu, i zaraz wzdęły się od wiatru, który nadciągnął w nocy.

– Proszę sobie wyobrazić, że robią to po ciemku w czasie burzy! – zakrzyknęła podekscytowana Molly. – Chcę się lepiej przyjrzeć!

Po tych słowach pobiegła, ściskając czapkę w dłoni.

Uśmiechnięta Thea odprowadziła ją wzrokiem. Marynarze najwyraźniej wcale nie przejmowali się tym, że dziewczyna nosi takie same spodnie jak oni. Zapewne podczas rejsów widywali dziwniejsze rzeczy.

W porównaniu z brzemieniem ubóstwa, jakiego zaznała rodzina Molly, surowe wychowanie obowiązujące w socjocie oraz etykieta towarzyska wydawały się trywialnym problemem.

Lecz słowa i zasady stanowiły niekiedy przeszkodę równie trudną do pokonania jak mury więzienia.

Na szczęście Thea była teraz wolna.

Zamierzała dokładnie obejrzyć i skatalogować kolekcję obrazów przechowywaną w Balfry House i napisać do zarządców Brytyjskiego Instytutu Krzewienia Sztuk Pięknych.

Być może najmie Molly do pracy w roli asystentki.

Statek mknął chyżo po morzu, a nad głową wzdymały się białe żagle. Dokoła przelewały się fale, hen wysoko pokrzykiwały mewy.

– Piękny widok, prawda, milady? – odezwał się Con, podchodząc do relingu. – Za niedługo ujrzymy zielony brzeg Irlandii. – Zdjął czapkę i przyłożył ją do serca. – „Gdy Erin po raz pierwszy wyłoniła się z ciemnych odmętów potopu, Bóg pobłogosławił zieloną wyspę, bo widział, że jest dobrą krainą. Szmaragd Europy, iskrzyła się, połyskiwała jak najdrogocenniejszy klejnot w pierścieniu świata”. – Włożył z powrotem czapkę. – Doktor Drennan świetnie to ujął, nie sądzisz?

Thea skinęła głową.

– Zamierzasz zostać w Irlandii? – spytała.

Uchwycił się relingu spracowanymi szorstkimi dłońmi.

– Mój dom jest teraz w Londynie – odrzekł. – Zakorzeniłem się. Mam stałe zatrudnienie i... i inne obowiązki.

– Wiem.

Kiwnął niezobowiązująco.

– Nie zrozumiałeś mnie, Con – powiedziała Thea. – Ja wiem.

Zamrugął i spojrzał na nią uważnie.

– A więc to tak – mruknął. – No, widać, że go całkiem rozbroiłaś, milady. Nie myślałem, że tego doczekam. Może jednak jest nadzieja dla nicponia.

– Wiem też o twojej przeszłości, o matce Molly. Czy jest nadzieja, że...?

Bała się dokończyć, aby go nie zniechęcić do pomysłu pojednania z panią Barton, ale przecież sam na pewno też o tym rozmyślał w głębi ducha.

Zmrużył oczy.

– Pewnikiem nie ma szans, aby wskrzesić to, co było dawniej, a co umarło dwadzieścia lat temu.

Dotknęła palcem wypukłego haftu na swoim mankiecie.

– Zawsze jest nadzieja – odparła. – Nawet dla ciebie. Nawet dla księcia.

Statek zbyt prędko przedzierał się przez fale. Wioząc ich do Irlandii. Thea zamierzała zostać tam na zawsze. Ciocia Emma potrzebowała pomocy przy ulach. A ona sama znajdzie tam wolność.

– Księżę wróci do Londynu, gdy już... gdy już uzyska odpowiedzi na swoje pytania.

– Być może w Irlandii czeka go więcej, niż się spodziewa – odrzekł Con. – Wydaje mi się, że on... – Urwał i dodał podniesionym głosem: – O wilku mowa!

Serce Thei zatrzepotało jak mewie skrzydła nad głową, bo z luku wyłonił się Dalton. Ruszył w ich stronę.

Zaiste, żadna dziewczyna nie miała szans. Ledwie w ułamku był księciem, a hulaką prawie w całości, przynajmniej taki wydawał się tego ranka. Czarny kapelusz nasadził zawadiacko na głowę, a spod podwiniętego randa patrzyły oczy niebieskie jak jego surdut. Był bez fularu i nie zapiął górnych guzików koszuli, więc odsłaniała fragment umięśnionego torsu.

W co się ubierał, gdy przy świetle księżycy grasował po ulicach Londynu, tropiąc zło?

Thea poczuła dreszcz między łopatkami.

– O mnie rozmawiacie? – spytał, rozciągając usta w figlarnym uśmiechu przeznaczonym tylko dla niej. – Używając samych pochwał, mam nadzieję.

Con uniósł brwi i posłał mu karcące spojrzenie.

– Tak ci się wydaje?

Molly nadbiegła pokładem.

– Czy pan ma statek?! – zawołała, pamiętając o poleceniu Daltona, aby nie tytułować go oficjalnie.

Zerknął na nią ubawiony.

– Owszem, kilka stoi w londyńskim porcie – odparł.

– A może potrzebuje pan chłopca okrętowego? Chciałabym zobaczyć wybuch wulkanu na Wyspach Cooka!

Kąciki ust Daltona drgnęły gwałtownie.

– Chłopca okrętowego?

– No tak. – Pokiwała stanowczo głową. – Nie zamierzam gnić w tym podmokłym Cork i dostać jakiegoś sakramenckiego wieśniaka za męża.

Thei zamarło serce, bo Dalton nie wydawał się ubawiony niestworzonymi pomysłami Molly. Skinął tylko głową z podziwu godną powagą i odparł:

– Dobrze, zatem zbadam sprawę.

– Och tak, proszę! – zakrzyknęła podekscytowana.

– Molly, a może masz ochotę zobaczyć sterownię? – spytał Con, mrugając

porozumiewawczo do Thei.

Najwyraźniej chciał, aby została sam na sam z księciem.

– Pewnie! – zapisała dziewczyna i chwyciła Irlandczyka za rękę.

Ruszyli na rufę, stawiając kroki nad zwojami lin i zatrzymując się, aby porozmawiać z członkami załogi.

Dalton stanął tak blisko Thei, że prawie się dotykali. Jego tchnąca siłą i ciepłem obecność za każdym razem oddziaływała na nią tak samo, powodując drżenie nóg i rumieńce na policzkach.

– Dobrze spałaś, milady?

W reakcji na aluzyjność tego z pozoru niewinnego pytania i wymowny błysk w jego oku Thea zacisnęła mocniej dłoń na poręczy.

– Dobrze, ale zbyt krótko – odparła z uśmiechem.

– A czyja to wina? – Nachylił się, aby wsunąć jej kosmyk włosów pod czepek, po czym szepnął do ucha: – Ktoś tu życzył sobie więcej rozkoszy.

Przywarła policzkiem do jego dłoni.

– A ktoś gorliwie spełnił to życzenie.

Jego niski śmiech spłynął pieszczotą po jej kręgosłupie.

– Ktoś skradł mi spokój.

„A serce? – pragnęła spytać Thea. – Czy też ci skradłam? Bo ty moje skradłeś na zawsze”.

Musnął kciukiem jej policzek i dolną wargę.

Skórę wciąż miała podrażnioną od ocierania się o jego zarost podczas pocałunków. Rankiem w lustrze zobaczyła zaczerwienione policzki.

Czuła, jakby serce też miała pościerane do żywego.

Opuścił rękę, po czym wskazał na wprost.

– Port w Cork – oznajmił.

Pośród zielonych klifów Irlandii spowitych poranną mgłą na skalistym cyplu wznosiła się samotna latarnia morska spoglądająca czerwonym okiem w dal.

Dalton spał ramiona, a w jego oczach przygasł łobuzerski blask. Stał na szeroko rozstawionych nogach, aby zachować równowagę na rozkołysanym pokładzie, i uważnie patrzył przed siebie zmrużonymi oczami.

Zapewne rozmyślał o chwilach, kiedy po raz ostatni widział te nadmorskie urwiska.

Wiele lat temu.

Położyła mu dłoń na ręku.

– Powiedz, co widzisz, Dalton – poprosiła.

*

Co widzi człowiek, który ma dziesięć lat?

Nie widzi mroku. Nie widzi zemsty.

Widzi proste życie. Marynarzy dźwigających liny i podciągających żagle, śpiewających sprośne piosnki o syrenach.

Duma wzbiera w nim jak morskie fale.

„Nie mdli mnie, tato. Alec zwymiotował do wiadra, ale ja nie, jestem taki dzielny jak ty”.

Dziesięcioletek rozpaczliwie pragnący ojcowskiej aprobaty.

„Mama nie kocha mnie najbardziej na świecie, ale kto by się przejmował? Nie jestem takim maminsynkiem jak Alec. Jestem już mężczyzną”.

Delikatne dotknięcie w kłykcie.

Miękkie palce splecione z jego palcami.

On wysoki. Rosły. Już nie dziesięcioletni chłopiec.

Jego dłoń pod dłonią Thei na relingu statku.

Dalton poczuł ucisk w sercu. Nie był sam. Ona stała u jego boku.

Bryza wyrwała pszeniczne kosmyki spod jej czepka wprost na światło słońca.

W oddali poszarpane klify nad wodami.

– A zatem? – spytała cicho, a troska widoczna w jej oczach przywołała go do rzeczywistości.

– Miałem dziesięć lat, gdy ostatni raz widziałem te urwiska – wyznał. – Wydawało mi się, że świat rozpościera się u moich stóp. Że wszystko jest w zasięgu ręki.

– Może... może, jeśli sprawy dobrze się ułożą, pewnego dnia będziesz mógł przywieźć matkę do Irlandii. – Targane wiatrem kosmyki muskały jej policzki. – Powrót do domu może być cudownym lekiem.

– Medycy nie dają większych nadziei na to, że ona kiedykolwiek wystawi nos z Osborne Court – powiedział Dalton cichym głosem. – A to w tej chwili jej jedyny dom.

– Mając twoją miłość i wsparcie, mogłaby się poważić na przełamanie lęku.

Spojrzał jej w oczy, pełne niewzruszonej pewności, i nieomal uwierzył, że to prawda. Pragnął wierzyć, że to O’Roarke jest tym upiorem, którego tropi od tak dawna, a stawienie mu czoła przyniesie ostateczny kres obsesji na punkcie zemsty.

– Chciałbym, abyś miała rację. Naprawdę bym chciał. – Ucisnął jej dłoń. – Ale ja nawet nie wiem, co przyniesie jutro.

– Nie kłopotz się więc o jutro. – Jej usta rozciągnął uśmiech. – Mamy tę chwilę. A to wystarczy nam aż nadto.

Poczuł tak silne pragnienie, aby ją pocałować, że nieomal stracił panowanie nad sobą. Chciał rozwiązać ten czepak i cisnąć go za burtę. Zbyt wiele piękna kryło się pod spodem.

Takiej kobiety jak Thea nie powinny krępować wstążki ani fiszby.

Ech, gdyby opuścili żagle. Gdybyż wiatr ustał.

A Dalton zyskał czas, żeby jeszcze raz połączyć się z Theą w akcie miłosnym.

Jeszcze kilka godzin słodkiej niewysłowionej rozkoszy i wyszeptanych sekretów.

– Thea. – Słowo to wyrwało mu się z ust jak modlitwa.

– Jestem tutaj.

Niewzruszone spojrzenie. Śmiałość w oczach.

– Wybaczcie, że przeszkadzam, ale docieramy do celu – powiedział obcesowo Con.

W istocie.

Wpłynęli po głębinie do portu, mijając zakotwiczone pełnomorskie statki. Jednostki o mniejszym zanurzeniu, takie jak Prawda i Jutrzenka, kierowały się rzeką Lee wprost do miasta.

Od sterburty zamajaczyła Great Island, zaiskrzyły się światłami domy Cobh. Wiatr osłabł, a osiadająca mgła gęstniała coraz bardziej. Po drugiej stronie z trudem można było dojrzeć rzędy dział pośród umocnień na wyspie Haulbowline, przypominających sennych strażników.

– Ludzie nie mogą nas widzieć razem – rzekł Con, podchodząc. – Musimy się rozdzielić. Trent rozesłał wieści. Może nawet tutaj, do Irlandii.

– Święta racja. – Dalton odsunął się od Thei. – Rozkojarzyłem się.

Otóż to. Dlatego właśnie nie mógł iść za głosem serca. Musiał chronić Theę przed ludźmi, którzy pragnęli go zdemaskować. Oraz przed niebezpiecznym złoczyńcą, którego sam tropił.

– Pójdę z Theą pod pokład, gdy będziemy zawijać do portu – dodał. – Ty i Molly pierwsi zejdzicie na ląd.

– Dobrze, dam znać przez kogoś, jeśli nie będzie żadnego niebezpieczeństwa – odparł

Irlandczyk. – Będzie na was czekał powóz.

Dalton skinął głową. Musiał dostarczyć Theę bezpiecznie do domu jej ciotki.

– Spotkamy się później w mieście – dorzucił Con.

Książę położył mu rękę na ramieniu.

– Nie – odparł. – Zostaniesz z Molly i Bronagh. Sam odnajdę O’Roarke’a.

Irlandczyk patrzył na niego przez długą chwilę pełną napięcia.

– A więc dobrze – mruknął. – Ale jeśli byłbym potrzebny, wiesz, gdzie mnie znaleźć. –

Puknął lekko Daltona w ramię. – Uważaj na siebie, ty niewdzięczny gamoniu.

– Ty też, siwy skurczykocie. Postaraj się nie zepsuć znowu wszystkiego z tą swoją brązowooką Bronagh.

Rozdział 22

– Powóz będzie czekał przy nabrzeżu – powiedział Dalton, sprowadzając Theę po trapie na brzeg.

Włożyła swój obszerny szary płaszcz, a on miał skromny czarny płaszcz, niebieską chustę na szyi i znoszone botforty, których nigdy nie czyścił.

Tak łatwo przejrzała jego grę. Zorientowała się, że oblicze zblazowanego, beztroskiego wesółka było tylko maską, którą przywdziewał przed światem.

W ciągu ostatnich dni zrzucił ją, więc teraz znała go lepiej niż ktokolwiek na całym świecie. I o dziwo, z największą ochotą trzymała go za rękę, gdy szli we dwoje po drewnianej przystani w porcie.

– Twoja ciotka mieszka w pobliżu Balfry House?

– Tak, bardzo blisko. Przy nadmorskiej drodze.

– Doszły mnie słuchy o jej domowej marmoladzie – dodał, żeby ujrzyć uśmiech na jej twarzy. – Myślisz, że zechce obdarować słoikiem utrudzonego wędrowca?

– Jeszcze żaden gość nie opuścił Ballybrack z pustymi rękami. Kochana ciocia Emma. Stęskniłam się za nią. Chciałabym, abyś ją poznał.

– Chętnie.

Wszystko się zmieniło. Dalton nie potrafił dłużej odtrącać Thei. Był niewymownie zmęczony swoją szamotaniną. Pragnął być z tą kobietą. Dbać o każdą sekundę przeżywaną razem.

– A może... – odezwała się. – Może zanim pojedziemy do Ballybrack, moglibyśmy zajrzeć do Balfry House?

Zadała to pytanie beztroskim tonem, lecz on wiedział, jak ważna jest dla niej odpowiedź.

Ucisnął lekko jej dłoń. Już się nie obawiał, że połamie te delikatne kosteczki. Wiedział, że dziewczyna ma w sobie moc i żar, jakby jej ciało składało się z żelaza i ognia.

A więc w drogę do Balfry House. Poszukiwania O’Roarke’a rozpocznie dopiero nazajutrz.

Jeszcze jeden dzień z Theą. Bez maski, wolny od dokuczliwego brzemienia tajemnic i kłamstw.

Wizyta w Balfry oznaczała skonfrontowanie się z bolesnymi wspomnieniami. Lecz cóż z tego, skoro Thea będzie mu towarzyszyć, trzymając go za rękę tak jak w tej chwili?

– Czemu nie? – odparł z uśmiechem. – Mogłabyś mi pokazać *Śpiącą Wenus*. Odślonić całą tę ukrytą symbolikę.

Jej radosny uśmiech rozjaśnił tę chwilę mglistego wiosennego poranka niczym promienie lipcowego słońca.

– Z radością! – zakrzyknęła. – Popołudnie to idealna pora do zaprezentowania gry światłocienia. Artemisia była mistrzynią *chiaroscuro*.

Chiaroscuro. Kontrast światła i ciemności.

Namiętna, pełna blasku Thea u jego boku. A w trzewiach wciąż potajemna, mroczna żądza zemsty.

Dalton przeczuwał, jak to będzie, gdy ona pokaże mu obraz. Zahaczy palcem o chwost i szarpnie. Draperia się osunie i nastąpi odsłona. Na kilku poziomach.

Coś się odmieni w jego duszy, gdy promienie słońca przenikną półmrok i oświetlą bogatą fakturę obrazu, ukażą postać nawet w połowie nie tak piękną jak kobieta stojąca u jego boku.

Może był już na to gotów?

– Boginie – mruknął, uśmiechając się wymownie. – Lubię boginie. Zwłaszcza gdy odwiedzają moje łóżce.

– Wydawało mi się, że już z tym skończyłeś.

Niczym rasowa uwodzicielka zmrużyła niebieskie oczy przyprószone szarością.

– A ja myślałem, że pragniesz skandalicznych przeżyć.

Do kroćset, kiedy uśmiechała się tak bezecnie, z całego serca pragnął porwać ją w ramiona i pocałować. Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.

– Och! – krzyknęła. – Jesteśmy na publicznej przystani, mój kochany.

– Mój kochany?

Zarumieniła się.

– Mmm... to jest...

– Nie cofaj tych słów. O niebo wołę je od „aroganckiego dupka”. I nie dbam już o to, czy ktoś widzi, że cię całuję. Zgorszymy wszystkich robotników portowych stąd do Dublina!

Czy to możliwe, aby ta wspaniała kobieta chciała być z takim grzesznikiem jak on? Jeśli tak, codziennie będzie ją obsypywał pocałunkami. Wtedy ten mroczny niepewny świat rozjaśni smuga słońca.

Ujął jej twarz w dłonie i przywarł ustami do jej warg.

Smakowała masłem i marmoladą, które rano rozsmarowała na kromce czerstwego chleba, aby nadawała się do przełknięcia. Pocałował ją zachłannie, przygryzając lekko jej soczystą dolną wargę, dopiero potem natarł językiem.

Wyciągnęła się na palcach i splotła dłonie na jego karku, pragnąc więcej.

Dalton zapomniał o całym świecie, czuł tylko dojmujące pożądanie. Szarpnął za kokardę, zdarł jej z głowy słomiany czepok z jedwabnymi wstążkami i rzucił go precz.

Thea jęknęła, bo sekundę później przejeżdżający wóz stratował go kołami.

– Nieważne – warknął. – Kupię ci drugi. Suknię nową też ci kupię. I jedwabne podwiązki. Niebieskie.

Zrobiła się niezła lista sprawunków. Nigdy dotąd nie zabrał kochanki do magazynów ze strojami dla dam. Ale co z tego? Przecież nigdy dotąd nie czuł nic podobnego do żadnej kobiety.

– Podwiązki – powiedziała lekko zdyszonym głosem, błyskając uśmiechem. – Lubię jedwabne podwiązki.

Znów wziął w posiadanie jej miękkie wargi, wyobrażając ją sobie w niebieskich podwiązkach i białych pończochach.

Gdy dotrą do Balfry House, ułoży Theę na książęcym łóżu dokładnie w takiej pozycji, w jakiej znajduje się Wenus na obrazie Artemisii. A potem oddadzą się tak wspaniałej rozkoszy, że mury tego wieloletniego dworu zatrzęsą się, a wszystkie złe wspomnienia ulecą jak spłoszone upiory.

Wyrwała się z jego objęć.

– Dalton – szepnęła.

– Mhm.

Pocałował ją w gładką szyję. Potem w dumny wydatny podbródek. I w koniuszek lekko zadartego nosa.

Znali się od tak niedawna. Jakim cudem ta kobieta całkowicie wniknęła w jego myśli... i życie? Aż trudno było wyobrazić sobie teraz, że mógłby być sam.

Pragnął uwierzyć, że może się zmienić pod wpływem Thei. Stać się człowiekiem, którego w nim dostrzegała.

Szlachetnym i dobrym.

Nagle pewna myśl zaświtała mu w głowie. Wspomnienie właściwie. Ścisnął pióro w dłoni i kreślił słowa na papierze. Podniósł głowę.

Napisał list do hrabiny Desmond. Być może rodzice Thei są teraz w drodze z Londynu do Irlandii, aby ratować reputację swojej córki.

Reputację, którą zniszczył nieodwracalnie. Chryste, co on nawyprawiał? Należało ją uprzedzić.

– Thea, ja...

– Mówiłeś, zdaje się, że statek O’Roarke’a nazywa się Wędrowiec – przerwała mu, patrząc ponad jego ramieniem. – Jeśli tak, to lepiej się odwróć.

Słyszac poważny ton, gwałtownie się odwrócił i spojrzał za siebie.

Serce mu zamarło.

Widoczna jak na dłoni, w pełni ożaglowana brygantyna lśniła w porannym słońcu. Na kadłubie z ciemnego drewna pyszniły się złote litery: „Wędrowiec”.

Jak mógł nie zauważyć? Jak Con mógł ją przegapić?

Stał jak sparaliżowany. Zorientował się, że statek szykuje się do wypłynięcia z portu. Żagle łopotały.

– No i? – Thea odgarnęła kosmyki włosów z twarzy i rzuciła mu wyzywające spojrzenie. – Na co czekamy? Chodźmy go odnaleźć.

Pchnęła Daltona otwartą dłonią w pierś i pobiegła w stronę statku.

Był całkowicie zaskoczony, niezdolny się poruszyć.

Thea. Z rozwianym włosom gnała na spotkanie z Bóg wie jak groźnym przeciwnikiem. Wreszcie rzucił się w pogoń, ale ona już pędziła po trapie, zakasawszy spódnice, aby swobodnie przebierać nogami.

Wszystko się zamazało.

Dalton wskoczył na trap i chwycił ją za ramię.

U góry pojawił się mężczyzna w oficerskim surducie z połyskującymi mosiężnymi guzikami.

– Hola, co wy wyprawiacie?! – krzyknął. – Właśnie wychodzimy w morze! Żadnych odwiedzin na pokładzie.

W tej samej chwili Dalton dostrzegł drugiego mężczyznę, stojącego na dziobie i lustrującego widnokrąg przez kosztowną lunetę. Tamten był ubrany jak dżentelmen, wyróżniając się strojem spośród marynarzy.

„O’Roarke”.

Dalton chwycił oficera za rękaw.

– Czy to właściciel statku? Pan O’Roarke, tak?

Mężczyzna zmrużył oczy.

– A kto pyta?

To wystarczyło.

– Zaopiekuj się damą na chwilę – powiedział, pchając Theę w objęcia oficera.

Pognał na dziób, nie zwracając uwagi na jej donośne protesty. Powodowany wieloletnim nawykiem naciągnął w biegu chustę na twarz i wy dobył z pochwy w cholewie nóż o rękojeści z kości słoniowej.

– O’Roarke! – ryknął. – Odwróć się!

Mężczyzna się nie odwrócił, lecz po tchórzliwym zgarbieniu ramion i ugięciu nóg widać było, że najchętniej skoczyłby za burtę do morza i salwował się ucieczką.

Tego właśnie człowieka tropił od lat.

Dokoła marynarze zsuwali się po omasztowaniu, nadbiegali ze wszystkich stron.

Za chwilę zostanie otoczony, nie będzie mógł nic zrobić.

– O’Roarke! – krzyknął ponownie.

Mężczyzna wyprostował się i wreszcie odwrócił.

Burza kasztanowych włosów pod czarnym cylindrem i zmrużone zielone oczy.

Młody. Jaki młody. Za młody. Najwyżej dwadzieścia pięć lat.

Dalton miał ściśnięte gardło, czuł, jakby gład przygniół mu pierś. Ścisnął mocniej nóż w dłoni.

Tuż obok zmaterializowała się Thea, patrząc na tę scenę z niepokojem w pięknych oczach.

Świat przestał się kiwać, wszystko zastygło.

Dopadło do nich dwóch rosyjskich marynarzy pod dowództwem oficera. Dalton zasłonił sobą Theę i położył jej rękę na ramieniu, aby nie mogła wysunąć się do przodu, jak to zrobiła w starciu z Albertsonem.

Gotów do walki.

– Odstąpcie! – krzyknął zielonooki mężczyzna i marynarze zatrzymali się w pół kroku.

Thea uściśniła rękę Daltona. Cofnął ramię i wtedy stanęła śmiało obok niego.

Dłoń księcia pofrunęła do szyi i chwyciła za wisiołek na piersi. Palce zacisnęły się na dobrze znanych ostrych krawędziach.

Rozbrzmiał głos upiora.

„Zaczekaj na mnie, Dalton. Chcę iść z tobą”.

„Wracaj do domu, Alec”.

Wspomnienia ścierały się wściekle z rzeczywistością. Nagły przebłysk nieprawdopodobnej nadziei, od której aż wywracały się trzewia.

Dalton ściągnął chustę z twarzy. Musiał przerwać tę nieznośną ciszę.

– Przecież ty nie żyjesz – szepnął.

Szmaragdowozielone oczy patrzyły twardo, nieprzyjaźnie.

– Żyję, jak widzisz.

„Żyje”.

Umysł Daltona miotał się bezradnie.

Żyje?

– Alec, to ty, mój bracie...

Rozdział 23

– Co chciałeś zrobić? – spytał Alec, a jego twarz zapłonęła z gniewu. – Wbić słabemu starcowi nóż w plecy jak ostatni tchórz?

To naprawdę był on. Gdzieś w głębi ducha Dalton miał już niezachwianą pewność.

Czy brat stał się Amerykaninem?

Pierś Daltona ścisnęła spazm. To był śmiech czy płacz?

– Ojciec miał rację – syknął Alec. – Jesteś potworem.

– Myślałem, że ty... – Dalton nie potrafił dokończyć zdania.

Czuł, jakby jego umysł zderzył się ze ścianą.

Pragnął wyciągnąć rękę i dotknąć tej zjawy, chwycić jej dłoń. Lecz w oczach brata widział odrazę.

– Zostawcie nas – zwrócił się Alec do marynarzy, machając ręką.

– Lepiej będzie, jak zaczekamy – odpowiedział oficer. – Na wszelki...

– Nie! – Alec pokręcił głową. – Odejdźcie.

Trzej mężczyźni oddalili się posłusznie.

Thea przysunęła się do Daltona, aż dotknęli się ramionami.

– Jesteś jego bratem? – spytała, marszcząc czoło.

– A ty to kto? – odpalił Alec, ściągając brwi i przyglądając się jej potarganym włosom i strojowi nadwreżonemu podróżą. – Jego kochanica?

Dalton zrobił krok do przodu.

– Zwracaj się do niej z szacunkiem – warknął groźnie. – To dama.

– A nie wygląda – prychnął Alec. – Dekadencka arystokracja żyjąca wyłącznie dla własnej przyjemności. Trwonisz majątek przy karcianym stoliku i na eleganckie metresy, a twoi chłopcy głodują. Niedobrze mi się robi, gdy myślę o tobie.

W jego głosie brzmiała wyraźna pogarda. Równie dobrze mógłby plunąć bratu w twarz.

– Przypominam ci, Alec, że ty też należysz do arystokracji – odparł książę.

– Żaden Alec! Jestem Patrick. Patrick O'Roarke. Wychowałem się w dumnym mieście o nazwie Nowy Jork i jestem Amerykaninem.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz. Że zostałeś zamordowany. Morze wyrzuciło fragmenty twojego ubrania na brzeg. A zabójca zostawił list...

– Nie jest zabójcą – przerwał Alec lodowatym tonem. – To mój ojciec.

– Przecież cię porwał.

– Miał ku temu słuszne powody.

– Nie pamiętasz nic z tego dnia? Poszedłeś za mną nad morze. Puściłem twoją rękę...

Dalton urwał. Te wspomnienia wciąż były zbyt dojmujące.

– Pamiętałem coś, lecz wszystko się zatarło. Rozpocząłem nowe życie. Nigdy nie będę taki jak ty. Nie przyjąłbym majątku, którego sam nie zgromadziłem. Bogactwa naznaczonego ludzką krzywdą. – Zielone oczy zwęziły się w szparki. – Och, wiem wszystko o wielkim księciu, naszym ojcu.

Oddech uwiązał Daltonowi w piersi.

Jakimi kłamstwami O'Roarke omamił Aleca? A może przesądziła prawda.

Thea położyła mu rękę na ramieniu.

– Może zaczęlibyśmy od początku? – zasugerowała. – Gdzie pański ojciec, panie O'Roarke? W Nowym Jorku?

– Na tamtym świecie. – W oczach Aleca zamajaczył ból. – Umarł pół roku temu. Na łożu śmierci ubłagał mnie, abym przyjechał tutaj, do dawnej ojczyzny, i domknął jego stare sprawy. Znalazłem list. Wyznanie.

Dalton napiął mięśnie.

– Przyznał się, że cię uprowadził?

– Przyznał się, że uratował mnie przed złoczyńcą, którym był nasz ojciec, książę Osborne. Teraz to ty nosisz ten tytuł, prawda? Okrutny arystokrata. Wstrętny jak okrętowy wychodek.

Thea pogłaskała Daltona po rękę.

– Wciąż ściskasz nóż – szepnęła.

Oto stał na pokładzie statku – w postrzępionej chuście na twarzy i znoszonych butach, a w jego dłoni pobłyskiwało ostrze. A jednak został publicznie nazwany księciem Osborne.

Błyskawiczne spojrzenie upewniło go, że żaden z marynarzy nie znajduje się w zasięgu głosu. Lecz jego skrywana tożsamość wyszła na jaw. Tajemnica została odkryta.

Wsunął nóż z powrotem do wysokiej cholewy i przeciągnął dłonią po oczach.

– Od jak dawna wiesz, kim naprawdę jesteś? – spytał pustym, bezdźwięcznym głosem.

– Od dwóch tygodni. – Alec potoczył wzrokiem dokoła i zniżył głos. – To wszystko pozostanie naszą tajemnicą – powiedział stanowczo. – Jestem radcą prawnym z Nowego Jorku. Nie chcę niszczyć życia, które sobie tam ułożyłem.

– Co za samolubstwo! – Thea natarła na niego jak lwica broniąca swojego leża. – Mówisz, że książę jest okrutnym człowiekiem, a ty, mości O’Roarke? Czy możesz sobie wyobrazić, co w tej chwili czuje twój brat? Przecież on cię kocha. Przez cały ten czas przeżywał żalobę, bo sądził, że cię stracił. Przez całe życie próbował odpokutować za to, że puścił twoją dłoń tamtego dnia na urwisku. Był przekonany, że ponosi winę za twoją śmierć.

W oczach Aleca pojawiło się wahanie.

– Minęło dwadzieścia lat – powiedział. – Proszę was, odejdźcie i udawajmy, że to się w ogóle nie zdarzyło.

– Naprawdę chcesz, byśmy odeszli? – spytał Dalton.

Jego serce przeszył ból.

„Wracaj do domu.

Nie chcę, byś za mną łąził”.

Zasługiwał na takie potraktowanie.

Chwycił za rzemyk na szyi i szarpnął. Zerwał skamielinę i rzucił ją na pokład.

Thea spojrzała na krwistoczerwony kamyk i pokręciła głową.

– Nie odejdziemy. – Zrobiła krok do przodu. – Najpierw wy dwaj musicie się ze sobą rozmówić. Zamiast warczeć na siebie jak wściekłe psy.

Alec zamknął oczy na moment.

– Proszę, milady – szepnął. – Nie chcę żadnych kłopotów.

W jej oczach zapłonął błękitny ogień, jakiego Dalton dotąd nie widział.

– Twój brat prosił się o kłopoty w każdej londyńskiej szulerni – odpowiedziała. – W ten sposób odpokutowywał grzechy waszego ojca i ratował ludzi, którzy padli ofiarą hazardu.

Pierś Daltona rozpierała duma, bo Thea dzielnie go wspierała, ale cóż z tego, skoro Alec postanowił pogrzebać przeszłość?

– Chodźmy – szepnął. – Powinniśmy iść.

Uniosła spiczasty podbródek w odruchu sprzeciwu.

– Nie, jeszcze nie – odparła. Wyprostowała się i zwróciła do Aleca: – Czy O’Roarke powiedział ci także o waszej matce? – spytała ostrym tonem. – Że złamał jej serce, porywając cię za morze? Że od dziesięciu lat nie wystawiła nosa z domu, że jest wrakiem człowieka?

Zanim Alec zdążył odpowiedzieć, mała postać nadbiegła po pokładzie i objęła go za nogi.
– Ojcze! – Chłopczyk miał około sześciu lat, ciemnorude włosy i piwne oczy. Podniósł wzrok. – Dlaczego się gniewasz? Kim są ci ludzie? Nie wypływamy w rejs?

Alec wyciągnął rękę i potargał chłopcu czuprynę.

– Nie gniewam się, Van. A ci państwo już odchodzą. Bądź grzeczny, idź pod pokład i znajdź Neda.

„Van to mój bratanek?”, pomyślał Dalton. Czy to oznaczało, że Alec ma żonę? Na widok drobnej buzi poczuł tkliwość w sercu, bo wróciły wspomnienia. Chłopiec przypominał Aleca z dzieciństwa.

Patrzył teraz na Daltona.

– Skąd masz tę ranę na twarzy? – spytał. – Walczyłeś w pojedynku? – Wyciągnął się na palcach. – Jestem doskonałym fecht mistrzem – oznajmił. Wykonał ruch ręką, jakby ciał przeciwnika szpada. – Nikt nie umknie przed moim ostrzem!

Dalton przyklęknął, aby ich twarze znalazły się na tej samej wysokości.

– Musisz popracować nad tym sztychem – powiedział. – Potrzebujesz dobrego nauczyciela.

Van pociągnął ojca za rękaw.

– Mogę mieć takiego nauczyciela, papo? – spytał.

Alec położył mu dłonie na ramionach.

– Idź pod pokład, Donovan – polecił.

Ach, więc Van było zdrobnieniem od Donovan. Dalton miał bratanka.

Tyle niespodzianek naraz, jak to wszystko przetrwać?

Thea uśmiechnęła się i nachyliła do chłopca.

– A wiesz, że księżę mógłby być twoim nauczycielem fechtunku? – powiedziała.

Van odwrócił się do Daltona i przejęty spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

– Jesteś księciem? – spytał. – Nigdy dotąd nie spotkałem księcia.

– Idź pod pokład – powtórzył stanowczym tonem Alec. – Już.

– Ale ja bym chciał porozmawiać z księciem!

Ojciec wyciągnął rękę.

– Jazda!

Chłopiec powlókł się we wskazaną stronę, rzucając przez ramię tęskne spojrzenia na Daltona.

Alec zaczekał, aż Van zniknął im z oczu, po czym roztrzęsiony przypuścił nowy atak.

– Nie pozwolę, abyście demoralizowali mojego syna! Nigdy się nie dowie o swoim skażonym rodzie!

Dalton kiwnął głową.

– Pojmuję. Idziemy.

– Zaczekaj, proszę – wtrąciła się znowu Thea. – Gdyby twoja matka zobaczyła swojego drugiego syna i wnuka, jej stan by się polepszył. Jestem tego pewna. Musisz mu wytłumaczyć, musisz walczyć o...

– Mam dość walki – odparł Dalton, zwieszając ramiona.

Alec skinął nieznacznie głową.

– Dziękuję.

Wbrew sobie Dalton odwrócił się plecami do brata i poprowadził Theę w kierunku trapu.

Alec.

Żywy.

Jego umysł wciąż nie mógł się otrząsnąć po przeżytych szoku. W głębi ducha wciąż

błyskała iskierka nadziei. Może... Nie. Jedno było pewne.

Alec nie chciał znać swojego brata. Dalton musiał odejść.

*

Thea nie mogła uwierzyć, że kapitulują bez walki. Po prostu odchodzą. Gromiła Daltona spojrzeniami, ale unikał jej wzroku i tylko sprowadził ją siłą ze statku wprost do czekającego powozu.

Próbowała się sprzeciwić, zapierając obcasami o deski, jednak użył siły. Bez trudu zmusił ją do odejścia, właściwie zgarnął ją z pokładu.

– Zaniosę cię na rękach, jeśli będę musiał – warknął.

Miał zaciętą, posępną twarz.

Podczas tego nieszczęsnego spotkania niebo zasnuły złowrogie ciemne chmury.

Nadchodziła ulewa.

A zatem na dodatek tego dnia nie obejrzą obrazu Artemisii w promieniach słońca.

– Posłuchaj, musisz tam wrócić – wysapała Thea. – Musisz znaleźć sposób, aby go nakłonić do przyjazdu do Londynu. Nie możesz pozwolić mu odpłynąć tak po prostu. Dalton, nie możesz!

Szedł niewzruszony, obejmując ją mocno w talii.

– Nie ja dokonałem tego wyboru – odparł. – Kazał mi odejść, więc odszedłem.

– To dziecko ma najwyżej sześć lat. Jest odporne, łatwo może się dostosować. Bez trudu pogodzi się z nową tożsamością. Czy twój brat ma prawo pozbawiać swego syna kontaktów z babcią?

Zacisnął szczęki.

– Przecież Alec nie chce, aby chłopiec wiedział, że ma w żyłach brytyjską krew i jest potomkiem niktzemnego zdemoralizowanego arystokraty.

– Co za tchórzostwo!

– Taki jest jego wybór.

– On ciebie nie zna, nie wie, jaki jesteś naprawdę. – Zacisnęła palce na jego przedramieniu w daremnej próbie spowolnienia marszu. – Musisz wrócić i z nim pomówić. Zanim statek odpłynie. Przekonaj go, że się myli. Gdyby wiedział, jaki jesteś naprawdę, chciałby, aby jego syn miał takiego wuja. Wuja, który jest silnym i życzliwym człowiekiem. Który mógłby być jego przewodnikiem.

Dlaczego patrzył takim lodowatym wzrokiem? Dlaczego tak uparcie kręcił głową?

– Thea, nie mam pojęcia, co o tym myśleć – odrzekł. – Przez te wszystkie lata byłem pewien, że Alec nie żyje. Może tak będzie lepiej. Lepiej, aby prawda pozostała pogrzebana.

– Nie! – zakrzyknęła. – Nie godzę się na to. – Chwyciła go za rękę, próbując przemówić mu do rozsądku. – Nie wierzę, że nasz los jest wyryty w kamieniu. Dopóki oddychamy, możemy mieć wpływ na swoje życie. Dopóki nie złożą nas do grobu, mamy moc, aby kształtować własne przeznaczenie.

Jej namiętne słowa zbył milczeniem. Otworzył drzwi powozu, objął ją w talii, podniósł i posadził w środku.

Wcisnął się za nią i zatrzasnął drzwi, odcinając wszelką możliwość powrotu.

Koła zaczęły się obracać, wioząc ich po nierównych deskach nabrzeża. Bezradna Thea zacisnęła dłonie na kolanach.

Nie udało jej się go przekonać. Co za obłęd.

Dalton był uparty jak osioł.

Właśnie wypuścił z rąk jedyną szansę, aby mieć szczęśliwe życie w otoczeniu rodziny.

Zebrało się jej na płacz.

Siedział obok niej zatopiony w ponurych myślach. Przyszło jej do głowy, że być może rzeczywiście ten mężczyzna nie ma serca, że to okrutnik, za którego miał go własny brat.

Ale przecież wiedziała, że w głębi ducha jest inny.

Wiedziała, że w tej potężnej klatce piersiowej bije wrażliwe serce. I w tej chwili serce to pęka na kawałki, bo księżę już raz stracił brata. Teraz tracił go ponownie.

Pragnęła go pocieszyć, pomóc mu rozeznąć się w tym kłębowisku emocji, które przeżywał. Lecz on rozpaczał w jedyny sposób, w jaki potrafił rozpaczać – odgradzając się od innych, zamykając w sobie.

Powóz jechał nieśpiesznie South King Road. Zachwycające zielone pola i posiadłości Lough Mahon nie wywarły w tej chwili na Thei żadnego wrażenia.

– Każ zawrócić – odezwała się w końcu, biorąc go za rękę. – Inaczej będziesz tego żałował do końca życia.

Zacisnął szczękę naznaczoną szramą.

– Tak będzie lepiej – odparł po chwili.

– Jak to lepiej?

– Zbyt to wszystko skomplikowane. Alec ma rację, przeszłości nie należy odgrzebywać.

– Ty uparty dupku – syknęła.

– Nie wiesz nawet połowy – odparł mało zrozumiale i cofnął rękę.

Co to niby miało znaczyć?

– Zostało nam dwadzieścia minut do Ballybrack – powiedział beznamiętnym tonem.

– Jak to, nie jedziemy do Balfry?

Pokręcił głową i zapatrzył się w okno.

W tej samej chwili rozpadał się deszcz.

Lunęła gwałtowna wiosenna ulewa. Niebo sposepniało jak myśli Thei.

Niepowstrzymane strugi deszczu chłostały powóz, spływając po szybach.

„Też potrafię milczeć jak zaklęta”, pomyślała gniewnie.

Otuliła się szczelnie płaszczem i odsunęła w kąt.

Wszystko szło na opak. Odnalezienie brata powinno było uwolnić Daltona od wieloletniego brzemienia. Lecz stało się inaczej, wyrosły kolejne mury.

Wreszcie dotarli na miejsce i w oknie powozu mignęły znajome pobielone ściany Ballybrack Cottage obrosłe pnącymi różami.

Na ten widok Thea doznała przypływu otuchy. Ciocia Emma niechybnie przebywała w domu, bo padało. Zapewne siedziała przy kominku w salonie zaczytana w książce o pszczelarstwie albo robiła na drutach skarpety dla ubogich dzierżawców mieszkających w okolicy.

Księżę zaraz skosztuje dżemu morelowego i miodu jej wyrobu.

Może słodycz na języku rozjaśni oblicze tego ponuraka.

Zawsze jest nadzieja.

Pomógł jej wysiąść z powozu, wciąż uciekając spojrzeniem na boki, po czym podeszli do drzwi wejściowych.

Otworzyły się natychmiast, jakby obserwowano ich z okna.

Thea podniosła głowę i w progę nadziała się na spojrzenie jasnoniebieskich oczu.

– Mamo?!

Zastygła, nie dowierzając.

– Czemu tak długo? – spytała hrabina. – Czekamy, babka i ja.

Więc stara hrabina też tu była?

Jak pogrążona w najgorszym koszmarze Thea wślizgnęła się do salonu, próbując ogarnąć umysłem to, co widzi.

Zobaczyła cztery filiżanki na stole. Poczła zapach kosztownej francuskiej wody toaletowej, której używała babka.

I zobaczyła ją przy kominku, siedzącą sztywno w fotelu wypchanym końskim włosiem.

Ciocia Hen też przyjechała. Zamachała ręką do Thei.

– Witaj, moja droga – odezwała się. – Miałaś udaną podróż?

Thea przeżyła zbyt wielki wstrząs, aby odpowiedzieć.

Ciocia Emma wstała.

– Przyniosę jeszcze jedną filiżankę – oznajmiła. Zastygła na widok Daltona, który wszedł do salonu, garbiąc się nieco, aby nie uderzyć głową w strop. – Och, wasza książęca mość – dodała i dygnęła, ogromnie przejęta.

Skinął lekko głową, patrząc martwym wzrokiem.

Stara hrabina zerknęła ze wzgardą na potargane włosy Thei i znoszone buty Daltona.

– Mój Boże, wy dwoje najwyraźniej przeżyliście po drodze mnóstwo perypetii – powiedziała.

Thea wreszcie odzyskała głos.

– Co... co wy tu robicie?

Matka posłała jej triumfalne spojrzenie.

– Powinnaś spytać o to mości księcia – odparła. – To on nas tutaj zaprosił.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 24

– Coś ty zrobił? – Thea natarła na Daltona i wypchnęła go z salonu. – Mów, coś ty zrobił?!

Twarz miał pustą, pozbawioną wyrazu.

– Zamierzałem ci powiedzieć – odrzekł.

Napierała na niego, aż dotarli do drzwi wejściowych.

– Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć, że zaprosiłeś moją rodzinę, aby zabrała mnie jak zabłąkaną owcę, która oddzieliła się od stada?

– Dziś. Już zacząłem ci mówić, ale nagle... wynikła sprawa z O’Roarke’em. Potem nie miałem do tego głowy.

– Kiedy je powiadomiłeś?

Umysł miała odrętwiały, bezwładny, a własny głos brzmiał, jakby dobiegał z daleka. Chciała poznać fakty. Chciała poznać dokładną sekwencję zdarzeń.

Koleje zdrady.

Dalton skrzywił się boleśnie.

– Wraz z twoim listem nadałem własny – wyznał. – Nie mogłem pozwolić, abyś lekkomyślnie przekreśliła całą swoją przyszłość.

Grzmotnął plecami o framugę drzwi.

Wydawało mu się, że postąpił tak dla jej dobra.

„Arogancki, przemądrzały dupek!”

– Tak jest lepiej – stwierdził.

To samo powiedział w powozie.

– Lepiej dla kogo? – spytała. Podniosła głos, prawie już krzyczała, ale nie dbała o to. Niech wszyscy to usłyszą. Niech wiedzą, że jest teraz inną kobietą. Że potrafi przemówić własnym głosem i już nigdy nie będzie kładła uszu po sobie. – Chyba dla ciebie! Abym nie była dla ciebie ciężarem!

Jego oczy przypominały teraz dwa węgle.

– Nie jestem taki, jak mówiłaś. Thea, ostrzegłem cię, że nie powinnaś mi ufać. Zdradziłem cię. Mój brat mnie nienawidzi. Całe życie posługiwałem się kłamstwami. Tego nie da się usprawiedliwić.

– Co napisałeś w liście?

– A co to za różnica? Wysłałem go, to się liczy. One są tutaj.

– Chcę wiedzieć, co było w liście.

– Napisałem twojej matce, że kłamiesz. Że nie zostałeś skompromitowana. Że nie było żadnego skandalu, że nadal masz wybór, nadal masz szansę na szczęśliwe życie. – Huknął potylicą w ścianę. – Teraz jednak okazuje się, że to ja skłamałem. Bo cię skompromitowałem. Nie masz już żadnego wyboru.

– Słyszę każde słowo! – dobiegł z salonu ostry, piskliwy głos starej wdowy.

Dalton drgnął i zerknął szybko w głąb domu.

– Nie zaufałeś mi i nie pozwoliłeś, bym sama decydowała o swoim losie – powiedziała Thea oskarżycielskim tonem.

– Owszem. I właśnie za takiego człowieka wyjdiesz za męża, lady Dorotheo – odparł, podnosząc głos. – Jesteś teraz na mnie skazana.

Była znieczulona. Otepiała. Ani śladu miłości w jego słowach i głosie.

Tylko to poczucie honoru i powinności.

– Wrócimy do Londynu – oznajmił. – I będziemy żyć w Osborne House.

Okrzyki radości w salonie.

„Nie, nie, nie”.

Zacisnęła dłonie w pięści. Nie tego pragnęła.

Otworzyła drzwi i wypchnęła go na zewnątrz, rozpaczliwie próbując powstrzymać napływ łez.

Na dworze rzęsy deszcz walił w głowę, spływał po kapturze płaszcza, lał się strugą po plecach.

Zatrzasnęła drzwi za sobą.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłeś!

Jej umysłem miotały niepokonany gniew i poczucie krzywdy. Thea znalazła się u kresu. Kresu podróży i kresu marzeń o wspólnym życiu z Daltonem.

Nigdy nie wyobrażała sobie, że to może się tak skończyć. Do głowy jej nie przyszło, że on mógłby ją zdradzić. Dążyć do tego, aby umieścić ją z powrotem w złotej klatce rodzinnych zależności.

– Ostrzegałem cię, abys mi nie ufała – powtórzył.

Owszem, ostrzegał, lecz nie słuchała, łudziła się, wierzyła, że... Że co? Że pragnie dla siebie tego samego, co matka i babka? Że pragnie wyjść za męża za księcia?

„Ha!” Akurat tego pragnęła najmniej. Wyjść za księcia, który jej nie kocha? Nigdy!

– Nie będę twoją żoną, Dalton – powiedziała. – Jesteś dokładnie tym, od czego starałam się uciec. Wolę żyć samotnie w Irlandii, niż ugrzęznąć w związku pozbawionym miłości. Za męża mogę wyjść wyłącznie wtedy, gdy poczuję miłość i zaufanie, i...

– Nie masz wyboru.

To była kropla, która przepęliła kielich.

– Owszem, mam wybór! – krzyknęła, patrząc wściekłym wzrokiem na tę bezzwzględną, arogancką twarz. – I postanawiam, że za ciebie nie wyjdę. Nie kochasz mnie. Ty nawet mnie nie znasz. – Kopnęła czubkiem buta w błotnistą ścieżkę, zachlapując oba czerwone trzewiki. – Myślałam, że mnie słuchasz, że słyszysz, co mówię. Myślałam, że rozumiesz moje starania, moją potrzebę wolności. Jakże się myliłam.

– Masz rację – przyznał. Napiął mięśnie klatki piersiowej i wyprostował się, wystawiając śmiało na jej gniew. – Nie jestem ciebie godzien.

– Ty...

Nigdy dotąd nie czuła tak niepokonanej wściekłości. Była mokra i zmęczona, a wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że wszystkie emocje miała na wierzchu.

Namiętność, która ich połączyła. Intymne rozmowy.

To wszystko okazało się jednym wielkim łgarstwem.

– Jesteś mistrzem we wznoszeniu murów między sobą a swoimi uczuciami – powiedziała. – Między sobą a mną. Między sobą a swoim bratem. Odgradzasz się tak samo, jak od świata odgradziła się twoja matka. Twoje serce to forteca.

– Masz słuszność – powtórzył, spuszczać lekko głowę.

– Widzisz? Znowu robisz to samo. – Tupnęła nogą i błoto bryznęło na kraj jej sukni. – Przyznanie, że mam rację, to kolejny mur, którym się odgradzasz. – Strząsnęła ręką mokre włosy z twarzy. – Nasza wspólna podróż nie dla ciebie nie znaczyła? – spytała, czekając rozpaczliwie na jego słowa. – Nie uwierzyłeś, że życie może składać się z czegoś więcej? Że możliwe jest wzajemne zaufanie i... miłość?

Ostatnie słowo dodała szeptem, wiedziała bowiem, jaka będzie jego reakcja. Dalton

wzniesie kolejny mur.

– Miłość to iluzja. Podobnym złudzeniem jest ten mężczyzna, za którego mnie bierzesz. Nie ma go. Nie jestem dobrym ani szlachetnym człowiekiem. Zakochałaś się we własnej fantazji. Stworzyłaś obraz z własnych pragnień. Powiedziałem ci, że nie mogę być odpowiedzią na niczyje potrzeby. – Rozłożył szeroko ręce. – Mój brat, którego miałem za zmarłego, nienawidzi mnie tak bardzo, że przekreślił szansę, aby na starość nasza matka znalazła spokój duszy.

Thea zadrżała.

Jego twarz złagodniała i poruszył dłonią, jakby chciał jej dotknąć.

– Masz rację, że mnie odtrącasz – powiedział. – Nie mógłbym dać ci tego, czego pragniesz. Nie potrzebujesz mnie, aby móc uwierzyć w siebie. Jesteś na tyle silna, że sama możesz wszystkiego dokonać.

– Teraz ty masz rację – odparła. – Nie potrzebuję cię. – Otuliła się szczelniej płaszczem, choć był całkiem przemoczony. – Odejdź.

Przecież właśnie to chciał usłyszeć z jej ust, prawda? I to samo usłyszał z ust Aleca ledwie godzinę wcześniej.

– Odejdź i nigdy nie wracaj – rozkazała.

– Thea. – Dotknął jej policzka. Nieśmiałe echo pieśczoły. – Chciałbym mieć serce, by ci je ofiarować. Byłoby wtedy twoje. Bez reszty. Tylko twoje.

Po tych słowach odwrócił się i odszedł.

Wysoki i silny kroczył w strugach deszczu.

Z powrotem do powozu. Zapewne pojedzie do Balfry House.

A niech jedzie, dokąd chce, choćby do piekła!

Mury, które wznosił, były za wysokie i za grube. A Thea musiała się uporać z własnymi ograniczeniami. Te ograniczenia czekały na nią w salonie.

Nie, nie rozplącze się.

Miała własne demony, z którymi musiała walczyć, więc powinna być silna i bezkompromisowa, aby wytrzymać presję, oprzeć się próbom ponownego wtłoczenia jej w gorset konwenansów.

Nie ugnie się. I donikąd nie pojedzie. Nie podda się niczyjej władzy.

W drzwiach powitał ją lodowaty głos hrabiny wdowy.

– No i? Co się dzieje, dziecko moje? Czy przyjęłaś oświadczyzny...

– Zamilcz! – Thea wmaszerowała w ubłoconych trzewikach do salonu i stanęła na środku biało-niebieskiego dywanu. Zacisnęła pięści. – Ani słowa więcej.

– Panno Dorotheo! – syknęła hrabina. – Zapominasz...

– Macie być cicho! Chociaż raz w życiu macie być cicho! Siedzieć i słuchać!

– Coś podobnego!

Wdowa osunęła się na fotel.

– Odtrąciłam księcia – oznajmiła Thea.

– Że co? Czy ja dobrze słyszę? Odtrąciłaś...

– Cicho! – wrzasnęła, aby przekrzyczeć babkę. – Postanowiłam przeżyć resztę swoich lat jako panna, i to tutaj, w Irlandii. Nie wyjdę za nikogo, kto mnie nie kocha. – Odwróciła się gwałtownie do matki. – Nie chcę takiego żalosego, pozbawionego miłości małżeństwa jak twoje.

– Ty mała niewdzięczna wariatko – syknęła babka. – Pojęcia nie masz, co mówisz.

– Oto co chcę powiedzieć bez względu na to, czy zamierzacie mnie wysłuchać – oświadczyła Thea, siłąc się na spokój. – Jestem żywą kobietą, a nie marionetką tańczącą wedle waszego widzimisię. Mam swoje potrzeby, mam własne zapatrywania. Nigdy więcej nie

będziecie mną rozporządzać.

Spojrzała śmiało najpierw na babkę, potem na matkę, jakby rzucała im wyzwanie.

W salonie zapanowała pełna napięcia cisza.

Ciocia Hen i ciocia Emma patrzyły na Theę z tym samym zdumieniem wypisanym na twarzach, obie w podobnych czepkach obszytych koronką i z pulchnymi dłońmi złożonymi na kolanach.

Babka gniewnie stuknęła laską w podłogę.

– Co za świat! Żeby młode damy tak się zwracały do starszych od siebie! To akt niesubordynacji. Otwarty bunt. Nie będę tego tolerować.

– Bądź cicho, apodyktyczna despotko – powiedziała hrabina. – To nie żaden bunt. To prawda.

Thea odwróciła się do niej.

– Och, dziękuję, mammo!

Nigdy dotąd matka nie stanęła w jej obronie.

Hrabina podniosła się z fotela i natarła na teściową.

– Wychowałeś swojego syna na samolubnego rozpustnika, spełniałeś wszystkie jego zachcianki, jakby był Juliuszem Cezarem. Nie wydaje mi się, aby Dorothea potrzebowała twojego przewodnictwa. Jeśli nie chce wyjść za księcia, to nie wyjdzie. Koniec kropka.

Thea o mało nie zaczęła klaskać.

– Przecież słyszałaś, co powiedział – odparła lodowatym tonem wdowa. – Ona jest skompromitowana. Jest wybrakowanym towarem.

Thea uniosła dumnie głowę.

– Takiego dokonałam wyboru.

– Ty mała wariatko – syknęła znowu babka.

– Doskonale rozumiem, dlaczego Dorothea nie chce mieć takiego małżeństwa jak moje. –

Hrabina machnęła delikatną dłonią. – Desmond mnie zaniedbuje. Ośmiesza mnie przed światem. Co miesiąc bierze sobie nową kochankę i chęłpi się tym na mieście. Powiem ci, że mam tego dość. Powyżej uszu.

Thea poczuła niecodzienny podziw dla matki. Po raz pierwszy pod zimną, niewzruszoną fasadą dostrzegła wrażliwość.

– Nie zasługuje na ciebie – wtrąciła ciocia Emma, kiwając stanowczo głową.

Stara wdowa napięła nozdrza i zatrzasnęła donośnie usta.

– Nigdy w życiu nikt mnie tak podle nie potraktował – powiedziała po chwili. – Przestrzegałam Desmonda, aby się z tobą nie żenił, ty, ty... harpio! – Chwyciła laskę i zerwała się na nogi. – Wstawaj, Henrietto, nie zostaniemy w tym domu ani chwili dłużej.

Wezwana podniosła wzrok. Dotąd biernie przysłuchiwała się awanturze z fotela przy kominku.

– Wiesz co, matko – odparła, przekrzywiając głowę. – Chyba zostanę tu z Emmą. – Uniosła okrągły miękki podbródek. – Ona potrzebuje pomocy przy pszczołach. To dla mnie bezpieczna praca, bo już dawno przywykłam do żądź i jadu.

Stara hrabina zamrugnęła gwałtownie.

– To niedorzeczność – stwierdziła. – Nie możesz tu zostać. Kto będzie mi przygotowywał napary?

– Pojęcia nie mam. – Ciocia Hen rozciągnęła usta w uśmiechu. Wydawała się na poły skruszona, na poły uradowana. – Szczerze mówiąc, nic mnie to nie obchodzi.

Podskoczyła w fotelu, jakby sama nie mogła uwierzyć, że wypowiedziała tak śmiało słowa.

Thea posłała jej uśmiech pełen otuchy. Zawsze było jej żal biednej, zahukanej cioci Hen.
– Do Londynu wrócimy razem – powiedziała hrabina do teściowej.
Stara wdowa zmrużyła jasne oczy.
– Nie będę z tobą podróżować.
– Nie masz wyboru. – Hrabina błysnęła uśmiechem w kierunku Thei. – Jesteś teraz na mnie skazana.

*

Dalton nie pojechał do Balfry House, lecz kazał się zawieźć z powrotem na nabrzeże. Nie był gotów przestąpić progu rodzinnego domu. Pomyślał, że być może nigdy nie będzie gotów.

Albowiem wszystko w tym miejscu przypominałoby mu o bracie. I o Thei.

Na nabrzeżu roiło się od kupców odbierających towary i handlarzy ładujących ryby na wozy w szarej popołudniowej mgle.

Nic w tym miejscu nie pachniało różami. Rybie flaki i solanka. Gorąca smoła i mewie odchody.

Wędrowca oczywiście nie było. Alec pożeglował z powrotem do Nowego Jorku, zabierając ze sobą sześciolatniego Vana, aby odgrodzić go od mrocznego dziedzictwa rodu Osborne.

Czy można było go za to winić?

Thea uważała, że Dalton powinien się bardziej postarać, lecz skoro Alec nie chciał uznać swojego brata, nic by go do tego nie zmusiło.

Pozostało tylko odnaleźć Cona i powiedzieć mu o ostatnich wydarzeniach.

Nie było żadnego zabójcy do wytropienia.

Alec żył i miał się dobrze. A jego porywacz przeniósł się na tamten świat.

Nie pozostał nikt, na kim można by wyrzucić pomstę. Koniec z poszukiwaniami, spiskami, knowaniem.

W piersi Daltona do głosu doszło dziwne poczucie. Pustka, jakby wyrwano mu serce i została ziejąca dziura.

Wszystkie emocje uleciały. Zostały tylko proste konstatacje.

„Idę nabrzeżem.

Thea wróciła na łono rodziny, wściekła i zraniona.

Skrzywdziłem ją. Od początku wiedziałem, że to się stanie”.

Ale czy mógł postąpić inaczej? Prawdopodobnie zrobił źle, wysyłając swój list, lecz w tamtej chwili nie znał jej jeszcze zbyt dobrze i sądził, że podjął słuszną decyzję.

Nie chciał, aby przedwcześnie rezygnowała z życia. I aby potem tego żałowała.

„Chryste, ale narobiłem bigosu”.

Żadna kobieta nie przyjęłaby takich przymusowych oświadczeń. Było oczywiste, że w tych okolicznościach Thea go odtrąci. Jak wiele cierpienia zobaczył w tych szeroko otwartych, wzburzonych oczach.

Chciała, aby błagał ją o wybaczenie, aby zasypał ją tymi wszystkimi słodkimi słówkami, lecz on... miał w sobie pustkę. Był sparaliżowany świadomością, że całe swoje życie wznosił na kłamstwie.

„Dopóki oddychamy, możemy mieć wpływ na swoje życie. Dopóki nie złożą nas do grobu, mamy moc, aby kształtować własne przeznaczenie”.

Coś ukrytego w tych słowach zastanowiło go i zatrzymał się w pół kroku, zapatrzony na las masztów i wzburzone szare morze.

Ona wierzyła, że mógłby się zmienić.

Czy naprawdę mógłby? Czy z czasem mógłby stać się mężczyzną, którego chciała mieć u swego boku?

Należałoby powstrzymać zagrożenie ze strony Trenta. Znaleźć inny sposób wymierzania sprawiedliwości.

Sposób mniej niebezpieczny. Wtedy Thea nigdy nie stałaby się celem ewentualnych wrogów.

A gdyby się zmienił... Czy ona jeszcze go zechce?

– Witaj! – zabrzmiał cienki głosik.

Dalton odwrócił głowę.

Nabrzeżem zbliżali się Alec i Van.

– Witaj! – zakrzyknął ponownie chłopiec i pomachał dłonią.

Dalton niepewnie uniósł ramię. Po chwili, gdy umysł przetrwał w końcu to, co zobaczyły oczy, śmiało zamachał ręką.

– Witajcie – odparł i ruszył w ich kierunku. Zbliżył się. – Myślałem, że już wypłynęliście.

– Odłożyliśmy nasz rejs – odburknął Alec.

– Witaj, Van.

Chłopiec pociągnął ojca za rękę.

– Jak mam się zwracać do księcia? – spytał szeptem.

Dalton zerknął na brata.

– Możesz mówić do niego wujku – odparł Alec napiętym głosem.

Pustka w piersi zaczęła się wypełniać.

Co to wszystko znaczyło? Czy brat chciał pojednania?

Lepiej było nie robić sobie wielkich nadziei.

Spojrzenie Aleca nieco złagodniało.

– Czy to prawda, co ta dama mówiła o naszej matce?

Dalton skinął głową.

– Omal nie zabiło jej to, że cię straciła – wyznał. – Boi się wychodzić z domu.

– Dlaczego się boi? – spytał Van. – Czy na dworze czyha zły człowiek?

– Tak jej się wydaje – odparł Dalton.

Bracia patrzyli sobie w oczy. W twarzy Aleca Dalton dojrzał kiełkujące zrozumienie.

– O’Roarke był sierotą – powiedział Alec. – Nie mamy rodziny w Nowym Jorku. – Wyprostował się. – Moja żona umarła w połogu. Jej rodzice nie żyją.

„Biedny Van”.

– Ale ty masz matkę – odrzekł Dalton. – A Van ma babcię. Na imię jej Abigail. Mieszka w Londynie.

Chłopczyk przekrzywił głowę.

– Naprawdę mam babcię?

– Masz. – Dalton osunął się na kolana pośrodku zabłoconego nabrzeża. – Ma takie same zielone oczy jak twój ojciec. I trzyma w domu co najmniej pięć puchatych kotów. Może nawet dziesięć, nie wiem. – Podrapał się po głowie i skrzywił. – Wszystkie wyglądają jednakowo, to pręgowane rudzielce.

Van roześmiał się, zachwycony.

– Tak dużo kotów? A słodczye są?

– Całe szuflady.

Chłopiec skinął stanowczo głową.

– Chciałbym poznać tę babcię – stwierdził.

– To zależy od twojego ojca.

Dalton się wyprostował.
– Myślę, że to by można zaaranżować – mruknął Alec. – A co ta dama miała na myśli, mówiąc, że odpokutowujesz winy naszego ojca?
– Och, to bardzo długa historia. Zawierająca sceny fechtunku. I ciemne zaułki.
Van spojrział rozbłyśniętymi oczami na Daltona.
– Jak w opowieści o Rob Royu?
– Coś w tym rodzaju.
– Brzmi interesująco – powiedział Alec, a na jego wargach zamajaczył niepewny uśmiech. – Masz ochotę na piwo?
Dalton skinął głową.
– Chętnie się napiję – odrzekł. Zerknął na Vana. – Mogę? – spytał brata i wyciągnął dłoń do chłopca.
Alec mruknął przyzwalająco i Dalton wziął jego synka za rękę.
Ruszyli nabrzeżem, dwaj mężczyźni i dziecko.
Okazało się, że Thea znowu miała słuszność. Alec znalazł w sobie dość siły, aby dać Daltonowi szansę.
Wydawało się, że ona zawsze ma rację, niech szlag trafi jej pszeniczne loki!
Choć w jednej sprawie się pomyliła.
Bo w chwili, gdy Dalton wziął Vana za rękę, doznał przebłysku świadomości.
Kochał Theę. Bardzo.
Całą swoją duszą.
Dobrze, zostawi ją teraz, tak jak sobie tego życzyła, ale niech go diabli porwą, jeśli za jakiś czas nie spróbuje jej odzyskać.
U boku miał brata, w dłoni ścisnął rączkę bratanka, więc wydawało się, że wszystko jest możliwe.
Świat się do tego dostroił. Słońce przedarło się przez chmury, kąśliwy deszcz przestał padać, wszystko nabrało kolorów i wyrazistości.
I jakby tego było mało, dostrzegł na niebie opalizujące barwne smugi, które przypominały uśmiech Thei przepłaszający mrok w jego sercu.
W jego sercu.
Tym sercu, które biło dziko w klatce piersiowej, pompując nie tylko krew, lecz także nadzieję.
Gdyby Alec potrafił mu wybaczyć... Gdyby mogli porozmawiać o tym, dlaczego O'Roarke go uprowadził... Może Daltonowi udałoby się nakłonić Theę, aby dała mu jeszcze jedną szansę.
„To nie może być koniec”.

– Patrzcie! – krzyknął Van, wskazując palcem niebo. – Tęcza!

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 25

– Obudź się, skarbie, obudź się!

Do pokoju Thei wpadła ciocia Emma, a jej śladem ciocia Hen. Zaczęły się krzątać dokoła i rozsunęły zasłony.

Na kołdrę w pogodny czerwono-żółty wzór padła smuga słońca.

Thea przetarła oczy.

– Która godzina? – spytała.

– Pół do jedenastej, śpiochu – odparła ciocia Emma. – Masz gościa. Śpiesz się, śpiesz – ponagliła.

– Gościa?

Thea usiadła w łóżku i w wyobraźni natychmiast zobaczyła księcia chodzącego niespokojnie po ciocinym salonie – rasowy hulaka w tym ciemnoniebieskim surducie pod kolor oczu.

– A tak, słoneczko. Wielgachny jegomość z gigantycznym pakunkiem – powiedziała ciocia Hen.

Thea odgarnęła kołdrę i wyskoczyła z łóżka.

Ciocia Hen uśmiechnęła się współczująco.

– Ale to nie księżę – uprzedziła.

– Nie, nie księżę – potwierdziła ciocia Emma. – Lecz jego sługa. Chociaż nigdy w życiu nie widziałam podobnego sługi.

Thea próbowała nie okazać rozczarowania. Dlaczego Con się tutaj zjawił? Czy Dalton przysłał go na rozmowy? Serce zabiło jej dziko.

Umyła zęby nad miednicą i przeciągnęła miękką szczotką po włosach, tymczasem ciotki uwijały się dokoła, kładąc na łóżku suknię i bieliznę.

– Nie ma czasu do stracenia, skarbie – powiedziała Hen i cmoknęła z zadowoleniem, gdy Thea stanęła przed nią gotowa na przyjęcie gościa. – Zasznurowuj teraz te zgrabne trzewiki.

– Wyczyściłyście je? Och, jakże miło z waszej strony.

Poczuła falę emocji na widok swoich wiernych butów, wypucowanych z błota, pyszniących się czerwienią.

Zbiegła schodami na dół.

– Con! – zakrzyknęła.

Kochany stary Irlandczyk pochylił głowę i pociągnął się za siwą brodę, kryjąc wzruszenie pod maską gbura.

– Przepiękny dzień, nieprawdaż, milady? Przywiozłem ci coś od księcia. – Wziął do rąk ogromny płaski przedmiot zawinięty w płótno. – Mówił, że tego poszukiwałaś.

Niepodobna... Czy możliwe, że to autoportret Artemisii? Thea popatrzyła na pakunek i oczy zapiekły ją od łez. Nie miała wątpliwości, co skrywa białe płótno przewiązane szpagatem.

Con postawił obraz pod ścianą.

– Mówiłem mu, że sam powinien przyjechać, ale uparł się, żeby jeszcze dziś wrócić do Londynu.

Serce jej zamarło.

– Wyjechał?

– Obawiam się, że tak, milady. Wyjechał z Alekiem... to jest z panem O’Roarke i jego synem. Ledwie godzinę temu.

– Z bratem? I z bratankiem? Jesteś pewny?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Jestem, jestem – odparł. – Nie wiem, co powiedziałaś naszemu księciu, ale gdy stąd odjechał, zawrócił prosto do portu. Przekonał brata, że powinni jechać do Londynu i odwiedzić matkę.

– Con, to wspomniała nowina!

Thea miała pewność, że uznany za zmarłego syn i wnuk uleczą duszę księżnej. Będzie mogła wrócić do normalnego życia.

– Ale zaraz... Ty z nimi nie pojechałeś? Czy to znaczy, że pani Barton...

Uśmiechnął się nieśmiało, kryjąc bokobrody w kołnierzu.

– No cóż, powiem tylko, że Bronagh nie próbowała mnie udusić gołymi rękoma, gdy do niej przyjechaliśmy. Nie najgorszy początek. Ponadto pozwoliła mi spać na sofie, zamiast wygonić do krów na pastwisku. To budzi sporą nadzieję, jeśli zna się Bronagh i jej usposobienie.

– A co z Molly? Matka bardzo się na nią gniewa?

– Przeszło jej. Zjadła nawet trochę małżów, co je ugotowałem w piwie, tak jak kiedyś lubiła.

Thea splotła dłonie.

– Tak się cieszę, Con – powiedziała.

Odchrząknął.

– Jest jeszcze coś. Aż trudno uwierzyć. Otóż księżę mianował mnie zarządcą Balfry House. I coś mi się widzi, że tak to już będzie na stałe. Mamy odnowić dzierżawy. Oddać żyzną ziemię chłopom pod uprawę. – Zamrugnął szybko powiekami ze wzruszenia. – A Molly została dumną właścicielką biblioteki, w której jest książek bez liku. W życiu nie da rady wszystkich przeczytać.

– Och, musi być przeszczęśliwa!

Teraz to Thea musiała powstrzymać napór łez.

– A to nie jedyny podarunek dla ciebie, milady – ciągnął Con. – Księżę zarządził, że cała zawartość jego poddaszy ma trafić tutaj, do Ballybrack. – Rozejrzał się niepewnie po małym salonie. – Bóg raczy wiedzieć, gdzie to wszystko pomieścisz.

– Jakże to wspomniałomyślne z jego strony.

W jej głowie rozbrzmiał nagle głos: czy obrazy nie są aby podarunkiem na pożegnanie?

Odwróciła się od Cona, w którego niebieskich oczach dostrzegła troskę.

– Milady, on cię odtrącił tylko dlatego, że zależy mu na twoim dobru. Przypomnij sobie dzieciństwo. Jeśli jakiś chłopiec ciągnął cię za warkocze, to dlatego, że czuł do ciebie miłość.

Pokręciła głową.

– Nikt mnie nie ciągnął za warkocze, bo nie miałam się z kim bawić – powiedziała.

Con zmarszczył czoło.

– Wierz mi, gdy powiadam, że my, chłopcy, to zgraja barbarzyńców. Nie zasługujemy na wasze słodkie uśmiechy. A księżę jeszcze większy barbarzyńca niż reszta. Nie rezygnuj z niego, milady.

– Kazałam mu odejść i nigdy nie wracać.

Znów szarpnął się za brodę.

– A mówiłaś szczerze?

Thea zamknęła oczy.

– Nie – wyszeptwała po chwili.

– No to wszystko się ułoży. Nie mam co do tego wątpliwości. Pamiętaj, że nasz dobry Bóg czasem niespiesznie odsłania swoje zamysły. Przez co życie robi się bardziej zajmujące.

– Zostaniesz na herbatę, Con?
– Nie, dziękuję, muszę wracać do Bronagh, bo jeszcze się rozmyśli. – Nasadził czapkę na głowę. – Niedługo się zobaczymy, milady.

– Do następnego spotkania.

Odprowadzając go wzrokiem, Thea uświadomiła sobie, że jej podróż naprawdę dobiegła kresu. Dalton wrócił do Londynu, a ona pozostała w Irlandii, tu, gdzie chciała być. Z ciotką Emmą.

Powinna czuć się szczęśliwa.

Obie ciotki wbiegły do pokoju.

– Czego chciał?

– Czy przywiózł wieści do księcia?

Zaczęły krążyć dokoła Thei. Poprawiły jej włosy i podprowadziły ją do obrazu.

– Rozpakuj to, skarbie! – powiedziała Hen.

– To w dowód miłości – westchnęła Emma. – Jakież to romantyczne.

Obraz podarowany w dowód miłości? A może na osłodę rozstania, aby uciszyć sumienie? Thea stanęła z wahaniem przed wielkim pakunkiem. Nie wiedziała, czy na pewno chce zdjąć płótno.

– A moja matka? – spytała.

– Leży w łóżku, złożona migreną – odparła ciocia Emma. – Nadal nie mogę uwierzyć w to, co powiedziała wdowie.

– Racja – przyznała Hen. – To było wprost wspaniałe.

– Prawda? – dorzuciła Thea.

Była dumna ze swojej matki. Hrabina sprzeciwiła się teściowej... a ją wzięła w obronę.

– Gdzieś tu mam nożyczki, rozprawmy się z tym sznurkiem – powiedziała ciocia Emma, zerkając na pakunek. Wyminęła swój ulubiony fotel przy kominku i podeszła do stołu, na którym stał koszyk na robótki. – Aha. – Sięgnęła do środka.

Z dziko bijącym sercem Thea przecięła szpagat, a ciocia Hen pomogła jej ściągnąć płótno.

– Ostrożnie. – Westchnęła, kiedy zgodnie z jej oczekiwaniami ukazała się pozłacana rama i splekana farba olejna. – To ma dwieście lat.

– Wielkie nieba! – zakrzyknęły ciotki jak na komendę.

„Wielkie nieba, w rzeczy samej”.

Smugi słońca wpadające przez szprosowe okna oświetliły szmaragdowy rękaw i fragment ciemnobrązowego fartucha malarskiego.

Artemisia ukazała siebie w pozycji stojącej, z połyskliwymi czarnymi włosami, przekrzywioną głową i pędzlem w uniesionej dłoni. W drugiej ręce, podpartej na kamiennej powierzchni, trzymała paletę.

Z listów malarki Thea wiedziała, że w tamtych czasach autoportret wywołał falę kontrowersji.

Artystka przedstawiła siebie jako uosobienie sztuki.

Co za śmiała, stanowcza deklaracja.

– A niech mnie, jest prześliczna! – zakrzyknęła ciocia Hen. – Taka... pełna mocy. Jakby mogła wyskoczyć z ram, przebyć stulecia i dołączyć do nas w tym salonie.

Połowę twarzy Artemisii oblewała pięknie namalowana smuga światła, a kontrast jasności i cienia nadawał autoportretowi posmak patosu... jakby artystka czekała na więcej słońca.

Podobnie jak Thea czekała, aby jej życie nabrało blasku.

Ten dzień właśnie nadszedł. Coś przyszło jej na myśl. Skinęła głową.

– Przygotuję wystawę kobiecych dzieł sztuki – powiedziała. – Postaram się, aby to były same autoportrety, jeśli uda mi się znaleźć ich dostatecznie dużo.

Doskonale pomysł. I świetny sposób, aby przywrócić Artemisię światu.

– Wspaniale, skarbie – mruknęła ciocia Hen. – A zatem musisz wrócić do Londynu, prawda? Przecież w Cork nie zorganizujesz tak wielkiego przedsięwzięcia.

Wrócić do Londynu? Dopiero stamtąd uciekła.

– A to co? – spytała ciocia Emma, przyglądając się postaci na płótnie. – Ona ma wisiołek na szyi.

Złota błyskotka połyskiwała w słońcu.

Thea nachyliła się bliżej.

– Wygląda jak maska. Co pewnie symbolizuje sztukę.

– Maska? Bardzo pomysłowe – przyznała ciocia Emma.

Owszem, maska symbolizowała sztukę, lecz dla Thei miała jeszcze inne znaczenie.

Artemisia próbowała jej coś przekazać. Maska, którą nosił Dalton, zsunęła się i roztrzaskała. Thea zobaczyła jego prawdziwe oblicze.

Sama też nie potrzebowała się dłużej ukrywać. Dość już nieśmiałości, nerwowych chichotów.

Lęku przed niepowodzeniem.

W ciągu zaledwie kilku dni stała się zupełnie inną kobietą.

Darowując jej ten obraz, Dalton też chciał coś przekazać.

Że wierzy w jej sny i zamierzenia... I że chciałby być ich częścią.

– Patrz, skarbie – powiedziała ciocia Emma, sięgając pod obraz. – Z tyłu jest list! Niewiele brakowało, a byśmy go przeoczyły!

Podążyła Thei złożony arkusik.

Ujęła go drżącymi dłońmi. Natychmiast rozpoznała pismo, słowa kreślone pewną ręką.

– Chyba wybiorę się na spacer nad morze – powiedziała nagle.

Ciocia Emma uśmiechnęła się serdecznie.

– Oczywiście, idź. Przyniosę ci płaszcz.

Balfry House, hrabstwo Cork, Irlandia

Drogi Autoportrecie,

dziś już pojmuję, dlaczego Thea pragnęła Cię odślonić. Jesteś tak wspaniała, że aż zapiera dech w piersi. Pełna cudownej kobiecości i nieodpartej siły.

Pozostajesz głucha na bzdury wypowiedane przez prostaków, którzy nie wiedzą, jak się wysławić.

Czy wybaczysz mi, że tak długo skazywałem Cię na butwienie na poddaszu?

Widzisz, że jestem człowiekiem bez serca.

Ale to dlatego, że mi je skradłaś.

Ze szczerym oddaniem

Twój beznadziejnie głupi

książę

Na papier spadła łza. A jej śladem druga.

Thea zdążyła złożyć list, zanim atrament rozmazał się do nieczytelności.

Czy to było wyznanie miłosne?

Jeśli tak, to dość zawoalowane. Ale przynajmniej Dalton przyznał, że nie jest mistrzem słowa.

Ponadto podjął te wszystkie wspaniałe decyzje. Dał Conowi i Bronagh swoje rodowe Balfry House. A księgozbiór подарował Molly.

Ciocia Emma miała teraz Henriettę do towarzystwa i pomocy przy ulach.

Con miał Molly i Bronagh oraz jej synów. Mogli wszyscy miłością i śmiechem zapełnić ogromne przestrzenie Balfry House.

W głębi serca Thea wiedziała, że książę wysłał list do jej rodziny, bo uważał, że w ten sposób ochroni ją przed późniejszymi rozczarowaniami. Skomplikował tym sprawy... a jednak był to wyraz jego troski.

Może po prostu nie umiał jej powiedzieć, że ją kocha?

Przytuliła list do piersi i zapatrzyła się na zamglone zielone wzgórza i urwiska zatoki.

Uwielbiała być tutaj, a jednak Irlandia podobnie jak Londyn nie była jej domem.

Może dom to coś więcej niż miejsce. Może to...

Może to ciemne, niemal granatowe oczy, które patrzyły posępnie, a jednak przenosiły ją do krainy wolności?

Intrygujący dołeczek łagodzący toporność kwadratowej szczęki.

Silne, mocarne ramiona, które wnoszą do świata namiętność i pożądanie.

Wiatr nawiał jej włosy na twarz, więc zniecierpliwionym gestem odgarnęła kosmyki z oczu, wracając po schodach do domu.

Teraz ona powinna napisać list.

I rozpocząć kolejną podróż.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 26

Dwa długie tygodnie później

– Van i ja idziemy na plac – oznajmiła Abigail. – Jego żołnierzyki chcą przeprowadzić kampanię obok fontanny.

– Babciu, to nie fontanna, tylko rzeka Berezyna – poprawił ją chłopiec. – Siły Napoleona muszą ją przekroczyć lub... polec w boju.

– A tak. – Księżna pokiwała poważnie głową. – Niemądra jestem, zapomniałam.

– To miło! – rzucił nonszalancko Dalton.

Czekał na tę chwilę, odkąd Patrick i Van przyjechali do Londynu.

Kiwnął do Baum, niemieckiej pokojówki swojej matki, która stała obok fotela, a w jej na ogół spokojnych, poważnych oczach pojawiło się podekscytowanie.

Pokojówka dygnęła.

– Przyniosę płaszcz i czepek, wasza książęca mość – powiedziała.

Niemal rzuciła się biegiem.

Osborne Court, spowity ciszą i kirem od tak dawna, rozbrzmiewał teraz dziecięcym śmiechem i nieustającym gwarem. Wydawało się, że Van nie potrafi usiedzieć bez ruchu ani zachować milczenia dłużej niż pięć minut. Terroryzował biedne koty, które przywykły do niepodzielnego władania książęcą rezydencją. Chwytał rude zwierzaki w swoje sześćioletnie objęcia i bez najmniejszego respektu dla ich godności obsypywał pocałunkami.

Gdy już włożono płaszcz i zawiązano wstążki czepka, a niecierpliwący się chłopiec został skarcony przez ojca za ciągnięcie babci za rękę, całe towarzystwo – Abigail, Van, Dalton, Patrick i orszak lokajów – pomaszzerowało do drzwi wejściowych. Księżna wdowa po raz pierwszy od dziesięciu lat przekroczyła próg swego domu i wyszła na ulicę.

Zrobiła niepewny krok, a jej zielone oczy zaszyły mgłą.

Dalton wstrzymał oddech, gotów zgarnąć matkę z powrotem do środka, ale wtedy Van znów chwycił ją za rękę.

– No chodźmy – ponaglił, ciągnąc babcię za sobą. – Nie bądź ślamazarą.

– Takie słowa? – spytała Abigail. – Mój Boże, ale z ciebie Amerykanin. – Pogłaskała go po włosach. – Mam nadzieję, że przynajmniej twoi żołnierze to porządni poddani Korony Brytyjskiej?

Van uniósł głowę.

– No nie wiem, wszyscy są zrobieni z cyny. I nie umieją mówić. Byłoby cudownie, gdyby żołnierzyki umiały mówić. Dlaczego nie da się wymyślić takiego żołnierzyka?

– Bo ty gadasz za wszystkich – odparł Patrick z tkliwością.

I tak oto zeszli ze stopni i ruszyli na plac. Rozemocjonowany chłopiec paplał przez cały czas – z jego ust wylewał się nieprzerwany potok słów, a nurt chłopięcego entuzjazmu porwał i księżnę.

Abigail szła, stawiając małe, niepewne kroki po trawniku... Ale szła!

Dalton przeżywał uniesienie.

Odkąd zostawił Theę w Irlandii, miewał chwile radości i chwile bólu. Tęsknota za tą kobietą nie odstępowała go ani na moment.

Szkoda, że nie mogła oglądać tego triumfalnego spaceru. Przecież to była jej zasługa.

Dalton napisał do niej drugi list, lecz go nie wysłał. Najważniejsze przekazał bowiem w tym, który załączył do autoportretu Artemisii.

Zdawał sobie sprawę, że to Thea musi dokonać wyboru.
Że on nie może jej zmusić do niczego. Że ona sama musi zdecydować, czy jest gotowa mu wybaczyć.

Okazał się niebywałym osłem. Czy zasługuje na przebaczenie?

– Tylko popatrz – powiedział Patrick, kręcąc głową.

Nie znosił imienia Alec, lecz to nikomu nie przeszkadzało. Najważniejsze, że się odnalazł.

W odpowiedzi Dalton odchrząknął.

Dwaj bracia rozumieli się doskonale.

Często obywali się bez słów, komunikowali się bowiem na inne sposoby: pomagając sobie nawzajem i opiekując się Abigail i Vanem.

Odbyli jedną wyjątkowo długą rozmowę zakrapianą mocną irlandzką whiskey w bibliotece kawalerskich apartamentów księcia.

Dalton wyznał bratu, że jest Piekielnikiem. I że czyha na niego Trent. Patrick opowiedział o swojej praktyce adwokackiej. O wspieraniu zubożałych klientów w procesach sądowych przeciw ludziom wpływowym i skorumpowanym.

Gdy otworzyli drugą butelkę, zaczęli tryskać pomysłami.

Patrick zasugerował, aby poszperali głębiej w przeszłości Trenta, wykorzystując informacje zgromadzone przez Daltona w jaskiniach hazardu. Był przekonany, że jego umiejętności prawnicze pozwolą odkryć niejedną tajemnicę, co będzie można wykorzystać przeciw lordowi.

Dalton nie mógł uwierzyć własnym uszom, gdy brat powiedział mu potem, co ustalił.

Trent był winien zdrady stanu.

Księżę dopadł go pewnego wieczoru w pobliżu jego domu i przedstawił nieodparte dowody winy, tak że lord nie mógł zaprzeczyć.

Nie mógł zaprzeczyć, bo leżał nieprzytomny na bruku. Z listem wyszczególniającym jego przestępstwa przypiętym do surduta.

Nazajutrz Trent opuścił Anglię. Zapewne schronił się w Paryżu. Było raczej pewne, że już nigdy nie pokaże się w ojczyźnie.

To skłoniło braci do następnej wspólnej akcji.

Jako drugi zniknął wszystkim z oczu Foxford.

Po nim zaś Marwood zapragnął nagle zamieszkać w alpejskiej wiosce w Szwajcarii.

Owszem, ci dwaj stali się celem z powodu swoich niewczesnych zalotów, ale zasłużyli na to, co dostali.

Dalton spakował się, opuścił kawalerskie apartamenty i wraz z Patrickiem i Vanem wprowadził się do Osborne Court.

Nie zamierzał zawiesić maski na kołku, a jednak coraz częściej badał możliwości zwalczania zła za pomocą prawa zamiast gołych pięści.

Robił się trochę za stary na bijatyki.

W ramieniu wciąż go łupało po ciosie, którym powalił Albertsona w Bristolu.

Patrick powtarzał, że nie zostanie w Londynie zbyt długo, bo prowadzi praktykę adwokacką w Nowym Jorku, jednak Dalton żywił nadzieję, że znajdzie sposób, aby odwieść brata od wyjazdu.

Należało znaleźć Patrickowi angielską żonę.

Był chyba dość przystojny, tak przynajmniej wydawało się Daltonowi – w końcu to jego brat! – i stał w kolejce do odziedziczenia tytułu księżęcego. To powinno pomóc w znalezieniu odpowiedniej kandydatki, chociaż mówił z amerykańskim akcentem i palił paskudne cygara.

Może Thea pomogłaby w poszukiwaniach narzeczonej, gdyby w końcu przybyła do Londynu?

Gdyby... Jeśli...

Gdyby w swoim wspaniałym i odważnym sercu znalazła dość siły, aby mu przebaczyć, że ją odtrącił.

Tęsknił za nią w każdej sekundzie dnia.

W każdej sekundzie długich, samotnych nocy.

Codziennie siłą woli musiał powstrzymać się od osiodłania konia i pogalopowania w stronę Irlandii.

Dostał kilka listów od Cona. Kosmaty stary skurczykot powiadomił go, że dostarczył obraz, a Molly przeczytała już połowę księgozbioru, mimo to nadal chce się zaokrętować na jeden ze statków księcia.

Na zakończenie ostatniego listu Con dodał mimochodem, jakby sprawa była niewielkiej wagi, że Bronagh zgodziła się zostać jego żoną.

Jednak Dalton wciąż nie potrafił sobie wyobrazić Irlandczyka jako głowy rodziny.

I cóż z tego, podobnie nie wyobrażał sobie nigdy, że będzie usychał z tęsknoty za filigranową panią o irytującym nawyku sprzeciwiania mu się na każdym kroku.

Dalton zabrał się nawet do pisania straszliwych rymowanek przeznaczonych dla Thei. Jeszcze gorszych od wierszy, które układał w Cambridge.

Kiedy odwiedził swojego przyjaciela Jamesa, księcia Harland, w jego miejskiej rezydencji, poważał się nawet na recytowanie swoich dzieł pomiędzy kolejnymi szklaneczkami wybornej brandy, wzbudzając spore rozbawienie gospodarza.

„Róże są czerwone, podobne do maków, bez Thei moje życie niewarte funta kłaków... Jeśli nie przyjdzie do mnie wkrótce, pojedę tam, zwiążę ją, przerzucę sobie przez ramię, przywiozę do Londynu i rzucę na łóżko”.

Hm, nie był to klasyczny sonet.

James doskonale go rozumiał, bo był bez pamięci zakochany w Charlene, przyrodniej siostrze Thei.

Dalton wreszcie pojął, że przez całe życie uciekał przed świadomością, że potrzebuje miłości.

Teraz już wiedział, że miłość nie odbiera ludziom siły. Odwrotnie, łączy ich, wiąże i przez to daje moc.

Teraz żył w domu pełnym kochających się krewnych, lecz najbardziej na świecie potrzebował miłości Thei i tej wiary, jaką w nim pokładała.

Był ledwie o krok od pognania do Irlandii, aby ściągnąć ukochaną do Anglii, gdy wreszcie nadszedł list od niej.

Hrabstwo Cork, Irlandia

Drogi Beznadziejnie Głupi Książę,

po latach butwienia na poddaszu Twojej rezydencji czuję wreszcie promienie słońca na twarzy! Jestem tym niezwykle podekscytowana, rzecz jasna. I oto dowiaduję się, że mam wyjechać do Londynu, aby poznali mnie zarządcy Brytyjskiego Instytutu Krzewienia Sztuk Pięknych.

Cóż to będzie za przygoda!

Tłumy wielbicieli. Bukiety róż składane u moich stóp.

W końcu to mi się należy.

W oczekiwaniu na wyrazy uwielbienia,

autoportret Artemisii Gentileschi

Czy to oznaczało, że Thea zamierzała zjechać do Londynu? Że czekała na jego uwielbienie?

Tyle że list napisał jakoby ten sakramencki obraz, a nie ona.

Przecież wcześniej powiedziała mu w niedwuznacznych słowach, że nie pragnie być adorowana. Pragnie wolności.

Czy potrafiłaby być z nim szczęśliwa?

A zatem za chwilę miała się nadarzyć sposobność, aby porwał ją w ramiona i obsypał pocałunkami tak umiejętnie, że zgodziłaby się na każdą jego propozycję.

Była piękna wiosenna pogoda. A więc żadnych opóźnień z powodu deszczów. Thea powinna być w Londynie najpóźniej za dwa dni.

Czekał więc.

I czekał.

Przygotowywał w myśli właściwe słowa.

Wyobrażał sobie, co będą robić, gdy wreszcie zaciągnie ją do swojego wielkiego książęcego łóża.

Które było mało przytulnym miejscem odpoczynku, gdy nie leżała w nim zniewalająca, roznamietniona Thea.

Kiedy już położą się razem, nigdy nie wypuści jej z rąk.

CHOMIKO_WARNIA

Rozdział 27

Jeszcze dłuższy tydzień później...

– Przybywam spóźniona – oznajmiła Thea.

Nad wyraz poprawny i stosownie ubrany lokaj, który otworzył drzwi Osborne Court, popatrzył na nią tępym wzrokiem.

– Jak to rozumieć, madame? – spytał.

– Powiadomiłam księcia, że przybędę tydzień temu.

– Pojmuję.

Popatrzył na nią ze wzgardą znad długiego nosa. Najwyraźniej zastanawiał się, jak się jej pozbyć bez poplamienia sobie nieskazitelnych białych rękawiczek i ubłocenia wyglansowanych butów.

Cóż, kto mógłby mieć do niego o to pretensje? Była ubrana jak ladacznica. Szwedzka ladacznica.

– Proszę powiadomić księcia, że przyszła Olofsson.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy.

– Tak po prostu? Olofsson?

– Owszem.

Thea potrząsnęła głową i wtedy włosy opadły swobodnie na ramiona.

Lokaj uniósł brwi w nieskazitelnie lokajski sposób.

– Proszę tutaj zaczekać, madame.

Wrócił po krótkiej chwili.

– Tak jak sądziłem – prychnął. – Jego Książęca Mość nie zamawiał żadnych... usług.

Zatem muszę panią pożegnać.

Próbował przegonić ją sprzed drzwi.

Na próżno.

Rozstawiła obcasy czerwonych trzewików na marmurowych płytach.

– Powiedz księciu, że Olofsson nie da się odprawić. Powiedz mu, że ma życzenie...

– Życzenie? – rozległ się niski głos.

Serce jej zamarło.

U góry schodów stał Dalton. Patrzył na nią groźnie. Wyglądał tak przystojnie, że odebrało jej mowę.

Jakże stęskniła się za tą wydatną, kanciastą szczęką i powabnym dołeczkiem w podbródku!

Uniosła głowę.

– Tak, Olofsson ma życzenie – odparła.

Książę zszedł po schodach.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytał z udawanym oburzeniem.

Thea wystawiła biodro.

– Dlaczego jesteś zaskoczony moją wizytą? Nie dostałeś mojego listu, mości książę?

Posłał jej demoniczny uśmiech i porwał ją w ramiona.

– Och! – krzyknęła. – Pognieciesz mi suknię. A w kieszeni płaszcz mam słoiczek marmolady.

– Dam ja ci nauczki – warknął. – Zrozumiesz, dlaczego niemądrze jest kazać księciu czekać całymi tygodniami.

Wyraźnie zgorzony lokaj usiłował zachować kamienną twarz jak przystało jego profesji. Usunął się dyskretnie z drogi, gdy Dalton niósł Theę przez sień w kierunku schodów.

Splotła mocno dłonie na jego karku, podniecona jego bliskością i roznamiętinionym wyrazem twarzy.

– Co masz pod sukienką? – szepnął jej do ucha.

– Niebieskie jedwabne podwiązki – odparła bezwstydnie.

– O Boże – jęknął. – Jak strasznie za tobą tęskniłem. Czy mi wybaczysz? Okazałem się skończonym osłem.

– Osłem? A nie nadętym skurwielem ani pompatycznym dupkiem?

– Wszystkim naraz – szepnął namiętnie. – I to nie koniec.

Kopniakiem otworzył drzwi do swojej sypialni, wszedł i nogą je zatrzasnął.

– Thea, twoje miejsce jest w mojej alkowie.

Rzucił ją delikatnie na środek łóża, a z jego oczu wyzierało jednoznaczne mroczne pragnienie.

Jak z oczu każdego rasowego rozpustnika.

– Przywiążę cię do słupków, jeśli przyjdzie ci do głowy, żeby mnie opuścić – powiedział stanowczo.

– Ja cię nie opuściłam, ty wariacie – odparła ze śmiechem. – To ty mnie zostawiłeś.

– Ja? Niemożliwe, nigdy nie zrobiłbym nic tak głupiego. – Nagle spowaźniał. Łóżko się ugięło, gdy ułożył swoje ciężkie ciało obok niej. – Czy możesz... czy mi wybaczysz?

Miała wrażenie, że serce za chwilę wyrwie się jej z piersi.

Zamknął jej dłonie w swoich palcach.

– Byłem tak pochłonięty pragnieniem zemsty, że nie wyobrażałem sobie innego życia – wyznał. – Szczęśliwa egzystencja u boku kogoś, kogo kocham, wydawała mi się mrzonką. – Położył sobie jej dłonie na klatce piersiowej i dodał: – Thea, kocham cię. Wydaje mi się, że zakochałem się w tobie w tamtej chwili, kiedy wdrapałaś się na mnie i zaczęłaś deptać mi ramię. Wtedy właśnie odcisnęłaś trwałe piętno na moim sercu.

Uśmiechnęła się przez łzy.

– Ktoś musiał dać ci nauczki – odrzekła.

Kciukami otarł jej łzy z oczu, po czym pogłaskał ją po policzku, a źrenice miał ciemniejsze niż najniebezpieczniejszy zaułek Londynu.

– Och, nauczyłaś mnie o wiele więcej. Przez całe życie unikałem miłości. Niebywały głupiec ze mnie. To cudowne, że Patrick i Van są tutaj. Ale to się nie równa z twoją obecnością. Tęskniłem za tobą. Rozpaczliwie. – Kciukiem musnął jej dolną wargę i zadygotał. – Nic nie znaczę bez ciebie. Proszę, obiecaj, że zostaniesz ze mną. Powiedz, że mnie kochasz.

– Kocham – odparła zwyczajnie. – Och, Dalton, kocham cię. Całym sercem.

Otoczył ją ramionami i twardymi szorstkimi ustami złożył na jej wargach pocałunek, od którego krew w jej żyłach się zagotowała, a ciało o mało nie zapłonęło żywym ogniem.

„Właśnie tak – pomyślała Thea, odchodząc od zmysłów – można owinąć wyniosłego księcia wokół palca”.

Epilog

Dwa miesiące później

Wystawa malarstwa i aukcja dzieł sztuki u księżnej Osborne

Wielka galeria w Osborne Court

– Dość niezwykła, nie uważasz? – zwrócił się lord Haselby, uczony z Brytyjskiego Instytutu Krzewienia Sztuk Pięknych w Zjednoczonym Królestwie, do swojego równie uczonego kolegi lorda Kingsforda.

Thea stała tuż za nimi. Podpatrywała obu dżentelmenów wpatrzonych w autoportret Artemisii. Gładzili się w zadumie po swoich uczonech wypiełgnowanych brodach.

– Patrz tutaj, Haselby – powiedział Kingsford, przysuwając szkło powiększające do obrazu. – Gdyby trzymać się *ikonologii* Ripy, należałoby stwierdzić, że ta maska na łańcuszku powinna mieć wygrawerowane słowo *imitatio*.

– Na świętego Jerzego, masz rację. I co z tego wnosisz?

Thea zbliżyła się o krok.

– Na masce nie ma inskrypcji, albowiem Artemisia nikogo nie naśladowała. Była jedyna w swoim rodzaju.

Lord Haselby odwrócił się ze szkłem powiększającym do Thei.

– Niewiele o niej wiadomo.

– To prawda – przyznała z uśmiechem. – Ale ten autoportret pozwala nam na pewne domysły. Wiecie, panowie, mam pewną hipotezę. Po dokładnym zbadaniu tego obrazu jestem przekonana, że to ona, a nie jej ojciec, namalowała alegorię *Pokoju władającego sztuką* na suficie Queen's House w Greenwich.

– Co wasza książęca mość powie! – zakrzyknął lord Kingsford. – Czy zechciałaby księżna wziąć udział w jednym z naszych spotkań, aby przedstawić bliżej swoją hipotezę?

Thea skłoniła głowę.

– Byłabym zaszczycona.

– O ile pamięć mnie nie myli, sufit ozdobiono malowidłami w 1636 roku, a Pokój, przedstawiony z gałązką oliwną i pałeczką, przewodzi dwunastu muzom, z których każda...

Dalej ciągnął się przydługi i dość nudny opis całej kompozycji.

Zaborczy uścisk na łokciu. Tuż obok wyrósł jak spod ziemi Dalton, z kosmykiem lśniących włosów uparcie opadającym na jedno ciemnoniebieskie oko.

– Musicie wybaczyć księżnej, panowie – powiedział. – Czeka ją obowiązki.

– Oczywiście.

Obaj uczeni ukłonili się jak na komendę.

– Wyglądałaś, jakbyś wypatrywała ratunku – szepnął Thei do ucha.

– W rzeczy samej – odparła ze śmiechem. – Mam obowiązki, tak? Wobec kogo? – dopytywała się, gdy oboje przedzierali się przez tłum ludzi udających, że oglądają obrazy, choć przyciągnęły ich głównie plotki.

– Wobec mnie – warknął.

– To potem, ty nienasycony zwierzaku. – Wyglądziła nową suknię uszytą z grubego atłasu, mieniającą się złotem i zielenią niczym skrzydła ważki. Pod krajem sukni żarzyła się znajoma czerwień. Thea uznała, że tego wieczoru musi włożyć swoje wysłużone trzewiki. Droga wiodąca do wytwornej socjety mogła być błotnista.

Było to jej pierwsze publiczne wystąpienie w roli księżnej Osborne.

W wielkim tłumie dostrzegała twarze tych wszystkich ludzi, którzy dawniej śmiali się z niej. Którzy z radością wyliczali jej gafy, potknięcia, nazywali ją Panną Fatalną i cieszyli się z jej upokorzeń.

Lecz teraz szepty rozlegające się w galerii nie miały kąśliwego żądła.

Wokół było bowiem także sporo osób, które darzyła miłością. I którym ufała. I które w zamian ją kochały i obdarzały zaufaniem.

W pierwszej kolejności Dalton, rzecz jasna. Uścisnęła jego silne ramię.

Dalej matka. Thea rozejrzała się dokoła i wypatrzyła ją w tłumie – hrabina była wyniosła jak zawsze, w eleganckiej sukni ze srebrnego jedwabiu, podkreślającego srebrne pasma w jej włosach, zajęta rozmową z matką Daltona, księżną wdową, która wydawała się krucha i słaba, lecz wyglądała ślicznie dzięki kasztanowym włosom lekko przyprószonym siwizną i soczyście zielonym oczom.

– Twoja matka prezentuje się dziś bardzo ładnie – zwróciła się do Daltona.

– Owszem.

Jego twarz jaśniała miłością.

Obecna była także Charlene, przyrodnia siostra Thei, księżna Harland. W ostatnich miesiącach stały się najlepszymi przyjaciółkami.

Thea rozejrzała się po sali, jednak nigdzie nie mogła dojrzeć siostry. Gdzie ona się podziała?

Wśród wystawionych dzieł znalazł się obraz namalowany przez Lulu, młodszą siostrę Charlene, zatytułowany *Autoportret z zamkowymi ruinami*. Była to zachwycająca praca dowodząca dużego talentu.

Gdy Thea i Dalton zbliżyli się do wielkich schodów, po stopniach zbiegli z hałasem Van, syn Patricka, i Flor, pasierbica Charlene.

Roześmiany Dalton pochwycił oboje w ramiona, zanim przepadli w tłumie.

– Co wy wyprawiacie? – burknął.

– Walczymy w pojedynku – odparła Flor, mrużąc zielone oczy. – I ja wygrywam.

– Nieprawda! – zaprzeczył chłopiec, wysuwając dumnie szczękę. – Jesteś dziewczynką, nie możesz wygrać w pojedynku.

Flor wzięła się pod boki.

– Ha! To największe głupstwo, jakie kiedykolwiek słyszałam!

Dalton zmierzwił chłopcu rudawe włosy i puścił dzieci wolno.

– Na górę! – poleciła Thea. – Wracajcie na piętro. I postarajcie się nie podpalić kotar jak ostatnim razem.

Ta parka wciąż sprawiała dorosłym kłopoty.

Thea i Dalton dołączyli do zebranych, kiwając głowami i wymieniając słowa powitania.

Po chwili dobiegły ich urywki rozmowy dwóch matron rozprawiających o pośpiesznym małżeństwie księcia Osborne:

– Mówią, że na koniec zaślubin porwał ją w ramiona i zaczął całować tak namiętnie, że jedna z ciotek zemdląła z wrażenia – powiedziała pierwsza pośród falujących strusich piór.

Ta plotka była całkowicie zgodna z prawdą.

Thea przypomniała sobie ten precudowny pocałunek i poczuła rozkoszne ciarki na plecach.

To z kolei obudziło wspomnienia o nocy poślubnej.

I sprawiło, że ugięły się pod nią nogi.

– Jesteś gotowa na więcej? – spytał Dalton, podpierając ją silnym ramieniem.

Gotowa na więcej czego? Pocałunków?

Zaczerwieniła się.

– O czym rozmyślasz, moja siejąca zgorzenie żono? – szepnął jej do ucha, aż poczuła jego gorący oddech – Dostałaś przepysznych rumieńców. Myślałem, że wyleczyłem cię z poczucia wstydu, że pragniesz skandalicznych przeżyć.

– Później, rozpustniku – skarciła go. – Spójrz – dodała, aby zmienić temat. – Czy to nie twój przyjaciel lord Hatherly? Rozmawia z Alice Tombs przy portrecie Vigée Le Brun. Ten lew nieczęsto wyłazi ze swojej jaskini.

– W rzeczy samej, to nasz biedny Nick. Może powinniśmy mu przyjść z odsieczą?

– Lubię pannę Tombs. Jest bardzo bystrą dziewczyną.

Alice Tombs była jedną z najlepszych przyjaciółek Charlene. Trzy młode damy spędziły razem niejedno przyjemne popołudnie, rozmawiając o nowych charytatywnych inicjatywach Charlene. Dochód z kilku obrazów wystawionych tego wieczoru na sprzedaż miał zasilić dom dla bezdomnych dziewcząt.

Dalton uniósł brwi.

– I nad wyraz dziwną – dodał.

Thea się uśmiechnęła.

– Ma swoje powody, aby taką być – odparła.

Gdy przechodzili obok, dobiegł ją fragment rozmowy między lordem Hatherlym a Alice:

– Lecz ta dama ma na sobie jedynie cieniutką szatę. Aż ciarki człowieka przechodzą z zimna – powiedziała młoda kobieta, wydymając usta, od czego pogłębiły się dołeczki w jej policzkach.

– Dzięki temu lepiej prezentują się jej... atrybuty – padła odpowiedź lorda słynącego z upodobania do skandali.

– W ten sposób złapie gripę i umrze od gorączki.

– Przecież to tylko obraz – odparł Hatherly ze zdezorientowaną miną.

Gdy Dalton poprowadził Theę w kierunku balkonu, zauważyła z zadowoleniem, że tuż za szklanymi drzwiami stoją księżna i księżę Harland. Pochyleni nad balustradą stykali się ramionami.

Na dworze było ciepło i pachniało jaśminem, który wił się po balkonowych poręczach.

– Tutaj jesteście – odezwała się Thea, podchodząc. – Ukrywacie się przed innymi?

– Całowaliśmy się – wyznał śmiało Harland, a w jego zielonych oczach zapłonęły ogniki. Charlene skarciła go pacnięciem w ramię.

– James!

– Przecież to prawda, moja kochana.

Thea popatrzyła na tłum zapełniający galerię za szklanymi drzwiami.

– Doprawdy, wystarczyłaby jedna umiarkowana sensacja, aby ściągnąć tutaj tych ludzi – powiedziała. – A my zapewniliśmy aż cztery, z czego dwie o posmaku skandalu.

– Cztery? – spytał Dalton.

– Pierwsze dwie to dwie księżne gorszycielki.

Charlene uśmiechnęła się, a jej szaroniebieskie oczy, jakże podobne do oczu Thei, rozjaśniła wesołość.

– Córka kurtyzany i jej zbiegła przyrodnia siostra.

– Trzecia. – Thea machnęła ręką w kierunku szklanych drzwi. – Wdowa Samotnica prezentująca się publicznie pierwszy raz od dekady.

– A czwarta – dodał James – to syn marnotrawny, który wrócił z zaświatów.

Thea wypatrzyła Patricka w tłumie gości. Stał niedaleko, wysoki i władczy, niemal tak samo nieprzyzwoicie przystojny jak jego brat. Rozmawiał ze śliczną panną w bladuróżowej

sukni.

– Widzicie? – zaszcebiotała. – Cztery wielkie sensacje. Ludzie nie bardzo wiedzą, o którym powinni najpierw plotkować.

– Skoro mówimy o skandalach, wspomnijmy o Alice i Hatherlym – powiedziała Charlene. – Chodźmy do nich. James ma butelczynę w kieszeni.

Razem z Jamesem ruszyła do sali, a Thea i Dalton pozostali na balkonie.

– Wydaje mi się, że zapomniałaś o jednym skandalu, sarenko.

– Czyżby?

Przyparł ją do drzwi balkonowych.

– Tak. O tym.

Objął ją i przywarł zmysłowymi wargami do jej ust.

Westchnęła i poddała się pocałunkowi, drżąc z rozkoszy. Nie dbała o to, że wytworne towarzystwo mogło w tej chwili ujrzeć jej opięte atłasem pośladki przyciśnięte do szyby.

Bo z każdym kolejnym pocałunkiem coraz mocniej kochała swojego męża.

Wiedziała, że zielone wzgórza Irlandii będą zawsze na nią czekać.

A Londyn stał się o wiele przytulniejszym miejscem.

Lecz dopiero w objęciach Daltona Thea czuła się naprawdę jak w domu.

CHOMIKO_WARNIA

Podziękowania

Jestem winna dozgonną wdzięczność kilku osobom za fachowe uwagi i pomoc. Są to: Amanda Bergeron, Alexandra Machinist, Elle Keck, Pam Jaffee, Jessie Edwards, Angela Craft i Tom Egner. Wyrazy głębokiej miłości kieruję do mojego męża, rodziny i przyjaciół za to, że trzymali mnie za rękę podczas tej karkołomnej przejażdżki.

Wielu ludzi nie szczędziło mi wsparcia. Na podziękowania zasłużyły w szczególności moje idolki i mentorki literackie: Sarah MacLean, Eloisa James, Lorraine Heath, Kerrelyn Sparks, Sophie Jordan, Meredith Duran, Courtney Milan, Tessa Dare, Meljean Brook i Eva Devon. Wspólnota pisarska 2014 GH Dreamweaver to dla mnie codzienne źródło inspiracji i otuchy.

Księgarze, bibliotekarze, recenzenci, blogerzy, krytycy, a nade wszystko czytelnicy – dziękuję Wam za to, że namiętnie kochacie romanse!

CHOMIKO_WARNIA

Spis treści:

Okładka Karta tytułowa Prolog Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4 Rozdział 5
Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział 10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13
Rozdział 14 Rozdział 15 Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20 Rozdział
21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25 Rozdział 26 Rozdział 27 Epilog
Podziękowania Karta redakcyjna
CHOMIKO_WARNIA

tytuł oryginału: *If I Only Had a Duke*

Text copyright © 2016 by Lenora Bell

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2022

Copyright © for the translation by Robert Sudół

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Przyjęcie tłumaczenia: Ewa Polańska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja i korekta: d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografie na okładce: para – Book Cover Photos / Shutterstock,

zasłony i leżanka – rudnitskaya_anna / Shutterstock

ISBN 978-83-8135-978-8



www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink



woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek

